

# CÓRKA CIENI

BURZA  
PRZED CISZĄ

EWA CIELESZ





# **CÓRKA CIENI**

BURZA  
PRZED CISZĄ

CZĘŚĆ 3

EWA CIELESZ



Copyright © 2016 by Ewa Cielesz  
Copyright for this edition © 2016 by Axis Mundi

REDAKCJA I KOREKTA: Elżbieta Makowska  
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski  
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN OPRAWA BR: 978-83-64980-33-6  
EAN OPRAWA BR: 9788364980336  
ISBN E-BOOK: 978-83-64980-40-4

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



**AXIS MUNDI**  
**WYDAWNICTWO**

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23



# 1

Mały płaski klucz srebrzył się migotliwie. Wędrował ku górze i opadał prosto na dłoń Adama, który podrzucał go nerwowo. Czekał na telefon. Juliana Dors wynurzyła się z własnych wspomnień jak ze stosu starych fotografii kilka dni temu. Mała samotna dziewczynka, doświadczająca rozmaitych przeżyć, była ofiarą niesprawiedliwości, okrucieństwa, ale doznała też ludzkiej życzliwości i dobroci. Teraz Adam czekał na sygnał, że gotowa jest mu opowiedzieć swoje dalsze życie, które tak dramatycznie rozpoczęło się w chacie bieszczadzkiego lasu. Kiedy zadzwonił telefon, poderwał się z fotela pełen nadziei, że to właśnie ona.

– No jak tam? – odezwał się redaktor naczelny historycznego pisma, w którym Adam od niedawna był zatrudniony. – Skończyłeś reportaż?

– Kończę – skłamał. – Potrzebuję jeszcze kilku dni.

– Kilku? To znaczy ilu? Trzech? Czterech?

– Przyniosę materiał w poniedziałek.

– W poniedziałek? Dzisiaj mamy dopiero środę! – podniósł głos. – No dobra, to ostateczny termin. W przeciwnym wypadku dam cykl artykułów Karolaka. A ty... Wiesz.

– Wiem – odpowiedział Adam. – Na bruk.

– Coś w tym rodzaju. No to trzymaj się. Pracuj.

Naczelny wyłączył się. Adam wsunął telefon do kieszeni i wyszedł na balkon. Było ciepło, choć na niebie gromadziły się chmury zwiastujące deszcz. Obserwował niebo, dopóki z głębi mieszkania nie usłyszał dzwonka.

– Toffi? – zdziwił się widząc ją w drzwiach.

Od czasu, kiedy odwołał spotkanie z nią, nie dawała znaku życia. Mając własne kłopoty, nawet tego nie zauważył. Postanowił odezwać się, kiedy najtrudniejszy czas będzie miał za sobą.

– Cześć... Mam problem – powiedziała i spojrzała na niego z nadzieją. – Pomożesz

mi?

– Chciałbym, ale nie wiem, jakiego jest rodzaju.

– Mogę? – zapytała wykonując gest, jakby chciała wejść do środka.

Dopiero teraz zorientował się, że przetrzymuje ją w drzwiach.

– Ach tak! Oczywiście! – Odsunął się i pozwolił jej przejść. – Co się stało? – zapytał z niepokojem, widząc, jak bardzo jest przybita.

– Mógłbyś poczęstować mnie kawą? – poprosiła.

Adam zerknął na nią podejrzliwie. Była bardzo potulna, co kłóciło się z jej zadziornym charakterkiem. Musiało ją spotkać coś naprawdę złego. Kiedy parzył kawę, rozglądała się po wnętrzu.

– Kupiłeś sobie meble – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Owszem. Podobają ci się?

– Tak. Bardzo – powiedziała bez entuzjazmu i przestała się nimi interesować.

Postawił przed nią kubek gorącej kawy i zajrzał jej w oczy.

– Powiesz mi, co się stało?

– Ile zapłaciłeś? Te meble – rozejrzała się – ile kosztowały?

– Cały zestaw jakieś półtora tysiąca. Ale kupiłem jeszcze kanapę i ten fotel, na którym siedzisz. Razem około trzech tysięcy. Jeśli szef przyjmie reportaż, w przyszłym miesiącu urządzę kuchnię. W następnej kolejności może też łazienkę. Albo drugi pokój. Teraz mam zaledwie na skromne jedzenie. Ale cieszę się, że je kupiłem, bo pewnie wydałbym wszystkie pieniądze na coś nieistotnego.

– Ile ci zapłacą za reportaż?

– Nie wiem. Jeszcze nie rozmawiałem o tym z szefem. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. Chciałam wiedzieć.

– Potrzebujesz pieniędzy? – domyślił się.

– Tak. Pięćdziesiąt tysięcy – rzuciła szybko i spojrzała na niego wyzywająco.

– Niezły żart – mruknął. – Ale teraz porozmawiajmy poważnie. Ile potrzebujesz?

– Pięćdziesiąt tysięcy – powtórzyła grobowym głosem.

– Toffi, zwariowałaś. Nigdy nie będę miał tyle pieniędzy. Przygotuj się na to.

– Wiem, że teraz nie masz. Ale jesteś ważnym dziennikarzem...

– Nie masz pojęcia o zarobkach dziennikarzy – zdenerwował się.

– Nie mam – zgodziła się.

– Po co ci te pieniądze? – zapytał przyglądając się jej badawczo.

– Nie znasz nikogo, kto mógłby mi pożyczyć? – zignorowała pytanie.

– Nie znam. Możesz mi wreszcie wyjaśnić o co chodzi?

– Nie. Raczej nie. Właściwie niepotrzebnie tu przyszłam. Pójdę już. – Odstawiła niedopitą kawę i wstała.

– Zaczekaj. Jeśli masz problem, spróbujmy rozwiązać go razem.

– Nie, Adam. Nie damy rady. W dodatku to jest tylko mój problem. Tobie nic do

tego.

– Jak to nic do tego? Jesteśmy razem czy nie?

– Idę. Puść! – Zabrała rękę, za którą chciał ją przytrzymać.

– Nigdzie nie pójdziesz, siadaj! – Pchnął ją z powrotem na fotel. – Na co ci te pieniądze?

Toffi patrzyła na Adama z niedowierzaniem. Nie знаła go takiego.

– Dobrze, powiem. Nie krzycz. Padłam ofiarą oszustwa – powiedziała spokojnie. Widocznie już oswoiła się z tym na tyle, by panować nad emocjami.

– Jakiego oszustwa?

– Pamiętasz, gdzie się zatrudniłam? – zapytała z lekką ironią w głosie.

– Oczywiście. W biurze nieruchomości.

– No właśnie – westchnęła.

– No i...? – zapytał niecierpliwie, patrząc na nią w napięciu.

– Facet wystawił na sprzedaż mieszkanie. Cztery pokoje, kuchnia... Ładne. W spokojnej dzielnicy, prawie nowe. Przyszedł do biura, ale nie chciał płacić za pośrednictwo. Zaproponował mi, żebym poszukała klienta na własną rękę. Jeśli znaję, coś mi za to odpali...

– Łakomy kasek, co? – wtrącił z ironią.

– Owszem. Zgodziłam się. Nie ma dnia, żebym nie potrzebowała pieniędzy. To znacznie podreperowałoby mój budżet. Dwa dni po naszej rozmowie zgłosił się człowiek, który pilnie szukał podobnego mieszkania. Uznałam, że świetnie się składa. Zawiadomiłam sprzedającego i jeszcze tego samego dnia spotkaliśmy się w biurze po godzinach pracy.

– Włos mi się jeży na samą myśl, w co się wpakowałam. Domyślam się, co było dalej. – Adam złapał się za głowę i popatrzył na Toffi z przerażeniem.

– Najpierw pojechaliśmy obejrzeć mieszkanie. Było naprawdę atrakcyjne. Puściuteńkie, przygotowane do sprzedaży. Klient zdecydował się natychmiast. Wróciliśmy do biura. Spisaliśmy przedwstępną umowę i wręczył mi zaliczkę. Pięćdziesiąt tysięcy. Resztę miał zapłacić po załatwieniu wszystkich formalności. Nie miał pojęcia, że nie występuję w imieniu biura. Wyszedł uszczęśliwiony. Przekazałam pieniądze właścicielowi, a on odliczył dwa tysiące i podziękował mi za pomoc. Bomba wybuchła tydzień później. Klient zadzwonił do mnie, że chce pokazać to mieszkanie swojej narzeczonej. Po ślubie mieli w nim razem zamieszkać. Próbowałam skontaktować się z właścicielem, ale telefon był głuchy. Klient przyjechał do biura i pojechaliśmy do mieszkania razem, z nadzieją, że go tam zastaniemy.

– I co? – zapytał Adam nie spuszczać wzroku z Toffi.

– Zastaliśmy. Ale nie jego. Po burzliwej wymianie zdań okazało się, że ten, co sprzedawał, był jedynie najemcą tego mieszkania. Rozumiesz? Sprzedał nie swoją chatę i prysnął!

– Jezu... – jęknął Adam. – Czegoś takiego właśnie się spodziewałem. Jak mogłaś być tak naiwna?!

– Daruj sobie. Prawdziwy właściciel obejrzał spisaną przeze mnie umowę i stwierdził, że zawarte w niej dane nie są prawdziwe. Pokazał nam umowę najmu, gdzie figurowało zupełnie inne nazwisko. Przy tym nie miał gwarancji, a raczej miał pewność, że dane na jego umowie też są sfałszowane.

– Toffi, jak mogłaś?! – powtórzył Adam patrząc na nią z niedowierzaniem.

– Nie wiem! – krzyknęła nagle. – Nie wiem, jak mogłam! Zrobiłam to i teraz muszę za to zapłacić!

– Czekaj... Przestań krzyczeć, bo robi się nerwowo. A tu trzeba racjonalnie pomyśleć, jak to odkręcić.

– Odkręcić? Nic nie da się odkręcić. To był oszust, który doskonale znał się na rzeczy.

– Poza tym znał się na ludziach. Od razu wyczuł, że jesteś pierwszą naiwną. Młoda, niedoświadczona, bez kasy...

Toffi zacisnęła usta i odwróciła wzrok.

– Ten klient domaga się zwrotu swoich pieniędzy – powiedziała nie swoim głosem.

– Nic dziwnego. Każdy by się domagał. Moim zdaniem powinna się tym zająć policja... Ile masz czasu?

– Mało.

– Ale konkretnie, ile?

– Cztery dni.

– Jeśli nie zapłacisz, do akcji może wkroczyć windykator. Da ci parę dni na polubowne załatwienie sprawy. Potem skieruje ją do prokuratury. Ty jako dłużnik będziesz musiała ponieść koszty sądowe, a komornik położy łapę na twojej wypłacie.

– Na jakiej wypłacie? Już tam nie pracuję! – zawołała.

– Wyleciałaś z pracy?

– Sama się zwolniłam. Miałam czekać, aż wszystko wyjdzie na jaw?

– To z czego żyjesz?

– Przecież dostałam dwa tysiące – odparła uśmiechając się z przymusem. – Adam, masz jakiś pomysł? – zapytała z nadzieją.

– Nie... – westchnął. – Nie mam żadnego pomysłu. Nie wiem, skąd masz wytrzasnąć tyle pieniędzy. Mogłaś mnie spytać, zanim zrobiłaś coś takiego. W tej chwili uważam, że jedynym wyjściem byłaby sprzedaż twojego mieszkania.

– Zwariowałaś! – obruszyła się. – Gdzie będę mieszkać?

– Możesz mieszkać u mnie – powiedział i rozejrzał się w taki sposób, jakby szukał miejsca na ulokowanie Toffi i całego jej dobytku.

– Wykluczone – powiedziała. – Przepraszam cię, ale uważam, że to głupie. Pójdę już. – Wstała nagle i ruszyła do wyjścia. – Pomyślę nad innym rozwiązaniem – dodała.



– Jak chcesz. Pamiętaj, że masz tylko cztery dni.

– Daruj sobie. Pamiętam. I wcale nie chcę, żeby zajmowała się tym policja. Zdobęde te pieniądze, choćby spod ziemi. Oddam klientowi i zatkam mu gębę. Idę. Cześć.

Adam odprowadził ją do drzwi. Zanim zdążył sprzątnąć kubek po kawie, rozległ się dzwonek telefonu.

– Halo? Czy mówię z Adamem? – usłyszał miękki, przyjemny głos Juliany.

– Cieszę się, że pani dzwoni – powiedział próbując opanować emocje. Najchętniej zasypałby ją wyrzutami, że odzywa się dopiero teraz.

– Adam, dzwonię, bo nie chcę, byś pomyślał, że zapomniałam o tobie.

– Nie pomyślałem. Chociaż... przestraszyłem się, że nie chce pani więcej opowiadać.

– Chcę. Ale nie teraz.

Zapadło milczenie.

– Jak to? – odezwał się w końcu Adam ochrypłym ze zdenerwowania głosem.

– Jutro wyjeżdżam – oświadczyła krótko.

– Na długo? – zapytał, nie zastanawiając się, czy nie zabrzmiało to niegrzecznie.

– Na trzy tygodnie.

– Na trzy tygodnie?! – przeraził się.

– Tak. Muszę trochę podreperować zdrowie, trafiła mi się okazja... Cóż, nie jestem już podlotkiem.

– Czy wobec tego moglibyśmy porozmawiać dzisiaj?

– To zły pomysł. Wyjeżdżam wcześniej rano. Muszę się jeszcze spakować.

– Rozumiem...

– Słyszę, że się zmartwiłeś. Czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego tak bardzo ci zależy?

– Mówiłem już pani. To wszystko dla niej, dla Magdaleny.

– Myślę, że moja matka nie miałaby nic przeciwko temu, żebyś usłyszał resztę historii po moim powrocie – roześmiała się.

– Ona może nie... – mruknął do siebie, ale Juliana była czujna.

– A kto będzie miał? – zapytała, a w jej głosie wyczuł napięcie.

Postanowił zagrać w otwarte karty.

– Pani Juliano, obiecałem dostarczyć w poniedziałek do redakcji materiał na reportaż.

– Jaki reportaż? – zdziwiła się.

– O pani – wyrzucił z siebie jednym tchem. – To miała być niespodzianka.

– Reportaż o mnie? Mój drogi, któż ci na to pozwolił? Decydujesz się na napisanie reportażu bez mojej zgody? I chcesz mi zrobić tym niespodziankę? Czy was tam nie obowiązuje jakaś etyka zawodowa?

– Pani Juliano, myślałem...

– Otóż nie, chłopcze. Ty nie myślałeś.

– To będzie piękny reportaż, naprawdę! – brnął dalej, chociaż zdenerwowany ton głosu Juliany nie wróżył pozytywnego zakończenia tej rozmowy.

– Nie. Mówię: nie – odrzekła stanowczo.

– Stracę pracę – powiedział zrezygnowany.

– I słusznie. To cię czegoś nauczy – powiedziała i rozłączyła się.

Nagle wszystko straciło sens. Adamowi zabrakło celu, do którego dążył tyle czasu. Rozejrzył się po pokoju, który teraz wydał mu się nijaki. W obliczu zaistniałej sytuacji powinien wrócić do Wrocławia. Tutaj nie miał już nic do roboty. Nawet Toffi go odrzuciła. Powinien zadzwonić do redakcji i powiedzieć o wszystkim naczelnemu. Niech zamieści swojego Karolaka.

Nie zadzwonił jednak. Włożył buty i wyszedł z domu. Telefon z premedytacją zostawił na półce. Nie miał teraz ochoty na rozmowy z kimkolwiek. Szedł przed siebie, starając się o niczym nie myśleć. Mijał obojętnie uliczne wystawy i śpieszących się ludzi. Zazdrościł im tego pośpiechu. On nie miał już za czym gonić. Wrócił, kiedy latarnie bladym światłem przecinały zapadający zmrok, a pierwsze krople deszczu spadały na rozgrzane dniem płyty chodnikowe. Telefon dzwonił jak oszalały. Nie śpiesząc się otworzył drzwi i podniósł słuchawkę.

– Adam, potrzebuję cię – usłyszał w niej zrozpaczony głos Toffi. – Mogę przyjechać?

– Oczywiście, Toffi! Kochanie... – mimo że powód spotkania nie brzmiał radośnie, ucieszył się, że jednak zadzwoniła, a więc jest jej potrzebny.

Czarne barwy ustąpiły światła, które nagle ujrzał w tunelu rezygnacji. Zajrzał do puszki z kawą i do lodówki, na wypadek, gdyby Toffi była głodna. Poukładał szpargały na stole, włożył świeżą koszulkę i popryśkał się wodą toaletową. Zerknął na zegarek. Była dziewiętnasta piętnaście. Wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Adam włączył czajnik elektryczny i dziwiąc się, że dziewczyna zjawiała się tak szybko, pobiegł otworzyć. W drzwiach stała pani Joanna, córka Juliany. Była bardzo podekscytowana.

– Proszę się ubierać, szybko! Moja matka przysłała mnie po pana. Prędko, nie mamy czasu. Za dwie godziny muszę być na lotnisku!

Złapał klucze i tak, jak stał, z rozwiązanymi sznurówkami u butów, zbiegł po schodach. Dopiero w samochodzie pomyślał o Toffi. Telefon nadal spoczywał na półce z książkami. Joanna zerknęła na niego z lekkim uśmiechem na twarzy. Musiał przyznać, że była bardzo piękną kobietą.

Juliana czekała na niego w swoim pokoju. Kiedy wszedł, powiedziała tylko:

– Zdecydowałam inaczej. Pojadę wieczorem. Mamy więc przed sobą całą noc. Przygotowałam dzbanek mocnej kawy. Radzę ci z niej skorzystać.

To mówiąc sięgnęła po dwie pękate filiżanki i nalewając do nich czarny, aromatyczny napój, rzekła:

– Moja córka nie chce, żebyś stracił pracę.

A więc to ona wstawiła się za mną – pomyślał.

Juliana zaczęła opowieść przyciszonym głosem. Jej fotel skrzypiał monotonie, a Adam po chwili znalazł się na odległym Podlasiu, by towarzyszyć jej samotnej wędrówce.

Nie wiem, po co tam pojechałam. Od kiedy opuściłam leśną chatę, moim celem powinno być odnalezienie rodziny. Tego życzyłyby sobie moja matka. Odnoszę jednak wrażenie, że jakaś tajemnicza siła odводziła mnie od tego. Po raz kolejny trafiłam do miejsca, którego nie przewidziałam w moich planach. Planach? Nie, ja nigdy niczego nie planowałam.

Te i inne refleksje nachodziły mnie, gdy zagrzebana po uszy w sianie nasłuchiwałam pomruków zbliżającej się burzy. Oddalona od reszty gospodarstw stodoła z dziurawym dachem miała dać mi schronienie przed nadchodzącą ulewą. Przez dziurę po prawej stronie dachu obserwowałam nadciągające ciemne chmury. Otworzyłam walizkę, wyjęłam z niej resztę chleba i wełnianą chustę z frędzlami. Otuliłam nią ramiona i zaczęłam skubać chleb. Nagle błyskawica rozdarła niebo i po chwili usłyszałam przeraźliwy huk. Zerwała się wichura. Drzwi stodoły najpierw otworzyły się na oścież, a potem zatrzasnęły z łoskotem. Zadrżałam z zimna i przerażenia. Drewniana konstrukcja zachwiała się pod naporem wiatru. Skuliłam się i zagrzebałam głębiej w siano. Burza przechodziła bardzo blisko. Bałam się, że piorun uderzy w stodołę i spłone razem z nią. Przez dziurę w dachu wlewały się strugi deszczu. Wszystko to trwało bardzo długo, a przynajmniej tak mi się wydawało. Wreszcie ucichło. Słyszałam jeszcze dochodzące z daleka gniewne pomruki grzmotów. Wygrzebałam się ze swojej nory i po omacku dotarłam do drzwi. Otworzyłam je i odetchnęłam świeżym, rześkim powietrzem. Na dworze było już zupełnie ciemno. Wiatr ucichł. Słychać było dalekie szczekanie psów. Zamknęłam drzwi stodoły i wróciłam na poprzednie miejsce. Mimo zmęczenia trudno mi było zasnąć. Wsłuchiwałam się w każdy niepokojący dźwięk. Wydawało mi się, że ktoś krąży wokół stodoły i za chwilę drzwi staną otworem, a w nich ujrzę coś strasznego. Na szczęście wrażenie kroków sprawiała tylko woda ściekająca z dachu. W końcu zmęczenie ukołysało mnie do snu i uwolniło od koszmarów rodzących się w wyobraźni.

Ranek wstał pogodny. Obudziłam się i przeciągnęłam leniwie. Przez dziurę w dachu wpadały promienie słońca, w świetle których obserwowałam drobinki kurzu wirujące w powietrzu. Nie chciało mi się wygrzebywać z miękkiego gniazdka, mimo że w żołądku poczułam dokuczliwe ssanie. Nagle usłyszałam kobiecy głos. Monotonnie wypowiedane słowa brzmiały jak modlitwa.

– Stoi, stoi, krasula! – zawołała jego właścicielka i zniecka szarpnęła drzwi, przez które do mrocznego wnętrza wpuściła wiązkę światła. Podeszła blisko, ale nie zauważyła mnie, i biorąc naręcz siana, złapała mnie za nogi.

- Boża moi, szto geta?! – krzyknęła z przerażeniem.
- Przepraszam... przepraszam bardzo... – bąkałam gramoląc się niezgrabnie, gdyż stopy zapadały mi się w miękkim podłożu. – Nie chciałam pani przestraszyć. To pani stodoła?
- Maje. A taksama moi siena. A chto ty? – zapytała po białorusku.
- Proszę pani... ja nie wiem, czy pani mnie zrozumie – powiedziałam zmieszana.
- Ty nie Białoruska? – zreflektowała się. – Ja po polsku rozmawiam, a jakże. Między Polakami żyję, to i rozumiem. A stodoła moja i siano moje. A ty? Coś ty za jedna?
- Juliana – odparłam, jakby moje imię miało jej coś wyjaśnić.
- Juliana – powtórzyła. – Nie znam... I skąd ty tutaj, Juliana?
- Przyjechałam wczoraj z Białegostoku i nie miałam gdzie przenocować – wyjaśniłam.
- A do ludzi, do wsi nie mogłaś pójść? – zapytała.
- Mogłam, ale nie wiedziałam, jak mnie przyjmą.
- A jak mieliby przyjąć? Za drzwi nikt by nie wyrzucił. U każdego znalazłoby się jakieś miejsce. A dlaczego tu przyjechałaś? Szukasz kogoś?
- Nie, nie szukam. Kierowca jechał z deskami, więc mnie zabrał.
- Tułasz się? Nie masz swojego domu? – zapytała patrząc na mnie podejrzliwie.
- Nie mam.
- To gdzie byłaś do tej pory? – dociekała.
- Różnie. W Krakowie i w Toruniu, a teraz tu.
- Dziwne to, dziwne... – zafrasowała się. – Chodź ze mną, pomyślimy, co z tobą zrobić, bo spać tutaj nie pozwolę.
- Nie? – jęknęłam rozczarowana i zaczęłam obmacywać siano w poszukiwaniu walizki.
- A nie. Pan Bóg nie wpuściłby mnie do nieba, gdybym pozwoliła dzieciakowi na sianie spać. Chodź, jeszcze ci tu jaka szczypawica wejdzie do ucha albo mysz pod spódnice.
- Wzdrygnęłam się na samą myśl o czymś takim i czym prędzej otrzepałam sukienkę z resztek siana. Potem podniosłam walizkę i ruszyłam za kobietą. Przed stodołą stała łaciata krowa.
- Zaczekaj, przypnę krasulę. – To mówiąc wbiła w trawę pal z łańcuchem, do którego przywiązane było zwierzę.
- Przed domem, koło studni krzątała się młoda kobieta. Miała bose nogi i spódnice zakasaną powyżej kolan. Do miski, gdzie moczyły się ubrania, dolewała wody z wiadra.
- Jadźka! – zawołała ta, która mnie przyprowadziła. – Staszek w domu?
- A gdzie tam! W polu robi – odpowiedziała młoda i obrzuciła mnie zaciekawionym



spojrzeniem. – Letniczka? – zapytała.

– A jaka tam letniczka! W stodole spała, to wzięłam ją do domu. Co miałam zrobić?

– U nas i bez niej mało miejsca – mruknęła młoda, patrząc na mnie niechętnie.

– Nikt cię o zdanie nie pyta – odpowiedziała starsza i skinęła na mnie: – Chodź, dam ci mleka. Pewnie jesteś głodna.

W kuchni siedział przy stole przygarbiony człowiek z maleńkim dzieckiem na kolanach, i zabawiał je szpulką od nici.

– Niachaj baćka zabrać dzicia, gość pryjszoł da nas – zwróciła się do niego gospodyni.

Staruszek odwrócił się i przez dłuższą chwilę patrzył na mnie z zaciekawieniem.

– A chto geta? – zapytał w końcu.

– Juliana – odparła kobieta i tylko tyle zrozumiałam z ich rozmowy, chociaż domyślałam się, że mówią o mnie.

– Dobry. Szkada, szto Staszek już zamyżam – powiedział i roześmiał się głośno.

– Oj, ojciec, ojciec – powiedziała po polsku kobieta i pokiwała głową z politowaniem. – Słyszałaś? – zwróciła się do mnie. – Ojciec żałuje, że Staszek już się ożenił, boś ładniejsza od niej – tu machnęła ręką w kierunku okna wychodzącego na podwórko.

Poczułam się trochę nieswojo. Zrozumiałam, że mam do czynienia z teściową młodej kobiety, chyba nie bardzo z synowej zadowoloną.

– Staszek na śniadanie idzie! – zawołała młoda zaglądając przez kuchenne drzwi.

Po chwili do kuchni wkroczył barczysty mężczyzna, usiadł ciężko na jednym z krzeseł i stękając głośno, zaczął ściągać z nóg długie gumowe buty. Kiedy się z tym uporał, wstał, wytarł ręce o spodnie i wyciągnął do mnie dłoń.

– Znamy się? Dzień dobry – powiedział wesoło, po czym uściśnął mi rękę tak mocno, że prawie syknęłam z bólu.

– To Juliana. Znalazłam ją w stodole – wyjaśniła kobieta.

– Matka musi częściej do tej stodoły zaglądać, skoro takie piękne panny znajduje – roześmiał się i mrugnął do mnie szelmowsko.

– Teraz to i tak za późno – mruknęła, a widząc w progu synową, zamilkła i zaczęła pośpiesznie wyjmować talerze z kredensu. Żona Staszka widocznie słyszała całą rozmowę, bo poczerwieniała na twarzy.

Zrobiło mi się przykro. Szczerze współczułam tej młodej kobiecie.

Nagle dziecko na kolanach pradziadka zaczęło marudzić. Stałam najbliżej, więc zapytałam wyciągając po nie ręce:

– Mogę je wziąć?

– Nie ruszaj, nie twoje – warknęła młoda, chwyciła dziecko i wybiegła z kuchni.

– Ot, zazdrość – burknęła jej teściowa i łypnęła okiem na Staszka.

Ten jakby niczego nie zauważył, uśmiechnął się do mnie i zapytał:

– To dokąd tak wędrujesz, co?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc tylko wzruszyłam ramionami.

– A skąd ona ma wiedzieć, jak domu nie ma? – odezwała się jego matka. – Ktoś musi ją przygarnąć, bo dokąd pójdzie?

– Może Kaziuki? – zastanawiał się Staszek drapiąc się po głowie. – Córka wyjechała do miasta i dom stoi prawie pusty.

– Kaziuk stary pijany – odezwał się starszy pan. Widocznie dobrze rozumiał, o czym mówimy.

– Pijak, pijak – obruszył się Staszek. – A dziadek to nie lubi sobie czasem pociągnąć?

– Mnie padabajecca geta czy nie, geta nie apianiaje, jak on sam.

– Ojciec niech mówi po polsku – oburzyła się gospodyni. – Przecież umie. A przy gościu, który nie rozumie po białorusku, to nawet nie wypada.

– Dziadek patriota – roześmiał się Staszek.

– A żebyś wiedział, że patriota. Bo wy, młodzi, to niedługo całkiem naszego języka zapomnicie – naburmuszył się dziadek i więcej się nie odezwał.

– A może do Romańczukowej pójść zapytać? Co? Jak myślisz? – zastanawiała się kobieta, zwracając się do syna.

– E, tam. Romańczukowa to szeptucha. Swojej roboty ma dość. Po co jeszcze jej głowę dziewczyną zawracać? – powiedział krzywiąc się Staszek.

– Ale może coś powie?

– Co tam ona powie? Może matkę z reumatyzmu albo lęków wyleczyć, ale dobrej rady matce nie da – odpowiedział Staszek i zawiesił na mnie zasępiony wzrok.

– Bardzo państwa przepraszam, że sprawiłam tyle kłopotu – powiedziałam. – Proszę się mną nie martwić, jakoś sobie poradzę.

– Jak to nie martwić? – obruszył się Staszek. – A w czyjej stodole siedziałas? W naszej. To i nasze zmartwienie.

– Ja to bym ją do babki Oleny odesłał – odezwał się w końcu wciąż nadąsany dziadek. – Babka sama mieszka, będzie miała towarzystwo i pomoc, chyba że dziewczucha leniwa. To jak? – zwrócił się do mnie. – Umiesz ty coś zrobić?

– Umieć – odpowiedziałam zaskoczona takim bezpośrednim pytaniem. – Oczywiście, że umiem.

– Teraz to nie jest takie oczywiste. Wojna była, dzieciaki nie miały się kiedy roboty uczyć. Ale jak umiesz, to dobrze. Babce się przydasz – skwitował.

– Może to i dobry pomysł – zastanawiał się Staszek. – Po śniadaniu zaprowadzę cię tam – zaproponował i ochoczo zabrał się do jedzenia.

Domek babki Oleny był nieduży, złożony z kuchni, dwóch pokojów i strychu. Prowizoryczna łazienka wygospodarowana została z komórki znajdującej się przy schodach wiodących na górę. Stały tam miednice i dzban na wodę, którą trzeba było

nosić ze studni. Kuchnia była chyba największym pomieszczeniem. Prócz kafłowej kuchenki z fajerkami, w której paliło się drewnem, stał tu duży dębowy stół i sześć krzeseł. Niebawem miałam się przekonać, że wcale nie było ich za dużo, bowiem życie towarzyskie babki Oleny było bardzo urozmaicone. W kącie po lewej stronie rozpierał się wielki kredens, w którym gospodyni przechowywała garnki, talerze i niezliczoną ilość fajansowych kubków. Pod małym okienkiem wychodzącym na podwórko stała długa ława z solidnego drewna. Pokoje były podobne do siebie, różniły się tylko kolorem ścian i chodników leżących na podłodze. Babka Olena nie przywiązywała do nich wagi, ponieważ, jak się okazało, całe dni spędzała w kuchni. Tam też przyjmowała liczne sąsiadki, które chętnie wpadały na pogawędki. I właśnie tutaj opowiadałam babce swoje dzieje.

– Ot, bieda – westchnęła wysłuchawszy mojej historii. – To wszystko przez wojnę. Ona tak ludzi skrzywdziła. Nie oszczędziła nikogo. Mojego brata też zabrała. I sama zostałam, bo innej rodziny u mnie nie było.

– Mój tatuś żyje – powiedziałam z przekonaniem – ale gdzieś zaginął. Poszedł i już nigdy nie wrócił.

Babka Olena spojrzała jakoś dziwnie i zmieniła temat.

– Tutaj powietrze zdrowe i miejsca dużo. Dla nas dwóch wystarczy. Bo ja tak pomyślałam, że jak ty do mnie trafiłaś, to obie razem musimy żyć panu Bogu na pociechę. Nie darmo on ludzi do siebie zbliża. Widać jakiś zamysł miał, skoro ciebie tu przywiódł. Może po to, żebym dom miała komu zostawić? Patrz! Porządny dom, zbudowany z dobrego drewna. Ho, ho! On już niejedną wichurę i niejedną burzę przetrzymał. A ja rodziny żadnej nie mam. Ciężko byłoby umierać nie wiedząc, w czyje ręce pójdzie. Jeśli będziesz mi pomagać, bo czasem sił mi nie starcza, albo jaka choroba się przyplącze, to już ja ciebie wynagrodzę. Człowiek coraz starszy i opieki będzie potrzebował. Dużo roboty nie będzie, nie mam gospodarstwa. Oddałam je na skarb państwa, bo już ciężko było mi gospodarzyć. Za to co miesiąc dostaję rentę. Niewielka jest, ale ogródek mam przy domu, parę kurek, sad... Czasem mięso kupuję od sąsiadów, jak mają świniobicie, a chleb sama piekę. Powiem ci, że teraz lepiej na wsi mieszkać niż w mieście. Tam w sklepie mało co kupisz. I drogo. A tu wioska mała, dobrzy sąsiedzi, nie dadzą umrzeć z głodu. Pomagamy sobie, jak możemy. U mnie w sadzie rosną najlepsze jabłka. I gruszki takie soczyste, że sok aż po brodzie cieknie. Ludzie przychodzą po owoce i zawsze coś w zamian przyniosą. A to kielbasy, to kaszanki, różnie... Z Bożą pomocą poradzimy sobie – zakończyła i uśmiechnęła się do mnie.

Patrzyłam na jej posiwiałe włosy, szczerą twarz i dobrotliwe oczy. Poczulałam się przy niej spokojnie i bezpiecznie.

Nie przypuszczałam jednak, że pobyt w domku z zielonymi okiennicami będzie aż tak pełen wrażeń. Babka Olena była osobą bardzo towarzyską i każdego dnia ktoś do niej

zaglądał. Sąsiadki odwiedzały ją gromadnie, wpadały znienacka umorusane dzieci, a i mężczyźni wstępowali na szklaneczkę kwasu chlebowego. Babka Olena śpiewała w ludowym zespole pieśni i tańca z pobliskiego miasteczka i angażowała się do wszystkich okolicznych wydarzeń. Była bardzo aktywna i dzięki temu w szybkim tempie poznałam niemal całą wieś. Nie przychodziła tylko stara Romańczukowa mieszkająca z synem na skraju wioski. Wszyscy jednak wiedzieli, że ona, jako szeptucha, stworzona jest do wyższych celów i nie ma czasu na spotkania towarzyskie.

– Kim jest szeptucha? – zainteresowałam się pewnego dnia, przy okazji przebierania cebuli na ławeczce pod domem. Mówiąc to poczułam przebiegający mi po plecach zimny dreszcz i aż się wzdrygnęłam, co nie uszło uwadze babki Oleny.

– Nie bój się – roześmiała się. – Szeptuchy nie są straszne, one dobrze czynią. Uzdrawiają chorych modlitwą. Jeżeli chory wierzy w ich moc, na pewno wyzdrowieje. Sporo ich na tych terenach. Stare szeptuchy przed śmiercią przekazują swoją wiedzę młodszym, najczęściej swoim córkom. A nasza Romańczukowa nie ma córki i bardzo ją to martwi. Ona ma takie ręce, co czują chorobę przez skórę. Zawsze dobrze wie, gdzie co komu doskwiera. Modli się tak, jak one wszystkie, i tym szeptaniem pomaga, ale dodatkowo swoje ręce kładzie na chorym, oczy zamyka i tymi rękami po całym jego ciele wodzi. Jak ją palce mrowią, znaczy w tym miejscu coś nie jest w porządku. Czasami do Romańczukowej kolejka ustawia się już od rana. Ludzie jej wierzą, ponieważ jest uczciwa. Jak ktoś jest umierający albo musi iść na operację, ona mu to mówi bez ogródek. Taki człowiek, który nad grobem stoi, wraca od niej do domu i porządkuje wszystkie swoje sprawy. Dotąd jeszcze nigdy się nie pomyliła, dlatego też wszyscy trochę się jej boją. Raz zaczęła starego Wasylczuka i mówi: „A ty już dom na synów swojego brata przepisałeś?” Bo muszę ci powiedzieć, że Wasylczuk swoich dzieci nie miał, tylko drugą żonę, którą wziął z przychówkiem. Strasznie niedobra była dla niego. „Nie – mówi Wasylczuk – czas jeszcze”. A ona mu na to: „Zrób to w tym tygodniu”. Stary w sobotę umarł, ale nie posłuchał szeptuchy i domu nie przepisał. No i synom brata figa z makiem się dostała. Wszystko żona i jej dzieci wzięły. O! Taka jest nasza Romańczukowa – zakończyła babka Olena. – Ale co ja ci tutaj takie rzeczy opowiadam – dodała po chwili. – W niedzielę dożynki, zaraz kobiety przyjdą pleść wianki. Trzeba chleba nakroić i dobrze słoniną obłożyć, bo będą plotkować, że babka Olena chytra.

Wrzuciłam resztę cebuli do kosza i udałam się za babką Oleną do kuchni. Kroiliśmy chleb i słoninę, a ja nie mogłam przestać myśleć o Romańczukowej, która miała taką tajemniczą moc.

Tego wieczoru w kuchni babki Oleny było bardzo wesoło. Przybyło tyle kobiet, że zabrakło miejsca nie tylko na krzesłach, ale nawet na ławie pod oknem. Babka Olena poprosiła mnie, bym zniosła ze strychu stołki, które wyniosła tam kiedyś, żeby nie przeszkadzały w kuchni. Wzięłam lampę naftową i ruszyłam po stromych schodkach.



Drzwi były niskie. Przechodząc przez nie musiałam schylić głowę. Podniosłam do góry lampę i aż wstrzymałam oddech. Trzeba przyznać, że jak na strych panował tu porządek. Pod ścianami wyłożonymi ciemnym drewnem ustawione były sprzęty, które babka Olena uznała za nieprzydatne w domu. Ja natomiast patrzyłam z zachwytem na skrzynię okutą żelaznymi pasami, stare lustro w drewnianej, prostej ramie, zakurzony stolik z półką pod blatem czy krzesło z wyciętym w oparciu serduszkciem. Nie miałam czasu przyglądać się temu, co było ukryte pod pasiastymi narzutami. Zauważyłam tylko drzwi prowadzące do jakiegoś pomieszczenia. Kiedy je uchyliłam, moim oczom ukazał się mały skośny pokój z zaokrąglonym u góry okienkiem. Było tak zakurzone, że trudno było dostrzec przez nie wielki, panoszący się na niebie księżyc. Zamknęłam drzwi, wzięłam jeden ze stołków i zeszłam na dół, by po chwili wrócić po następny. Pomyślałam, że poproszę babkę Olenę o ten mały pokój na strychu.

Kobiety plotły dożynkowe wianki z kłosów zbóż i kwiatów, które nigdy nie więdły. Mówiły o nich: nieśmiertelniki. Całą podłogę pokrywały dary lata – orzechy, jarzębina, owoce – i kolorowe wstążki. Za trzy dni mieliśmy czcić i podziwiać tegoroczne plony na dożynkach. Wszystkie kobiety bardzo się starały, bo miały je prezentować na własnych głowach podczas śpiewania.

– Uwij i ty wianuszek – zachęcała mnie babka Olena, ale ja wolałam tylko się przyglądać i przysłuchiwać pięknym ludowym pieśniom, które intonowały. W przerwach kobiety obficie raczyły się chlebem z wędzoną słoniną. Śmiały się przy tym, plotkowały i dowcipkowały, aż najstarsza z nich, Zofia Antałuk, powiedziała:

– Dawniej nie tak dożynki wyglądały.

Wszystkie zamilkły, a ja zastrzygłam uszami.

– Ty młodziutka jeszcze jesteś, to nie wiesz, ale dożynki mają dawną, słowiańską tradycję. I przed wojną hołd składano plonom i naturze.

– A teraz komu? – zapytałam i przysunęłam się bliżej pani Zofii, żeby nie uronić ani jednego słowa. Nigdy przecież nie uczestniczyłam w takim święcie.

– A teraz to szkoda gadać, ale do tych dawnych nie ma co porównywać – ucięła i rozejrzała się po zebranych kobietach, które dotąd rozgadane, nagle oczy wbiły w swoje wianki i w skupieniu wplatały w nie kolorowe wstążki.

– Antałukowa niech dzieciakowi w głowie nie mąci – odezwała się w końcu Jasiukowa, potężna kobieta, której sapanie po każdym postawionym kroku słyszało pół wsi.

– A niech wie – odparła Zofia Antałuk. Złapała się pod boki i obdarzyła Jasiukową wyzywającym spojrzeniem. Potem nachyliła się do mnie i oznajmiła: – Teraz hołd składamy władzy wszechmogącej. I Związkowi Radzieckiemu.

– Cicho! – zamachała rękami chuda kobieta siedząca w kącie i obejrzała się trwożliwie na drzwi. – Jeszcze kto usłyszy!

– Niech sobie słyszy – wzruszyła ramionami Zofia Antałuk. – Stalin zdechł. Teraz

nikogo się nie boję. Mogę mówić, co chcę! Kiedyś – zwróciła się do mnie – jeden wieniec się plotło, taki duży. W kształcie korony albo koła. Wszystko tam było: owoce, orzechy, kwiaty, zboże, a czasem i żywego kogucika ktoś posadził. Niosła go zwykle najlepsza żniwiarka we wsi. Czasem wieniec był taki wielki, że żniwiarze musieli jej pomagać. Za tą żniwiarką szedł cały orszak. Wszyscy odświętnie ubrani i bardzo uroczyści. Żniwiarze nieśli kosy i sierpy przybrane kwiatami. Ludzie naprawdę byli wdzięczni Bogu za wszystkie dary ziemi, ale też i za deszcz, kiedy zboże rosło, i za słońce, gdy były żniwa. Taki wieniec niosło się do kościoła, żeby ksiądz poświęcił. Świecił też chleb upieczony z tego świeżego zboża. A potem nieśliśmy wieniec do najważniejszego gospodarza. On przechowywał go w swojej stodole, ale i tak wszyscy wiedzieli, że jest wspólny, naszymi rękami wypracowany i skropiony naszym potem. W tej stodole leżał do następnego zasiewu, a ziarno, co się z niego wytrzęsło, przeznaczano na nowy zasiew. Piękny to był zwyczaj. Ja też raz byłam najlepszą żniwiarką i niosłam wieniec. Najpierw szło się do przepiórki. Przepiórka to nie ptaszek, jak myślisz, tylko taki jeszcze nie zżęty pas zboża na pustym polu. Z niego właśnie pleciono wieniec. Potem była biesiada. Tyle było rozmaitego jadła, że stoły się uginały. Wszyscy tańczyli, śpiewali i prosili Boga o następny plon, żeby nie był gorszy niż obecny. A teraz? Teraz sama zobaczysz! – zakończyła ze złością i zamilkła.

W niedzielę od rana babka Olena szykowała się do święta plonów. Regionalny strój, złożony z pasiastej spódnicy, fartucha i białej bluzki z koronką, obejrzała dokładnie, żeby sprawdzić, czy aby nie napoczęły go mole. Oczyszczyła czarne buciki, a z puszek po landrynkach wydobyła czerwone korale. Na jej polecenie ja również ubrałam się odświętnie i ruszyliśmy do miasteczka. Na miejscu, do którego przybyliśmy, czekał przygotowany długi stół przykryty zielonym suknem. Za stołem ustawiono kilka krzeseł.

– To dla władzy – mruknęła babka Olena widząc, że przyglądam się z ciekawością. – Przyjadą z Białegostoku. Teraz to nie jest ludowe święto, tylko polityczne.

Punktualnie o godzinie dziesiątej miejsca za stołem zajęli przedstawiciele władz. Chór, do którego należała babka Olena, ustawiał się już na drewnianym podeście. Zagrały skrzypce i po chwili na rozległe łąki i pola popłynął śpiew miejscowych chórzystek, w malowniczych wiankach na głowach. Wysłuchawszy pieśni, partyjni aktywiści wygłosili przemówienia o wyraźnie propagandowym charakterze. Mówili o sojuszu robotniczo-chłopskim i domagali się poparcia dla obecnej władzy oraz polityki rolnej. Po tych przydługich przemowach wystąpiła lokalna delegacja, która w imieniu wszystkich rolników podziękowała za wsparcie w postaci dostarczenia wystarczającej ilości sznurka do kombajnów oraz za fundusze na pogłębienie rowów melioracyjnych. Chleb do ucałowania podał sołtys, jako pośrednik między mieszkańcami wsi a gromadzką radą narodową. Kiedy część oficjalną mieliśmy za sobą i powinien rozpocząć się festyn, nadciągnęła czarna burzowa chmura, na widok której większość uczestników rozpierzchła się do domów. Wszyscy z naszej wsi

ulokowali się na furmankach gospodarzy i tylko dzięki temu zdążyliśmy uciec przed ulewą.

– Teraz już wiesz, o czym mówiła Antałukowa – powiedziała z przekąsem babka Olena odwieszając do szafy ludowy strój.

Burza, jaka rozpętała się tego dnia, nie miała sobie równych. Drżałam wraz z drewnianą konstrukcją domu babki Oleny wyobrażając sobie, że dobry Bóg gniewa się, iż to nie Jemu, a komunistycznej władzy ludzie dziękują za dary.



## 2

Dokładnie o godzinie dwudziestej drugiej na dole odezwał się dzwonek domofonu. Juliana przerwała opowiadanie i spojrzała na Adama.

– Gość o tej porze? – zdziwiła się. – Kto to może być?

Adam nie odezwał się. Nie znał przecież znajomych Juliany ani ich zwyczajów.

– Prócz nas nikogo nie ma w domu – stwierdziła Juliana. – Joanna pojechała po kogoś na lotnisko, a Kasia skończyła już pracę.

Dźwięk domofonu powtórzył się.

– Czy mam otworzyć drzwi? – zapytał Adam i podniósł się z miejsca.

– Gdybyś był tak uprzejmy... – powiedziała Juliana z przeproszającym uśmiechem.

– Oczywiście. Już idę – zgodził się natychmiast i szybko zbiegł po schodach.

Za parkanem stała Toffi z czerwoną parasolką w ręku.

– Tak myślałam – syknęła ze złością, zanim zdążył otworzyć furtkę. – Dzwonię do ciebie, mówię, że cię potrzebuję, zapraszasz mnie do domu, a potem w najlepsze wychodzisz na herbatkę do Juliany! Jesteś stuknięty czy co?!

– Toffi, uspokój się. Pozwól mi wytłumaczyć... – zaczął, ale przerwała mu w pół zdania.

– Wytłumaczyć? Tego nie można wytłumaczyć! – zawołała podniesionym głosem. – Niech cię diabli! Nie chcę cię znać! – krzyknęła, odwróciła się na pięcie i zniknęła za żywopłotem.

– Toffi! – zawołał jeszcze, szarpiąc się z zamkiem od furtki.

– Odczep się! Kretyn! – odkrzyknęła i przyśpieszyła kroku, o czym świadczył szybki stukot obcasów po chodniku.

– Cholera – mruknął do siebie Adam.

Postał chwilę na deszczu, w nadziei, że Toffi wróci, a potem powłókł się na górę. Stracił ochotę na słuchanie wspomnień Juliany i gdyby nie obawa o utratę pracy, przeprosiłby ją i poszedłby do domu. Może nawet pojechałby do Toffi.



– Kto to był? – zapytała zaciekawiona Juliana.  
– Toffi – odpowiedział.  
– Nie wpuściłeś jej? – zdziwiła się.  
– Nie chciała wejść – odparł. – Mogę jeszcze kawy? – zapytał, żeby zmienić temat.  
– Tak, oczywiście! – powiedziała patrząc na niego badawczo. – Nie chcesz o niej porozmawiać? – zapytała.  
– Nie – odparł krótko.  
– W takim razie... Na czym to ja skończyłam? – zastanowiła się i spojrzała pytająco na Adama. On jednak był myślami gdzie indziej. – Aha, już wiem. Na dożynkach. Chcesz słuchać dalej? – zapytała niepewnie.

Adam skinął twierdząco głową, upił łyk kawy i rozparł się wygodniej na sofie. Starął się słuchać uważnie, odsuwając od siebie natrętnie powracający obraz Toffi.

Kilka dni po dożynkach poprosiłam babkę Olenę o udostępnienie mi pokoiku na strychu. Uśmiechnęła się tak jakoś rzewnie i pokiwała głową, zanim powiedziała:

– Mój brat, Antoś, tam mieszkał. Jeszcze jak rodzice żyli. Jego myśli biegły zawsze daleko. A ty jesteś taka sama jak on.

Sprzęty stojące na strychu, jak się okazało, należały do poprzednich właścicieli domu. Nigdy ich nie odebrali i babka Olena pozwoliła mi wybrać te, które chciałabym mieć w pokoju. Pouczyła mnie też, jak należy palić w żelaznym piecyku, zamontowanym tam niegdyś przez jej brata. Wypucowałam małe okienko w drewnianych ramach, wyszorowałam podłogę z desek, omiotłam ściany z kurzu i pajęczyn. Potem poustawiałam meble z ciemnego, napoczętego przez korniki drewna. Musiałam poprosić o pomoc babkę Olenę, bo niektóre były naprawdę ciężkie. Przesunęłyśmy przez drzwi wąskie łóżko, komódkę, lustro w starej drewnianej ramie, mały stolik i krzesło z serduszkami. W kącie strychu znalazłam nakryty pasiastą narzutą nieduży regalik, który idealnie nadawał się na książki. Żałowałam tylko, że prócz szkolnych podręczników nie posiadam ani jednej. Poukładałam swoje nieliczne rzeczy i aż przysiadłam na łóżku, patrząc w zachwycie na swoje dzieło.

– No, teraz na dole będziesz pewnie rzadkim gościem – powiedziała ze śmiechem babka Olena i zeszła po schodkach smażyć bliny.

Ja natomiast postanowiłam pobuszować jeszcze po strychu. W stojącej obok schodów skrzynce zbitą z desek odkryłam wyszczerbione kubki i talerze. Obok w starej skórzanej teczce były dawne listy i pocztówki przewiązane zieloną wstążeczką. A pod ścianą, na wprost schodów stał oparty o nią jakiś pakunek zawinięty w płótno. Kiedy go odwinęłam, moim oczom ukazał się portret starego człowieka. Namalowana twarz wyglądała jak prawdziwa. I te oczy... Były przerażające. Patrzyły z portretu, jakby ich właściciel chciał coś powiedzieć. Zawinęłam pośpiesznie obraz i odstawiłam go z powrotem pod ścianę. Czułam się nieswojo i wolałam resztę

wieczoru spędzić z babką Oleną w kuchni. Na stole złociły się grube, apetyczne bliny.

– O, przyszłaś! – ucieszyła się. – Skosztuj białoruskich blinów. Na pewno takich nie jadłaś – zachęcała, nakładając gęstą śmietanę do miseczki. – A czegoś masz taką minę, jakbyś diabła zobaczyła? – zainteresowała się.

– Znalazłam na strychu obraz. Portret. Czyj on? – zapytałam.

– Nie wiem... – odparła babka Olena i dyskretnie przeżegnała się kilka razy. – Historia tego malowidła jest dziwna. Lepiej zostaw go w spokoju.

– Proszę mi opowiedzieć – poprosiłam trochę wbrew sobie, bo tak naprawdę wolałabym nie wiedzieć o jego istnieniu. Odkąd go ujrzałam, czułam czyjąś obecność na strychu.

– Ach – machnęła ręką i na wszelki wypadek znowu się przeżegnała – to było jeszcze przed wojną – zaczęła, nalewając do kubków zsiadłego mleka. Ale pamiętam, jakby było wczoraj. Siedzieliśmy tu całą rodziną: ja, brat i ojciec. Matka jeszcze krzątała się przy kuchni i myła garnki. Był późny zimowy wieczór, a my z ojcem jeszcze rozmawialiśmy o tym i owym. Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Ojciec otworzył i wpuścił do środka starego człowieka. Pożal się, Boże, jak on wyglądał! Widać było po nim, że idzie z daleka i ledwo trzyma się na nogach. Usiadł na ławie pod oknem i ciężko oddychał. Patrzyliśmy wszyscy na niego i baliśmy się odezwać. „Pozwólcie odpocząć” – powiedział w końcu. Matka chciała go czymś poczęstować, ale odmówił. Posiedział, pogapił się po ścianach, aż zasnął na tej ławce. Ojciec podszedł do niego, potrząsnął go za ramię i powiedział żeby się położył. Ja przyniosłam nawet poduszkę, ale on się nie obudził. Wyszliśmy z kuchni. Matka zajrzała tam po godzinie, może po dwóch... Chciała zobaczyć, czy czegoś mu nie trzeba, a ława pusta. Po człowieku ani śladu. Nikt nie słyszał, kiedy wyszedł. Zniknął nagle, jakby rozpułynał się w powietrzu. Tylko ten obraz został. A na nim twarz kropka w kropkę podobna do tego wędrowca. Ani starsza, ani młodsza. Taka sama. Przez kilka dni gadaliśmy jeszcze o nim, a potem każdy zapomniał. Tylko moja matka tak się przestraszyła, że zniosła obraz do cerkwi, żeby się pomodlić. Ale co zapaliła świeczkę, to ona gasła. Nagle taki chłód na plecach poczuła, że... Co? Czego tak się trzęsiesz, jak osika na wietrze? Na szczęście stary ze strychu tutaj nie przychodzi. Może mu modlitwy matki pomogły, bo ten, co tu wtedy był zimą, to chyba dusza pokutująca. Duch, znaczy się.

Babka Olena zamilkła w zamyśleniu i w tym samym momencie rozległo się głośne pukanie. Spojrzałyśmy po sobie, po czym babka Olena przeniosła wzrok na zegar spokojnie tykający na ścianie i przezornie znowu się przeżegnała.

– A kogo to niesie o tej porze? – zdziwiła się i ruszyła do drzwi.

Moja wyobraźnia natychmiast podsunęła mi starca z twarzą z portretu, toteż zaskoczył mnie głos młodego chłopaka.

– Z daleka bliny poczułem! – usłyszałam, a po chwili w drzwiach pojawił się Janek, syn Romańczukowej. Nie znałam go osobiście, ale widywałam go we wsi. Ładny był

z niego chłopak. Wysoki, opalony, pierwszy wąż mu się sypał.

– Stało się coś, że tak po ciemku chodzisz? – dopytywała się babka Olena, ale oczy jej się śmiały. Chyba lubiła Janka.

– Nic się nie stało – odparł. – Matka pyta, czy można kilka jajek pożyczyć, bo nasze kury kuna wydusiła, a młode jeszcze się nie niosą.

– Pewnie, że można. Ile dać? Dziesięć? – Zapytała babka Olena sięgając do koszyka z jajkami.

– Może być dziesięć. A jak jest więcej, to więcej – powiedział Janek zerkając co jakiś czas na mnie.

– To aż tutaj z końca wsi przyszedłeś? Nikt bliżej nie miał jajek? – dziwiła się babka Olena.

– Nie wiem, nie pytałem – odpowiedział i znowu spojrzał na mnie. – A ty... – zaczął, ale się tylko zaczerwienił i nie dodał więcej ani słowa.

– Możesz mówić do mnie Juliana – powiedziałam i uśmiechnęłam się, żeby dodać mu odwagi.

– No właśnie, Juliana... Dlaczego ty nie chodzisz do szkoły?

Babka Olena, która sięgała akurat do kredensu, odwróciła się i popatrzyła uważnie najpierw na Janka, a potem na mnie.

– Do szkoły? – wymamrotała. – Tak, ty powinnaś chodzić do szkoły...

\*\*\*

Zapisałam się do liceum w Michałowie i dojeżdżałam tam codziennie wysłużonym rowerem, który babka Olena wydobyła z szopy. Janek towarzyszył mi w tych wycieczkach, jeżdżąc do szkoły zawodowej, w której kształcił się na mechanika ciągników. Piętnaście kilometrów pokonywaliśmy w czterdzieści pięć minut. Rozstawaliśmy się przed moją szkołą, umawiając się na wspólny powrót. W grudniu spadł śnieg i rowery powędrowały z powrotem do szopy. Zaczęliśmy jeździć niebieskim rozklekotanym autobusem, ale w lutym zapanował taki mróz, że darmo wypatrywaliśmy go na przystanku. Raz spróbowaliśmy dotrzeć do szkoły pieszo, ale zawróciliśmy już po pierwszym kilometrze. Trzeba było zostać w domu i przeczekać najsroźsze dni zimy. Spędzałam ten czas z babką Oleną lub czytałam wypożyczone w szkolnej bibliotece książki. W swoim pokoju na górze, zwinięta w kłębek pod wełnianym kocem, zaczytywałam się w Reymoncie i Sienkiewiczu. Żelazny piecyk rozpalałam do czerwoności. Staralam się nie myśleć o lokatorze z portretu, który mijałam zawsze na palcach, wstrzymując oddech. Wolałam nie zbudzić jego energii. Marzec przyniósł wreszcie upragniony powiew wiosny i często w towarzystwie Janka spacerowałam po polach lub przedzierałam się przez zarośla i zagajniki w poszukiwaniu jej pierwszych, nieśmiałych oznak.

Tej samej wiosny Bolesław Bierut został powołany na stanowisko Pierwszego Sekretarza KC PZPR. Z tej okazji mieliśmy w szkole wielką uroczystość. W szkole Janka odbył się tylko apel, ja natomiast musiałam zostać po lekcjach na akademii przygotowanej przez uczniów i nauczycieli. Janek jak zwykle czekał tego dnia pod moją szkołą.

– Nie mogę dzisiaj wrócić z tobą – powiedziałam wyglądając przez uchylone drzwi.  
– Mamy akademię na cześć Bieruta.

– Daj spokój, nikt nie zauważy, że nie ma jednej uczennicy – powiedział i mrugnął do mnie okiem.

– Muszę zostać. Mówię wiersz – upierałam się.

– Jaki wiersz? O Bierucie? – skrzywił się Janek i przewrócił oczami na znak zniecierpliwienia.

– Tak, posłuchaj: „Przez miasto i wieś, niech się niesie nasza pieśń...” – zaczęłam, a Janek wznosił oczy do nieba. Mimo to kontynuowałam: „niech radośnie rozbrzmiewa jej nuta, niech prowadzi nasz lud do zwycięstwa poprzez trud, pieśń na cześć towarzysza Bieruta” – wyrecytowałam szybko i obejrzałam się, ponieważ ktoś pociągnął mnie za warkocz.

– Chodź już. Wszyscy się zbierają w auli – szepnęła koleżanka z klasy, jednocześnie obrzucając Janka zaciekawionym spojrzeniem.

– Idę już, idę – odpowiedziałam i rzuciłam Jankowi spojrzenie pełne rezygnacji.

– Jedno zdanie to nie wiersz – burknął. – Mówię ci, nikt nie zauważy, chodź – kuśił.

Zerknęłam ponownie na opustoszały już korytarz i rzuciłam z determinacją:

– Dobrze, poczekaj tu. Tylko wezmę płaszcz.

Chyłkiem udałam się do szatni i z płaszczem w ręku, jak mi się zdawało, nie zauważona przez nikogo wymknęłam się z budynku. Czułam się jak złodziej.

W drodze do domu nie mogłam uwolnić się od myśli o tym, co zrobiłam. Janek usiłował mnie jakoś rozbawić i robił wszystko, żebym przestała się martwić szkolną akademią.

– Uważam, że za bardzo się przejmujesz – stwierdził w końcu.

– A jeśli wyrzucą mnie ze szkoły? Co sobie pomyśli babka Olena?

– Phi, wielkie mi co! – prychnął, rozejrzał się wokół i dodał szeptem – Bieruta też wyrzucili ze szkoły.

– Co ty mówisz? – spojrzałam z niedowierzaniem i aż zatrzymałam rower. – To jakieś bzdury – dodałam kiwając z politowaniem głową.

– Wcale nie bzdury. Miał siedemnaście lat, kiedy wyleciał – obruszył się Janek.

– Ciekawe za co... – mruknęłam z powątpiewaniem.

– Podobno za strajk. Wystąpił przeciwko nauce języka rosyjskiego w szkole. Ale chłopaki u nas mówią, że za agitację rewolucyjną.

– Pierwszy raz o tym słyszę – odezwałam się po chwili milczenia.

– O wielu rzeczach jeszcze nie słyszałaś. Może kiedyś ci powiem, co opowiadają ludzie, którzy przychodzą do mojej matki. A niektórzy z daleka przyjeżdżają. Nawet z samej Warszawy.

– Zwykle plotki i tyle. Nie zajmuję się plotkami – odparłam.

– Może i plotki, a może nie... Na przykład nie wiadomo, czy ten Bierut to prawdziwy Bierut...

– Przestań! – obejrzałam się za siebie, ale w zasięgu mojego wzroku nikogo nie było. – W końcu cię zamkną, zobaczysz – ostrzegłam.

– Nie zamkną – odparł ze śmiechem Janek. Nie odpowiedziałam i dalej jechaliśmy już w milczeniu.

Do wieczora nie opuszczało mnie uczucie niepokoju. Następnego dnia był czwartek i wymówiłam się od szkoły dolegliwościami. Babka Olena zaniepokoiła się tak bardzo, że chciała mnie zaprowadzić do Romańczukowej. W szkole pojawiłam się dopiero w poniedziałek. Z duszą na ramieniu otwierałam drzwi klasy.

– Dlaczego nie byłaś na akademii? – zapytała mnie Mania, koleżanka z klasy. – Będiesz miała za swoje, zobaczysz. – Spojrzałam na nią z lękiem, ale pozostawiłam jej uwagę bez komentarza.

Pierwsza lekcja minęła spokojnie. Dopiero na drugiej historyk, widząc mnie, wyciągnął długi palec w moim kierunku:

– O, jesteś, Dors! Dyrektor od czwartku na ciebie czeka – oznajmił ze źle skrywaną satysfakcją.

– Mam pójść do niego teraz? – zapytałam podnosząc się z miejsca.

– Teraz, teraz, i to szybko! – Machnął ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy i przeszedł do tematu lekcji.

Wyszłam z klasy, oparłam się plecami o drzwi i stałam tak, zastanawiając się, czy nie lepiej opuścić szkołę i wrócić do bezpiecznej przystani, jaką był dom babki Oleny. Tak zastała mnie woźna, roznosząca kredę.

– Julianka za drzwiami? – zdziwiła się. – Julianka lekcji się nie nauczyła?

– Nauczyłam się, tylko że...

– A, to pewnie Julianka rozmawiała na lekcji – pogroziła mi palcem.

– Nie, nie rozmawiałam... Muszę iść do dyrektora.

– Lepiej nie teraz. Dyrektor zajęty. Ktoś tam u niego siedzi – szepnęła tajemniczo i wchodząc do klasy wepchnęła mnie przed sobą. Zostawiła kredę i czym prędzej opuściła klasę.

– Załatwione? No to siadaj – powiedział historyk i powrócił do przerwane go tematu. Przez dwie kolejne lekcje nic się nie działo. Dopiero na ostatniej, gdy już myślałam, że ominą mnie nieprzyjemności, drzwi otworzyły się z impetem, po czym ukazała się w nich czerwona ze złości twarz nauczyciela historii.

– Dors! Natychmiast do dyrektora! – krzyknął.

Serce podchodziło mi do gardła, gdy szłam przez korytarz na trzęsących się ze strachu nogach. Za mną podążał historyk, sapiąc i prychnąc, jak rozsierdzony koń. Dyrektor siedział za biurkiem i wyrażał zniecierpliwienie bębniąc palcami o jego blat. Przerazała mnie zwalista postura i okrągła, czerwona twarz człowieka, przed którym miałam się tłumaczyć.

– Dors... – wysapał na mój widok.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – dygnęłam grzecznie.

– Może pan iść na lekcję – zwrócił się do historyka, który wszedł za mną do gabinetu i stał teraz niezdecydowany za moimi plecami.

– Chciałem tylko powiedzieć, że uczennica Dors dopuściła się kłamstwa mówiąc, że była u pana dyrektora – powiedział oskarżycielsko historyk i otarł chustką krople potu z czoła.

Poczerwieniałam z oburzenia. Nic takiego nie mówiłam!

– Może pan odejść – powtórzył dyrektor.

Nauczyciel historii wycofał się i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

– Dors... – odezwał się dyrektor patrząc na mnie z zastanowieniem. – Czy uważasz, Dors, że powinienem zaproponować ci, byś usiadła?

Pytanie nieco mnie zaskoczyło, ale mimo lęku przed dyrektorem, odpowiedziałam mocnym, pewnym siebie głosem:

– Tak. Tak uważam, panie dyrektorze.

– A dlaczego tak uważasz, Dors? – zapytał.

– Ponieważ jestem kobietą – odparłam, a widząc, że nieznacznie się skrzywił, dodałam szybko: – No i jestem pańskim gościem.

W dyrektora jakby piorun strzelił.

– Co takiego?! – wrzasnął, aż podskoczyłam. – Dors jest moim gościem! Słyszeliście państwo? – Rozejrzał się po ścianach, jakby wokół stał tłum świadków, i ponownie zwrócił się do mnie – Naprawdę tak uważasz?

– Tak uważam – powiedziałam, choć nie byłam już taka pewna.

– No jeśli tak, to siadaj – powiedział z przesadną uprzejmością i poprawił się na krześle. Był z siebie zadowolony jak aktor, który dobrze odegrał swoją rolę. – Powiedz mi – przechylił się przez biurko tak, że poczułam na twarzy jego oddech – co takiego wydarzyło się w środę siedemnastego marca?

Pomyślałam o akademii i mojej ucieczce, ale dyrektorowi chyba nie o to chodziło.

– Siedemnastego marca Bolesław Bierut został Pierwszym Sekretarzem KC PZPR – wyrecytowałam jak wyuczoną lekcję, starając się nadać głosowi ton wyrażający radość i dumę z zaistniałego faktu.

Dyrektor zdawał się być nieco zaskoczony odpowiedzią, bo patrzył na mnie przez chwilę, zanim stwierdził:

– Tak jest, Dors. Tak jest. Widzę, że jesteś z tego dumna, jak wszyscy Polacy.

Dlaczego więc opuściłaś akademię przygotowaną na cześć Bolesława Bieruta i nie zadeklamowałaś wiersza?

– Panie dyrektorze – rzekłam, składając z egzaltacją dłonie – wzruszenie odebrało mi głos, nie byłam w stanie...

– Co ty mi tutaj opowiadasz, Dors?! – ryknął dyrektor. – Myślisz, że dam się nabrać na twoje sztuczki? Pół szkoły widziało, jak uciekałaś z akademii z jakimś chudym wyrostkiem. Samowolnie opuściłaś teren szkoły, zlekceważyłaś obowiązek uczniowski! Czy ty wiesz, że za to grozi ci wydalenie ze szkoły?

Ponieważ milczałam, wycelował we mnie palec i wysyczał jadownicę:

– Słyszałaś, Dors?

– Tak, słyszałam – zapewniłam, po czym dodałam: – Bolesław Bierut jest ważnym człowiekiem, wszyscy go podziwiają, a poeci piszą o nim wiersze...

Dyrektor wlepił we mnie zdumione spojrzenie, nadał się jak balon i jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy.

– Co to ma do rze-czy? – wyskandował, wystukując długopisem o biurko rytm swoich słów.

– Nic. Tylko jego też najpierw wyrzucili ze szkoły – palnęłam, wykorzystując informację, którą przekazał mi Janek.

To mówiąc wstałam z krzesła i odwróciłam się w kierunku drzwi.

– Siadaj Dors! – wrzasnął dyrektor.

Podeszłam do krzesła, ale nie usiadłam.

– Twierdzisz, że wyrośniesz na równie wielkiego człowieka? – zapytał z ironią w głosie.

– Niczego nie twierdzę, ale uważam, że każdemu należy dać szansę – powiedziałam patrząc mu prosto w oczy. Długo milczał spoglądając na mnie kpiąco. W końcu powiedział:

– Wiesz co, Dors? Wracaj na lekcję. Dam ci szansę.

W noc przed zakończeniem roku szkolnego przyśniła mi się moja mama. Stała na skraju lasu, broniąc mnie przed wejściem do niego. Nie mogłam odczytać wyrazu jej twarzy, ale chyba była przerażona albo zagniewana. Nie wiem. Obudziłam się i leżąc z otwartymi oczami, starałam się rozszyfrować znaczenie snu. Odsuwałam koszmary, które uporczywie uruchamiały moją wyobraźnię. W końcu znużona usnęłam. Spałam niespokojnie. Teraz dla odmiany śnił mi się starzec z portretu, który wygrażał mi pięścią. Obudziło mnie zniecierpliwione wołanie pod oknem. Ubrałam się błyskawicznie w przygotowaną wczorajszego wieczoru białą bluzkę i nie zważając na wołanie babki Oleny, żebym zjadła śniadanie, wybiegłam na podwórko. Po drodze usiłowałam upiąć włosy, które niesfornie wymykały mi się spod spinek. Janek siedział na swoim rowerze, trzymając się płotu. Mój rower trzymał w pogotowiu. Ruszyliśmy, nie zamieniwszy ani jednego słowa. Nie było na to czasu. Po kilku przejechanych



metrach spadł mi łańcuch. Jęknęłam. Janek nie oglądając się, pruł do przodu jak odrzutowiec.

– Janek! – zawołałam rozpaczliwie.

Zatrzymał się, pokręcił głową i swoim zwyczajem wznosił oczy do nieba.

– Cholera, nie zdążymy na rozdanie świadectw – mruknął, patrząc na zegarek.

Pochylił się jednak nad moim rowerem i zajął się łańcuchem. Kiedy skończył, ręce miał umazane smarem.

– Wróćmy do domu, umyjesz się – zaproponowałam. – Pięć minut i tak nas nie zbawi.

– Nie, po drodze zjemy trochę z drogi, w lesie jest strumyk. To zajmie nam tylko chwilę – powiedział.

Jechaliśmy tak szybko, że słyszałam tylko wiatr dudniący w uszach. W połowie drogi skręciliśmy do lasu. Przy strumyku Janek zsiadł z roweru i usiłował zmyć smar z rąk. Czekaając na niego, rozglądałam się po lesie. Tuż obok przedniego koła roweru zobaczyłam zardzewiały metal, wystający ze ściółki. Schyliłam się i zaczęłam go wydłubywać patykiem. Kiedy był na wierzchu, podniosłam go, przyglądając się mu z ciekawością. W tym momencie Janek obejrzał się i zobaczył, co trzymam w rękach.

– Nie! – wrzasnął, aż echo rozniosło się po lesie. Rzucił się na mnie jak lew. Wyrwał metalowy przedmiot z moich rąk i natychmiast go odrzucił, jakby go poparzył. Potem rozpostarł ramiona i przewrócił mnie na ziemię, nakrywając swoim ciałem. Nie wiedziałam, co się dzieje, kiedy rozległ się przeraźliwy huk, krzyk Janka i łopot skrzydeł ptaków, które całą chmarą zerwały się z drzew i odleciały z głośnym krakaniem. Potem nastąpiła cisza. Leżałam nieruchomo pod ciężarem równie nieruchomego Janka. Było mi ciężko i niewygodnie. Na dodatek coś uwierało mnie w plecy. Widocznie upadłam na jakąś gałąź.

– Janek – jęknęłam – mógłbyś się podnieść? Jesteś ciężki jak słoń.

Ale Janek nawet nie drgnął. Nie odezwał się też ani jednym słowem.

– Janek, nie wygłupiaj się, wstawaj! Musimy jechać! – powiedziałam ze złością, próbując go odepchnąć. Wtedy na rękach poczułam coś lepkiego. Spojrzałam na swoje dłonie i zamarłam. Były całe umazane krwią.

– Jezus Maria... – szepnęłam. – Jezus Maria, Janek! Janek! Odezwij się! Janek! – krzyczałam i szarpałam go histerycznie za ramiona. W końcu zepchnęłam go z siebie i zerwałam się na równe nogi, rozglądając się bezradnie.

Janek leżał na brzuchu twarzą do ziemi. Nie wiedziałam, czy oddycha. Bałam się pochylić nad nim, żeby to sprawdzić. Patrząc na niego z góry przycisnęłam obie pięści do twarzy i rozsłochałam się bezgłośnie.

– Boże, co się stało? Co się stało? – powtarzałam w kółko, chociaż nie było tu nikogo, kto mógłby odpowiedzieć.

Przezwyciężając lęk, pochyliłam się nad Jankiem i z wysiłkiem obróciłam go na

plecy. Z jego lewego przedramienia buchała krew. Zerwałam z siebie białą bluzkę, która przestała być biała, i najmocniej, jak tylko mogłam, zawinęłam nią ramię Janka. Wydawało mi się, że na chwilę otworzył oczy, ale być może było to tylko złudzenie. Bluzka natychmiast zaczerwieniła się od krwi. Odzyskałam trzeźwość umysłu, wsiadłam na rower z zamiarem sprowadzenia pomocy. Dysząc z wysiłku i zdenerwowania dotarłam do drogi. Miałam dużo szczęścia, bo niemal natychmiast zauważyłam zwałistego chłopca jadącego furmanką. Nie zdawałam sobie sprawy, że w samej koszulce, z umazaną krwią twarzą i rękami wyglądam dramatycznie.

– Prrrr! Prrrrr! – zawołał chłop ściągając lejce.

Nie pytał o nic, tylko gapił się na mnie jak na zjawę.

– Proszę pana, tam, w lesie! – krzyknęłam tylko i zawróciłam rower.

Chłop rzucił lejce i zeskoczył z furmanki. Słyszałam za sobą jego sapanie. Nie mogłam za mną nadążyć, więc zostawiłam pod krzakiem rower i dalej pobiegłam pieszo, oglądając się co chwilę na biegnącego za mną mężczyznę. Janek leżał w tej samej pozycji, ale ku mojej uldze oczy miał otwarte. Był blady jak ściana. Moja bluzka natomiast była już zupełnie czerwona.

– Szybko, proszę pana – szepnęłam błagalnie i pochyliłam się nad Jankiem. – Będzie dobrze, wytrzymaj, wytrzymaj – zaklinałam go przez łzy. Skinął głową i przymknął oczy.

Chłop bez wahania złapał go na ręce jak małe dziecko i ruszył w kierunku drogi.

– Gówniarze – mrucał. – Zabawy granatem się zachciało. Mało wam wojny było? Co?

Dopiero teraz dotarło do mnie, że to, co trzymałam w rękach, to był granat, pozostałość z wojny, jakich jeszcze wiele można było znaleźć w lasach.

Nigdy jeszcze nie jechałam tak szybko furmanką. Chłop śmigał batem, a konie pędziły jak na wyścigach. Dotarliśmy do najbliższego ośrodka zdrowia. Pielęgniarka nie pytając o nic wezwała karetkę z Białegostoku i zajęła się ramieniem Janka. Czekałam na korytarzu, modląc się w duchu, żeby nie wykrwawił się na śmierć. Minęła wieczność, zanim pojawiła się karetka, a przynajmniej tak mi się wydawało. Janek nie mógł ustać na własnych nogach i trzeba było przynieść nosze. Nachyliłam się nad nim, chciałam mu coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Nie martw się – szepnął, uniósł z wysiłkiem głowę i pocałował mnie w usta. Poglądziłam go po twarzy i nowe łzy napłynęły mi do oczu.

Potem długo patrzyłam za znikającym samochodem zabierającym Janka do szpitala.

– Słyszałeś to? – zapytała Juliana wstając z fotela. Odstawiła kubek z resztką zimnej kawy i zerknęła na ścienny zegar. Adam automatycznie spojrzął na przegub ręki, gdzie nosił zegarek od ojca. Wskazywał siedem minut po północy. – Słyszałeś? – powtórzyła i powoli podeszła pod drzwi, cały czas nasłuchując.

– Nie – odpowiedział. – Niczego nie słyszałem.

– Teraz! – szepnęła. – Słuchaj!

– Ktoś krzyczy – przyznał ze zdziwieniem Adam. – O tej porze?

– Trzeba wyrzeć na ulicę. Tu jest raczej spokojnie, ale różne rzeczy mogą się zdarzyć. Ostrożnie! – ostrzegła, widząc, że Adam kładzie rękę na klamce.

– Dobrze, będę uważał – obiecał i cicho zbiegł po schodach.

Kiedy podchodził do drzwi wejściowych, nie słyszał żadnego dźwięku. Stał przez chwilę nieruchomo, nasłuchując z nadzieją, że krzyk się nie powtórzy. Powtórzył się jednak po kilku sekundach. Adam gwałtownie otworzył drzwi i podbiegł do furtki. Mocował się przez chwilę z zamkiem, po czym wybiegł na chodnik, gdzie kilka metrów dalej szarpała się jakaś para.

– Damski bokser, cholera! – zaklął Adam i ruszył w ich kierunku. – Zostaw ją! – krzyknął, łapiąc napastnika za rękaw.

– Puść – warknął tamten. – Nie twoja sprawa!

– Zostaw ją, mówię! – Adam odciągnął mężczyznę i w blasku latarni ujrział przerażoną twarz Toffi. – Ty gnoju! – wrzasnął wściekły na mężczyznę i gdyby tamten natychmiast nie umknął, ciężka dłoń Adama, zaciśnięta w pięść, niewątpliwie wylądowałaby na jego twarzy. – Żebyś cię tu więcej nie widział! – zawołał jeszcze za nim, a echo rozniosło jego słowa po pustej ulicy. – Toffi – ujął jej twarz w obie dłonie i przyglądał się jej ze zdumieniem i troską zarazem. – Nic ci się nie stało?

– Nie – mruknęła i odepchnęła jego dłonie. – Zostaw, nic mi nie jest.

– Co ty tu robisz? – zapytał chłodno, urażony jej reakcją. Myślał, że przynajmniej podziękuję mu za obronę.

– Przyszłam do niej – powiedziała. – Do mojej ciotki – wyjaśniła zaczepnie, widząc, że chce coś powiedzieć. Potem minęła go i wbiegła do domu Juliany Dors.

Adam zamknął furtkę, następnie drzwi wejściowe i z ociąganiem powłókł się na górę. Nie miał ochoty być świadkiem powitania Toffi z Julianą. Uważał, że wizyta o tej porze uwłacza wszelkim zasadom dobrego wychowania. Domyślał się jednak, że Toffi znalazła się w opałach, ale nie chciał jej teraz o to pytać.

Kiedy wszedł do pokoju, Toffi siedziała dygocząc na sofie, a Juliana patrzyła na nią z naganą w oczach.

– Adam, wybacz, ale nie będę dziś niczego więcej opowiadać – zwróciła się do niego, gdy przekroczył próg – zabierz Teofilę do domu. Zadzwoń – dodała krótko.

– Dobrze – powiedział tylko i spojrzał z wyrzutem na Toffi. Właśnie pozbawiła go możliwości wysłuchania opowieści Juliany do końca, a tym samym uniemożliwiła wywiązanie się z polecenia służbowego.

– Aha, Adam... – Juliana złapała go za łokieć, wyprowadziła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. – Nie chcę mówić przy niej – ruchem głowy wskazała pokój, w którym została Toffi. – Wiem, że ona należy do mojej rodziny, chociaż wcale jej nie znam, ale

proszę, nie przyprowadzaj jej tutaj.

– Ale... – zaczął, chcąc wyjaśnić okoliczności pojawienia się dziewczyny.

– Tak, wiem, że przyszła tu dzisiaj bez twojej wiedzy. Mówię to na przyszłość. Nie podoba mi się. Nie lubię jej.

– Dobrze. Będę przychodził sam. Chyba że i mnie pani nie chce.

– Nie, nie. Ty możesz przyjść, choć ten twój reportaż... Ale niech tam. Pisz go sobie – powiedziała i uśmiechnęła się lekko. – No, chodźmy. Nie wypada tak szeptać pod drzwiami.

Była pierwsza w nocy, gdy opuścili dom Juliany. Szli w milczeniu szybkim krokiem, mijając kolejne puste przystanki. Kiedy wreszcie udało im się złapać nocny autobus, byli już w połowie drogi.

– Boję się wracać do domu – odezwała się wreszcie Toffi.

Adam nic nie odpowiedział, wzruszył tylko nieznacznie ramionami. Spojrzała na niego zdziwiona.

– Boję się, słyszysz? – powtórzyła.

– Słyszę – odparł spokojnie. Autobus zbliżał się właśnie do jakiegoś przystanku i Adam udawał, że usiłuje przeczytać jego numer.

– Nie zabierzesz mnie do siebie? – zdumiała się.

– Nie – odpowiedział nie patrząc na nią.

– A niech cię! – syknęła i w ostatniej chwili wyskoczyła z autobusu.

Adam wrócił do domu, ale mimo późnej pory nie zamierzał kłaść się do łóżka. Zaparzył mocną herbatę i usiadł przy stole. Aparat telefoniczny położył blisko siebie, spodziewając się wiadomości od Toffi. Mijały jednak kolejne minuty, a telefon milczał. Przed oczami Adama jawiły się przerażające obrazy: Toffi sama w ponurych zaułkach Warszawy, Toffi otoczona ciemnymi typami, Toffi ścigana przez zgraję wyrostków, chcących się zabawić, albo przez bezdomnego agresywnego psa... Podniósł telefon i wybrał dwie pierwsze cyfry jej numeru. Po chwili skasował je, by za moment wybrać ponownie. Nie, nie będzie dzwonił. Jeśli go potrzebuje, niech zadzwoni pierwsza. Zasnął, nie wiadomo kiedy, z głową opartą o blat stołu.

Rankiem obudził go dzwonek telefonu.

– Toffi? – zawołał do słuchawki.

– Nie, to ja, Juliana – usłyszał głos. – Zrezygnowałam z wyjazdu, możesz przyjść. Skończmy to już.



### 3

**M**artwiłam się o Janka, zwłaszcza że pocałunek, pierwszy w życiu, był odtąd każdego wieczoru ostatnią moją myślą przed snem. We wspomnieniu urastał do cudownego przeżycia, opatrzonego w cały wachlarz niewypowiedzianych słów i niespełnionych gestów, które powinny mu towarzyszyć. Wszystko to obiecałam sobie wynagrodzić Jankowi po jego powrocie ze szpitala. Będziemy spacerować po zielonych łąkach pod lazurowym niebem, obejmować się, przytulać i rozmawiać o miłości. A wieczorem, kiedy będę spoglądać w roziskrzone gwiazdy, Janek znowu mnie pocałuje. I nie będzie to jedynie dotyk ust. Będzie to najprawdziwszy pocałunek, taki, jaki widziałam kiedyś w kinie. Tak marząc, postanowiłam odwiedzić Janka w szpitalu. Babka Olena trochę kręciła nosem na ten samotny wyjazd, ale w końcu machnęła na to ręką. Wyłuskałam ze szmacianego woreczka kilka zaoszczędzonych monet, ubrałam się w jedyną sukienkę, którą nosiłam zawsze do szkoły, uładziłam włosy i ruszyłam na przystanek.

Białystok wydał mi się jakiś inny niż wtedy, gdy widziałam go po raz pierwszy. Bardziej ruchliwy, żywszy. Ludzi było jakby więcej, szli szybko, śpiesząc się do siebie tylko wiadomych miejsc i zajęć. Kobiety w chusteczkach na głowach, z pustymi siatkami w rękach chodziły pośpiesznie z miną wężącego kota, polującego na mysz. Bo a nuż do któregoś sklepu rzucą kaszanke, a do innego skarpety. Pustki w sklepach były irytujące, ale jednocześnie pobudzały inwencję twórczą gospodyń. Mężczyźni okupowali budki z piwem, sącząc bursztynowy płyn z wielkich kufli i ocierając z piany sumiaste wąsy. Potem brali swoje teczki albo łopaty i jakby nigdy nic, wracali do przerwanej roboty. Między domami kobiety rozwieszały pranie, zamieniając przy okazji parę słów z sąsiadką. Umorusane dzieci biegały po obskurnych podwórkach, nawołując się wzajemnie. Zapytałam o drogę do szpitala jakiegoś młodzieńca i dopiero po chwili zauważyłam, że chłopak przygląda mi się uważnie.

– Ja cię chyba gdzieś widziałem – powiedział z zastanowieniem. – Czekaj... To nie

ciebie przedstawiał mi ojciec? Szłaś z taką wielką walizą.

– Ojciec?... – zapytałam niepewnie, nie mogąc sobie przypomnieć podobnej sytuacji.

– Tak, mój ojciec, architekt. Oprawdzał po mieście jakąś dziewczynę i nie jestem pewien, czy to nie byłaś ty. Tamta też była taka ładna i miała długie, nieposłuszne włosy, jak twoje – powiedział i uśmiechnął się. – Ja jestem Wojtek, jego syn. Spotkaliśmy się raz, pamiętasz?

– Ach tak, rzeczywiście! To był pan... – zawahałam się.

– Zagórski – dokończył za mnie Wojtek.

– Zagórski! Teraz sobie przypominam! – ucieszyłam się szczerze. – Twój ojciec bardzo kocha swoje miasto – zauważyłam.

– Kochał. Miał atak serca. Na początku marca. Niestety nie przeżył.

– Bardzo mi przykro – bąknęłam.

Staliśmy przez chwilę, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Wojtek rozejrzał się, jakby szukał wokół tematu, którego mógłby się kurczowo ucześcić, ja z kolei zajęłam się wydlubywaniem czubkiem sandałka kamyka w białego w ziemię. W końcu roześmiał się i zapytał:

– Mogę cię odprowadzić? Idę w tamtym kierunku.

– O, tak! Będzie mi miło – odparłam. Chyba nie zabrzmiało to szczerze, bo zajrzał mi z rozbawieniem w oczy.

– Naprawdę? – zapytał.

– Naprawdę – odparłam i przerzuciłam siatkę z prowiantem dla Janka do drugiej ręki.

– Daj, poniosę – zaproponował. – Idziesz do kogoś w odwiedzin?

– Tak – powiedziałam podając mu siatkę. – W odwiedzin.

Nie zapytał do kogo, choć czułam, że pytanie zawisło mu na końcu języka. Widocznie nie chciał być wścibski.

– Nie widuję cię wcale. Kręcę się po tej okolicy, ale ty chyba mieszkasz w innej części miasta – zauważył.

– Mieszkam na wsi – powiedziałam krótko.

– Aha. Myślałem... Uczysz się?

– Tak, chodzę do liceum. Po wakacjach pójdę do ostatniej klasy. Potem matura.

– I? Co po maturze?

– Nie wiem. Chciałabym studiować, ale chyba będę musiała pójść do pracy, żeby zarobić na swoje utrzymanie.

– Rozumiem – mruknął. – A wiesz, ja studiuje i zarabiam – ożywił się nagle. – To jest możliwe, naprawdę – powiedział i zatrzymał się, ponieważ dotarliśmy na miejsce. Wyciągnęłam rękę po siatkę.

– Daj, dziękuję za pomoc.

Podał mi ją z ociąganiem.

– Będziesz tu jeszcze? Kiedy mogę cię zobaczyć? – zapytał.

– Nie wiem. Rzadko tu bywam.

– Może umówimy się na jakiś konkretny dzień. Możemy pójść do kina albo do...

– Nie, nie – przerwałam mu szybko. – Nie wiem, kiedy będę mogła przyjechać. Nie chcę, żebyś niepotrzebnie czekał, jeśli mi się nie uda. Dziękuję jeszcze raz. – To mówiąc oddaliłam się pośpiesznie, zostawiając go przed budynkiem.

W szpitalu pachniało lizolem. Szłam długim korytarzem, usiłując wskrzesić w sobie uczucie radości z rychłego spotkania z Jankiem. Niestety, mimo dobrej woli, nie mogłam się uwolnić od wrażenia wywołanego przypadkowym spotkaniem Wojtka. Tuż przy oknie, na końcu korytarza ujrzałam Janka. Nie wyglądał na zaskoczonego, widocznie zdążył zauważyć mnie przez okno.

– Kto to był? – zapytał zamiast powitania.

Zatrzymałam się wpół kroku, a przygotowany na okoliczność powitania uśmiech zgasł natychmiast jak zdmuchnięta świeczka.

– Znajomy – odparłam zmrożona takim przyjęciem. – Nie przywitasz się ze mną?

– Jaki znajomy? Teraz go poznałaś? Wiesz, wcale nie musiałaś tu przyjeżdżać. Niedługo wychodzę – to mówiąc poklepał się wymownie po założonym opatrunku.

– Przywiozłam ci trochę smakołyków. Babka Olena...

– Po co? Nikt mnie tu nie głodzi – warknął.

– Co ty sobie wyobrażasz? – zdenerwowałam się. – Nie chcesz, to nie! Rzeczywiście niepotrzebnie przyjechałam, chociaż martwiłam się o ciebie. Ale jeżeli w ten sposób mnie witasz, to idę. – Odwróciłam się na pięcie i ze ściśniętym ze złości i żalu gardłem ruszyłam w kierunku wyjścia.

– Juliana! Zaczekaj! – zawołał za mną. – Nie wygłupiaj się. Zostań. Ja tylko tak... Zły byłem, że jakiś niby znajomy za tobą łązi, bo... – Ujął mnie za ramiona i odwrócił twarzą do siebie – Bo przecież my... Bo ja... – jąkał się, nie wiedząc, jakich użyć słów, by wyrazić to, co czuje.

– Już dobrze, Janek – mruknęłam. – Rozumiem. Ale niepotrzebnie się złościysz. On pokazał mi tylko, gdzie jest szpital.

– Nie mogłaś jakiejś baby poprosić? Musiał akurat on? – Janek najeżył się znowu, ale po chwili opanował się i szepnął: – Martwiłaś się o mnie? Naprawdę?

– Naprawdę – powiedziałam z przekonaniem. – Przecież uratowałeś mi życie.

– To prawda – napuszył się. – Gdyby nie ja, to...

– Nie musiałaś rzucać granatem – przerwałam, zirytowana jego zarozumiałym tonem.

– Nie rzucałbym, gdybyś go nie wygrzebała z ziemi. Po cholere brałaś to paskudztwo do ręki?

– Skąd miałam wiedzieć, co to jest? – powiedziałam ze złością.

– Każdy, kto przeżył wojnę, wie, co to jest. Ale ty jak zwykle z głową w chmurach!



– podniósł głos i spojrzał na mnie wyzywająco.

– Odczep się! – zawołałam. – Co cię opętało? W życiu nie widziałam granatu. Nie zapominaj, gdzie byłam w czasie wojny!

– Przepraszam – mruknął i zamilkł.

– Janek – wyszeptałam dotykając czubkami palców jego ramienia. – Nie kłóćmy się. Wiem, że się przestraszyłeś. Moja wina...

– Właśnie, twoja – przerwał mi i wyglądało na to, że poczuł się zwolniony z odpowiedzialności za to, co się stało.

– Ale twoją winą jest to, że nie zapanowałeś nad sobą i nim rzuciłeś – dokończyłam z satysfakcją, jednak w obawie przed dalszą kłótnią zapytałam natychmiast:

– Jak twoja ręka?

– Założyli mi ze dwadzieścia szwów. Rozszarpało mi całe ramię. Mogłem wykrwawić się na śmierć – stwierdził. – Będzie blizna – dodał smętnie.

– Najważniejsze, że ręka uratowana – pocieszyłam go. Powstrzymałam się od uwagi, że sprowadzając pomoc i ja ratowałam jego życie. Byliśmy więc kwita i nikt nikomu nie musiał okazywać wdzięczności. Nie wiem, dlaczego pomyślałam o tym z ulgą.

Spędziłam z Jankiem jeszcze dwie godziny, ale rozmowa nam się nie kleiła. Wymawiając się zatem niepokojem o powrót do domu, pożegnałam go, nie przedłużając wizyty. Nie potrafiłam zrozumieć, co się stało. Przecież nie mogłam doczekać się spotkania z Jankiem i tak wiele sobie po nim obiecywałam. Rozczarowana nie tylko jego zachowaniem, ale również własnym, powlokłam się na przystanek. Byłam głodna, po drodze wstąpiłam do mijanego właśnie sklepu. Nie licząc soli i octu, świecił pustkami.

– Nic nie ma? – zdziwiłam się bardziej na własny użytek niż stojącej za ladą sprzedawczynie.

– A paniusia z Ameryki przyjechała? – zdumiała się. – To, co było, ludzie z samego rana rozdrapali. Towar nie leży na półkach i nie czeka, tylko rozchodzi się raz dwa. Zresztą co to za towar, pożał się Boże – mruknęła.

– A gdzie tutaj jest najbliższy inny sklep? – zapytałam z nadzieją, że znajdę gdzieś jakąś bułkę albo choć ćwiartkę chleba.

– A po co pani inny sklep? – obruszyła się. – Wszędzie jest to samo. Tylko patrzeć, jak ludzie będą strajkować. Bo rząd – ściszyła głos – tylko do roboty goni, plany każe wykonywać, ale do płacenia to już nikogo nie ma. Po co w sklepie towar, jak ludzie i tak nie mają za co kupić? Na przykład mięso. Kiedy kto ostatnio mięso na oczy widział? Teraz mięso tylko elita jada. Jak ktoś ma chleb z salcesonem, od razu widać, że to jakiś waśniak.

Ktoś wszedł do sklepu. Sprzedawczynie chrząknęła i przybrała służbową pozę. Starszy mężczyzna poprosił o pudełko zapalek, a otrzymawszy je, opuścił sklep. Sprzedawczynie przechyliła się przez ladę i szepnęła:

– Ja to teraz nikomu nie ufam. Wiadomo, co to za jeden? Jeszcze gdzie doniesie.

– A mnie pani ufa? – zapytałam słabym głosem, bo na samo wspomnienie chleba z salcesonem poczułam dotkliwe ssanie w żołądku i zawroty głowy.

– E, tam. Po paniusi to od razu widać, że na jednym wózku jedziemy – skwitowała sprzedawczyni.

Opuściłam sklep i z pustym żołądkiem udałam się na przystanek. Tego wieczoru nie odtworzyłam w wyobraźni po raz kolejny romantycznej sceny z Jankiem. Usnęłam bez marzeń.



## 4

**A** jednak jesteś! – ucieszył się Janek, widząc mnie na przystanku. – Przez całą drogę zastanawiałem się, czy po mnie wyjdiesz.

– Dlaczego miałabym nie przyjść? Przecież wiedziałam, że dzisiaj wypuszczą cię ze szpitala – odparłam z uśmiechem. – Wstąpisz do nas na kubek zsiadłego mleka? Babka Olena specjalnie w piwnicy je chłodzi. Do tego będą gorące ziemniaki z koperkiem. Skusisz się?

– E, nie. Matka pewnie już na drogę wygląda. Zaraz będzie się martwić, że coś się stało. Zresztą ostatnio nie byłaś dla mnie zbyt miła – mruknął.

– Ty też nie grzeszyłeś uprzejmością – odgryzłam się. – Ręka się jeszcze nie wygoiła? – zapytałam zerkając na świeży opatrunek.

– Niezupełnie. Dopiero za tydzień zdejmą mi szwy. Wiesz, że wciąż o tym myślę? Nie chciałbym przeżyć po raz drugi czegoś takiego.

– Teraz rozumiem sen, który przyśnił mi się w noc przed wypadkiem – powiedziałam bardziej do siebie niż do niego.

– A co ci się śniło? – zainteresował się.

– Moja mama – odparłam.

– Twoja mama? Często ci się śni? – zapytał z zaciekawieniem.

– Czasami. Odnoszę wrażenie, że wciąż uczestniczy w moim życiu. Ostrzega mnie albo pomaga podejmować trudne decyzje.

– Porozmawiam o tym z moją matką. Ona widzi i słyszy więcej niż przeciętny człowiek – powiedział.

– Wiem o tym. Słyszałam od babki Oleny, która bezgranicznie jej ufa.

– Chyba ma rację – odpowiedział i zamyślił się.

Szliśmy powoli poboczem drogi. Nasilił się wiatr, a od wschodu napływały kłębiaste chmury.

– Pośpieszmy się – ponagliłam Janka. – Pogoda nie wróży niczego dobrego.

– Odprowadzę cię, zanim pójde do domu – zaproponował.

– Nie trzeba. Lepiej się pośpiesz, bo złapie cię burza – poradziłam. – Ja zawsze się jej trochę boję – dodałam.

– Nie boję się burzy – odpowiedział i spojrzał jakoś dziwnie – i... i chcę, żebyś ty się trochę bała. Wtedy będę ci potrzebny. – To mówiąc wziął mnie w ramiona i przyciągnął mocno do siebie. – Mogę cię pocałować, wiesz, jak wtedy? – zapytał i przycisnął mnie jeszcze mocniej.

Zacisnęłam powieki w milczącym oczekiwaniu. Za chwilę poczuję...

– Wstyd! Na ulicy takie rzeczy! – usłyszałam nagle podniesiony głos.

Odkoczyliśmy od siebie jak oparzeni. Obok przystanku przechodziła żona Staszka, Jadźka, pchając przed sobą dziecięcy wózek. Starszy chłopczyk dreptał posłusznie obok.

– Chodź, idziemy – powiedział Janek i pociągnął mnie za rękę. – To największa plotkara we wsi – dodał, gdy byliśmy parę metrów dalej.

Żałowałam, że nie zdążył mnie pocałować. Byłam ciekawa, jak to jest, gdy chłopak całuje dziewczynę jak na filmie.

Kiedy znaleźliśmy się pod domem, zagrzmiało.

– Może jednak przeczekaś burzę u nas – zaproponowałam. – Nie chcę, żebyś szedł w taką pogodę. Myślę, iż twoja matka domyśli się, że się gdzieś schroniłeś.

Janek chyba też tak myślał, bo tym razem skwapliwie skorzystał z zaproszenia.

Babka Olena jednak nie krzątała się po kuchni. Leżała w łóżku i nie wstała nawet żeby się z Jankiem przywitać. Uśmiechnęła się tylko blado i powiedziała:

– Dobrze że jesteś, Julianka. Widzisz, miałam kartofle obrać i do mleka ugotować. A tu takie nieszczęście...

– Czy babcię coś boli? – zapytałam zdumiona, przyklękając przy jej łóżku. Nigdy w ciągu dnia się nie kładła.

– Boli, Julianka, boli. Wszystko mnie boli. Tak nagle złapało, ledwo do łóżka się dowlokłam. O, tam stoi kosturek, którym się podpierałam – wskazała na sękaty kij oparty o ścianę. – Bez niego bym nie doszła. Tak mi kolana nagle osłabły. Ale teraz to i jego nie mogę utrzymać w ręku. Ręce też słabe.

– Niech babcia leży. Ja ziemniaki obiorę. I mleko przyniosę – powiedziałam wstając i zerknęłam na Janka, stojącego niepewnie przy drzwiach. – Pomożesz mi? – zapytałam.

Janek skinął głową i wycofał się do kuchni.

– Nie mam pojęcia, co jej jest – szepnęłam Jankowi, oglądając się na otwarte drzwi do pokoju babki Oleny. – Rano jeszcze wszystko było dobrze.

– Może sprowadzić tu moją matkę? – zastanawiał się. – Chociaż ona niechętnie wychodzi do ludzi. Chyba że ty ją poprosisz. Tobie nie odmówi.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Od dawna chce cię poznać. Prosiła mnie nawet, żebym cię do niej przyprowadził.  
– Nie rozumiem – mruknęłam, biorąc do ręki rondel. – Naopowiadałeś coś o mnie swojej matce?

– Nie. Widziała cię na dożynkach. Od tej pory mówi o tobie.

– Co mówi? – zapytałam, czerpiąc jednocześnie wodę z wiadra.

– Nie wiem dokładnie. To znaczy nie pojmuję tego. Ona mówi, że masz moc – powiedział i spojrzął na wiadro. – Woda ci się kończy. Przyniosę ze studni – zaproponował.

– Nie teraz. Straszna ulewa – powiedziałam zerkając przez okno. – O jakiej mocy mówisz? – wróciłam do tematu.

– Nie wiem. Moja matka twierdzi, że masz moc – powtórzył. – Pewnie sama ci o tym powie.

Janek zaintrygował mnie. I z pewnością dociekałabym nadal, gdyby nie potężny grzmot, który zatrząsł domem babki Oleny. Musiał uderzyć gdzieś bardzo blisko. Zaraz po nim usłyszałam hałas na strychu. Znieruchomiałam z koszem ziemniaków, który właśnie wyjęłam spod ławy.

– Słyszałeś to? – zapytałam szeptem Janka.

– Ten grzmot? Musiałbym być głuchy, żeby go nie usłyszeć – obruszył się.

– Nie chodzi mi o grzmot. Czy nie słyszałeś nic poza tym?

– Nie – odparł i przyjrzał mi się dziwnie. – Może ci się wydawało?

– Nic mi się nie wydawało! – zdenerwowałam się. – Muszę to sprawdzić. Idę na strych.

– Zaczekaj, pójdę z tobą – powiedział Janek i ruszył za mną.

Wdrapaliśmy się po skrzypiących schodkach. Położyłam rękę na klamce i wzięłam głęboki oddech.

– Chcesz, żebym wszedł pierwszy? – zapytał, widząc moje wahanie.

– Nie. Nie trzeba.

Nacisnęłam klamkę i rozejrzałam się po strychu. Nie zauważyłam żadnych zmian prócz tego, że płótno, którym owinięty był tajemniczy portret, zsunęło się lekko, odsłaniając tył obrazu. Ukłękłam na podłodze z zamiarem zapakowania go na nowo, ale kiedy na niego spojrzałam, rzuciłam obraz i odskoczyłam jak oparzona. Starłam się powstrzymać dygotanie i nerwowe szczerkanie zębami.

– Co się stało? – zapytał Janek, patrząc na mnie z przerażeniem.

– Ona tu jest – wyjąkałam. – Wciąż mnie pilnuje. Zaczynam się jej bać.

– O kim ty mówisz? – Janek rozejrzał się dokoła z głupią miną. – Nikogo tutaj nie widzę.

– Moja matka. Chodzi za mną.

– Mówiłaś, że nie żyje – powiedział Janek i spojrzął na mnie tak, jakby granat uszkodził mi mózg, a nie jego rękę.

– Bo nie żyje! – zawołałam. – Byłam mała, kiedy umierała. Widocznie zamiast iść do nieba, postanowiła chodzić za mną i chronić mnie od wszelkiego złego.

– Przestań... – mruknął Janek. – Coś sobie ubzdurałaś.

– Nie ubzdurałam! To ona kazała mi tu przyjechać, ona sprawiła, że uratowałam chłopca, który się dusił cukierkiem, ona przestrzegła mnie, żebym nie szła do lasu. Wciąż się pojawia. Wiem, że chce mi pomagać, ale zaczynam się jej bać!

– Skąd wiesz, że tu jest? I gdzie ją widzisz, co? – zapytał po chwili kpiąco.

– Jej twarz... Jej twarz jest na obrazie – wyjąkałam, odsuwając się jeszcze bardziej od leżącego portretu.

Janek schylił się i podniósł obraz.

– Spójrz – powiedział łagodnie, jak do przerażonego dziecka – tu jest jakiś stary mężczyzna. Chyba twoja matka nie wyglądała tak jak on, zobacz.

– Nie chcę – odparłam i odsunęłam jego rękę na bok. – Nie chcę tego oglądać.

– To zejdz na dół – powiedział spokojnie. – Ja zaraz przyjdę.

Zesłam posłusznie, choć dygotały mi nogi. W kuchni zajęłam się przygotowaniem posiłku. Janek zjawiał się po dłuższej chwili. W rękach trzymał obraz zawinięty szczelnie w płótno i obwiązany sznurkiem.

– Zabieram to, żebyś się nie bała – powiedział.

– Co z nim zrobisz? – zapytałam, choć szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodziło. Byłam zadowolona, że pozbędę się przedmiotu, który wzbudzał we mnie lęk.

– Położę w komórce. Niech sobie leży – odparł.

Babka Olena nie miała sił w rękach. Musiałam podtrzymywać jej kubek z mlekiem, żeby mogła się napić. Patrzyłam na nią z troską, zastanawiając się, co jej dolega.

– Nie martw się – pocieszał mnie Janek. – Poczekaј do jutra. Jeżeli się nie poprawi, spróbujemy sprowadzić tu moją matkę.

Kiedy przestało padać, przyniósł wodę ze studni. Upewnił się, że niczego więcej nie potrzebuję, wziął pod pachę obraz i zniknął w mroku. Powlokłam się na górę i wyciągnęłam się na miękkim łóżku. Leżałam tak, obserwując przez małe okienko drżące liście podświetlone blaskiem księżycy. Na ścianie i suficie tańczyły ich cienie. Ciszę panującą w całym domu przerwał głos, który wymówił moje imię:

– Juliano.

Podniosłam głowę i zaczęłam nasłuchiwać. Nie wiedziałam, skąd dobiegał. Głos nie należał do babki Oleny.

– Mama? – zapytałam drżącym głosem.

Wołanie nie powtórzyło się. Nie miałam pojęcia, czy słyszałam je na jawie, czy narodziło się w mojej głowie. Na wszelki wypadek szepnęłam:

– Mamo, proszę, idź do nieba...

Wbiłam głowę w poduszkę i zaczęłam bezgłośnie szlochać. Płakałam nad nią, nad

sobą, nad okrutnym losem, który odebrał mi rodziców i zostawił zupełnie samą. Nie chciałam jednak jej opieki teraz. Byłam wśród żywych, a jej miejsce było wśród umarłych. Jej świat mnie przerażał. Tchnęło z niego mrokiem, chłodem i bezgraniczną pustką. Beznadziejną ostatecznością. Nie wiem, dlaczego na starym portrecie ujrzałam twarz matki. Może to jakaś sztuczka umarłych? Przyczajają się w różnych miejscach i obserwują nas z tamtej strony życia, jak z drugiej strony lustra.

Nagle pomyślałam o babce Olenie. A jeśli jednak to ona mnie wołała? Wzięłam świeczkę i zesłam cicho po schodach, kierując się prosto do jej drzwi. W pokoju, z którego zwykle dobiegało pochrapywanie, teraz panowała cisza. Czułam się nieswojo, jakby ktoś jeszcze prócz mnie przechadzał się po ciemnych pomieszczeniach, a teraz przeniknął obok do pokoju babki Oleny. Wzdrygnęłam się na myśl, że to śmierć. Nie zapalałam światła, żeby nie zbudzić babki Oleny, i trzymając świeczkę przed sobą podchodziłam na palcach do łóżka, na którym leżała.

– Kto... Kto tu jest? – odezwała się niespodziewanie, aż podskoczyłam przestraszona.

– To ja, Juliana – powiedziałam schrypniętym głosem. – Czy babcia mnie wołała? – zapytałam zapalając małą lampkę i odkładając świecę, która dymiała jeszcze po zdmuchnięciu płomienia. Jej zapach skojarzył mi się z zapachem kościoła.

– Nie, nie – odparła i popatrzyła na mnie z zastanowieniem. – Nie wołałam, ale myślałam, żeby cię zawołać. Bardzo chce mi się pić.

Bez słowa wyszłam do kuchni i po chwili wróciłam z kubkiem zimnej wody, który przytrzymałam, by mogła się napić.

– Posiedzę tu trochę – powiedziałam ustawiając przy łóżku niski taboret. Babka Olena westchnęła tylko i nic nie odpowiedziała.

– Zgaś lampę – poprosiła po kilku minutach.

Wstałam, zgasiłam lampę i powróciłam na poprzednie miejsce. Wołałam być tu przy niej niż sama na górze. Poczułam przypływ czułości do kobiety, która tak ufnie przyjęła mnie pod swój dach. Odszukałam jej dłoń i zamknęłam ją w swoich. Zrobiłam to bezwiednie, ale już po chwili poczułam lekkie mrowienie w palcach i wytworzone ciepło. Czułam wyraźnie, jak pulsuje krew w dłoni babki Oleny. Zaczęłam wsłuchiwać się w siebie i przepływającą przez moje ciało energię. Przymknęłam oczy. Babka Olena westchnęła znowu i poruszyła niespokojnie palcami. Przyjemne ciepło ogarniało mnie stopniowo aż po ramiona. Nie wiem, ile czasu tak siedziałam. Zaczął morzyć mnie sen, gdy babka Olena odezwała się cicho:

– Idź już Julianka. Połóż się. Zdaje mi się, że przestało boleć, to też się prześpię, zanim znowu zaczniesz.

Poprawiłam jej poduszkę, zapaliłam świeczkę, żeby nie przewrócić się na schodach i opuściłam pokój. Zasnęłam niemal natychmiast. Rankiem obudził mnie głos babki Oleny dobiegający z dołu:



– Julianka, chodź, racuszków ci nasmażyłam!

Zdumiałam się. Jeszcze w nocy nie była w stanie utrzymać kubka z wodą. Wskoczyłam z łóżka i tak, jak stałam, w nocnej koszuli zbiegłam na dół. Babka Olena nucąc pod nosem jakąś ludową przyśpiewkę, zdejmowała z patelni porcję złocistych racuchów.

– Jak się babcia czuje? – zapytałam, patrząc na nią z niedowierzaniem.

– Jakbym dopiero co się narodziła – odparła ze śmiechem. Potem spoważniała i dodała: – Mnie się wydaje, Julianka, że to za twoją sprawą tak się stało. To twoje ręce. Tak, nie darmo ja cię do domu wzięłam. Bóg wynagrodził. Niech i ciebie ma w swojej opiece.

Przed południem przyszedł Janek. Zagwizdał pod oknem i usiadł na ławce, czekając, aż wyjdę.

– Matka kazała spalić obraz – powiedział, gdy stanęłam na ganku.

– Dlaczego? – zapytałam, a po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Oczami wyobraźni ujrzałam twarz starego człowieka, jak pod wpływem ognia topnieje, marszczy się i wykrzywia w niemym proteście.

– Nie zdążyłem nawet przejść przez próg, gdy wskazała na niego palcem i powiedziała: „Spal to szybko”. Zapytałem tak, jak ty: „Dlaczego?” A ona na to: „Zło od tego bije, jak od demona. Spal”. No to spaliłem.

Zaniemówiłam. Tyle dziwnych rzeczy zdarzyło się od wczoraj. To wszystko wydawało mi się snem.

– Juliana, przepraszam cię – mruknął Janek.

– Ależ nie szkodzi! – zawołałam. – Ja też czułam się nieswojo, odkąd znalazłam go na strychu.

– Ja nie o tym... Przepraszam, bo pomyślałem sobie wczoraj, że ty od tego huku granatu... No wiesz, że coś ci się w głowie poprzestawiało.

– Kto wie – bąknęłam – może miałeś rację.

– No coś ty! Teraz wcale tak nie myślę! – zawołał i zajrzał mi w oczy. – Uważam, że jesteś bardzo mądra. Moja matka też tak uważa – dodał.

– Nie rozumiem. Przecież ona mnie nie zna – zdziwiłam się.

– Myślisz, że ja rozumiem? Wczoraj wieczorem powiedziałem jej o chorobie babki Oleny i zapytałem, czy nie mogłaby tu przyjść. A ona na to, że tutaj ma ją kto leczyć. „Ja tej dziewczynie wchodzić w drogę nie będę – powiedziała – poradzi sobie i beze mnie”.

– Tak powiedziała? – zapytałam i uśmiechnęłam się leciutko. Poczułam w sobie moc.

Na wszelki wypadek zaczęłam bardziej dbać o babkę Olenę. Karmiłam ją czosnkiem, cebulą, owocami i warzywami. Pilnowałam, żeby piła dużo wody. Kiedy na dobre stanęła na nogi, rozniosła po całej wsi, jaka to ze mnie „doktorka”. Ludzie

zaczęli się mną interesować, a nawet zdarzało się, że ten i ów przyszedł do mnie po poradę.

Ostatniego dnia wakacji wybrałam się z Jankiem po zioła. Zbierał je dla swojej matki, wiejskiej szeptuchy. Kiedy mieliśmy pełen kosz skrzypu, pokrzywy i innych skarbów natury, Janek zaproponował:

– Zanieśmy to razem. Mieszkam niedaleko, a matka się ucieszy.

Zawahałam się. Czułam dziwną treść przed spotkaniem z Romańczukową. Janek jednak patrzył na mnie takim wzrokiem, że w końcu uległam.

Romańczukowa siedziała na ganku i rozplątywała lniane włókna. Na mój widok przerwała pracę i wstała otrzepując spódnice.

– Ty jesteś od babki Oleny – stwierdziła. – Poznaję cię.

– Tak – odparłam niepewnie.

Szeptucha miała nieprzyjemny, ostry głos i przeszywające spojrzenie, które nie pasowały do niskiej postury o kanciastych kształtach. Wyobrażałam ją sobie zupełnie inaczej. Zanim się odezwała, długo mierzyła mnie przenikliwym wzrokiem.

– Podaj mi ręce – powiedziała w końcu, wyciągając do mnie swoje obie dłonie. – Podejdź tu, połóż je na moich.

Zrobiłam to, o co mnie prosiła. Dłonie miała ciepłe i suche. Zaciśnęła je na moich palcach i zamknęła oczy. Stała tak dłuższą chwilę, aż zaniepokojona zerknęłam na Janka. On tylko milcząco skinął głową na znak, że wszystko jest w porządku.

– Tak, jak myślałam... Jest tak, jak myślałam – powtarzała patrząc uporczywie w moje oczy. Patrzyła tak długo, aż zakręciło mi się w głowie. Odwróciłam wzrok i wyrwałam ręce.

– Przepraszam – szepnęłam – nie mogę dłużej...

– Nic, nic... – powiedziała uspokajająco. – To zaraz przejdzie. Usiądź tu, na ganeczku.

Siadając czułam, jak drżą mi nogi. Zaciskałam i prostowałam odrętwiałe palce u rąk, jakbym chciała sobie udowodnić, że wciąż je mam. Romańczukowa usiadła obok, nie spuszczać oczu z mojej twarzy.

– Niech pani przestanie – powiedziałam nie swoim głosem. – Niech pani tak na mnie nie patrzy! – Zakryłam twarz i odwróciłam głowę w drugą stronę.

– Nie bój się – powiedziała. – To spotkanie mocy. Ona jest w tobie i we mnie. Masz dar uzdrawiania, wiedziałas o tym?

– Nie – powiedziałam nie odwracając głowy.

– Chcę cię uczyć. Zostaniesz szeptunką, tak jak ja.

– Nie wiem... Nie, chyba nie chcę – odparłam. Podniosłam się ze schodka i dopiero teraz odważyłam się spojrzeć w twarz Romańczukowej. Wydała mi się straszna. Jej siwe włosy wyglądające spod chustki przypominały zwój lnianych włókien, które przed chwilą rozplątywała, a przenikliwe oczy miały w sobie coś paralizującego.

Mimo to nie mogłam oderwać od nich wzroku.

– Ty musisz – szepnęła – musisz, słyszysz? To dar, którego nie wolno ci zmarnować. Dar od Boga! Nie na darmo przywiódł cię tutaj. I nie na darmo postawił na mojej drodze, bo On wie, że ja nie mam córki.

– Proszę pani, przepraszam, muszę już iść... Robi się ciemno, bardzo przepraszam...  
– jękałam, rozglądając się jednocześnie za Jankiem.

– Idź. Mój syn cię odprowadzi – powiedziała łagodniejszym głosem, jakby to, co działo się przed chwilą, nigdy się nie zdarzyło.

Szliśmy nie odzywając się do siebie. Ja byłam wciąż pod wrażeniem spotkania, a Janek chyba czuł się odpowiedzialny za to wrażenie. Dopiero przed domem babki Oleny wziął mnie za rękę i powiedział:

– Nie gniewaj się na moją matkę. Martwi się, że nie ma następczyni. Mnie urodziła bardzo późno, nie miała czasu na kolejne dziecko. No a ja okazałem się synem.

– Dla mnie to nawet lepiej, że jesteś chłopakiem – odparłam i uśmiechnęłam się do niego.

Przytulił mnie i staliśmy tak pod drzwiami, nie mając ochoty oderwać się od siebie. Uświadomiłam sobie, że brakuje mi takiej czułości, której w życiu nie doznawałam zbyt często.

Nowy rok szkolny przyniósł obowiązki, od których podczas wakacji zdążyłam się odzwyczaić. Janek skończył edukację w swoim dwuletnim technikum i jeździł po PGR-ach w poszukiwaniu traktorów wymagających naprawy. Chciał ulżyć matce, samodzielnie zarabiając na swoje utrzymanie. Pokonywałam więc samotnie kilkanaście kilometrów na wysłużonym rowerze. Odtąd z Jankiem nie widywałam się prawie wcale, ponieważ ani on, ani ja nie mieliśmy na to czasu. W listopadzie zaczęły się pluchy i musiałam przesiąść się do autobusu. Babka Olena ze swojego skromnego budżetu wydzielala mi pieniądze na bilety, ale czasami nie mogła powstrzymać się przed głośnym westchnieniem. Żyłyśmy skromnie i nie chciałam obciążać jej dodatkowymi wydatkami. Niestety, we wrześniu skończyłam dopiero siedemnaście lat i jako niepełnoletnia nie mogłam podjąć pracy. W niedziele chodziłam więc do lasu, gdzie zbierałam grzyby, orzechy i zioła, a po wysuszeniu sprzedawałam je w miasteczku. Zimą jednak to źródło zarobku było już niemożliwe.

Dwunastego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku Polskę zelektryzowała wieść o śmierci Bolesława Bieruta. Wódz naszej epoki zmarł nieoczekiwanie nie tylko w marcu, jak Stalin, ale na dodatek jak on, w Moskwie, co wywołało mnóstwo komentarzy: „Czyżby zjadł ciastko z Kremlem?” – kpili ludzie, posądzając Moskwę o otrucie naszego przywódcy. „Pojechał dumnie, wrócił w trumnie” – mówili ironicznie inni. Mało kto wtedy przyjmował do wiadomości, że Bierut zmarł na zawał serca po wcześniejszym przejściu rozmaitych chorób, na które

nie chciał się leczyć. Związek Radziecki postrzegano jako wykańczalnię niewygodnych przywódców. „Gdyby pojechał do Ameryki, to by go wyleczyli” – mawiano. Żałobne kiry, będące wyrazem „żału i nieopisanego bólu”, opłoty kraj wszsz i wzdłuż. Radio sączyło smętną muzykę poważną, a Polska Kronika Filmowa karmiła widzów skupionych przy odbiornikach, informacjami o tysiącach moskwiian podążających tam, gdzie wystawiono ciało zmarłego, a potem o ostatniej defiladzie przed jego trumną w Warszawie. W dniu pogrzebu, szesnastego marca, zawyły płaczkliwie syreny i ostatnia garść piachu rzucona na metalową trumnę zakończyła pewien etap w życiu Polaków, którzy nauczyli się już nie wyrażać głośno własnych myśli. I tylko jedna Maria Dąbrowska odważyła się publicznie zauważyć że „łza żadna po tym człowieku z polskich oczu nie spłynie”. Według władz spłynąć powinna, w związku z czym na lament po Bierucie wszyscy otrzymali dzień wolny od pracy. Dzięki temu mieszkańcy odległych miast i wiosek mieli szansę uczestniczyć w ostatniej drodze wielkiego wodza wysłuchując transmisji radiowych. Przedstawiany w nich obraz trumny okrytej czerwonym sukmem, ustawionej na wysokim katafalku, za którym jawił się świeżo wzniesiony Pałac Kultury, wypełnił wyobraźnię słuchaczy. „Na trzy minuty zamarło w Polsce życie, miliony ludzkich myśli pobiegły ku tej trumnie stojącej ponad tłumem na Placu Stalina” – grzmiało radio, którego cała nasza wieś słuchała tego dnia u Zofii Antałów. Ona bowiem jako jedyna posiadała odbiornik.

Potem nastala wiosna i nastapila odwilz. Polityczna odwilz.



## 5

**N**a początku kwietnia w naszej klasie pojawiła się Maryna. Już samo imię wydawało mi się nieco pretensjonalne, tym bardziej że w jej wypadku pochodziło od Marii. Maryna, nie Marysia, była smukła jak topola, bladolica i czarnowłosa. Przyjechała z centrali, czyli jak wyjaśniła wybrańcom, bo nie z każdym miała ochotę rozmawiać – prawie z Warszawy. Dom, w którym zamieszkała, usytuowany był niedaleko szkoły i odtąd klasowe życie towarzyskie często przenosiło się w jego mury. Nie należałam do tego grona szczęśliwców i tylko częściowo docierały do mnie informacje, jak atrakcyjne są to spotkania. Może nie zwróciłabym na to uwagi, gdybym nagle nie dostrzegła ironicznego spojrzenia Maryny, które raz po raz rzucała w moim kierunku. Z biegiem czasu tych spojrzeń przybywało, aż w końcu wszystkie wielbicielki Maryny patrzyły na mnie w ten sposób. Czułam się upokorzona, bo koleżanki odsuwały się jedna po drugiej i ani się obejrzałam, kiedy na przerwie nie miałam z kim zamienić słowa. Początkowo snułam się po szkolnych korytarzach, cierpliwie znosząc szydercze spojrzenie Maryny i chichoty dziewcząt. Potem na przerwach przesiadywałam w bibliotece. Do domu wracałam osowiała, spędzając wieczory na szukaniu powodów do takich zachowań. Babka Olena spoglądała na mnie podejrzliwie, w końcu zapytała:

– Czy w tej twojej szkole na pewno jest wszystko, jak trzeba? Bo jak na ciebie patrzę, to ostatnio coś za bardzo chodzisz z nosem spuszczonej na kwintę.

– Wszystko w porządku, babciu – odparłam i rozpłakałam się.

– Aha. Wszystko w porządku – mruknęła. – Jakby było w porządku, to nie wylewałabyś łez po próżnicy. Mów. Ja kształcona nie jestem, ale jak powiesz, lżej ci będzie. A może nawet pomogę. No mów – zachęcała.

– To nic takiego, babciu. Z nauką nie mam problemów. Tylko...

– Tylko co? No, mówże! – ponaglała zniecierpliwiona.

– Sama nie wiem... Od pewnego czasu koleżanki mnie unikają.

– Tak? A to niby dlaczego? – zaperzyła się babka Olena i złapała się pod boki, jak

przekupka.

– Nie wiem. Śmieją się ze mnie.

– Śmieją się – powtórzyła z zastanowieniem i przyjrzała mi się krytycznie. – A od kiedy tak się śmieją?

– Odkąd do naszej klasy przybyła nowa koleżanka. Zaprzyjaźniła się ze wszystkimi dziewczynami, tylko nie ze mną. Ciągłe mnie obgaduje. Teraz żadna mnie nie lubi.

Babka Olena usiadła. Popatrzyła na mnie bardzo uważnie, w końcu oświadczyła:

– Jutro do szkoły nie pójdziesz.

– Nie, nie, babciu – zaprotestowałam. – Nie będę opuszczać lekcji tylko dlatego, że nie podobam się Marynie.

– Ach, nie podobasz się Marynie. A dlaczego się nie podobasz? – zadała pytanie i wstała z krzesła. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła przed wielkie lustro zamontowane w szafie, gdzie przechowywała regionalny strój. – Patrz – powiedziała – czy twoje koleżanki też tak wyglądają? Chodzą w starych sukienkach z łatami na łokciach?

Odbicie w lustrze przedstawiało mizerny widok. Znoszona sukienka pochodziła jeszcze z czasów toruńskich. Była to jedyna sukienka, którą ciocia Regina kupiła mi na wyrost tylko dlatego, że upolowała ją, gdy w sklepach odzieżowych ciężko było kupić coś przyzwoitego. Teraz sukienka była kusa i miała zbyt krótkie rękawy. Nosiłam ją do szkoły, bo nie miałam nic innego. Po domu donaszałam męskie koszule po Antosiu, które babka Olena wyjęła dla mnie ze starego kufra, stojącego na strychu.

– Babciu, wiem, jak wyglądam – powiedziałam poirytowana – ale nie mamy pieniędzy na nowe ubrania. Trudno. Kupię sobie coś, kiedy zacznę pracować.

– A kiedy ty, dziecko, zaczniesz pracować?! – oburzyła się. – Do tego czasu zrobisz z siebie pośmiewisko.

– Nie mam innego wyjścia – powiedziałam i zacisnęłam pięści na znak, że tyle już przesłam, więc i to jestem w stanie znieść.

– Jutro nie pójdziesz do szkoły – powtórzyła babka Olena.

– Ależ to nic nie zmieni! – zwołałam.

– Zmieni – powiedziała twardo i otworzyła szafę.

Przeraziłam się, że zaproponuje mi donaszanie swoich przedwojennych spódnic. Ona jednak spod równiutko ułożonej pościeli wydobyła kilka banknotów.

– Trzymałam to na czarną godzinę albo na śmierć – wyjaśniła – żeby kiedyś nie było kłopotu z pochówkiem. Ale czy to wiadomo, kiedy ja umrę? Odkąd mnie wyleczyłaś, Bogu dzięki czuję się dobrze. Pojedziemy jutro do Białegostoku i kupimy sukienkę.

– Nie, babciu. Nie mogę się na to zgodzić.

– Nie bądź głupia. Pieniądze zawsze się znajdują, jak będzie potrzeba. A te? Po co mają leżeć? – Otwórz lepiej drzwi – dodała słysząc pukanie.

Był wczesny wieczór i do babki Oleny zaczęły schodzić się sąsiadki. Umknęłam na

górze i zaszyłam się z książką w ulubionym kąciku miękkiego łóżka. Po pewnym czasie na schodach usłyszałam posapywanie i czyjeś kroki. Drzwi uchyliły się nieznacznie i w szparze ukazała się rumiana twarz Antałówkowej.

– Uczysz się? – zapytała przymilnie.

– Nie, proszę. Niech pani wejdzie – odparłam zaskoczona niespodziewaną wizytą.

– Ale nas tu więcej – powiedziała i uśmiechnęła się sprytnie.

Westchnęłam, odłożyłam książkę i podkurczyłam nogi, robiąc miejsce na łóżku. Antałówkowa weszła pierwsza, za nią wsunęła się Jasiukowa, Wincukowa, a na końcu babka Olena.

– Posłuchaj, Juliana – zaczęła Antałówkowa, sadowiac się obok mnie na łóżku – babka Olena powiedziała nam o twoim kłopotcie. A ja tobie powiem tak: zamiast płakać, trzeba było od razu mówić nam, co i jak. Moja synowa, co się wyprowadziła jeszcze jesienią, zostawiła maszynę do szycia, bo niby w nowym mieszkaniu nie ma miejsca. Stoi tylko i zawadza, bo jazyć nie umiem. Ale Wincukowa umie. Tylko powiedz jej, co ma być, to ona ci uszyje. Już ty tam przecież widzisz, jak się panny w szkole ubierają. My nie pozwolimy wyśmiewać się z nikogo z naszej wioski. Bo my, o! – zacisnęła pięść i podstawiała mi pod nos. – Tak się razem trzymamy! Nie damy krzywdy zrobić. Wincukowa ci uszyje, a ty jej nerki wyleczysz, bo coś ostatnio narzeka.

Spojrzałam na Wincukową, która natychmiast przybrała bolesciwą minę i pokiwała głową. Babka Olena na wszelki wypadek też pokiwała.

– Proszę, nich panie usiądą – zaproponowałam, korzystając z tego, że Antałówkowa zamilkła.

Kiedy zajęły miejsca, gdzie która mogła, zapytałam:

– Ale z czego pani Wincukowa będzie te sukienki szyła?

– Materiał się znajdzie. We wsi są takie, co paczki z UNRRY dostawały i do dzisiaj trzymają długie amerykańskie kiecki. Można przerobić – powiedziała Antałówkowa. – I nie próbuj się sprzeciwiać – dodała ostro, kiedy otworzyłam usta, by zaprotestować.

– Nie, nie... Ja przecież nic nie mówię – wyjąkałam.

– Moja siostra takie paczki do domu z roboty przynosiła – wspomniała z rozmarzeniem Antałówkowa. – Pracowała wtedy w fabryce. Mieszkałyśmy razem zaraz po wojnie. Ale potem poznałam mojego chłopca i tutaj za nim przyjechałam. Na te paczki z UNRRY każdy czekał. Nigdy nie było wiadomo, co w nich będzie. To jak prezent od świętego Mikołaja. Przeważnie było jedzenie, ale jakie! Wszystko nie po naszymu opisane, tylko po angielsku. A przecież dla nas angielski to, jak nie przymierzając, chiński albo japoński. Po niemiecku czy rosyjsku to jeszcze można było się doczytać, ale po angielsku nikt nie rozumiał.

– Pamiętam – wtrąciła Wincukowa – jak stary z PGR-u puszek przyniósł. Baliśmy się otworzyć, bo dziwne jakieś nazwy były popisane. Ale wszyscy otwierali, to my też.



A tam na przykład kaszanka albo tuszonka. Albo konina! Koniny ludzie nie chcieli jeść. Woleli zjeść mięso z krowy, co padła na jakąś chorobę, niż tę koninę.

– Kiedyś siostra przyniosła taką dużą paczkę jakiegoś smarowidła. Powiedziała, że wzięła, bo nikt w całej fabryce tego nie chciał. A to było masło orzechowe! Widział kto kiedy masło orzechowe? Na miesiąc nam starczyło. Nic innego nie jadłyśmy, tylko to masło – przypomniała sobie Antałówka.

– A ładne, kolorowe wszystko było. Dzieciaki nawet papierki po cukierkach zbierały – dodała Wincukowa.

– Dzieciaki też krzywdy nie miały. UNRRA przysyłała i zabawki, i ubrania. Najbardziej lubiłam, jak ciuchy przychodziły – powiedziała Antałówka i aż uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Nosić tego się nie dało, były dziwaczne i wstyd było w tym wyjść na ulicę. Ale jak kto potrafił, pruł i po swojemu uszył. Teraz też tak zrobimy. Baby trzymają takie łachy po szafach, bo choć dziwne, to wyrzucić szkoda.

Następnego dnia wbrew naleganiom babki Oleny, żebym została w domu, wybrałam się do szkoły. Wprawdzie miałam na sobie tę samą kusą sukienkę, ale czułam się dużo różniej. Na przerwie nie uciekłam do biblioteki, tylko zostałam w klasie, gdzie chłopcy prowadzili spór na temat dynastii polskich władców. Matura zbliżała się wielkimi krokami i czasami dochodziło do spierania na tle różnic poglądowych.

– Juliana, kto był pierwszy Łokietek czy Kazimierz Wielki? – zapytał Cezary, który zawsze kulał z historii.

– Łokietek – odparłam. – Kazimierz Wielki był zaraz po nim.

– To on zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną?

– Nie, tamten był prawie trzysta lat wcześniej. Kazimierz Odnowiciel.

– Ale ty jesteś obkuta – gwizdnął z podziwu. – Maturę masz w kieszeni.

– Kto ma maturę w kieszeni? – zapytała wchodząca ze swoją świtą Maryna.

– Juliana – odparł Cezary.

– Ach, Juliana – Maryna wyduła pogardliwie usta i uśmiechnęła się do najbliższej stojącej koleżanki. – Żeby jej tylko ta matura nie wypadła z dziurawej kieszeni.

– A ty, Maryna, nie będziesz miała co włożyć do swojej. Masz osiemnaście lat i całkiem pusto w głowie – skwitował Cezary.

Wieczorem zjawił się Janek. Pod pachą niósł duże pudło.

– Janek! – ucieszyłam się. – Tyle czasu cię nie widziałam!

– Pracuję, to i czasu niewiele mi zostaje. Jeszcze w domu muszę pomagać matce. Ale dzisiaj przyszedłem, bo... – przerwał i zerknął znacząco na pudło. – Możemy pójść do twojego pokoju?

– Oczywiście, chodź – zaprosiłam go i ruszyłam pierwsza ku schodom. – Co tam masz? – zapytałam, gdy z ulgą odstawił swój ciężar.

– Niespodziankę dla ciebie. To również zajęło mi sporo czasu.

– Ale co to jest? – niecierpliwiłam się.  
– Złożyłem radio. Dla ciebie – powiedział z dumą.  
– Radio? – dziwiłam się, pomagając mu rozsupłać sznurek zawiązany na szarym papierze. – Sam je złożyłeś?

– Sam. To dla ciebie – powtórzył i wypiął dumnie pierś.  
– Och, dziękuję! Bardzo się cieszę! – zawołałam przyglądając się Jankowi z podziwem.

On tymczasem podłączył swój wynalazek do prądu i zaczął kręcić gałką. Rozległy się trzaski i szum.

– Chyba nie działa – zmartwiłam się.

– Jak to nie działa? – oburzył się Janek. – Zaraz zobaczysz, jak działa.

Z głośnika zaczął wydobywać się niewyraźny bełkot i już po chwili usłyszałam głos spikera.

– Działa! – zawołałam i klasnęłam w ręce.

Usiedliśmy na łóżku i przez chwilę słuchaliśmy nadawanych właśnie wiadomości.

– Juliana... – Janek dotknął mojej ręki i zajrzał mi w oczy. – Dzisiaj przyszła do mojej matki Antałukowa...

– Chora? – zaniepokoiłam się.

– Coś ty?! – obruszył się. – Chora? Antałukowa? Po jakiś materiał przyszła. Mówiła, że dla ciebie na sukienkę. Matka miała coś tam w szafie i jej dała, bo sama nie potrzebuje.

– Podziękuj jej – powiedziałam zażenowana. Było mi głupio, że Antałukowa chodzi po wsi i prosi o materiał na ubranie dla ubogiej sieroty.

– To nie o to chodzi, że dała. Co tam jakaś szmata, ale... Po co ci ta sukienka?

– No... – zaskoczona pytaniem, nie potrafiłam udzielić żadnej sensownej odpowiedzi. – Ze starej już wyrosłam i... i mankiety całkiem się przetarły.

– Pytam, bo ty jesteś, no wiesz... Ty jesteś bardzo ładna, a jak dostaniesz nową sukienkę, to nie wiem... – jąkał się zmieszany.

– Czego nie wiesz? – nie rozumiałam.

– Nie wiem, czy będziesz mnie wtedy chciała – wyrzucił z siebie i wbił oczy w podłogę.

– Janek, co ty opowiadasz? – roześmiałam się. – Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– O to chodzi, że my nie musimy się tylko przyjaźnić. Ja bym chciał... – Janek podniósł oczy i przez chwilę patrzył na mnie błagalnie, jakby oczekiwał pomocy z mojej strony. Tyle że ja zupełnie nie wiedziałam, co on ma na myśli.

– Co byś chciał? Mów! – ponagliłam go zniecierpliwiona.

– Juliana, wyszłabyś za mnie? – wydusił z siebie i poczerwieniał jak pomidor.

Zaskoczył mnie.

– Ale ja jeszcze się uczę – powiedziałam wykrętnie.  
– Wiem. Ale potem, jak skończysz szkołę. Wyszłabyś?  
– Skąd mam wiedzieć? Nie zastanawiałam się nad tym.  
– Widzisz. A ja się zastanawiałem. I to nie jeden raz. Ciągłe o tym myślę.  
– Janek, nie możemy porozmawiać o tym kiedy indziej? Nie jestem gotowa do takiej rozmowy.

– Kiedy indziej? Tylko patrzeć, jak zaczną kręcić się koło ciebie tacy różni. A gdy jeszcze tę nową sukienkę będziesz miała...

– Sukienka nie ma tu nic do rzeczy – oświadczyłam ze złością, że mi ją ciągle wypomina. – Ja po prostu nie dojrzałam jeszcze do małżeństwa.

– Radio dla ciebie złożyłem i myślałem, że...

– To źle myślałeś – zdenerwowałam się. – Wiesz co? Zabieraj to radio z powrotem. Nie pozwolę się nim szantażować.

– Nie, przestań, Juliana! Wcale nie zamierzam cię szantażować. Przepraszam. Może rzeczywiście jest na taką rozmowę za wcześnie. Poczekam.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Z radia dobiegał głos Mieczysława Fogga:

*O matce pieśń, to pieśń przez łzy, to pieśń bez słów  
To cały świat, dziecinnych lat, wskrzeszonych znów  
To matko sny, że jesteś znów tak blisko...*

śpiewał piosenkarz matowym głosem, wzbudzając we mnie tęsknotę za leśną chatą, w której krzątała się moja matka z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Wszystko zepsułeś – powiedziałam cicho.

– Co zepsułem? – zdziwił się.

– Zepsułeś naszą przyjaźń. Już nie będzie tak samo. Po co mówiłeś to wszystko?

– Jak to po co? Kocham cię i chcę, żebyś była ze mną!

Zrobiło mi się go żal. Wyglądało na to, że mówił szczerze.

– Daj mi trochę czasu – poprosiłam.

– Nie będziesz szukała nikogo innego? – zapytał.

– Nie będę. Obiecuję – odparłam.

Pierwszego maja odświętnie wystrojoni zebraliśmy się przed szkołą. Był to przecież dzień wyjątkowy. Ustawiono nas czwórkami, wetknięto w ręce furkoczące na wietrze szturmówki i przy dźwięku werbli poprowadzono na pochód, którym mieliśmy uczcić Święto Pracy. Śpiewaliśmy pieśni, pod chmury piętrzące się nad miasteczkiem wlatywały okrzyki dumy i radości kierowane do siedzących na trybunach towarzyszy z komitetu partii, którzy z tych wyżyn obserwowali lud pracujący. Pierwsze szeregi, które zasilali przodownicy pracy, z powagą niosły portrety przywódców. Dalej szła inteligencja: lekarz, dyrektor fabryki i różni kierownicy oraz inżynierowie.

Za nimi jechali na furmankach chłopci z PGR-u, wiozący przystrojony wstążkami snop zboża. Kolorowo ubrane działaczki powiewały transparentami, z których wynikało, że robotniczo-chłopski sojusz jest w doskonałej formie. Wszyscy zachowywali się jak zadowoleni poddani machający chorągiewkami do swojego władcy. Po spełnieniu obowiązku obywatele mogli wreszcie się rozejść i skorzystać z atrakcji oferowanych w dniu tak wyjątkowym. Na placu rozstawiono kramiki i stragany, gdzie sprzedawano towar na co dzień niedostępny. Można było kupić bułkę z kiełbasą suto posmarowaną musztardą, ćwiartkę stołowej wódki, watę cukrową, wielkie jak talerz lizaki i cukierki w przezroczystych papierkach. Na trybunie grała kilkusobowa orkiestra, fruwały balony i kręciły się wesoło wiatraczki. Dzieci z papierowymi chorągiewkami w umorusanych dłoniach biegały i dokazywały radośnie.

Wszyscy się rozeszli i zostałam zupełnie sama. Nie miałam pieniędzy, więc wędrowałam tylko od jednego stoiska do drugiego, oglądając gwizdki z kogucikiem, gliniane figurki czy piłeczki na gumce. Było bardzo ciepło, ubrałam się więc w nową sukienkę z kwiecistego kretonu, którą wczoraj przyniosła Wincukowa.

– Zostaniesz na zabawie? – usłyszałam nagle tuż za plecami nieznamy męski głos.

Nie wiedziałam, czy pytanie skierowane było do mnie, więc nie odwracając głowy próbowałam wycofać się z tłumu, który się za mną zgromadził.

– Pytałem, czy zostaniesz na zabawie – powtórzył głos.

Odwróciłam się i spojrzałam na natręta.

– Fiuu – gwizdnął – księżniczka... Zostaniesz?

– Nie zamierzam zostawać na zabawie – odparłam zimno. – Przepraszam, chcę przejść.

– Proszę, proszę – zaśmiał się grubiańsko i przesunął się w taki sposób, żeby mi to jeszcze bardziej utrudnić.

Zrobiłam krok w drugą stronę, ale tę drogę też mi zastąpił.

– Przepraszam, chcę przejść – powtórzyłam ostro.

– Przejdź księżniczko, przecież cię nie trzymam – roześmiał się bezczelnie.

Obróciłam się w przeciwnym kierunku i przepchnęłam brutalnie przez grupkę dziewczyn oglądających zapinki do włosów. Przebiegłam kilka metrów i wtopiłam się w kolejkę stojącą po zimną oranżadę. Po chwili opuściłam kolejkę i spokojnie ruszyłam w kierunku alejki prowadzącej do wyjścia.

– Zaczekaj księżniczko! – zawołał natręt, który pojawiwszy się nie wiadomo skąd, złapał mnie za łokieć.

– Puść! – krzyknęłam uwalniając się z jego uścisku.

– Jaka wrażliwa – zarechotał. – Gardzisz takimi jak ja? No powiedz, gardzisz? – zapytał zaczepnie.

– Odczep się – syknęłam. – Zostaw mnie w spokoju!

– Ani myślę – wysapał prosto w moją twarz, przyciskając mnie do siebie.

Zrobiło mi się niedobrze od zapachu wódki i taniej wody kolońskiej, którą wylał na siebie w ilościach przekraczających granice dobrego smaku.

– Patrzcie, Dors ściska się z jakimś bubkiem! – dotarł do mnie nagle głos Maryny i śmiech towarzystwa, w którym się znajdowała.

Mimo że Maryna była ostatnią osobą, którą prosiłabym o pomoc, uczepliłam się jej obecności, jak tonący brzytwy.

– Ratunku! – zawołałam głośno, uwalniając się na chwilę z uścisku napastnika. – Zostaw mnie, rozumiesz?! Zostaw!

Wbrew moim przewidywaniom, że Maryna będzie miała jedynie temat do nowych szyderstw, grupa dziewcząt pojawiła się natychmiast.

– Ty świni! – zapiszczała jedna z nich i przyłożyła natrętowi torebkę.

Pozostałe, już nie czekając, okładały go, czym tylko mogły: parasolką, siatką pełną tandetnych jarmarcznych zakupów, drewnianym motylem na długim patyku, a Maryna tłukła go gustownym pantofelkiem na wysokiej szpilce. Potem ze śmiechem patrzyły, jak ucieka i szybko ginie w tłumie.

– No, załatwiłyśmy go! – zawołała Maryna i włożyła pantofelek na zgrabną stópkę. – Skąd ty go wzięłaś? – zwróciła się do mnie. – Co za cham!

– Zaczepił mnie i zaczął za mną łązić – odparłam jeszcze roztrzęsiona.

– Trzeba było nie zakładać kiecki w kwiatki, tylko... – zaczęła Maryna, ale Basia przerwała jej w pół słowa.

– Przestań, Maryna! Nie dokuczaj Julianie. I tak jest przestraszona. – Po czym zwróciła się do mnie: – No, już po wszystkim. Nie denerwuj się – uspokajała obejmując mnie ramieniem.

– Chodź lepiej z nami, żeby znowu nie spotkała cię jakaś niemiła przygoda – zaproponowała Ela i zerknęła z ukosa na Marynę, która tylko wzruszyła ramionami.



## 6

Tyle strachu przed maturą, i wreszcie miałam ją już za sobą. Po intensywnej nauce w pocie czoła i celującym zaliczeniu egzaminów ogarnęła mnie pustka. I co teraz? Praca? Dorosłe życie? O studiach nie mogłam nawet marzyć, choć nauczyciele bardzo mnie do tego namawiali. Na razie postanowiłam odpocząć i cieszyć się wakacjami. Z biblioteki przywiozłam stos książek, z postanowieniem czytania, czytania, czytania.

Niestety, nie zawsze los daruje to, czego akurat oczekujemy. Na początku czerwca Romańczukowa spadła z drabiny i w ciężkim stanie została zawieziona do szpitala. Wiadomość tę przyniosła Wincukowa, która wybrała się do szeptuchy po nowe zioła na schorowane nerki.

– Romańczukowa do stodoły laźła, bo kotka jej się tam okociła. Noga jej się obsunęła i spadła, biedaczka, z samej góry. I teraz ty będziesz mi nerki leczyć – dokończyła z niejaką pretensją w głosie. Natychmiast stanęła mi przed oczami sukienka, którą dla mnie uszyła.

– Dobrze – bąknęłam. – Oczywiście, mogę spróbować.

Zaraz potem pobiegłam do Janka. Siedział zupełnie zdruzgotany na ganku i gapił się przed siebie.

– Juliana... – odezwał się na mój widok i podniósł się z ganku. – Matka musiała aż z drabiny zlecieć, żebyś raczyła sobie o mnie przypomnieć.

– Janek, nie bądź niesprawiedliwy. Uczyłam się. Poza tym taka sama droga... – odgryzłam się.

– Niby taka sama, ale po naszej ostatniej rozmowie nie chciałem się narzucać. Kto tam wie, co ty w sercu nosisz. Niby jesteś miła, a jak przyjdzie co do czego, to się dąsz.

– Jak czuje się mama? – zmieniłam temat, nie chcąc wracać do tamtej rozmowy.

– Jak ma się czuć? Obie ręce złamane i coś w środku pękło. Od razu poszła na stół.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, jestem do dyspozycji. Mam teraz wakacje, więc mogę

tu do ciebie zajrzeć.

– Nie potrzebuję pomocy. Jestem dorosły, dam sobie radę. Ale miło byłoby, gdybyś czasem przyszła.

Rozpięta koszula ujawniała umięśnioną klatkę piersiową pulsującą przyspieszonym oddechem. Patrzyłam na mocne ramiona Janka, delikatny zarost na nieogolonej twarzy. Jeszcze niedawno jeździliśmy razem rowerami do szkoły. Kiedy zdążył stać się mężczyzną?

– Dobrze, przyjdę – powiedziałam po chwili.

Rozmowa nie kleiła się. W powietrzu wisiało napięcie, którego żadne z nas nie potrafiło bądź nie chciało rozładować.

– To niczego nie potrzebujesz? – upewniałam się.

– Niczego – odparł.

Postaliśmy chwilę, szukając w myślach bezpiecznego tematu do rozmowy.

– Pójdę już – powiedziałam po długim milczeniu.

– Odprowadzę cię – ożywił się Janek i obejrzał się na drzwi, żeby sprawdzić, czy są zamknięte.

– Nie trzeba, poradzę sobie – uśmiechnęłam się blado.

– Jak chcesz – odrzekł obojętnie. – Nie to nie.

Ruszyłam przed siebie, a on znowu usiadł na ganku. Było mi go żal, ale nie wiedziałam, jak okazać mu współczucie, żeby nie zinterpretował tego po swojemu. Ogarnął mnie żal po utraconej bezpowrotnie przyjaźni, która nie przetrwała tylko dlatego, że zaczęliśmy odbierać ją inaczej. Janek był mi bliski, ale czy go kochałam? A on? Czy kochał mnie?

Po kilkudziesięciu przemierzonych metrach usłyszałam szybkie kroki. Ktoś za mną biegł. Zatrzymałam się, ale nie odwróciłam głowy. To mógł być tylko Janek.

– Juliana! – zawołał zdyszany głosem.

Nie mógł widzieć, że uśmiechnęłam się leciutko. Słyszałam, jak zwolnił kroku. Piasek chrzęścił pod jego butami, mimo że starał się iść cicho. Podszedł blisko, przed sobą widziałam jego cień.

– Juliana – szepnął, a jego ramiona otoczyły mnie jak żelazna obręcz. – Potrzebuję cię. Zostań.

Po niespełna czterech tygodniach Romańczukowa miała opuścić szpital. Janek zaprzął konia i wczesnym rankiem wyruszył do Białegostoku. Zgodziłam się towarzyszyć mu w tej podróży. Janek zostawił furmankę ze mną przed szpitalem i sam poszedł po matkę. Romańczukowa przyszła blada i wychudzona. Na słowa powitania kiwnęła tylko głową. Usadowiła się na wozie i szturchnęła syna w ramię.

– Jedź, Janek – mruknęła.

Jechaliśmy w milczeniu. Dopiero w połowie drogi odezwała się do mnie:

– Gips zdjęli, ale ręce mam jeszcze słabe, niesprawne. Ciężko będzie w chałupie coś robić.

– A Janek nie może pomóc? – zapytałam.

– Jak będzie, to pomoże, ale on przecież do roboty teraz chodzi. Pomyślałam sobie, że to najlepsza pora, żebyś do mnie na naukę przyszła.

– Mogę przyjść, żeby w gospodarstwie pani pomóc, ale nie będę się niczego uczyć – zaprotestowałam.

Romańczukowa spojrzała na mnie wrogo, ale widząc mój niezłomny wyraz twarzy, złagodniała i powiedziała miękko:

– Ty, Juliana, jesteś stworzona do tego, żeby pomagać ludziom. Wiem, co mówię. Tobie nie wolno odmawiać, rozumiesz? Nie wolno! – uniosła głos, ale nie było w nim gniewu, tylko rozpacz, która zabrzmiała jak skomlenie psa.

– Dobrze, proszę pani – zgodziłam się natychmiast, patrząc na nią zaskoczona. – Przyjdę.

Szeptucha nie uczyła mnie prawosławnych modlitw. Nie wymagała też ode mnie, bym rozumiała sens palenia ziół, leczenia popiołem i odczytywania znaków z topionego wosku. Moja wiedza miała ograniczyć się do rozpoznawania chorób i stosowania na nie odpowiednich mieszanek ludowych medykamentów. Uczyłam się wykonywania masażu kojących bóle, nastawiania kręgow i złamanych kości. Asystowałam jej w przyjmowaniu pacjentów i pod koniec wakacji samodzielnie potrafiłam określić, gdzie znajduje się źródło ich dolegliwości. Babka Olena, która widywała mnie teraz tylko wczesnym rankiem i późnym wieczorem, była dumna, że kształcę się u szeptuchy i rozповідаła o tym w całej wsi.

Pewnego ranka usłyszałam głośne walenie w okno. Półprzytomna, w nocnej koszuli płaczącej się pod nogami zbiegłam na dół. Babka Olena zdążyła już otworzyć drzwi niespodziewanym gościom. W progu stał Staszek, który popychał przed sobą żonę Jadźkę, trzymającą w ramionach tłumok z dzieckiem. Patrzyła na mnie błagalnie, ale nie miała śmiałości, żeby się odezwać. Przez moment zastanawiałam się, gdzie uleciała cała jej butność.

– Juliana – odezwał się Staszek – pomóż, dzieciak chory!

Wyrwał z rąk Jadźki niemowlę i zaczął rozwijać je z koca i flanelowych pieluszek.

– Po co ją tak opatuliliście? – zapytałam oburzona. – Przecież jest ciepło.

– Gorączkę ma – bąknęła Jadźka i zerknęła spłoszona na Staszka.

Dziecko było zgrzane i mokre od potu. Oddychało ciężko przez rozchylone usta.

– Dlaczego nie zawieziecie jej do lekarza? – zapytałam podchodząc bliżej i przyglądając się dziecku.

– Do lekarza? – zdziwił się Staszek – Po co do lekarza? A ty?

– Ja nim nie jestem – odparłam. – Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Nie wiem, co jest dziecku.



– Widzisz? – wtrąciła Jadźka. – Mówiłam, że ona naszych dzieci nie będzie leczyć.  
– Cicho bądź – fuknął na nią mąż. – Juliana – zwrócił się do mnie – wszyscy wiedzą, że leczysz ludzi. Dlaczego nie chcesz nam pomóc?  
– Nie potrafię. Nie mam pojęcia, na co zachorowało wasze dziecko.  
– To je zbadaj. Nie możesz jej zbadać? – denerwował się Staszek.  
– Zbadać? – Rozłożyłam bezradnie ręce. – Czym?  
– Rękami. Ty umiesz. Szeptucha mówiła, że czasem radzisz sobie lepiej od niej.  
– Nie proś jej – odezwała się znowu Jadźka. – Nie to nie. Nie trzeba. Jak dzieciak umrze, sumienie ją zeżre. Chodźmy.

Zaczęła zawijać kwilące dziecko w pieluchy i koc, mrużąc coś pod nosem. Babka Olena przyglądała się temu w milczeniu.

– Julianka – powiedziała w końcu – spróbuj. Dziecko nic nie winne, że Jadźka wszystkim po złości robi. Taka ona jest. Ale Staszka lubisz. Nie raz mówiłaś...

– Ależ babciu! – oburzyłam się. – Tu nie chodzi wcale o Jadźkę ani o Staszka. Ja nie mogę podejmować się leczenia dziecka. To powinien zrobić lekarz.

– Ale innych leczysz – powiedziała nadąsana Jadźka i pchnęła Staszka w kierunku drzwi.

– Nie lecę. Pomagam tylko – próbowałam się usprawiedliwić.

– Więc nam też pomóż – zażądał Staszek, odebrał niemowlę od Jadźki i położył je na kuchennym stole. Tym razem rozpłakało się na dobre.

Westchnęłam, rozwinęłam je ponownie i dotknęłam rozpalonego czółka. Korzystając z tego, że krzyczało wniebogłosy, usiłowałam zajrzeć do gardła, ale przy słabym świetle wpadającym przez okno i tak nie mogłam zbyt wiele zobaczyć.

– Od dawna gorączkuje? – zapytałam.

– Nie. Wczoraj zaczęła – odpowiedziała Jadźka.

– Pojawił się katar? Kaszel? Coś niepokojącego?

– Nie. Tylko ta gorączka.

– Nie przegrzewajcie jej – poradziłam. – Podawajcie dużo płynów, róbcie chłodne okłady. Po trzech dniach powinna pojawić się wysypka. Wtedy temperatura spadnie i będzie po chorobie. Jeśli tak się nie stanie, koniecznie zgłóście się do lekarza.

– Dobrze, dziękuję. Dziękuję bardzo – powiedział Staszek i położył na stole banknot.

– Zabierz te pieniądze – powiedziałam – to tylko pomoc sąsiadka, nic więcej.

– Weź, przydadzą ci się – powiedziała Jadźka i po raz pierwszy się uśmiechnęła. – Teściowa cielaka sprzedała, weź.

– Nie chcę. Dziękuję. I to nie dlatego, że wy macie, a ja nie. Pomogłam po sąsiadku, nie dla zarobku. I pamiętajcie: jeżeli po trzech dniach małej nie przejdzie, jedźcie z nią do lekarza.

– Pojedziemy, pojedziemy – zapewniła Jadźka. – Jeszcze raz dziękuję.

Zgarnęła pieniądze ze stołu i z tłumoczką w ramionach, w towarzystwie Staszka zniknęła za drzwiami.

Siedzącą na ławie pod oknem babkę Olenę rozpierała duma.

– Widzisz, jaka ty jesteś mądra? Mądrzejsza nawet od samej szeptuchy – pochwaliła mnie. – Ona pewnie nie poznałaby się na takiej chorobie. A ty? Proszę. Jak prawdziwa doktorka!

– Babciu, wcale się nie poznałam. Sama na to chorowałam, jak byłam mała. Moja mama mi o tym opowiadała.

– Wiesz, co ci powiem? Nie jest ważne, gdzie człowiek się uczy. Ważne, żeby tę wiedzę zapamiętał i umiał z niej skorzystać. Wtedy można o nim powiedzieć, że jest mądrym, a nie uczonym człowiekiem.

Całe lato spędziłam na odkrywaniu tajemnic szeptuchy, zbieraniu ziół, sporządzaniu nalewek i herbatek. Każda buteleczka i każda torebka były dokładnie opisane. W moim pokoju powstała na półce apteczka z domowymi specyfikami. Skrupulatnie prowadziłam zielnik, w którym zamieszczałam informacje na temat leczniczych roślin i ich skuteczności. Niedziele były jedynym dniem, kiedy nie poświęcałam się swojej pasji ani też pacjentom Romańczukowej. Ostatnia niedziela sierpnia była pochmurna i nie skłaniała do spacerów. Zbierało się na deszcz, postanowiłam więc uporządkować swój pokój. Opróżniłam szufladę komódki i zaczęłam przeglądać wydobyte z niej szpargały. W większości były to szkolne notatki i moje zapiski dotyczące ziół, których opis działania zamierzałam sprawdzić przy okazji, będąc w bibliotece. Na samym dnie szuflady spoczywało świadectwo maturalne, które po raz kolejny skłoniło mnie do refleksji nad przyszłością. Czy naprawdę moim celem jest kariera wiejskiej znachorki? Czy na zawsze mam utknąć na głuchej wsi, zbierając zioła i udzielając rad ludziom przekonanym, że uchronię ich od choroby, a nawet śmierci? Mam podzielić los szeptuchy Romańczukowej? Tak siedząc na podłodze, ze świadectwem w ręku, zastał mnie Janek.

– Ledwie zdążyłem przed deszczem! – zawołał od progu. – Szkoda, bo myślałem, że pójdziemy do lasu. Właśnie odkryłem miejsce, gdzie jest mnóstwo... – przerwał nagle i zapytał patrząc na wygarnięte z komódki papiery: – Szukasz czegoś?

– Nie – powiedziałam chowając za siebie świadectwo. – Porządkuję swoje rzeczy. Miło cię widzieć. – Nie wiem, dlaczego poczułam się zmieszana, jakby przyłapał mnie na czymś złym lub wstydlwym. Szybkim ruchem wsunęłam świadectwo do szuflady i zatrasnęłam ją.

– O, przepraszam, zobaczyłem cię i z wrażenia nawet nie przywitałem się. – Janek podszedł blisko z zamiarem pocałowania mnie w usta. Odsunęłam się nieznacznie. Zrobiłam to automatycznie, gest ten jednak nie uszedł uwadze Janka. – Co się stało? Dlaczego się odsuwasz? – zapytał skonsternowany.

– Nie wiem. Tak jakoś... – bąknęłam. – Dobrze, że przyszedłeś. Chciałabym, żebyś

doradził mi w pewnej kwestii.

– Ja? Doradził? – zdziwił się szczerze. – Zawsze uważałem, że jesteś ode mnie mądrzejsza i...

– Janek – przerwałam mu. – Myślę, że powinnam dalej się uczyć.

– A czego ty chcesz się uczyć? Przecież skończyłaś liceum. Nawet maturę zdałaś. Reszty nauczy cię moja matka. Ożenię się z tobą i zamieszkamy u nas. Albo u babki Oleny, jeśli się zgodzi.

– Ja tak nie chcę – powiedziałam i spojrzałam na niego wyzywająco.

– Nie chcesz? A jak chcesz? – w jego głosie było tyleż zdumienia, co oburzenia. Widocznie nie widział dla mnie innej przyszłości.

– Muszę stąd wyjechać – powiedziałam.

– Wyjechać?! – zdziwił się jeszcze bardziej. – Żle ci tutaj? Masz babkę Olenę, dom, który pewnie kiedyś zostanie dla ciebie, masz mnie, moją matkę. Ludzie cię tu szanują... Czego ty jeszcze chcesz?

– To mi nie wystarcza. Nie chcę tak żyć. Lubię babkę Olenę i jestem jej wdzięczna, ale chcę czegoś więcej. Poza tym mam rodzinę i chcę ją odnaleźć – dodałam szybko swój, wydawałoby się, koronny argument.

– Po co? – obruszył się. – Gdyby tej rodzinie na tobie zależało, dawno by cię sama znalazła.

– Moja rodzina nie wie o moim istnieniu.

– I dobrze. Niech więc tak zostanie. Pamiętaj, że będąc twoim mężem, nie pozwolę ci nigdzie się tułać. Będę pracował, niczego ci nie zabraknie. Po co ci jakaś tam nieznaną rodzinę? – Usiłował mnie przekonać, ale w jego oczach czaił się lęk. Bał się, że odejdę i zostawię go.

We mnie natomiast z każdą minutą dojrzewała myśl, że tak właśnie powinnam zrobić. Uciec stąd. Lubiłam Janka, ale wiedziałam to już na pewno to, że nie chcę, by został moim mężem.

– Janek, pozwól mi żyć według własnych przekonań – powiedziałam twardo.

– Jakich przekonań? – zdziwił się. – Nie będziesz leczyć ludzi?

– Być może będę. Ale nie w ten sposób.

– A w jaki?

– Chcę skończyć medycynę.

– Chcesz być ważną panią doktor, tak? – warknął. – Będziesz paniusią z miasta i nawet nie spojrzysz na mnie, zwykłego mechanika w roboczym ubraniu. Takiego bez krawata i bez garnituru. Pójdiesz na studia i zapomnisz o mnie. Od razu zapomnisz. Pewnie – dodał gorzko – do czego ja ci będę potrzebny? Nawet nie jeździsz już rowerem, z którego spadał ci łańcuch. Swoje zrobiłem, mogę odejść! – zakończył ze złością.

– Janek, to nie tak... – próbowałam złagodzić jego gniew.

– Nie tak? No to powiedz, jak, no powiedz! Zostaniesz moją żoną?!

Milczałam.

– Juliana, kocham cię – zmienił ton i przemówił bardzo łagodnie. – Przed tobą nigdy nikogo nie kochałem. Proszę cię o rękę. Chcę, żebyś była ze mną. Żebyś została moją żoną, taką na całe życie. Powiedz, że się zgadzasz. Proszę... Zgadzasz się?

– Nie. Wybacz.

Wybiegł jak wichur. Słyszałam tylko głośny tupot nóg na schodach. Osunęłam się na podłogę i oparłam plecami o łóżko. Trwałam tak, dopóki do pokoju nie weszła babka Olena.

– Ot, pędziwiatr – mruknęła kręcąc głową. – I po co on tak na ten deszcz poleciał? A co ty, Julianka? Płaczesz? Julianka!



## 7

**B**abka Olena nie chciała słyszeć o żadnym wyjeździe. Argumenty, które przytaczałam, zupełnie do niej nie trafiały. Była tego samego zdania, co Janek, w dodatku najchętniej kibicowała by mu w jego zalotach, gdyby nie obraził się na dobre. Tymczasem od pamiętnej rozmowy chłopak nie pojawiał się w okolicach naszego domu.

– Rób, jak chcesz – skwitowała w końcu. – Dałam ci serce i dach nad głową. Więcej dać ci nie mogę, bo nie mam. Ale po mojej śmierci wzięłabyś to wszystko – rozejrzała się po kuchni, w której prowadziliśmy niełatwą dla mnie rozmowę. – I co? Źle by ci było? Żyłabyś jak pani. A Janek dobry chłopak, pracowity, mechanik przecież. I do kieliszka nie zagląda. Poważanie miałabyś we wsi większe niż niejedna doktorka! Na szeptuchę popatrz. Tyle ludzi do niej przychodzi i każdy z szacunkiem, a niekiedy i z podarkiem. Gdyby tylko chciała brać, to ho, ho! Żyłaby jak jakaś hrabina! Ech, głupiaś. Czego ty chcesz po świecie szukać? – Ponieważ milczałam, ciągnęła dalej, uderzając w bardziej płaczliwy ton: – A ja myślałam, że na starość opiekę mi dasz. A ty co? Zostawisz teraz starą na niepewny los, bo wiesz przecież, że siły już nie te, a i choroby mogą się przyplątać...

– Ależ babciu – zaprotestowałam biorąc ją za rękę. – Będę tu zaglądać!

– A ja wcale tego nie chcę! – oburzyła się, wyrrywając mi swoją rękę. – Nie potrzebuję, żebyś tu zaglądała! Chowałam cię jak córkę, dla siebie, ale tobie mało! Co to za jakaś tam rodzina, o której nic nie wiesz? I po co ty tam pojedziesz?

– Nie chodzi tylko o rodzinę. Chcę się jeszcze uczyć – powiedziałam zrezygnowanym głosem. Wiedziałam bowiem, że dla babki Oleny to najślabszy z moich argumentów.

Po tej rozmowie nasze stosunki uległy wyraźnemu ochłodzeniu. Babka Olena chodziła na przemian smutna albo nadąsana. Zaczęła mnie unikać, zamykać się w pokoju i nawet wizyty sąsiadek stały się rzadkością. Po raz pierwszy poczułam się intruzem w domu, który dotąd dawał mi poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Mogłam

się jeszcze wycofać, zostać i prowadzić życie wiejskiej znachorki. Taką decyzją uszczęśliwiłabym babkę Olenę i pewnie nawet Janka, ale czy powinnam kłaść na szali własne szczęście?

Na początku września z walizką, która towarzyszyła mi od czasów toruńskich, obwiązany sznurkiem radiem od Janka i sercem przepelnionym żalem, odprowadzana ostatnim łzawym spojrzeniem babki Oleny, wsiadałam do autobusu jadącego do Białegostoku. Stamtąd miałam udać się do Warszawy, a potem do Konstancina. Dojrzałam wreszcie do decyzji odszukania rodziny, o której opowiadała mi matka. Byłam tak bardzo przekonana o słuszności tego postanowienia, że nie uległam namowom nie tylko Babki Oleny, ale pozostałych mieszkańców wsi. Być może takie tułanie się miałam wpisane w życiorys, bo plany zmieniałam już w pierwszym etapie podróży. Na przystanku w Michałowie do autobusu wsiadła Maryna z małą torbą podróżną. Nie widziałam jej przez całe lato i wydała mi się bledsza i smuklejsza niż przed wakacjami. Dostrzegła mnie od razu i uśmiechnęła się wyniośle, jednocześnie taksując wzrokiem moją sukienkę, uszytą przez Wincukową. Miejsce obok mnie było na szczęście zajęte, usiadła więc gdzieś z tyłu. Obie wysiadłyśmy na tym samym przystanku w Białymstoku. Jakież było moje zdziwienie, gdy podeszła do mnie i po przyjacielsku wyciągnęła rękę.

– Juliana – powiedziała patrząc z nutką podziwu – jakaś ty opalona! Dokąd się wybierasz z tymi pakunkami?

– Do Warszawy – odparłam krótko, nie chcąc jej wtajemniczać w moje sprawy.

– Znalazłaś tam pracę? – zdziwiła się.

– Mam zamiar to zrobić, ale też chcę się nadal uczyć – odparłam. – A ty? Pracujesz? – zapytałam, choć szczerze mówiąc, nie byłam zainteresowana losem Maryny.

– Czy pracuję? Nie... Na razie nie szukam pracy – powiedziała jakoś niepewnie.

– O! – zawołałam zaskoczona. – Wybierasz się na studia?

– No coś ty – obruszyła się. – Ledwo zdałam maturę. Moje najbliższe plany to szpital. Lekarzom coś się nie podoba. Właśnie przyjechałam na badania.

– To przykre – powiedziałam, byle coś powiedzieć.

Maryna nagle wczepiła się palcami w sweter, który miałam narzucony na ramiona, i szepnęła:

– Boję się. Wiesz, jak cholernie się boję? Lekarze patrzą na mnie i tylko kręcą głowami. Ja wiem, że coś jest nie tak, ale oni mi nic nie mówią. Jezus, nie chcę tak wcześnie umierać! Błagam powiedz, czy ja umrę? Powiedz! – zażądała, zaciskając kurczowo palce.

– Uspokój się – starałam się mówić spokojnie, chociaż nie tyle słowa, co wygląd jeszcze bardziej pobladłej Maryny przeraził mnie. – Przecież sama powiedziałaś, że lekarze nic nie mówią. Nikt nie postawił jakiegś ostatecznej diagnozy. Pewnie to nic groźnego – usiłowałam ją podtrzymać na duchu.

– Nie, nie. Nie pocieszaj mnie – mówiła szybko, patrząc na mnie rozszerzonymi przerażeniem oczami. – Ja to czuję. Wiesz, jak się czuje śmierć? Nic nie jest tak bardzo twoje, jak umieranie. Z nikim nie możesz się nim podzielić. Nawet jeśli ktoś będzie trzymał cię za rękę, to i tak będziesz sama. Staram się o tym nie myśleć, ale jak nie myśleć o czymś, co jest ostateczne? Nie widzę sensu w robieniu czegokolwiek, bo po co? Wyobrażasz to sobie? Wstajesz rano i myślisz: po co? Może to ostatni dzień... Ubierasz się i myślisz: czy to nie wszystko jedno, co dziś na siebie włożę? Albo zastanawiasz się, kto to wszystko będzie nosił, kiedy ciebie zabraknie. Boże, to takie okropne! Zanim zasnę, wyobrażam sobie kopczyk ziemi, który na mnie usypią i tę ciemność! Potworną ciemność tam, w grobie! Ja ją czuję, wiesz? Czuję śmierć!

– Przestań! – powiedziałam ostro. – Nawet jeśli nie jesteś chora, po takim nastawieniu na pewno będziesz. Nie wolno ci tak myśleć. Daj sobie szansę. Musisz się bronić, nie poddawać.

– Łatwo ci mówić. Jesteś zdrowa, życie przed tobą. I wiesz co? Wolałabym teraz mieć tylko tę twoją znoszoną sukienkę albo nawet worek po kartoflach... Dopiero teraz zrozumiałam, że te wszystkie sukienki, buty, torebki... To nie ma znaczenia.

Było mi jej żal, chociaż uważałam, że zachowuje się trochę histerycznie.

– Nie mów tak. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze – powiedziałam. – Jeśli chcesz, odprowadzę cię do szpitala. Chcesz?

Podniosła z ziemi torbę.

– Dobrze. Chodź tam ze mną – powiedziała szybko, jakby w obawie, że się rozmyślę. Dziwiłam się w duchu, że w takiej chwili nie ma przy niej rodziców, ale nic nie powiedziałam.

Nie rozmawiałyśmy przez całą drogę. Każda z nas zatopiła się we własnych myślach. Dopiero w izbie przyjęć Maryna spojrzała na mnie z nadzieją.

– Proszę, poczekaj tu, aż przyjmą mnie na oddział. Przy tobie nie boję się tak bardzo – poprosiła.

Spojrzałam nieznacznie na zegarek, chociaż godzina, którą wskazywał, nie miała znaczenia. I tak nie wiedziałam, o której odchodzi mój pociąg. Walizkę i radio postawiłam w ten sposób, żeby nie zawadzały, i odpłynęłam myślami do ostatnich chwil spędzonych z moją matką. Czy ona też czuła zbliżającą się śmierć? Chyba tak, bo bardzo bała się o mnie. Nie wiedziała, jak potoczą się moje dalsze losy. I te jej buty, które kazała mi włożyć. Nawet w obliczu śmierci obawiała się nie o siebie, tylko o mnie.

Minęło mnóstwo czasu, zanim Maryna znalazła się na szpitalnym łóżku, stojącym pod samym oknem. Starła się nadrabiać miną, ale widziałam, że odsuwa chwilę, gdy będę musiała ją opuścić. Usiadłam na białym taborecie i zamyśliłam się. Niedługo wyjdę stąd na słoneczną ulicę, wsiądę do pociągu i gdzieś tam, z dala od dusznej szpitalnej sali rozpocznę nowe życie. A ona zostanie tu, samotna, niepewna

i przerażona. Staralam się nie pamiętać upokorzeń, jakie znosiłam z jej powodu. Teraz były nieistotne. Siedziałam milcząco, bo nawet mówić nie miałyśmy o czym, dopóki pielęgniarka nie wyprosiła mnie z pokoju.

– Dziś nie ma odwiedzin, proszę wyjść – powiedziała stanowczo.

Spojrzałam jeszcze raz na Marynę, pozbierałam bagaże i bez słowa opuściłam salę chorych. Zamykając drzwi natknęłam się na lekarza i pielęgniarkę. Usłyszałam strzęp ich rozmowy.

– Proszę powiesić kartę na łóżku nowej chorej.

– Tej z białaczką?

– No tak, tylko ona jest nowa.

– Dobrze, panie doktorze.

Szłam wolnym krokiem w kierunku dworca kolejowego. Myślałam o życiu, jego ulotności i wartościowaniu tego, co nas spotyka. Na dworcu sprawdziłam rozkład jazdy. Mój pociąg odjechał trzydzieści pięć minut temu. Następny będzie za prawie osiem godzin. Zrezygnowana usiadłam na ławce. Co robić przez osiem godzin w obcym mieście, mając w kieszeni gotówkę wystarczającą za ledwie na bilet, z nieporęczną walizką i radiem pod pachą? Sięgnęłam po kanapkę i bardziej z nudów, niż z głodu zaczęłam powoli jeść. Nie mogłam uwolnić się od porannych wrażeń, jakich dostarczyło mi rozstanie z babką Oleną, a potem Maryną. Wyobrażałam ją sobie w otoczeniu białych ścian i czarnych myśli. Zupełnie samą ze swoim przerażeniem. Miałam przed sobą kilka godzin oczekiwania na pociąg. Postanowiłam więc wrócić do szpitala. Może uda mi się uprosić pielęgniarkę o kilka chwil dla Maryny? Podniosłam się z ociąganiem i bez przekonania o słuszności swojej decyzji ruszyłam tam ponownie. Wślizgnęłam się na znajomy oddział, ale kiedy przemykałam korytarzem do pokoju numer cztery, usłyszałam podniesiony kobiecy głos:

– Halo! A dokąd z tymi bambetlami, co? Tu nie wolno wchodzić!

Obejrzałam się. Salowa w białym fartuchu, z burą szmatą zawiniętą na szczotce do zamiatania patrzyła na mnie złowrogo.

– Jakby tak każdy mógł wejść w buciorach, to kto nadążyłby ze sprzątnięciem? Wszyscy chcieliby mieć czysto, a do sprzątnięcia rąk nie ma! – pomrukiwała wycierając za mną niewidzialne ślady.

– Przepraszam, ale... Ja właśnie w tej sprawie... – bąknęłam nieoczekiwanie dla samej siebie.

– Niby w jakiej? – Kobieta odwinęła szmatę i zamoczyła ją w wiadrze pełnym równie borych mydlin. Jednocześnie zerkała na mnie ponuro.

– W sprawie pracy – odparłam bez zastanowienia i rozejrzałam się, jakby te słowa wypowiedział ktoś inny.

– Tutaj? – zdziwiła się. – Takie rzeczy załatwia się w biurze – wyjaśniła nieco udobruchana. – Przy wejściu w prawo.



– Dziękuję pani – dygnęłam z uśmiechem i podążyłam we wskazanym kierunku. Co ja robię? – przemknęło mi przez myśl, zanim zapukałam do białych drzwi opatrzonej stosowną tabliczką.

– Proszę wejść – usłyszałam.

Stałam niepewnie w drzwiach. Za biurkiem siedziała kobieta w średnim wieku, o czarnych włosach upiętych w gustowny kok. Wokół uszu wiły się dwie sprężynki loków.

– Słucham? – rzuciła w moim kierunku, nie przestając wystukiwać na maszynie jakiegoś pisma.

– Szukam pracy – bąknęłam nieśmiało, nie spuszczając wzroku z jej twarzy.

Podniosła do góry brwi i zmierzyła mnie od stóp do głów zdziwionym spojrzeniem.

– Masz ukończone osiemnaście lat? – zapytała.

– Skończę za kilka dni – odparłam szczerze.

– Masz jakieś wykształcenie?

– Skończyłam liceum i zdałam maturę. Tu jest świadectwo – powiedziałam odstawiając na podłogę radio i otwierając walizkę.

– Pokaż.

Podalam jej dokument, na który rzuciła okiem i po raz drugi jej brwi dotknęły przyciętej równiutko grzywki.

– Z takim wykształceniem tutaj możesz być tylko salową – powiedziała.

– Tak, wiem – odparłam. – Chcę zarobić na studia – dodałam przypominając sobie spotkanie z Wojtkiem. To on powiedział, że można jednocześnie uczyć się i zarabiać na swoje utrzymanie.

– O, to bardzo słuszna decyzja – poparła mnie i potrząsnęła sprężynkami przy uszach. – A tutaj się przydasz. Salowych wciąż jest za mało. – Spojrzała spod ciężkich od tuszu rzęs i ostrzegła: – Ale to ciężka praca.

– Domyślam się. Postaram się wykonywać ją sumiennie.

– Nie mam wątpliwości – uśmiechnęła się, po czym zerknęła na moją walizkę. – Nie jesteś stąd? – zapytała.

Pokręciłam przecząco głową.

– Masz gdzie mieszkać?

Znowu zaprzeczyłam.

– To spory kłopot. Dla salowych nie mamy służbowych lokali. Przeznaczamy je wyłącznie dla lekarzy i pielęgniarek – poinformowała mnie.

– Aha... – wyjąkałam. – To wobec tego pójdę sobie. Dziękuję – bąknęłam.

– Zaczekaj – zatrzymała mnie, widząc, że się wycofuję. – Może dla ciebie coś się znajdzie. Mam córkę w twoim wieku – powiedziała jakby na usprawiedliwienie złamanej zasady. – Zostań tu, zaraz przyjdę. – To mówiąc opuściła gabinet.

Wróciła po kwadransie, który dłużył mi się niemiłosiernie. Przez czas jej

nieobecności zastanawiałam się nad dziwnym pomysłem, który nieoczekiwanie wpadł mi do głowy i czy decyzja podjęta przez moje tajemnicze, drugie „ja” była słuszna.

Dostałam pokój w obskurnej pożydowskiej kamienicy, wyposażony w białe szpitalne łóżko, szafę i jedno krzesło. Malutka kuchenka na węgiel zajmowała miejsce w kącie pomieszczenia i stanowiła jedyne źródło ogrzewania. Pokój był brudny i zarośnięty pajęczynami. Wyjrzałam przez pozbawione firanek okno. Zakurzone szyby trzymały się zbutwiałych ram jedynie dzięki wielu warstwom olejnej farby, dlatego okno otwierałam bardzo ostrożnie. Wychyliłam się i odetchnęłam głęboko powietrzem, którego nie sposób było porównać z rześkim powietrzem wsi, do którego byłam przyzwyczajona. Widok za oknem był równie smutny. Wokół domu rozciągało się zrujnowane podwórko, na którym dzieci bawiły się resztką pokruszonych cegieł i skorupami przedwojennego taniego fajansu. Było to miejsce opuszczone i zapomniane, wciśnięte pomiędzy łyse kominy zburzonych budynków. Architekci mieli pilniejsze sprawy, niż upiększanie mniej reprezentacyjnych i niewidocznych fragmentów miasta. W kilkunastu żalosnych metrach kwadratowych i bez grosza w kieszeni wkroczyłam w swoją dorosłość. Chuda portmonetka zawierała kwotę wystarczającą jedynie na bilet do Warszawy, może nawet do Konstancina, ale nie zapewniała utrzymania do końca miesiąca, mającego przynieść pierwsze wynagrodzenie za pracę w szpitalu. Zamknęłam delikatnie okno i z rezygnacją rozejrzałam się po swoim nowym mieszkaniu. Potem wysypałam na odrapane krzesło zawartość portmonetki i podzieliłam ją na niewielkie kwoty zapewniające przetrwanie. Przy drastycznym ograniczeniu potrzeb wystarczy na pięć, może sześć dni. Westchnęłam głęboko i udałam się do najbliższego sklepu po ćwiartkę chleba i butelkę mleka. Na szczęście na sklepowej półce leżało jeszcze kilka bochenków. Ekspedientka była miła i uprzedziła mnie, że po chleb najlepiej przychodzić rano, kiedy jest świeży. O tej porze mogłam liczyć na wczorajszy, mogło też i tego zabraknąć.

W drodze powrotnej rozejrzałam się po okolicy. Kilkaset metrów za starą kamienicą rozciągała się niezabudowana przestrzeń porośnięta trawą i kępami krzaków. Trudno było porównać to miejsce z rozległymi łąkami, po których spacerowałam z Jankiem, niemniej uznałam je za namiastkę oazy spokoju i kontaktu z przyrodą. Zostawiłam w domu mizerne zakupy i udałam się tam na krótki spacer. Teren był nierówny, jakby pod bujnie wyrosniętą trawą spoczywała część umarłego, obróconego w gruzy miasta. Niewielkie wzniesienia porośnięte były pokrzywą, gdzieś zółcił się wrotycz i dziurawiec. Tam, gdzie nie rosła trawa, rozsiały się rumianek o złocistych koszyczkach, a obrzeża całego terenu błękitniały dziką cykorią. Widząc takie bogactwo, aż wstrzymałam oddech. Przecież to cała apteka! Nie wszystkie zioła nadawały się o tej porze do zbioru. Wśród rumianku wypatrzyłam maleńkie, przekwitłe już polne fiołki, na które niestety się spóźniłam. Wiele z roślin mogłam jednak zebrać i wykorzystać. Wśród krzewów odkryłam dziką różę, której owoce znakomicie

nadawały się na nalewki, soki i syropy. Postanowiłam działać jak najszybciej. Może udałoby się je sprzedać i zarobić trochę pieniędzy? Do domu wróciłam pełna optymizmu. Jakoś to będzie – pomyślałam.

Pierwszą noc przespałam niespokojnie. Zza ściany dobiegały hałasy, ktoś się awanturował, płakało jakieś dziecko. Nie znałam jeszcze sąsiadów, obawiałam się jednak, że nie znajdę wśród nich towarzystwa dla siebie. Już wieczorem uświadomiłam sobie podstawowe braki w moim gospodarstwie. Nie miałam pościeli, sztućców, garnków i talerzy. Prócz paru sztuk ubrań nie miałam właściwie nic. Byłam na dorobku i musiałam czym prędzej znaleźć jakieś środki, by zaopatrzyć się w podstawowe rzeczy.

Dzień był jeszcze w powijakach, gdy ruszyłam do pracy. Zaczynałam dyżur o szóstej rano, a musiałam wcześniej odebrać służbowy fartuch i środki czystości. Trafiłam na oddział męski, gdzie była bardzo nieprzyjemna oddziałowa. Przywitała mnie chmurnie i ostentacyjnie dawała do zrozumienia, że ona tu rządzi i nie zamierza tolerować żadnych niedociągnięć. Przedstawiła mi zakres obowiązków i wskazała miejsce, gdzie mogę się przebrać. Chciałam odwiedzić Marynę, ale odłożyłam wizytę na później, kiedy skończę swoją pracę. Salowe, kobiety w średnim wieku, z którymi przyszło mi pracować, patrzyły na mnie nieufnie. Może myślały, że nie poradzę sobie z nałożonymi na mnie obowiązkami. Zerkały spode łba i nie odzywały się, poza krótkimi komendami dotyczącymi kolejnych zleceń. Harowałam jak koń szorując podłogi, zmieniając chorem pościel, rozwożąc posiłki, myjąc toalety czy podsuwając kaczki i baseny, które przyprawiały mnie o torsje. Na szczęście były krótkie chwile wytchnienia, kiedy można było odpocząć i zjeść posiłek. Niestety, nie miałam nic do jedzenia. Siedziałam więc wśród innych pracownic i słuchałam odgłosów mlaskania i przełykania, które w mojej sytuacji były nad wyraz irytujące.

– Dlaczego nic nie jesz? – odezwała się jedna z salowych, którą koleżanki nazywały Dzidką. – Potem nie będzie czasu.

– Pewnie się odchudza – roześmiała się druga i pociągnęła z lubością łyk herbaty z blaszanego kubka. – Młode zawsze boją się przytyć.

– Nie bądź głupia – zwróciła się do mnie pani Cesia, kobieta słusznej postury, gryząc bułkę z marmoladą. – Opadniesz z sił i nie będziesz nadawała się do pracy. Niech się inne odchudzają. Zresztą tutaj i tak schudniesz – dodała, choć sama stanowiła przeciwieństwo swoich słów.

– Nie odchudzam się – bąknęłam przełykając ślinę. – Nie mam niczego do jedzenia.

– To dlaczego nic nie mówisz? – oburzyła się szczerze Dzidka. – W kuchni zostały jeszcze wolne porcje. Dwóch pacjentów czeka na operację i mają głodówkę, a jeden rano umarł.

– Ten z dziewiątki? – zainteresowała się Cesia i pokiwała smutno głową. – Gdy rozmawiałam z nim wczoraj, już mi na to wyglądał. Wiedziałam, że długo nie

pociągnie.

– A skąd! Wszyscy w dziewiątce żyją! Umarł ten młody z jedenastki. Po wyrostku! Kto by się spodziewał – poinformowała Dwidka z pełną buzią i ruszyła do wyjścia, by po chwili wrócić z pełną tacą. – Masz, jedz – zachęciła stawiając przede mną trzy porcje. – Wzięłam, bo i tak kucharki by się tym podzieliły. – A ty, Zenka idź wziąć chleba dla dzieciaków. Widziałam, że sporo go zostało.

Zenka strzepnęła okruchy z fartucha i poderwała się żywo.

– Idę, idę – ucieszyła się. – Na kolację będzie jak znalazł!

– Ty świeżutko po szkole do nas przyszedł, co? – zainteresowała się Cesia. – Pewnie matce trzeba pomóc. Taka drożyzna teraz – westchnęła.

– Nie mam rodziców. Muszę sama się utrzymać – odpowiedziałam zanurzając zęby w chlebie posmarowanym cienką warstwą twarogu.

– Wojna zabrała? – zaciekała się Zenka i zatrzasnęła szafkę, w której ukryła właśnie chleb dla dzieci.

– Tak, wojna... – potwierdziłam, nie wdając się w bliższe szczegóły.

Przerwa skończyła się szybko i trzeba było wrócić do pracy, ale odtąd kobiety patrzyły na mnie przychylnym okiem, a nawet zaczęły mi trochę matkować. Dyżur skończyłam wieczorem i ledwo powłócząc nogami wróciłam do domu. Pracowałam na tak zwane szesnastki, dlatego w perspektywie miałam dzień wolny, po którym szłam na nocną zmianę. Po nocnym dyżurze znów przysługiwał mi wolny dzień. Tego wieczoru nie odwiedziłam już Maryny.

Z każdym dniem coraz bardziej oswajałam się z pracą i starszymi koleżankami. Były proste, ale życzliwe, a dowiedziawszy się, że organizuję sobie gospodarstwo, zaczęły przynosić, co tam której zbywało. A to garnek, to znów lekko obitą blaszaną miskę, łyżkę, która nie pasowała do kompletu, widelec z wykrzywionym zębem czy nóż do krojenia chleba. Przyjmowałam to wszystko z wdzięcznością, wiedząc, że same nie mają za wiele. Marzyłam tylko, że kiedyś będę miała piękny dom z zastawą, jakiej nie powstydziliby się sama angielska królowa. Nawet oddziałowa, widząc efekty mojej pracy, zawołała mnie raz do dyżurki i podarowała trochę pościeli, koc i poduszkę. Była przy tym bardzo rzeczowa, nie roztkliwiała się nade mną.

– To pożyczka – skwitowała oschłym tonem. – Oddasz, jak się dorobisz. I nie musisz o tym nikomu opowiadać. Zrozumiałaś?

– Tak, rozumiałam, dziękuję – powiedziałam i czym prędzej umknęłam do swoich zajęć. Szpitalny wikt pomógł mi przetrwać do wypłaty, która mimo że skromna, sprawiła mi sporą satysfakcję. Były to przecież pierwsze samodzielnie zarobione pieniądze, nie licząc drobnych kwot, które dostawałam w zamian za grzyby i jagody sprzedawane w Michałowie. Pierwsza wypłata nie zawróciła mi w głowie. Postanowiłam nadal żyć skromnie i każdego miesiąca odkładać parę złotych. Prócz tego w wolnych chwilach zbierałam zioła, owoce dzikiej róży, czarnego bzu, głogu

i kaliny, które suszyłam, przetwarzałam na syropy i nalewki według receptur Romańczukowej. Wysuszone zioła porcjowałam i umieszczałam w niewielkich szarych torebkach, które kleiłam z papieru, płyny zaś przelewałam do butelek po syropach, które odkładały dla mnie pielęgniarki. Wszystko to opatrywałam karteczkami objaśniającymi, jaki jest skład mieszanki i na jakie dolegliwości skutkuje. Po dwóch miesiącach dysponowałam już pokaźnym zbiorem tych naturalnych medykamentów i postanowiłam zająć się ich sprzedażą. Nie było to łatwe, ponieważ prywatny handel był oficjalnie zabroniony. Poza tym lekarze nie patrzyli na zielarzy łaskawym okiem. Pierwszego listopada nie miałam dyżuru w szpitalu. Dzień wstał zimny, pochmurny i dżdżysty. Ludzie całymi rodzinami odwiedzali swoich bliskich na cmentarzach. Moje małe mieszkanko, wychłodzone po zimnej nocy, z trudem ogrzewało się od węglowej kuchenki, w której napaliłam, żeby przygotować herbatę. Pomyślałam o odwiedzinach Maryny, ale zrezygnowałam z tego planu. Ostatnio czuła się słabiej i szybko się męczyła. Poza tym mógł odwiedzić ją wuj, u którego mieszkała w Michałowie. Bo Maryna nie miała rodziców. Matka zginęła tuż przed zakończeniem wojny, a ojciec nigdy nie wrócił z Anglii, gdzie się w tym czasie zawieruszył. Założył tam nową rodzinę, a Marynie przysyłał regularnie paczki z ubraniami. Dziewczyna zamieszkała więc z bratem swojego ojca i jego żoną, nienawidzącą Maryny z całego serca. Nie mieli własnych dzieci, ale też nie poświęcali wychowanicy zbyt wiele uwagi. Ojciec Maryny sownie płacił im za tę opiekę, dlatego w obliczu choroby zaczęli się trząść o źródło dodatkowych dochodów. Maryna doskonale wiedziała, z czego wynika ich nagła troska, dlatego nie cierpiała tych spotkań. Wszystko to opowiadała mi podczas krótkich wizyt, które starałam się regularnie składać. Martwiła mnie jej coraz słabsza kondycja. Na szczęście była dobrej myśli.

Jadłam śniadanie siedząc pod samym piecykiem i zastanawiałam się, co zrobić z ponurym, mokrym dniem. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. Wprawdzie nie mam nikogo bliskiego na miejscowym cmentarzu, ale mogę się tam udać z ziołami. Ludzie nie lubią chorować, tym bardziej umierać i uciekają się do rozmaitych sposobów, by zapewnić sobie zdrowie. Uznałam więc, że cmentarna brama może być niezłym punktem handlowym. Z zapałem zaczęłam układać torebki i buteleczki w walizce, po czym udałam się na zaplanowane miejsce. Nie byłam tam sama. Sprzedawcy zniczy i chryzantem w ceglanych doniczkach już tam stali. Przycupnęłam obok tęgiej kobiety niedaleko bramy i otworzyłam walizę, eksponując swój towar.

– Uważaj, paniusiu, bo gonią stąd – mruknęła. – Mnie już dwa razy przeganiali.

– Dobrze, dziękuję za ostrzeżenie – powiedziałam i rozejrzałam się trwożliwie.

Ludzie przystawali obok mojej sąsiadki, kupowali znicze, ale do mnie nikt nie zaglądał.

– A co tam masz paniusiu? – zainteresowała się, kiedy ostatni znicz zniknął w rękach jakiegoś jegomościa.

– Mam mieszanki ziół i nalewki. Ale nikt się nimi nie interesuje – odparłam zawiedziona.

– E tam, nie interesuje. Marna z paniusi handlarcka. – Zerknęła na mnie krytycznie i zawołała zniecka tak głośno, że aż podskoczyłam: – Na wrzody! Na gorączkę! Kupujcie ludzie! W żadnej aptece nie znajdziecie! Na poty! Na wymioty! Kupujcie ludzie, kupujcie!

Mijający nas ludzie obejrżeli się, ale poszli dalej.

– Zioła! Zioła! – darła się kobieta. – Panie szanowny, dla małżonki na migrenę, dla dzieci na apetyt, paniusiu! Zioła!

Jakaś para pod czarnym parasolem przystanęła nad moją walizką i długo się przyglądała.

– A na nerwy coś będzie? – zapytała kobieta i spojrzała wymownie na męża.

– Będzie – powiedziałam, wybierając opakowanie z melisą zmieszaną z dziurawcem. – Proszę parzyć pod przykryciem przez dziesięć minut i pić trzy razy dziennie.

– Proszę pani, a na stawy, na reumatyzm jest?

– Jest – podałam korę wierzby, którą kiedyś podarowała mi Romańczukowa. – Trzeba zrobić z niej napar i pić gorący – zaleciłam.

– A na robaki u dzieciaka? Ma pani coś na robaki? – dopytywała się młoda kobieta.

– Ale na jakie robaki? – chciałam wiedzieć.

– No, na głowie. Wszy – wyjaśniła i zaczerwieniła się po cebulki włosów.

– Na wszy najlepszy jest wrotycz. Proszę – wcisnęłam jej opakowanie z wrotyczem i przyjął pieniądze.

Sprzedziałam też nalewki z owoców głogu, czarny bez na kaszel i syrop z dzikiej róży. Nawet się nie obejrzałam, kiedy walizka była pusta. Chciałam podziękować grubej handlarce, ale jej już nie było.

– Proszę pani, a mnie się zrobił wrzód, o tu, niech pani spojrzysz – poskarżył się mężczyzna w okularach zawijając nogawkę spodni powyżej kolana.

– Panie, to nie lekarz, niech się pan odsunie! – darł się inny. – Proszę pani, na serce, chcę coś na serce! – zażądał i wyciągnął rękę z banknotem.

– Niestety, nic już nie mam – rozłożyłam bezradnie ręce, po czym zatrzasnęłam walizkę.

W tym momencie poczułam na sobie czyjś wzrok. Odwróciłam się nieznacznie i moje oczy spoczęły na młodym chłopaku, który uśmiechał się z ledwie dostrzegalną drwiną.

– A mówiłaś, że tu nie bywasz... – zaczął.

– Wojtek? – zawołałam zaskoczona. – Nie bywam, ale jestem!

– Właśnie widzę. Na długo? – zapytał odbierając ode mnie walizkę. – Znowu ta waliza – mruknął.

Puściłam uwagę mimo uszu i uśmiechnęłam się radośnie.

– Raczej na długo. Dostałam pracę. Byłeś na cmentarzu?

– Tak, u ojca. Matka jest pochowana gdzie indziej.

– Daleko?

– Daleko. Chodź stąd. Mam dość tego całego tłumu.

Opuściliśmy teren cmentarza i mimo nieprzyjemnej pogody ruszyliśmy spacerkiem w kierunku głównej części miasta. Wojtek wymachiwał pustą walizką i pogwizdywał jakąś skoczną melodię.

– To nie jesteś już ze wsi? – zapytał nagle, patrząc na mnie z rozbawieniem.

– Sama nie wiem, skąd jestem – westchnęłam. – Teraz jestem stąd.

– I wciąż będziesz stąd? – zapytał taksując mnie wzrokiem.

– Nie wiem. Chyba nie. Potem pojedę do Warszawy.

Wojtek nie skomentował tego i nadal poświstywał przez zęby. Szedł szybko i czasem musiałam podbiec, żeby dotrzymać mu kroku.

– Skręcam tu – powiedział znienacka i wcisnął mi walizkę. – Do zobaczenia, bo pewnie znowu gdzieś się na ciebie natknę. – Uśmiechnął się, pomachał ręką na pożegnanie i zniknął za rogiem budynku.

Stałam zaskoczona, trzymając walizkę w objęciach. Prawdę mówiąc, liczyłam na coś więcej. Myślałam, że przynajmniej zaprosi mnie na kawę. Rozczarowana wróciłam do domu. Na dworze zapadał zmierzch. Zapaliłam światło i zaciągnęłam kretonowe zasłony, które dostałam od Cesi. Żarówka pod sufitem pozbawiona klosza, zniszczone szpitalne meble, zasłony w wyblakłe kwiatki – wszystko to sprawiało nieprzyjemne wrażenie pomieszczenia, do którego nie chciało się wracać. W dodatku panował tu przenikliwy ziąb. Gdyby Wojtek zechciał mnie odwiedzić, spaliłabym się ze wstydu. Wysypałam pieniądze i przeliczyłam swój dzisiejszy utarg. Był imponujący. Stanowił jedną czwartą miesięcznego zarobku w szpitalu. Uśmiechnęłam się z zadowoleniem i wrzuciłam je do pozostałych oszczędności, które gromadziłam w pudełku po czekoladkach otrzymanych od pacjenta. Zwykle salowe nie otrzymują prezentów, mnie jednak udało się zdobyć sympatię pewnego starszego pana...



## 8

Co z nią? – zapytała Juliana przez dłuższą chwilę patrzyła na Adama cierpliwie czekając na odpowiedź. On bowiem zasłuchany w jej opowieść nie zauważył, że pytanie skierowane było do niego.

– Słucham? – zareagował wreszcie nieprzytomnie, wzdrygnąwszy się lekko, jakby strząsał z siebie ostatnie słowa jej wspomnień.

– Co z Teofilą? – powtórzyła Juliana, po czym wstała i podeszła do okna. – Znosi się na deszcz – mruknęła do siebie i spojrzała na Adama wyczekująco. – No więc? Co z nią?

– Z Toffi? Nie wiem. Pokłóciliśmy się. Wysiadła z autobusu wcześniej i sama wróciła do domu. Ja pojechałem dalej. Od tej pory nie rozmawialiśmy z sobą.

– Rozumiem. Przyrowadź ją tu następnym razem, dobrze? – poprosiła.

– Tutaj? – zdumiał się. – Myślałem, że pani jej nie lubi.

– Masz rację. Nie lubię jej. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Adam nie skomentował słów Juliany. Nie miał pojęcia, dlaczego chce zobaczyć Toffi. Przypuszczalnie były to rodzinne sprawy.

– Mogę liczyć na to, że przyjdzie tu z tobą? – upewniła się.

– Postaram się ją namówić, jeśli zechce ze mną rozmawiać – odparł.

– Zechce, gdy użyjesz właściwych argumentów. A teraz wróćmy do wspomnień. Szczerze mówiąc, chciałabym mieć to już za sobą.

Adam poprawił się na sofie i wbił w Julianę uważne spojrzenie, choć jego myśli krążyły jeszcze wokół Toffi.

Maryna umarła. Stało się to czternastego listopada nad ranem. Dzień wcześniej miałam dyżur, po którym zajrzałam do niej na krótko. Siedziała na łóżku wsparta o poduszkę i patrzyła tępo przed siebie. W obydwu dłoniach trzymała biały fajansowy kubek, jak ktoś, kto grzeje ręce o gorący napój. Tyle że jej kubek był pusty. Twarz miała tak bladą, że widziałam wyraźnie niebieskawe żyłki na jej skroniach. Zaczesa-



do góry włosy ciasno związała gumką. Zwróciłam na to uwagę, bo dotąd nie czesała się w ten sposób. Na dźwięk zamykanych drzwi odwróciła powoli głowę i długo mi się przyglądała oczami, które zwężyły się coraz bardziej z każdym ułamkiem sekundy.

– Wyjdź – powiedziała w końcu nieswoim głosem. Trzy pozostałe pacjentki jak na komendę uniosły się na łokciach. Chciały zobaczyć, kogo Maryna wita w taki sposób. Stałam w progu niezdecydowana. Nigdy mnie tak nie traktowała.

– Maryna, to ja, Juliana... – powiedziałam myśląc, że mnie nie poznaje, i zrobiłam niepewny krok naprzód.

– Nie zbliżaj się – ostrzegła. – Doskonale wiem, kim jesteś. Wiem też, po co tu przychodzisz. Jesteś podła i wyrefinowana.

– Maryna! – zawołałam zdumiona jej zachowaniem.

– Maryna, Maryna – przedrzeźniała. – Ty wstrętna hipokrytko! Mścisz się za to, co mówiłam o tobie w szkole. A co? Może to nieprawda? Ubierałaś się jak kocmołuch i udawałaś lepszą niż jesteś, bo urodziłaś się gdzieś pod drzewem, a nosa darłaś, jakbyś była z pałacu. A teraz masz nade mną przewagę. Bo ja jestem chora, a ty przychodzisz patrzeć, jak powoli umieram. Myślisz, że o tym nie wiem? Chcesz zobaczyć stojącą nade mną kostuchę i zaklinać ją każdego dnia, żeby mnie wreszcie zabrała. O, niedoczekanie! Zdziwisz się, jak mnie jutro tu nie będzie. Jestem zdrowa, rozumiesz? Nie wytrzymam tu dłużej! Jeśli lekarze mnie nie wypiszą, ucieknę stąd! A teraz wynocha! – krzyknęła i rzuciła we mnie fajansowym kubkiem. Potem opadła na poduszkę i ciężko dyszała.

– Nie jest tak, jak mówisz – powiedziałam łamiącym się głosem i schyliłam się, by pozbierać skorupy. W gardle dławili mnie łyzy.

– Niech pani stąd idzie – mruknęła jedna z pacjentek. – Niech pani jej nie drażni, ja to pozbieram – dodała i zakasawszy koszulę wygramoliła się z łóżka.

Wyszłam roztrzęsiona. Nie wiedziałam, jak mam zachować się nazajutrz. Maryna widocznie poddała się chorobie, a ten atak hysterii był wynikiem załamania nerwowego. Nie wierzyłam w jej ucieczkę, była zbyt słaba.

A jednak uciekła. Wyślizgnęła się po cichu i ze śmiercią pod rękę opuściła na zawsze białe ściany szpitala. Przez kilka kolejnych dni kończąc pracę, automatycznie skręcałam na oddział kobiecy. Tylko że teraz nie miałam po co. Pocieszałam się, że już nie cierpi. Szkoda tylko, że odeszła z tak mylnym przekonaniem. Może właśnie spacerując błękitnym korytarzem, czyta moje myśli i uśmiecha się do nich.

Tego wieczoru powłócząc nogami wracałam do swojego nędznego, wyziębionego listopadową aurą mieszkania. Z pustką w sercu po stracie jedynej osoby, której czułam się potrzebna. Było już ciemno, ale w świetle ulicznej latarni dostrzegłam Wojtka tuż za rogiem szpitala. Był zajęty rozmową z jakimś mężczyzną. Przeszłam chyłkiem obok, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Nie byłam w nastroju na pogawędki, zresztą po ostatnim rozstaniu nie byłam pewna, czy on miałby ochotę na rozmowę ze mną.

Podchodząc pod drzwi swojej odrapanej kamienicy, gorączkowo poszukiwałam klucza do mieszkania, gdy niespodziewanie usłyszałam znajomy głos:

– Mieszkasz tutaj?

– Tak... – bąknęłam, odwracając się gwałtownie i oblewając rumieńcem. – Szedłeś za mną aż tutaj?

– Czysty przypadek. Szedłem akurat w tę stronę.

No tak. Jakaż byłam zarozumiała myśląc, że stałam się celem jego wędrówki. Ponieważ w tym rejonie poza kilkoma rozwalającymi się budynkami i gruzowiskiem porośniętym suchymi badyłami nie było niczego interesującego, zapytałam ze zdziwieniem:

– Masz tu coś do załatwienia?

– Tak. Szukam cmentarnej zielarki – oznajmił i uśmiechnął się. – Chciałbym porozmawiać. Dlaczego nie wchodzisz? – zainteresował się, otwierając ledwie trzymające się zawiasów drzwi, po czym skłonił się kurtuazyjnie, przepuszczając mnie przodem.

Z wnętrza uderzył zbutwiałych zapach drewnianych schodów, gotowanej kapusty i moczu. Klatka schodowa była ponura i brudna. U sufitu wisiała naga żarówka, dająca niewiele światła. Ze ścian płatami odłaziła farba. Płonęłam ze wstydu.

– Nie mogę znaleźć klucza do mieszkania – wyjaśniłam pokrętnie, gdyż właśnie wyczułam pod palcami zimny metal przytroczony do kawałka sznurka.

– To nic nowego. Nie znam kobiety, która znalazłaby od razu klucz w swojej torebce. Najlepiej wysyp zawartość na schody – poradził.

– Zaraz... Gdzieś tu powinien być – grałam na zwłokę, licząc na to, że sobie pójdzie. Nie chciałam wprowadzać go do mieszkania. W moim mniemaniu wyglądało niewiele lepiej od klatki schodowej.

– Przepraszam, jeśli za późno na wizytę, pójdę sobie – powiedział. Odniosłam wrażenie, że przejrzał mnie na wylot, ponieważ patrzył ze źle ukrywanym politowaniem.

– Wojtek, to nie o to chodzi – zdobyłam się na szczerść, wyjmując wreszcie klucz z torebki. – Wolalabym umówić się na rozmowę gdzieś indziej. Na przykład w kawiarni.

– Dlaczego? – zdumiał się. – Boisz się mnie? Nic ci przecież nie zrobię.

– Ależ skąd! – obruszyłam się. – Nie boję się, tylko... Tylko miejsce, w którym mieszkam, jest okropne. Dlatego nikogo nie zapraszam.

– Daj spokój. Rozumiem przecież. Wzięłaś, co było. Zrobiłbym tak samo. Więc jeśli tylko o to chodzi, nie przejmuj się. Nie będę się rozglądał. Zresztą ty nie wiesz, jak mieszkają moi koledzy... – starał się uspokoić moje obawy, przy czym zabawnie przewrócił oczami wspominając o kolegach.

– Jeśli tak, to proszę – powiedziałam i uchyliłam drzwi. Ręce drżały mi ze

zdeenerwowania, gdy wyjmowałam klucz z zamka.

Wojtek wszedł, stanął na środku i wbrew obietnicy rozejrzał się dokładnie.

– Naprawdę masz skłonności do przesady – mruknął. – Jest skromnie, ale całkiem przyzwoicie. Jak widzę, jesteś pedantką. Bardzo tu porządnie. Tylko straszliwie zimno – stwierdził i zatarł ręce.

– Nie było mnie cały dzień. Zaraz napalę pod kuchnią i przygotuję gorącą herbatę.

– Gdzie zdobyłaś herbatę? – zdziwił się, bo ostatnio był to produkt nieosiągalny.

– Trafiłam przypadkiem – wyjaśniłam, włączyłam radio, z którego płynęła smętna melodia i otworzyłam piecyk, by wybrać popiół.

– Zostaw, zrobię to. Ty zajmij się herbatą. – Wojtek wyjął mi z rąk szufelkę i sprawnie zaczął czyścić popielnik.

Na szczęście miałam dwa kubki, z czego jeden był wyszczerbiony i używałam go do płukania zębów. Muzyka zamilkła i podano godzinę dwudziestą trzecią. Spojrzałam z ukosa na Wojtka, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Dobrze, że jutro mam nocny dyżur, zdążę się wyspać – pomyślałam. Patrzyłam, jak mój gość rozpala pod kuchnią i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że brakuje mi kogoś takiego na stałe. Kogoś, z kim mogłabym porozmawiać albo pomilczeć, pójść na spacer czy wypić razem herbatę. No i jeszcze żeby tulił mnie do serca i szeptał słowa, od których krew żywiej płynie w żyłach. Uświadomiłam sobie również, że oczami wyobraźni ujrzałam u swojego boku właśnie jego, Wojtka. Na samą myśl o tym poczułam, jak płoną mi policzki. Odwróciłam się szybko i schyliłam nad pudłem, w którym trzymałam cukier.

– Nie masz więcej węgla? – zapytał i postukał pogrzebaczem w pustą węglarkę.

– Mam. W piwnicy – poinformowałam go.

– No to chodźmy – zdecydował, podniósł węglarkę i ruszył do drzwi.

– Zaczekaj, w piwnicy nie ma światła – powstrzymałam go i wzięłam z parapetu kawałek świecy i zapalki.

Kiedy wyszliśmy z mieszkania, na dole trzasnęły drzwi, zatupały czyjeś szybkie kroki i po chwili wszystko umilkło. Schody prowadzące do piwnicy były chybotliwe i musieliśmy iść bardzo ostrożnie. Wojtek szedł przodem, wymachując węglarką. W pewnym momencie zatrzymał się gwałtownie, odwrócił głowę i w blasku świecy zobaczyłam jego szeroko otwarte oczy. Położył palec na ustach i dmuchnął na świecę. Znieruchomiałam otoczona ciszą i ciemnością.

– Ktoś tu jest – szepnął Wojtek i lekkim pchnięciem dał mi znak, żebym się wycofała. Zamiast tego stałam jak wryta, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Wstrzymałam oddech i w przyczajonym mroku nasłuchiwałam dźwięków, które świadczyłyby o czyjejs obecności. Nagle usłyszałam kroki i czyjeś spanie. Ktoś wbiegł na schody i chyba potknął się w ciemnościach, bo zaklął siarczyście. Po chwili był już obok, roztrącił nas brutalnie i wyskoczył jak błyskawica, trzaskając drzwiami. Gdybym nie przytrzymała się Wojtka, a on poręczy, polecilibyśmy w dół.

– Co to było? – zapytał ze zgrozą Wojtek, sięgnął do kieszeni po zapalniczki i ponownie zapalił świecę.

– Nie wiem – jęknęłam oszołomiona.

– Zejdźmy wreszcie po ten węgiel – mruknął.

– Nie chcę... Czegoś się boję – powiedziałam dzwoniąc zębami.

– Daj spokój. Teraz nikogo tam nie ma, a ten, co był, uciekł – spróbował mnie przekonać, po czym nie oglądając się, ruszył w dół. Nie pozostało mi nic innego, jak iść za nim. Intuicyjnie wyczuwałam jednak, że nie jesteśmy tu sami, chociaż usiłowałam wytłumaczyć to wrażenie silnym przeżyciem sprzed chwili.

– Gdzie trzymasz węgiel? – zapytał Wojtek, a jego głos zadudnił jak z dna głębokiej studni.

Wzdrygnęłam się. Słaby płomyk świecy drżał leciutko, ożywiając na ścianach szpaler zjaw mojej wyobraźni.

– Skręć w prawy korytarz – powiedziałam. Echo rozniosło się jak po pustym lochu.

Wojtek zniknął wraz ze świecą za zakrętem. Zanim zdążyłam go dogonić, był już z powrotem. Oczy miał okrągłe z przerażenia.

– Nie idź tam! – krzyknął, złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą. – Szybciej, chodź! – poganiał.

– Wojtek, co...

– Chryste... Nie pytaj, chodź! – Puścił moją rękę i osłonił płomyk świecy, żeby nie zgasł.

Dopadliśmy schodów i pokonując po dwa stopnie, błyskawicznie znaleźliśmy się na górze. Wojtek zatrzasnął drzwi i oparł się o nie plecami, ciężko dysząc. Potem wcisnął mi do ręki pustą węglarkę i reszkę świecy, mówiąc:

– Wracaj do domu, szybko!

– A ty? – zdołałam zapytać, choć nie mogłam zapanować nad szczękającymi zębami.

– Ja nie... Muszę... Muszę... – wyjąkał i jak pocisk wystrzelił w noc, zostawiając mnie zupełnie samą.

Nie czekając dłużej, pobiegłam na górę, jakby mnie ktoś gonił. Moje ręce drżały tak, że nie mogłam trafić kluczem w zamek. Kiedy wreszcie się to udało, wpadłam do mieszkania i dwukrotnie przekręciłam klucz, wierząc, że drzwi, które na dobrą sprawę można było wyważyć kopniakiem, uchronią mnie przed rojącymi się w głowie demonami. Usiadłam na brzegu łóżka i chociaż żeliwne drzwiczki kuchenki rozgrzane były do czerwoności, dygotałam na całym ciele. Nie miałam pojęcia, co przerażyło Wojtkę w piwnicznym korytarzu, dokąd pobiegł i czy nie grozi mu jakieś niebezpieczeństwo.

Nienawidziłam niejasnych sytuacji. Chciałam wiedzieć, co się stało. Wstałam więc i podeszłam do drzwi, nasłuchując dźwięków, które wyjaśniłyby mi choć część tajemnicy. Walcząc z własnym strachem i ciekawością, wzięłam do ręki nową świecę

i wyjrzałam na klatkę schodową. Żarówka pod sufitem chwiała się rytmicznie, kołysana wiatrem wpadającym przez otwarte wejście do domu. Żółtawe, słabe światło potęgowało mroczny klimat. Ostrożnie, na palcach zaczęłam schodzić w dół, kurczowo trzymając się poręczy. Zatrzymałam się na piwnicznym progu, wzięłam głęboki oddech i dwukrotnie się przeżegnałam. Potem zapaliłam świecę i pomału uchyliłam drzwi. Wydały nieprzyjemny, jękliwy dźwięk. Zamarłam wyęzając słuch, ale docierał tu tylko szmer przeganianych wiatrem po kamiennej posadzce suchych liści. Pokonując pierwsze stopnie czułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Przystanąłam na samym dole i rozejrzałam się wokół. W promieniu drżącego światła świecy nie dostrzegłam niczego niepokojącego. Ten fakt dodał mi nieco odwagi i już pewniejsze kroki skierowałam do prawego korytarza. Tuż za zakrętem stanęłam jak wryta. Widok był tak szokujący, że nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca, a nawet krzyknąć. Ktoś tam stał. Nienaturalnie wielki, sięgający sufitu. W głowie kołatała mi myśl, że to monstrum za chwilę rzuci się na mnie, a ja nie będę w stanie uciekać. Ale on nawet nie drgnął. Nadzwyczajnym wysiłkiem woli uniosłam świecę i wtedy przeraźliwy krzyk wyrwał mi się z piersi. Potem odwróciłam się i zwymiotowałam pod ścianą. Na grubym sznurze uwiązanym do żelaznej rury pod sufitem wisiało bezwładne ciało mężczyzny, owinięte wraz z głową parcianym workiem i ciasno obwiązane konopnym sznurkiem. Nogi zwisały kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią. Potykając się o stojącą nieopodal drewnianą skrzynkę, wycofywałam się tyłem, z trudem łapiąc oddech. Boże, co robić?! – myślałam gorączkowo, czym prędzej opuszczając to miejsce. Kiedy zamykałam w pośpiechu piwniczne drzwi, usłyszałam jakieś głosy dobiegające z zewnątrz kamienicy. Bez względu na to, kto tam jest, muszę z kimś porozmawiać, powiedzieć o tym, co się stało – postanowiłam. Wybiegłam przed dom i już miałam krzyknąć, gdy moim oczom ukazał się Wojtek szarpiący się z mężczyzną o dość drobnej posturze, którego trzymał za wykręcone do tyłu ręce.

– Puść, wszystko powiem – błagał tamten.

– Zamknij się – warknął przez zaciśnięte zęby Wojtek i pchnął go mocno. Wtedy dostrzegł mnie.

– Idź stąd! – krzyknął. – No idź!

– Wojtek, co ty robisz? Kto to jest?! – zawołałam histerycznie.

– Nie mieszaj się do tego. Mówiłem, żebyś szła do domu – odparł podniesionym głosem.

– Cholera, wysłuchajcie mnie! – krzyknął tamten i spojrzał na mnie, wyraźnie szukając sprzymierzeńca.

– Zamknij się! – powtórzył Wojtek i łypnął na niego wściekle.

– Wy nie wiecie... Puść! Posłuchaj mnie!

– Dobra, dobra... – mruknął Wojtek i zwrócił się do mnie: – Juliana, skoro już jesteś... wiesz, gdzie jest najbliższy posteru...

– To bandyta! Więzienny kapuś! Zdrajca! – przerwał mu tamten i splunął pod nogi. – Tfu! Co wy możecie o tym wiedzieć! To parszywy padalec!

– Jaki kapuś? – Wojtek zwolnił nieco uścisk i zerknął na swojego jeńca.

– Puść, wszystko opowiem. Gdyby czas się cofnął, zrobiłbym to samo. To on jest zbrodniarzem, nie ja! Przez niego co najmniej setka ludzi poszła do piachu! I mój brat też... Byłeś w więzieniu? W komunistycznym więzieniu. Byłeś? To co ty możesz wiedzieć?! – krzyknął i głos mu się załamał.

– Juliana, zaczekaj! – zawołał Wojtek, widząc, że ruszam w kierunku ulicy. – Nie idź jeszcze. Niech powie. Ale nie tutaj. Nie chcę, żeby nas ktoś zobaczył.

– To... To gdzie? – zapytałam jąkając się ze zdenerwowania.

– U ciebie – odpowiedział stanowczo. – Chodźmy do ciebie.

Mieszkanie zdążyło się nagrzać, a następnie wyziębic. Nikt z nas nawet nie śmiał pomyśleć o przyniesieniu węgla. Samo wyobrażenie o przejściu obok wiszącego trupa powodowało ciarki na plecach.

– Jak się nazywasz? – zapytał Wojtek, wskazując drobnemu mężczyźnie krzesło.

– Marek. Marek Zawada – odparł, wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią pot z czoła.

– Dobra, opowiadaj – rzucił Wojtek i rozsiadł się na moim łóżku. Usiadłam obok niego i narzuciłam na plecy koc.

– W czterdziestym szóstym roku ja i mój brat Waldek byliśmy w oddziale NZW. Wiecie, co to takiego?

– Tak – odpowiedział Wojtek. Spojrzałam na niego pytająco. – Narodowe Zjednoczenie Wojskowe. Konspiracyjne oddziały – wyjaśnił.

– No tak – potwierdził Marek Zawada – AK nie dawała sobie rady z komunistami po upadku Powstania Warszawskiego, wtedy utworzyły się te konspiracyjne oddziały. Mój brat nienawidził komunistów bardziej niż kogokolwiek i namówił mnie na tę partyzantkę. Walczyliśmy o słuszną sprawę. Chcieliśmy wyzwolić kraj spod komunistycznej władzy i przywrócić przedwojenną wschodnią granicę. Myśleliśmy o trzeciej wojnie światowej.

– Co robiliście? Wasz oddział co robił? – zainteresował się Wojtek.

– Różnie. Zdobywaliśmy broń, fundusze, chroniliśmy majątek przed sowiecką grabieżą, ale przede wszystkim jeździliśmy po wioskach i miasteczkach i nawoływaliśmy ludzi, żeby nie poddawali się władzy ludowej i bronili się przed sowietyzacją. Władze komunistyczne były czujne i podstępne. Funkcjonariusze potrafili podszyć się pod nasze organizacje i udawać partyzantów, żeby zdobyć informacje i zacząć się na...

– Słuchaj, co to ma do rzeczy? – zniecierpliwił się Wojtek i zapalił papierosa.

– Znaczy do tego tam? – Marek Zawada wskazał palcem podłogę, co pewnie miało oznaczać wisielca w piwnicy.

– Tak, do tego – pokiwał głową Wojtek i rozejrzał się za popielniczką, której nie miałam. Wstałam i podałam mu pokrywkę od słoika.

– Tak właśnie się stało. Zaczaili się ci z UB. Otoczyli nas i trafiliśmy do więzienia karno-śledczego. Tam był taki strażnik. Drań, konfident i zbrodniarz. Przez niego prawie wszyscy nasi i wielu innych spoczywa teraz pod ziemią. Wszyscy na terenie więzienia. Przeważnie zakatowani podczas sadystycznych przesłuchań, ale ten bandyta niejednokrotnie przyczynił się osobiście do przeniesienia więźnia na tamten świat. A przecież nikomu nie robiliśmy krzywdy. Walczyliśmy tylko o wolną Polskę... Mnie i dwóm innym udało się zbiec. Przynieśliśmy sobie wtedy, że dopadniemy go i pomścimy mojego brata i innych. I teraz, po latach zrobiliśmy to wreszcie...

– Nie byłeś sam? – zapytał Wojtek.

– Nie. Było nas trzech. Postanowiliśmy nie wychodzić jednocześnie. Oni uciekli pierwsi.

– Rozumiem – mruknął Wojtek i spojrzał na mnie.

– Nie wiem... Nie wiem, co powinniśmy zrobić – powiedziałam patrząc z przerażeniem to na jednego, to na drugiego.

– Wyjdź po cichu, zanim zacznie świtać – zdecydował Wojtek, zwracając się do Marka Zawady. – No idź już, szybko!

Ten wstał z ociąganiem, nie spuszczać z nas oka.

– Nie bój się, nie powiemy – mruknął Wojtek i wypchnął Zawadę na schody, zamykając za nim bezgłośnie drzwi. Potem stanął naprzeciwko mnie i długo patrzył mi w oczy. – Też bym drania powiesił – powiedział w końcu.

Juliana zamilkła i zapatrzyła się przed siebie. Adam nie chciał płoszyć jej wspomnień, będących może w tej chwili oceną własnego postępowania. Zastanawiał się, jaki jest zakres jej wiedzy na temat oddziałów NZW i ich działania. Czy wiedziała o tym, czego nie kryje dziś historia, rozliczająca wszelkie przypadki ludobójstwa? Czy wiedziała o oddziale Romualda Rajsa, czyli „Burego”, który w lesie rozstrzelał trzydziestu białoruskich furmanów, bo według niego źle ustosunkowali się do nielegalnych organizacji? Czy znała zbrodnię dokonaną przez tego samego „Burego” na szesnastu prawosławnych cywilach we wsi Zaleszany? Czy wie o podpaleniach wsi, które zamieszkiwali Białorusini? Nawet w więzieniu, o którym wspomniała, wybuchały konflikty narodowościowe, skwapliwie wykorzystywane przez władze więzienne do zaostrzenia wrogości. Adam nie powiedział o tym wszystkim, nie chcąc burzyć spokoju kobiety, od lat żyjącej w zgodzie ze swoim sumieniem. W końcu postęпки „Burego” nie mogą świadczyć o całokształcie działań oddziałów konspiracyjnych w walce o polskość.

– Czy możemy spotkać się jutro? – zadała nieoczekiwane pytanie Juliana i nie czekając na odpowiedź, zdecydowała: – Tak, przyjdź jutro, muszę pobyć sama.

I pamiętaj, przyprowadź Teofilę.





## 9

Polecenie Juliany nie było łatwe do zrealizowania. Toffi nie odbierała telefonu, a kiedy Adam wybrał się do niej osobiście, nie zastał jej w domu. To nie był jedyny powód do zmartwień. W każdej chwili mógł zadzwonić naczelny w sprawie reportażu. Adam zastanawiał się już nad tym, czy nie wypytać Juliany o najważniejsze fakty z jej życia i po dopisaniu paru pikantnych i całkowicie zmyślonych szczegółów oddać gotową pracę w ręce szefa. Po namyśle uznał jednak, że byłoby to nieuczciwe w stosunku do bohaterki reportażu. Trudno, narazi się naczelnemu, może nawet straci pracę, ale będzie w porządku w stosunku do Juliany, która mu zaufała. Usiadł za biurkiem i zaczął porządkować materiały, którymi już dysponował. Praca pochłonęła go tak bardzo, że nie zauważył, kiedy zapadł wieczór. Wstał, przeciągnął się i zapalił lampę. Wtedy zadzwonił telefon.

– Adam – odezwał się młody, kobiecy głos. – Boże, jak dobrze, że nie zmieniłeś numeru telefonu...

– Przepraszam... Nie bardzo wiem, kto mówi – powiedział z wahaniem.

– Jak to? Nie poznajesz? Och, przepraszam... Olga! Olga mówi. Pamiętasz mnie?

Olga, koleżanka ze studiów, która towarzyszyła mu w wyprawie z dziennikiem Magdaleny do leśnej chaty, a potem sprytnie zabrała go z powrotem.

– Olga? Co za niespodzianka – powiedział nieszczerze, bo w tej chwili nie miał nastroju na żadne pogaduszki. Zresztą chciał ponownie spróbować zadzwonić do Toffi.

– Dobrze, że się cieszysz, bo potrzebuję twojej pomocy – oznajmiła. – Otóż jestem w Warszawie i...

– O! – powiedział tylko, w obawie, że Olga wyczuje niechęć w jego głosie. – Jesteś w Warszawie.

– Tak, lecz nie zamierzałam dzwonić do ciebie. Nie odzywałeś się, odkąd opuściłeś Wrocław, więc pewnie nie zależy ci na kontakcie ze mną. Ale widzisz, człowiek, który miał się tutaj mną zająć, nie pojawił się i zostałam na lodzie...

– Aha. Jakiej więc pomocy potrzebujesz? – zapytał i spiął się cały na myśl, że może chodzić o nocleg.

– Czy mógłbyś mnie przechować przez jedną noc? – zapytała nieśmiało. – Tylko jedną noc, naprawdę.

Adam zasłonił dłonią słuchawkę i westchnął głośno, wznosząc oczy do nieba. No tak, teraz będzie musiał odebrać ją z dworca.

– Oczywiście – odparł, starając się nadać głosowi choć trochę entuzjazmu. – Nie sprawi mi to kłopotu.

– To cudownie! – zawołała i miał wrażenie, że podskoczyła w miejscu. – A czy mógłbyś...

– Tak – wszedł jej w słowo. – Zaraz przyjadę. Czekaaj przy kasach.

Wyłączył telefon i klnąc szpetnie, zaczął szykować się do wyjścia. Mógł nie odbierać telefonu albo skłamać, że jest gdzieś poza Warszawą. Mógł też po prostu jej odmówić. Cóż, wciąż nie potrafił być asertywny.

Na dworcu długo się rozglądał, szukając Olgi. Stał tak i gapił się pomstując w duchu, dopóki nie zbliżyła się do niego, pochłaniając drożdżową bułeczkę.

– Wybacz, byłam straszliwie głodna – powiedziała przełykając ostatni kęs.

– Możemy po drodze kupić coś na kolację – mruknął i odruchowo dotknął kieszeni, w której tkwił mocno wychudzony portfel.

– Nie trzeba, już się najadłam – powiedziała z uśmiechem i wspięła się na palce, by pocałować go w policzek. – Witaj, przepraszam za kłopot – dodała.

– To żaden kłopot – odpowiedział szybko, żeby zbyt długim milczeniem nie wzbudzić jej podejrzeń.

– Bardzo się cieszę, że udało nam się spotkać – powiedziała i podała mu niewielką torbę podróżną. Wziął ją bez słowa i zerknął na zegarek. Była godzina dwudziesta druga trzydzieści. Za późno, by dzwonić do Toffi.

W autobusie Olga zamilkła i przez całą drogę patrzyła na przesuwane się za oknem obrazy. Adam przyglądał się jej dyskretnie i coraz mniej żałował, że zgodził się ją przyjąć pod swój dach. Była zupełnie inna od wiecznie naburmuszonej Toffi. Potrafiła paplać o niczym i pięknie się uśmiechać. Ostatecznie wieczór mógł zapowiadać się bardzo przyjemnie.

– Adam – odezwała się nagle, odrywając wzrok od okna. Spojrzał na nią pytająco. – Czy Toffi mieszka z tobą?

– Nie – odpowiedział.

– To dobrze.

– Dlaczego dobrze? – zapytał z rozbawieniem w oczach. – Może jesteś o nią zazdrosna?

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

– Zazdrosna? – zapytała rumieniąc się lekko. – Co ci chodzi po głowie?

– Nic... tak tylko... Żartowałem – ratował sytuację.

– Po prostu nie lubię jej. Nie znoszę. Cieszę się, że nie będę musiała jej widzieć. Kiedy weszli do domu, Olga rozejrzała się ciekawie.

– To twoje mieszkanie? – zapytała z nutką zazdrości w głosie.

– Moje. Podoba ci się?

– Nie wiem. Jest takie... męskie.

– Czyli masz dowód, że żadna kobieta tu nie mieszka – zażartował.

– Ech, nie przeszkadza mi kobieta, tylko Toffi.

– Rozumiem – bąknął skonsternowany.

– Co ty tam rozumiesz – obruszyła się. Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

– Toffi mnie oszukała – podjęła temat Olga. – Zrobiła mi świństwo. Tego jej nie wybaczę.

– Jakie świństwo? – zaniepokoił się. – Możesz powiedzieć coś więcej?

– Sama nie wiem. Właściwie teraz to już mogę.

– A wcześniej nie mogłaś?

– Nie.

– Dlaczego?

– Boże, Adam, przestań mnie tak o wszystko wypytywać. Zapytaj swoją Toffi.

– Moją? Olga, mam wrażenie, że wszystko się skończyło. Toffi zachowuje się dziwnie.

– Też mi niespodzianka – zachnęła się. – Zawsze była dziwaczką. Zdumiewa mnie tylko... – zawiesiła głos i spojrzała na Adama spłoszona.

– Co? Co cię zdumiewa? – ponaglił Olę.

– Że wybrałaś ją – dokończyła.

– A kogo miałem wybrać? – zdziwił się.

– Mnie.

Adam zamilkł i przyglądał się Oldze przez dłuższą chwilę. Znowu oblała się rumieńcem i odwróciła wzrok.

– Oszukała mnie – powiedziała cicho. – Wiesz kiedy? Kiedy wybierałaś się w Bieszczady z dziennikiem Magdaleny. Namówiła mnie na ten wyjazd. Powiedziała, że ty prosiłeś ją o to.

– Ja? – zdumiał się. – Ja ją prosiłem?

– Ano właśnie. Upokorzyła mnie jak diabli, bo dobrze wiedziała, że ja... Wiedziała, że ja... że cię kocham – wyrzuciła z siebie i odetchnęła z ulgą.

– Olga!

– Tak. Teraz mogę ci o tym powiedzieć. Byłam w tobie szaleńczo zakochana. Nie masz pojęcia, jak bardzo się wtedy cieszyłam. Wyobrażałam sobie tę wspólną wyprawę i... I w tych moich marzeniach wszystko wyglądało zupełnie inaczej! Ale ona

miała już swoje plany. Chciała dać mi nauczkę, żebym się do ciebie nie zbliżała.

– Ale dlaczego?

– Rozkapryszona egoistka. Chciała mieć cię dla siebie. To było wtedy, gdy porzucił ją Maks. Postanowiła zrobić mu na złość, pokazać, że nie jest niezastąpiony. Poza tym byłeś jej potrzebny do szukania Juliany. Chciała mieć gwarancję, że nie będziesz ze mną. Nawet za nami wtedy pojechała, pamiętasz? Chciała mieć wszystko pod kontrolą. Nigdy nie potrafiła znieść tego, że jakkolwiek chłopak interesuje się kimś bardziej niż nią.

– Olga, przepraszam. Może gdybym wiedział...

– To by niczego nie zmieniło. Nie byłeś mną w ogóle zainteresowany. Natomiast nią tak. Zresztą nie mówmy o tym. I tak już za późno... Kochasz ją? – zapytała i zawiesiła na nim spojrzenie, z którego trudno było coś wyczytać.

– Sam już nie wiem – mruknął i poszedł zaparzyć herbatę.

Ranek wstał pogodny, Olga również. Wybiegła bardzo wcześnie, kończąc po drodze kanapkę, którą przygotował jej Adam. Widocznie zawsze jadała w biegu. Adam korzystając z wczesnej pobudki, postanowił odwiedzić Toffi, którą miał nadzieję zastać tym razem w domu. No, chyba że nocowała gdzie indziej lub wyjechała z Warszawy. Kiedy zadzwonił do jej drzwi, była godzina siódma. Otworzyła nie interesując się, kto stoi za drzwiami. I chyba tylko dlatego Adamowi udało się do niej dostać. Nie ukrywała wściekłości.

– Zwariowałaś? Nie możesz spać? – syknęła na powitanie.

– Toffi, wciąż nie mam szans na spotkanie z tobą, a muszę ci o czymś powiedzieć.

Odwróciła się i powędrowała do kuchni. Obszerna piżama wisiała na niej jak na wieszaku.

– No mów – burknęła, nastawiając jednocześnie wodę na kawę. – Napijesz się? – zapytała nieco uprzejmiej.

– Poproszę.

Zalała wrzątkiem kawę, wzięła jeden z kubków i powłokła się do pokoju. Usiadła ciężko w fotelu i przymknęła oczy. Zachowywała się tak, jakby Adama w ogóle tu nie było.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, która wydała mu się zmęczona i jakby starsza, po czym powiedział:

– Juliana czeka na ciebie.

Wyprostowała się błyskawicznie i otworzyła oczy.

– Dlaczego? – zapytała.

– Nie wiem. Prosiła, żebym cię przyprowadził.

– Nie – odparła krótko i znowu wtuliła się w oparcie fotela.

– Słucham? – nie zrozumiał.

- Nie pójdę do niej. Nie chcę. Poza tym Juliana mnie nie lubi, więc...
- Nalegała. Obiecałem, że cię przyprowadzę – powiedział stanowczo.
- Możesz przyprowadzić krowę na postronku, ale nie mnie – podniosła głos. – Powiedziałam, że nie zamierzam tam iść.
- W porządku. Przekażę jej twoje słowa – powiedział wruszając ramionami – chociaż ich nie rozumiem.
- Nie musisz wszystkiego rozumieć. Powiedz jej, że nie mam czasu na wizyty.
- A nie masz?
- Co to cię obchodzi? – podniosła głos i z hałasem odstawiła kubek, wylewając kawę na stół.
- Wobec tego powiem jej prawdę.
- A mów, co chcesz – zirytowała się.
- Jak tam twoje sprawy? – zmienił temat, nie chcąc jej bardziej zdenerwować, ale tylko dolał oliwy do ognia.
- Jakie znowu sprawy? – zapytała, udając, że nie rozumie.
- Finansowe. Zwróciłaś pieniądze?
- Skąd niby miałam je wziąć? Oddałam tylko tyle, żeby powstrzymać gościa przed wyaplaniem wszystkiego policji.
- Moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby to zrobił. Przynajmniej szukaliby oszusta.
- Nie rozumiesz, że ja też jestem w to wplątana? – zapytała z irytacją. – W żadnym wypadku nie chcę, żeby zajmowała się tym policja.
- Ty również padłaś ofiarą oszustwa – powiedział nieszczercze. Dobrze wiedział, że Toffi też nie była bez winy. – Skąd miałaś pieniądze? Znalazłaś pracę?
- Coś tam robię. Dorywczo – odpowiedziała wykrętnie i odwróciła wzrok, co wzbudziło jego podejrzenie.
- Toffi, powinnaś odwiedzić Julianę, skoro cię o to prosi – zmienił ton i starał się mówić łagodnie. – Przypomnij sobie, jak długo jej szukaliśmy. Pamiętasz, jak jeździliśmy razem na Podlasie i Warmię? Tak lubię wspominać te chwile...
- Stanął za fotelem, na którym siedziała i otoczył ją ramionami. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Nachylił się nad nią i pocałował w rozchylone usta. Przytuliła się do jego ramienia i westchnęła z uczuciem ulgi.
- Adam... Dobrze, że jesteś... Tak mi ostatnio źle.
- Toffi, kochanie... Teraz już będzie dobrze. Jestem przy tobie. Poradzimy sobie. Zobaczysz. A dziś wieczorem pojedziemy do Juliany.
- Nie ma mowy! – zawołała gwałtownie, odpychając jego ramiona. – Nie pojedę tam! Jeśli po to przyjechałeś, by mnie do tego namawiać, możesz natychmiast wyjść.
- Nie bądź głupia! – podniósł głos. – Ja zupełnie nie rozumiem tej twojej niechęci. Przecież nie zrobiła ci nic złego. Masz okazję na pozytywne relacje z jedyną ciotką!
- Nie potrzebuję żadnej ciotki! – krzyknęła.

– To zrób to dla mnie – upierał się. – Chyba że mnie też nie potrzebujesz.

– Wiesz co? Idź już sobie. – Toffi wstała, wyszła do przedpokoju i spojrzała na niego wyczekująco.

Wyszedł nie pożegnawszy się nawet. Dławiła go złość, choć na ustach czuł jeszcze smak pocałunku.

Naczelny zadzwonił akurat wtedy, gdy otwierał drzwi mieszkania.

– Cholera! – zaklął. – Jeszcze i to...

– Adam – odezwał się szef – chciałem ci tylko powiedzieć, że Dębski wysmażył artykuł na dwa numery. Musieliśmy to zamieścić, bo jest akurat na czasie. Twój materiał zaczniemy puszczać dopiero w po nim. Zgadzasz się? – zadał retoryczne pytanie, bo i tak decyzja już zapadła.

– Tak... Oczywiście, zgadzam się... – mruknął udając rozczarowanie.

– No i dobrze. Co się odwlecze, to... A skończyłeś już ten reportaż?

– Tak... Właściwie tak – skłamał. – Ale sprawdzę jeszcze. Wymaga drobnych poprawek.

– Jasne, jasne. Popraw, co tam trzeba, i przynieś do redakcji. Chciałbym to dokładnie przeczytać, zanim zamieścimy.

– Oczywiście, panie redaktorze.

– Pracuj. Do widzenia.

– Do widzenia.

Adam z ulgą schował telefon do kieszeni. Miał więc jeszcze kilka dni czasu. Oby Juliana nie zwlekała ze swoją opowieścią.



## 10

Sam? – Juliana uniosła do góry brwi, co świadczyło o tym, że jest najdelikatniej mówiąc, rozczarowana. – A gdzie Teofila?

– Toffi przeprasza, niestety wezwały ją pilne obowiązki – kręcił Adam, jednocześnie wycierając buty o szczeniastą wycieraczkę. Robił to tak dokładnie, jakby przed przybyciem do Juliany przemierzył kilkuhektarowe pole tuż po deszczu. Tymczasem dzień był pogodny, choć typowo jesienny.

– Cóż, skoro ją tłumaczysz, będziesz musiał pomóc mi w rozwiązaniu pewnej zagadki, przeznaczonej dla niej – mruknęła z niezadowoleniem.

– Ależ z największą przyjemnością! – zawołał uszczęśliwiony, że chodzi o jakąś błahostkę. Szybko jednak zamilkł pod ostrym spojrzeniem Juliany.

W pokoju panował półmrok i przyjemny chłód. Juliana zapaliła lampę i wskazała Adamowi miejsce na sofie. Kiedy sięgała po niewielkie ozdobne pudełeczko, była bardzo oficjalna. Otworzyła je i pokazała zawartość Adamowi.

– Podoba ci się?

– Tak, jest śliczne – bąknął zdziwiony pytaniem.

– Co jest śliczne? – badała, jak na przesłuchaniu.

– No... Pudełko... Szkatułka.

– Ale ja pytam o to, co jest w środku – powiedziała z naganą w głosie.

– W środku? – zdumiał się. – W środku nic nie widzę...

– No właśnie – westchnęła. – Ja też nic nie widzę. A powinnam. Do wizyty Teofili spoczywał tu pierścionek. Teraz go nie ma. Dla niej jest bez znaczenia, a dla mnie strata tym większa, że był ogromnie cenny. Emocjonalnie cenny, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. To pamiątka. Bardzo osobista pamiątka. Dostałam go od matki na urodziny, a potem towarzyszył mi w najtrudniejszych chwilach. Odzyskałam go stosunkowo niedawno. A teraz go nie ma.

– Czy pani uważa, że... Czy pani podejrzewa... – plątał się, nie mogąc pogodzić się

z oskarżeniem Toffi o kradzież.

– Ja nie podejrzewam, mój drogi, ja to wiem – powiedziała pewnym siebie głosem.

Adam nie odezwał się. Toffi potrzebowała pieniędzy, to wiele tłumaczy. Czy Juliana wiedziała o jej problemach? Wolał nie podejmować dyskusji na ten temat.

– Chcę odzyskać ten pierścionek – powiedziała dobitnie, odstawiła pudełeczko na miejsce, po czym spokojnie zaczęła opowiadać.

Od pamiętnej nocy, kiedy odkryłam w piwnicy ofiarę Marka Zawady, żyłam w ciągłym napięciu. Bałam się czegoś i wychodząc z domu do pracy dokładnie rozglądałam się wokół, czy ktoś mnie nie śledzi. Wojtek nie pojawił się więcej i nawet jeśli chciałabym z nim porozmawiać, zupełnie nie wiedziałam, gdzie go szukać. Marek Zawada również zniknął. Być może wyjechał z miasta. Ciało z piwnicy zabrano jeszcze tego samego dnia. Potem przesłuchano mieszkańców kamienicy, ale nikt o niczym nie wiedział. Ja również wyparłam się wszystkiego. Nie przesłuchano tylko Zbigniewa Packi, wdowca mieszkającego na parterze, którego uporczywie nie było w domu. Pewnie jak zwykle wpadł w ciąg alkoholowy i zawieruszył się w jakiejś melinie.

Nawet w szpitalu nie czułam się komfortowo, zwłaszcza kiedy plotka dotarła do pacjentów i personelu. Przez kilka dni nie mówiono o niczym innym, jak tylko o zabójstwie, a ja jako mieszkanka osławionej kamienicy znalazłam się w centrum zainteresowania. Pewnego dnia po przyjściu na dyżur zostałam wezwana przez siostrę oddziałową.

– Milicjant o ciebie pytał – oznajmiła. – Pokazał jakieś pismo od prokuratora. Podobno mają tego Packę, a on twierdzi, że widział, jak schodziłaś w nocy do piwnicy.

Pociemniało mi w oczach, aż się zachwiałam, co nie uszło uwadze oddziałowej.

– A czego ty się boisz? – zapytała zdziwiona. – Co tam jakiś pijak mógł po nocy widzieć? Zmyśla i tyle!

– Ja raczej nie byłbym taki spokojny – wtrącił młody lekarz, wpisujący coś do kart chorych. – Mój szwagier był świadkiem, jak zakatowali jakiegoś ubeka. Milicja nie mogła znaleźć sprawców, to wsadzili mojego szwagra do więzienia. Do dzisiaj siedzi w Rawiczu.

– Nich pan nie przesadza, doktorze – obruszyła się oddziałowa. – Przecież nie będą się czepiać młodej dziewczyny.

– Życia pani nie zna – westchnął lekarz i wstał z miejsca. – Radzę ci wyjechać natychmiast – szepnął mijając mnie.

Przestraszyłam się tak bardzo, że nie pytając oddziałowej o zgodę, zbiegłam do szatni i z bijącym sercem wyjęłam z szafki swoje rzeczy. Wiedziałam, że jeśli teraz wyjdę, nigdy więcej tu nie wrócę. Do domu pędziłam jak wichur. Przez całą drogę myślałam o Wojtku. Bałam się, że jakimś cudem dotrą i do niego. Chciałam go przestrzec, ale nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Jakież było moje zdumienie, gdy



zastałam go pod swoimi drzwiami. Stał bardzo zdenerwowany. Zaczekał, aż otworzę drzwi, i wepchnął mnie do środka.

– Juliana – powiedział przyciszonym głosem. – Ten wisielec to jakaś gruba ryba. Ktoś nas widział w nocy. Trzeba uciekać, strasznie wężą.

– Ale dlaczego my? Nic nie zrobiliśmy! – zawołałam, szczękając ze zdenerwowania zębami.

– Ciszej – upomniał mnie. – Wiedzieliśmy o zbrodni i nie zgłosiliśmy na milicję. No i rozmawialiśmy z Zawadą zaraz po zabójstwie. To wystarczy.

– Dokąd uciekniemy? – zapytałam, patrząc na niego z nadzieją. Wierzyłam, że coś wymyśli.

– Juliana, nie możemy wyjechać razem.

– Co? – jęknęłam bliska płaczu. – Jak to, nie możemy?

– Zrozum! – uciął krótko, potrząsając mnie za ramiona. – Przynajmniej jednemu z nas musi się udać.

Zamilkłam. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. Torebka, którą trzymałam, wypadła mi z rąk.

– Dasz sobie radę, zobaczysz – próbował mnie pocieszyć, widząc, jak poruszyły mnie jego słowa. Podniósł z podłogi torebkę i wcisnął mi ją do ręki. – Potrzebujesz pieniędzy? – zapytał.

– Nie, dziękuję – odparłam głucho.

Wojtek bez słowa musnął ustami mój policzek, potem przygarnął mnie mocno do siebie i tkwiliśmy tak chwilę, która dla mnie mogłaby trwać wiecznie. Oderwał się ode mnie gwałtownie, boleśnie. Spojrzał ostatni raz w moje oczy i wybiegł na schody. Stałam jak odrętwiała. Potem rozejrzałam się po pokoju, który przez krótki czas dawał mi schronienie. I mimo że nie był ładny ani przytulny, czułam się w nim bezpiecznie. Teraz znowu musiałam uciekać. Wyciągnęłam spod łóżka walizkę i zaczęłam wrzucać do niej ubrania i osobiste drobiazgi. Nie wiedziałam, dokąd pojedę. Miałam żal do Marka Zawady, że dokonał dawnych rozliczeń właśnie w mojej piwnicy. Przez niego straciłam dom, poczucie bezpieczeństwa i... Wojtka. Po raz ostatni ogarnęłam wzrokiem blade ściany, podłogę, mały kafłowy piecyk, pod którym spędziłam tyle wieczorów pochłonięta lekturą. Spojrzałam też na łóżko z zapadniętymi na środku sprężynami i miękką poduszkę, która tuliła mnie do snu. Gdzie spędzę dzisiejszą noc? W ostatniej chwili dostrzegłam radio, prezent od Janka. Zapakowałam je w szary papier i dokładnie obwiązałam sznurkiem. Nie potrafiłam się z nim rozstać.

Wyszłam z domu rozglądając się czujnie na boki. Szybkim krokiem przemierzyłam dobrze znany teren, przy którym mieszkałam, i między domami przedostałam się do ulicy prowadzącej na dworzec. Zastanawiałam się, dokąd właściwie mam się udać. Przez moment przemknął mi przez myśl dom babki Oleny, jednak wspomnienie rozstania się z nią i obecność Janka we wsi wykluczyły powrót. Może to dobra okazja,

by znaleźć wreszcie nieznaną rodzinę w Konstancinie? Dźwigając walizkę i radio pod pachą, dotarłam wreszcie na stację kolejową. Pociąg do Warszawy uciekł mi przed chwilą. Widocznie nie miałam na tyle szczęścia, by dotrzeć do Konstancina. Teraz musiałam jak najszybciej opuścić miasto. Najbliższy pociąg miał odjechać za pół godziny do Olsztyna. I tam postanowiłam się udać. Kupiłam bilet i wtopiłam się w tłum ludzi czekających na peronie. Tak więc w nocy ostatniego dnia listopada pięćdziesiątego siódmego roku jak banita udałam się na warmińskie ziemie odzyskane. Tuż po wschodzie leniwego o tej porze roku słońca, pociąg z łoskotem wtoczył się na olsztyński peron. Wyczerpana podróżą z ulgą opuściłam zapchany przedział trzeciej klasy. Przeszłam do poczekalni, gdzie cudem udało mi się znaleźć wolny skrawek ławki. Zastanawiając się, co z sobą zrobić w obcym mieście, przez długi czas obserwowałam podróżnych. Ludzie snuli się po dworcu w oczekiwaniu na swój pociąg. Niektórzy czytali poranne wydanie gazety, inni wyjadali z zatłuszczonych papierków chleb ze smalcem, zagryzając kiszonym ogórkiem. Większość z nich była w tej chwili zawieszona między pewnymi etapami podróży. Wcześniej czy później zakończą ją w domach, u boku najbliższych. Ja znalazłam się między etapami życia, z którym nie wiedziałam, co zrobić. Zwróciłam uwagę na młodego, niewysokiego mężczyznę, który najpierw stał pod ścianą jakby kogoś wypatrywał. Potem ruszył za człowiekiem w szarym kapeluszu, który zdecydowanym krokiem zmierzał do kasy biletowej. Drobnym mężczyzną ustawił się w kolejce tuż za nim. Stał tam do momentu, w którym ten w kapeluszu poprosił o bilet. Potem oddalił się i pośpiesznie opuścił budynek.

– Esbecki donosiciel, psia krew... – mruknął siedzący obok mnie jegomość i pokręcił z dezaprobatą głową.

– Skąd pan wie? – zapytałam, spoglądając na drzwi, za którymi zniknął mężczyzna.

Jegomość nie odpowiedział, tylko zerknął na mnie z ukosa, po czym ukrył twarz za płachtą gazety. Posiedziałam jeszcze przez kilka minut i wyszłam na zewnątrz. Dzień był szary i dżdżysty. Przechodnie unosili kołnierze palt i jesionek, chroniąc się przed przenikliwym chłodem. Kobiety szelniej zawiązywały pod brodą kwieciste chustki. Szłam przed siebie, rozglądając się dokoła. Miasto pasowało do pogody. Było równie szare i smutne. Przechodząc koło jednego ze sklepów, poczułam zapach świeżych bułek. Kupiłam jedną i poszłam dalej, usiłując poradzić sobie z walizką, bułką i ciężkim radiem jednocześnie.

– Uważaj, jak chodzisz! Nie widzisz tramwaju?! – usłyszałam oburzony głos.

– Przepraszam – powiedziałam i odwróciłam się, by zobaczyć, kto mnie ostrzegł. Za mną stał drobnym mężczyzną, którego obserwowałam na dworcu. – Dziękuję panu – bąknęłam speszona. W tej chwili bałam się własnego cienia, cóż dopiero człowieka, o którym usłyszałam, że współpracuje z SB.

– Ależ nie ma za co – odparł. – Szkoda by było tak pięknej dziewczyny – dodał.

Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć i czy to nie jedna ze szpiegowskich metod, więc uśmiechnęłam się tylko.

– Chyba nie jesteś stąd? – zagał życzliwie.

– Nie – potwierdziłam. – Przyjechałam z... – zamilkłam spłoszona. Im mniej powiem, tym lepiej – pomyślałam, ale mój rozmówca już nadstawił ciekawie ucha.

– No? – ponaglił zachęcająco. – Skąd przyjechałaś?

– Ze wsi. Tam nie ma tramwajów, ani samochodów – odparłam wymijająco.

– To prawda – roześmiał się. – W takim razie musisz bardziej uważać. Przyjechałaś tu do pracy? – zapytał.

Zadawał zwyczajne pytania, jakie mógłby zadać każdy nieznajomy. Byłam jednak bardzo ostrożna udzielając mu odpowiedzi. W mojej sytuacji nie należało być wylewnym. Zwłaszcza przy człowieku, który mógł wykorzystać te informacje na swój niechlubny sposób.

– Nie – odparłam krótko, zastanawiając się, czy to mu wystarczy. Uśmiechnął się zagadkowo.

– Pozwolisz zaprosić się na poranną kawę? Tu niedaleko jest bar mleczny, możemy zjeść pyszne naleśniki. Założę się, że nie jadłaś jeszcze śniadania. Chodź, ja zapraszam – kusił.

– Dobrze – zgodziłam się po chwili wahania. Ostatecznie nie muszę opowiadać mu wszystkiego. Mogę też kłamać jak z nut. Zjem te naleśniki i każde z nas pójdzie w swoją stronę – pomyślałam.

– To doskonale. Będzie mi bardzo miło – powiedział pochylając się nad moją dłońią i ucałowawszy ją z galanterią odebrał ode mnie walizkę i paczkę z radiem. – Bagaż zostawmy w przechowalni, bo będzie nam tylko przeszkadzał – poradził.

– Tak, oczywiście – zgodziłam się. Czułam się przy nim jak mała dziewczynka i niezależnie od opinii o tym człowieku, było mi z tym nadspodziewanie dobrze. Bardzo żałowałam, że widziałam go w tak niezręcznej sytuacji. Chociaż z drugiej strony ta okoliczność pozwoliła zachować dystans i bezpiecznie ograniczała moje zaufanie.

– Chodźmy więc – rzucił, zagarnął mnie opiekuńczo ramieniem i poprowadził z powrotem na dworzec, gdzie zostawiłam swój bagaż.

W barze było ciepło i pachniało wanilią. Zanim usiedliśmy przy starannie wybranym stoliku, gdzie nie docierało zimne powietrze z dworu, cerata była czysta i nikt nie przechodził za naszymi plecami, mój rozmówca wyciągnął do mnie rękę i wyraziście podał swoje pełne imię i nazwisko.

– Przepraszam, że nie przedstawiłem się dotąd. Antoni Radłowski – powiedział i skłonił się uprzejmie.

Czy mam się przedstawić prawdziwym nazwiskiem? – myślałam gorączkowo, podając mu dłoń. Jeśli szuka mnie milicja, a on współpracuje z SB, może nie wyjść mi

to na zdrowie.

– Danuta Pierka – skłamałam, posługując się nazwiskiem swojej dawnej, krakowskiej opiekunki.

Antoni uśmiechnął się, ponownie ucałował moją dłoń, odsunął dla mnie krzesło i poczekał, aż usiądę. Sam usiadł naprzeciwko i zapytał z niezwykłym spokojem:

– Danuta Pierka... Danusia, tak? A nie Juliana Dors? – Zbladłam. Otworzyłam usta, ale zanim powiedziałam coś sensownego, dodał: – Oddając bagaż podałaś to drugie nazwisko. Czy któreś z nich jest prawdziwe? – Przechylił głowę i przyglądał mi się z rozbawieniem. Oczy jednak miał czujne jak kot przyczajony nad mysią norą. Ponieważ milczałam, zupełnie zbита z tropu, roześmiał się i powiedział: – A więc Juliana, prawda? – I nie czekając na odpowiedź oznajmił: – Jesteś piękną dziewczyną, Juliano.

Naleśniki smakowały znakomicie. Jedliśmy, niewiele się odzywając. Antoni od czasu do czasu odkładał widelec, wycierał usta papierową serwetką i przyglądał mi się z upodobaniem. Jego zachowanie peszyło mnie i przyprawiało o rumieńce. Zauważył to.

– Przepraszam Juliano, że przyglądam ci się tak natarczywie. Masz niespotykaną urodę, a ja jestem fotografem. Wyobrażam sobie, jak wyglądałabyś na portrecie. Może kiedyś pozwolisz mi się sfotografować?

Milczałam.

– Przyjechałaś tu na dłużej? – zadał kolejne pytanie, nie doczekawszy się odpowiedzi na poprzednie.

– Sama nie wiem. Nie mam gdzie się zatrzymać – po raz pierwszy, powodowana bezradnością, zdobyłam się na szczerość.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Rozumiem – powiedział. – Mam tu spore możliwości. Mogę ci pomóc, jeśli tylko na to pozwolisz.

Czułam, że nie powinnam godzić się na pomoc z jego strony, chociaż byłam w bardzo trudnej sytuacji.

– Dlaczego chce mi pan pomóc? – zapytałam, patrząc mu uważnie w oczy.

– Mów mi po imieniu – poprosił, kładąc swoją dłoń na mojej. Delikatnie, ale stanowczo zabrałam rękę ze stołu. Nie dał po sobie poznać, że uraził go mój gest. – Ułatwię ci start, żebyś zechciała tu zostać – powiedział po prostu.

– Nie chcę – odparłam, wstając z miejsca. Myślałam o cenie, jaką przysłoby mi zapłacić. Nie wierzyłam, że zechciałby zrobić coś dla mnie bezinteresownie. – Dziękuję za śniadanie – rzuciłam na pożegnanie, biorąc płaszcz. Potem wyszłam, pozostawiając zaskoczonego takim obrotem sprawy Antoniego.

Korzystając z możliwości umieszczenia bagażu w bezpiecznym miejscu, plątałam się po ulicach Olsztyna. Miasto sprawiało wrażenie rozwleczonego jak stara pończocha.

Dotarłam do nieco oddalonej od centrum miasta ulicy, przy której znajdowała się fabryka zapalek. Między fabryką a zabudowaniami mieszkalnymi znajdowały się ogródki działkowe, opuszczone o tej porze roku. Gdzieś tam stały byle jak sklecone szopy. Zajrzałam do najsolidniej wyglądającej budy, której wejście nie było zabezpieczone żadną kłódką, i zlustrowałam ciasne wnętrze pod kątem ewentualnego noclegu. Wszędzie wałały się ogrodnicze narzędzia. Poskładałam w jeden kąt grabie, motyczki i szpadle, dzięki czemu na podłodze powstała przestrzeń wystarczająca do zrobienia legowiska. Rozciągnęłam znaną pod rupieciami tekturę, która choć trochę izolowałaby mnie od lodowatej podłogi. Szopa nie miała okien i po zamknięciu drzwi było w niej zupełnie ciemno. Byłam tak zdeterminowana, że zdecydowałam się spędzić tu pierwszą noc.

Wracając po walizkę myślałam o propozycji Antoniego, którą odrzuciłam. Przez chwilę nawet tego żałowałam, ale po przeanalizowaniu jego zachowania stwierdziłam, że podjęłam właściwą decyzję. Nie chciałam być zależna od niego, poza tym musiałam być bardzo ostrożna i utrzymywanie znajomości z takim człowiekiem byłoby co najmniej nierozsądne. Chyba że... Chyba że Antoni zakochałby się we mnie. Szybko odrzuciłam ten absurdalny pomysł i nie wiem dlaczego pomyślałam o Wojtku.

Odebrałam bagaż i z ostrożnością tropionego zająca wróciłam do szopy, gdzie ukryłam go między rupieciami. Obrałam z pajęczyn włosy i płaszcz i wyruszyłam na poszukiwanie pracy. Odrzuciłam pomysł ponownego zatrudnienia się w szpitalu. Jeśli rzeczywiście będą mnie poszukiwać, zaczną z pewnością od tego typu miejsca. Zauważyłam, że w mieście zaczęły rozwijać się drobne prywatne przedsiębiorstwa, które dotąd były rygorystycznie zwalczane przez rząd. Powstawały zakłady rzemieślnicze, szewskie, fryzjerskie, krawieckie, w przedsiönku apteki trafiłam nawet na kobietę, która siedząc przy niewielkim okrągłym stoliku, przy lampie o bardzo jasnej żarówce podnosiła oczka w pończochach. Wędrowałam od sklepu do sklepu, odwiedziłam małe zakłady krawieckie, choć o szyciu nie miałam pojęcia, trafiłam nawet do kwaszarni kapusty, ale wciąż odchodziłam z kwitkiem. Znużona i zniechęcona wstąpiłam jeszcze do zakładu fryzjerskiego dla mężczyzn, z postanowieniem, że będzie to ostatnia próba w dniu dzisiejszym.

– Nie potrzebuje pan pomocnika? – zapytał fryzjera, który wywijał wielkimi nożycami nad jakąś męską głową. Spojrzał na mnie, następnie rozejrzał się wokół.

– Pomocnika? – zdziwił się. – A gdzie jest ten pomocnik?

– To ja...

– Umiesz strzyc? Golić?

– Niezupełnie, ale mogłabym na przykład sprzątać...

– Dziecko, a co tu jest do sprzątania? Te parę kłaków? – Ogarnął wzrokiem podłogę, ale zaraz się zreflektował i składając się jak scyzoryk szepnął do ucha klienta: – Bardzo pana przepraszam, najmocniej przepraszam...

– Nic nie szkodzi – mruknął tamten, po czym zwrócił się do mnie: – A czy pytała pani w Kortowie? Jedna ze sprzątaczek ostatnio poszła na urlop macierzyński. Zdaje się, że potrzebujemy...

– Przepraszam, nie jestem stąd – podchwyciłam pełną nadziei. – W Kortowie?

– Tak. Trzeba przejechać przez całe miasto. Jest tam Wyższa Szkoła Rolnicza. Dziś już pani nie zdąży, ale proszę dowiedzieć się jutro.

– Dobrze, dziękuję bardzo – ucieszyłam się, dygnęłam przed fryzjerem i jak na skrzydłach opuściłam zakład.

Po drodze kupiłam całe opakowanie świec, zapalki i wróciłam do drewnianej budy.

Noc była koszmarna. Wiatr wdzierał się przez szczeliny i hulał po całej szopie. Gdyby nie dwadzieścia świec, które powtykałam w szerokie szpary w podłodze, nie zniosłabym zimna i ciemności. Tańczące płomyki rzucały przedziwne ruchome cienie na sklecone z desek ściany i zgromadzone tu graty. Zdawało się, że wszystko tu drży razem ze mną. Siedziałam zwinięta w kłębek na tekturze, opatulwszy się wszystkim, co miałam w walizce. Nie zmrużyłam oka, pilnując świec i wsłuchując się w dochodzący z daleka skowyt jakiegoś psa. Trzęsąc się z zimna i wyrzucając sobie, że nie zgodziłam się na pomoc Antoniego, doczekałam poranka.

Samodzielne osiedle uczelniane Kortowo znalazłam pokonując dziwnym pojazdem, o nazwie „trolejbus”, dwa kilometry od centrum miasta. Mimo grudniowej szarej pogody zachwyciło mnie to miejsce. Budynki z czerwonej cegły wynurzały się spośród drzew, które przeglądały się w lustrze jeziora. Umocowana do jednego z drzew łódka unosiła się i opadała regularnie, zgodnie z przypływającymi do brzegu falami. Przystanęłam na podmokłym piasku i głęboko odetchnęłam rześkim powietrzem. Do budynku wchodziła właśnie rozbawiona grupa studentów. Podbiegłam i zapytałam o sekretariat, w którym miałam nadzieję załatwić sprawę pracy. Jakaś dziewczyna w zielonym berecie wyjaśniła mi, dokąd powinnam się udać, i zniknęła za drzwiami uczelni. Tak bardzo jej zazdrościłam!

Pracę podjęłam natychmiast. Do moich obowiązków należało sprzątanie sal do ćwiczeń laboratoryjnych, wraz z myciem sprzętu i probówek, oraz porządkowanie niektórych sal wykładowych. Od rana odbywały się zajęcia, swoją pracę wykonywałam więc wieczorem. Początkowo sypiałam w pomieszczeniach gospodarczych, dopóki ktoś usłużny nie doniósł o tym władzom uczelnianym. W rezultacie wyszło mi to na dobre, ponieważ otrzymałam samodzielny pokój w akademiku. To, co robili studenci, pasjonowało mnie od początku. Zwykle przed pracą wślizgiwałam się do sali wykładowej i przysłuchiwałam słowom kierowanym do studentów. Ponieważ nikt mnie nigdy nie wyprosił, a studenci przyjęli mnie zwyczajnie, jakbym była jedną z nich, wkradałam się do laboratorium i przyglądałam ćwiczeniom. W ten sposób stałam się nielegalnym słuchaczem Wyższej Szkoły Rolniczej. Pewnego dnia, kiedy z uwagą studiowałam rozsadę roślin, prowadzący

ćwiczenia zwrócił się do mnie:

– Proszę zostać na chwilę po zakończeniu zajęć.

Zbladłam ze zdenerwowania. Na pewno w dosadny sposób określi moje miejsce w szeregu – pomyślałam. – W najlepszym razie skończy się upomnieniem.

– Jest pani bardzo tajemniczą studentką. O ile wiem, od niedawna. Skąd się pani tu wzięła? – zapytał.

– Przepraszam... – bąknęłam. – Nie powinnam tu być. Nie jestem studentką.

– Nie? – zdziwił się. – A kim, jeśli można wiedzieć?

– Sprzątam tu – powiedziałam czerwieniąc się po czubek głowy.

– A więc sprzątaczką jest najpilniejszą słuchaczką na uczelni. No tak... No tak... – z zafrasowaniem pogładził brodę, zebrał z biurka swoje rzeczy i nie mówiąc nic więcej, wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Zanim zdążyłam wyjść, wrócił i wyciągnął w moim kierunku wskazujący palec.

– Nazwisko, nazwisko pani – zażądał.

– Dors. Juliana Dors – odparłam drżącym głosem.

– Dors – powtórzył i na dobre opuścił salę.

Następnego dnia nie miałam odwagi uczestniczyć w zajęciach, chociaż zapowiedziany był wykład mojego ulubionego profesora na temat hodowli pszczół. Bojąc się o utratę pracy, przez cały tydzień starałam się nie plątać po uczelni poza czasem moich obowiązków. Kiedy jednak przechodziłam przez dziedziniec, natknęłam się na jednego z wykładowców.

– Nie widzę pani ostatnio – zagaił. – Proszę przychodzić, serdecznie zapraszam. – Uśmiechnął się i poszedł w swoją stronę.

Dzień później zostałam wezwana do rektora. Szłam z bijącym sercem, zastanawiając się, co zrobię, jeśli mnie wyrzuci. Rektor wskazał mi krzesło po drugiej stronie biurka, potem przełożył jakieś dokumenty z jednego stosu na drugi i westchnął. Czekałam cierpliwie.

– Czy wie pani, gdzie jest biblioteka? – zapytał i jednocześnie wyjaśnił: – Mieści się w tymczasowym budynku, niebawem zostanie przeniesiona do innego. Znajduje się tam również czytelnia dla studentów. Otóż w tej czytelni przydałaby się osoba do wydawania studentom potrzebnej im lektury. Bibliotekarka skarży się, że grzebią sami po półkach i robią bałagan. Tak nie może być. Kobieta, która tam pracuje, sama nie daje sobie rady, tym bardziej że wciąż segreguje pozycje, które spłynęły do nas z Łodzi i Cieszyna, po likwidacji tamtejszych uczelni. Otóż nie będzie pani sprzątać, pani Dors. Zatrudniam panią w naszej bibliotece. Proszę podpisać w pokoju obok stosowne dokumenty. To wszystko, dziękuję.

Wstałam oszołomiona i nacisnęłam kławkę.

– Aha, jeszcze jedno – zatrzymał mnie. – Proszę sobie korzystać z wykładów w wolnych godzinach.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – bąknęłam, wyszłam z gabinetu, zamknęłam cicho drzwi i oparłam się o nie plecami. – Dzięki ci, Boże – szepnęłam.





## 11

Juliana, potrzebuję Kiełczowskiego *O symbiozie*. Szybko!

– Zaczekaj, Krzysiu. Szukam Felisiaka dla Baśki. Ma za chwilę ćwiczenia, na które powinna napisać z tego notatkę – mówiłam uwijając się wśród półek.

– Juliana, możesz podać mi nowszy rocznik tego czasopisma? W tamtym nie znalazłem tego, czego potrzebuję – prosił Tadek, przechylając się przez blat mojego biurka.

– Zaraz, zaraz, najpierw obsłużę Krzysia – wołałam z wysokości małej drabinki, poszukując Kiełczowskiego na górnej półce.

– Pani Juliano, czy przygotowała pani dla mnie materiały, o które prosiłem? – pytał młody asystent z Wydziału Rolnictwa.

– Tak, panie Leszku, zaraz panu podam – odpowiadałam spokojnie, wręczając jednocześnie czasopismo Tadekowi.

– Dobrze, poczekam – odpowiedział asystent i rozsiadł się na krześle przy stoliku w kącie. Przeglądał jakieś pisemko, ale od czasu do czasu uchwycił jego wzrok na sobie.

– Już, już – zapewniałam myśląc, że się niecierpliwi.

– Ależ proszę się tak nie śpieszyć. Mam wolną godzinę, poczekam – uspokoił mnie.

Kiedy przelała się fala studentów, przyniosłam do stolika egzemplarze, o które prosił.

– Tu jest wszystko, panie Leszku – powiedziałam kładąc przed nim okazały stos książek.

– Dziękuję. Jest pani nieoceniona – ucieszył się. – Czy możemy chwilę porozmawiać?

– Tak, oczywiście – odpowiedziałam i przysiadłam na brzeжку krzesła.

– Pani Juliano, dostałem dwa zaproszenia na sztukę Fredry. Czy zechciałaby mi pani towarzyszyć?

Byłam zaskoczona propozycją.

– Nie wiem – grałam na zwłokę. – Kiedy jest ta sztuka?

– No tak, co za ignorant ze mnie. Przecież pani może mieć już jakieś plany. Dziś wieczór, w teatrze Jaracza.

– Nie mam planów. Chętnie się z panem wybiorę – odparłam, zastanawiając się w duchu, co na siebie włożę. Nigdy nie byłam w teatrze, nie miałam też w swojej szafie niczego stosownego na taką okoliczność.

– To cudownie. Sztukę grają o godzinie dziewiętnastej. Godzinę wcześniej mamy stąd trolejbus. Ale z powrotem wrócimy spacerkiem. Proszę ubrać się ciepło – poradził. – Mimo marca wieczory potrafią być jeszcze bardzo zimne.

– Oczywiście – powiedziałam z uśmiechem.

Dzień nabrał kolorów. Odkąd przybyłam do Kortowa, w Olsztynie byłam zaledwie kilka razy po najpilniejsze zakupy. Nie wiodłam też towarzyskiego życia i nie spotykałam się z rówieśnikami. Wieczór w teatrze uznałam za szczególną atrakcję. A asystenta Leszka darzyłam sympatią. Po powrocie do swojego pokoju przeszukałam szafę. Sukienki, jakimi dysponowałam, były za skromne na taką okazję. Zerknęłam na zegarek. Była piętnasta trzydzieści, nie zdążę pojechać do miasta, by kupić coś odpowiedniego. Zdeterminowana zapukałam do najbliższego pokoju studentek, które wpadały do mnie czasem na herbatę. Na szczęście Jadzia, zbliżona wzrostem do mojego, lubiła się stroić. Pożyczyła mi gustowną sukienkę, a Iwona dołożyła do niej długi sznur koralii.

– Przymierz, przymierz! – wołały jedna przez drugą.

Kiedy suknię miałam już na sobie, Marta przyjrzała mi się krytycznie.

– Coś nie tak? – zapytałam speszona.

– Twoje włosy – skrzywiła się. – Do tej sukienki pasowałby wysoki kok. Tak, zdecydowanie kok!

Wykapana, uczesana i wystrojona w kreację Jadzi, tuż przed godziną osiemnastą zmierzałam w kierunku przystanku. Leszek już tam czekał, rozglądając się i od czasu do czasu zerkając na zegarek.

– Dzień dobry – przywitałam się.

– Dzień dobry – odparł oficjalnie i nadal się rozglądał.

Poczułam się głupio. Jakaż byłam zarozumiała myśląc, że będzie mnie traktował jak kogoś równego sobie!

– To pani?! – zawołał nagle, zdumiony moim wyglądem. – Przepraszam, Juliano, ale nie poznałem pani! Ta fryzura...

Znowu się speszyłam. Na co dzień nosiłam luźno opuszczone, trudne do opanowania włosy, i czułam się z tym dobrze. Widocznie ten kok był cudaczny.

– Piękna! – dokończył Leszek z niekłamany entuzjazmem.

*Śluby panięskie* były zabawne, Leszek miły. W antrakcie wyszliśmy na zewnątrz, by odetchnąć świeżym powietrzem. Podziwiałam gmach teatru, którego ściany obrośnięte były bluszczem. Na szerokich rewiowych schodach stali eleganccy panowie i palili papierosy, dzieląc się wrażeniami. Jeden z nich oderwał się nagle od pozostałych i podszedł do nas.

– Dzień dobry, Juliano – odezwał się, zerkając jednocześnie na mojego towarzysza.  
– Przepraszam, czy nie przeszkadzam? – zwrócił się bezpośrednio do niego. Leszek chrząknął i uśmiechnął się zdawkowo. – Jestem Antoni Radłowski – przedstawił się, wyciągając dłoń do Leszka, który burknął coś pod nosem. Był wyraźnie niezadowolony. – Bardzo pana przepraszam, ale nie widziałem Juliany tak dawno... Myślałem, że jednak wyjechałaś – powiedział do mnie. – Od naszego spotkania wciąż o tobie myślałem. Martwiłem się.

– Niepotrzebnie – wtrącił Leszek i wziął mnie pod rękę. – Jak pan widzi, Juliana jest pod dobrą opieką.

– Ach, nie wątpię w to. – Antoni skłonił się, dodając: – Cóż, w takim razie nie będę państwu przeszkadzać, do widzenia.

Kiedy odszedł, Leszek puścił moje ramię i nie pytając o nic, ruszył w kierunku wejścia. Przed drzwiami zatrzymał się i puścił mnie przodem. Nie wiem dlaczego, ale czułam się w obowiązku wytłumaczyć z tej znajomości. Usłyszeliśmy jednak dzwonek i nie powiedziałam nic. Po drugiej części sztuki Leszek zdawał się o niczym nie pamiętać, a przynajmniej nie poruszył tego tematu.

– Przed nami co najmniej dwa kilometry, da pani radę? – zapytał.

– Na pewno – roześmiałam się, myśląc o odległościach, jakie w swoim życiu pokonywałam.

– W pięćdziesiątym roku, kiedy jeszcze sam byłem studentem, nie wolno nam było opuszczać Kortowa po godzinie dwudziestej – powiedział.

– Nie? – zdziwiłam się. – Dlaczego?

– Tu, na ziemię odzyskane, ściągali ludzie z różnych regionów. Postrzegani więc byliśmy jako chuligani i pijacy. A wszystko dlatego, że młodzież ograniczona latami wojny chciała się wreszcie bawić. Uznano, że ubieramy się ekstrawagancko i słuchamy dziwacznej muzyki.

– A jakiej muzyki słuchaliście? – zainteresowałam się.

– Jazzu. Było dość hałaśliwie. Wtedy po ulicach zaczęły krążyć patrole złożone z milicjanta, nauczyciela i któregoś z radnych Miejskiej Rady Narodowej. Robili naloty na kina, żeby ktoś przypadkiem nie oglądał wieczornego seansu. Zabraniali nawet grać w karty. Nie mogliśmy też czytać książek, jakie chcieliśmy. Ocenzurowano biblioteki. Teraz studenci mają dużo więcej swobody. A ty... A pani – poprawił się – wychodzi gdzieś wieczorami?

– Nie. Wieczory zwykle spędzam z książką – odparłam. – Czy nie uzna pan za

zuchwałość, jeśli zaproponuję, by mówił mi pan po imieniu? – zapytałam odważnie.

– Ależ skąd! – zawołał. – Będzie mi niezmiernie miło. Proszę zwracać się do mnie: Leszku.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które przerwał po chwili.

– Czasem widzę cię wieczorami, jak spacerujesz brzegiem jeziora. Nie boisz się?

– Nie – odpowiedziałam. – Czego mam się bać?

– Widocznie nie znasz historii Kortowa.

– Nie słyszałam o niczym szczególnym.

– Dawniej na terenie dzisiejszej szkoły był szpital dla umysłowo chorych. Rodziny oddawały swoich bliskich w ręce lekarzy, bo nie wiedziały, jak z nimi postępować albo zwyczajnie się ich wstydziły. Zagadkowe było to, że chorzy już nigdy nie wracali do swoich domów. Z czasem szpital został otoczony murem, żeby nikt z zewnątrz nie zobaczył, co się tam dzieje. Podobno na pacjentach były przeprowadzane eksperymenty. Na terenie szpitala był cmentarz, gdzie odbywały się pochówki.

– To okropne – wtrąciłam oburzona.

– A to nie wszystko – ciągnął Leszek. – Kiedy wybuchła druga wojna światowa, część szpitala przeznaczono dla niemieckich rannych żołnierzy. Ponieważ trzeba było zrobić im miejsce, w piwnicach budynków szpitalnych zamordowano mnóstwo pacjentów. Na pozostałych nadal eksperymentowano, aplikując im rozmaite trucizny lub poddając elektrowstrząsom. Tak było do stycznia czterdziestego piątego roku, gdy wkroczyli tu radzieccy żołnierze. Wtedy zaczęła się prawdziwa rzeź, bo Sowieci podpalili miotaczami wszystkie szpitalne budynki, razem z przebywającymi tam ludźmi. Ginęli nie tylko chorzy psychicznie, ale też personel i niemieccy żołnierze. Tych, którym udało się uciec z płonącego budynku, dobijano bagnietami lub strzelano do nich. Ciała sprzątnięto dopiero po tygodniu i pochowano w zbiorowych mogiłach na terenie Kortowa. Prawda wyszła na jaw podczas organizowania w tym miejscu uczelni, w pięćdziesiątym roku. Wtedy odkryto mogiły. Ale mówi się, że zrobili to Niemcy – przyciszył głos, choć wokół nas było zupełnie pusto – bo nie do pomyslenia jest rzucić winę na radzieckich bohaterów. Taka polityka.

– To, o czym mówisz, jest straszne. Okropne! – powiedziałam ze zgrozą.

– Tak. Dzisiaj pozostał po nich tylko pomnik na terenie byłego cmentarza. Większość studentów nawet nie wie, że co dzień stąpa po ludzkiej krwi... – dokończył Leszek i zamilkł.

– Skąd w ludziach tyle okrucieństwa? – westchnęłam, przywołując wspomnienie mojej matki, okaleczonej przez członków bandy UPA.

Resztę drogi przebyliśmy zatopieni we własnych myślach. Dopiero na terenie uczelni Leszek przystanął i spojrzał mi w oczy.

– Przepraszam cię, Juliano. Poruszyłem trudny temat, zamiast rozmawiać z tobą o czymś przyjemnym. Ale musiałem to z siebie wyrzucić, a ty okazałaś się dobrym

słuchaczem. Jeszcze raz przepraszam i dziękuję za miły wieczór.

– Ja też ci dziękuję, Leszku – szepnęłam i odeszłam z ciężarem, który na mnie zrzucił.

Lato zaskoczyło mnie. Zdążyłam tylko przenieść swoje rzeczy z akademika do lokum przeznaczonego dla pracowników uczelni. Prócz pokoju miałam tu kuchnię i łazienkę na wyłączność. Brakowało tylko słońca, które w akademiku wpadało do mnie złocistymi smugami. Tutaj widok z okna przesłaniały liczne drzewa, które każdego ranka informowały mnie o aktualnej aurze. Mokre gałęzie wskazywały na deszcz, a każde drgnienie liści określało siłę wiatru. Leszek, z którym spędzałam ostatnio niemal wszystkie wieczory, wyjechał do rodziny, gdzieś na południe. Stwierdziłam ze zdziwieniem, że wcale za nim nie tęsknię. Miałam urlop i postanowiłam nadrobić zaległości w literaturze. Spędzałam też czas nad jeziorem lub wędrowałam po pobliskich łąkach w poszukiwaniu ziół. Było mi dobrze we własnym towarzystwie, choć nieraz myślałam o Wojtku. Gdzie jest teraz? Czy wrócił do Białegostoku? Prawie go nie znałam, a jednak bardzo mi go brakowało. Czasem marzyłam, że spotykam go na olsztyńskiej ulicy i... I co? Tego nie potrafiłam sobie wymarzyć. Nie miałam śmiałości. Pewnego lipcowego dnia wybrałam się na pocztę. Postanowiłam wysłać do „Przeglądu Medycznego” artykuł na temat korzyści płynących z leczenia ziołami. Uważałam, że rośliny lecznicze są niedoceniane, postanowiłam więc wyrazić własne zdanie i opublikować je w piśmie czytany przez lekarzy. Na poczcie był tłum interesantów, przeważnie turystów wysyłających widokówki z malowniczej Warmii. Mimo otwartych drzwi nie było czym oddychać. Prawdopodobnie zbierało się na burzę i powietrze wydawało się ciężkie. Chciałam wyjść jak najprędzej. Po nadaniu listu, z ulgą opuściłam urząd. Spojrzałam na niebo i oceniłam, czy zdążę przed burzą wrócić do domu. Idąc na przystanek zauważyłam kątem oka, że ktoś szybkim krokiem podąża za mną.

– Dors? – usłyszałam męski głos.

Obejrzałam się i struchlałam. Milicjant, który szedł za mną, zatrzymał się, dotknął palcami daszka czapki i zapytał ponownie:

– Juliana Dors?

Oczami wyobraźni ujrzałam siebie za kratami w ponurym więzieniu, oskarżoną o zabójstwo. Co robić? Uciekać? Powiedzieć, że to pomyłka? – myślałam intensywnie.

– Tak... – potwierdziłam w końcu i wzięłam głęboki oddech, by uspokoić serce.

– Dokumenty proszę – zażądał służbowo.

Sięgnęłam do torebki po portfel, ale go nie znalazłam.

– Chwileczkę – mruknęłam i przeszukałam dokładniej torebkę. Portfela nie było.

– Nie mam... – jęknęłam i przerażona spojrzałam na milicjanta.

– A nie zostawiła ich pani przypadkiem na poczcie? – zapytał z lekką ironią i podał

mi moją własność. – Proszę na przyszłość bardziej uważać – pouczył i zasalutował.

– Dziękuję bardzo – bąknęłam i na wiotkich nogach powlokłam się w stronę przystanku.

Wciąż czułam się jak tropione zwierzę, chociaż w Olsztynie nie docierały do mnie żadne niepokojące sygnały. Jednak dzisiejsze zdarzenie uświadomiło mi, że powinnam być ostrożniejsza i nie wywoływać wilka z lasu. Po co mają się mną interesować jakieś służby? Szczerze mówiąc, znajomość z Antonim również spędzała mi sen z powiek. To, że współpracuje z SB, było jedynie przypuszczeniem nieznanego mi człowieka, mimo to wolałam trzymać Antoniego na dystans.

Lato minęło szybko. W tym czasie gromadziłam zioła, które suszyłam na kuchennym parapecie, segregowałam i pakowałam do papierowych torebek. Opisywałam je szczegółowo. Jesienią przygotowałam nalewki i konfitury z owoców tarniny, dzikiej róży i głogu. W moim pokoju na półkach była cała apteka. Cieszyłam się tym widokiem i czekałam na okazję, żeby je sprzedać.

Od października byłam też słuchaczem uczelni. Wolnym słuchaczem. Jednak wszyscy traktowali mnie tu jak studentkę, gdyż poza tym, że nie zdawałam egzaminów, brałam udział w większości zajęć. Wiedziałam, że nie otrzymam dyplomu ukończenia studiów. Ale ponieważ bardziej zależało mi na wiedzy niż na dokumencie, machnęłam na to ręką.

Pewnego zimowego wieczoru usłyszałam pukanie do drzwi. Leszek, z którym widywałam się często, ale jeszcze nigdy tutaj, nieśmiało wsunął głowę.

– Można? – zapytał, po czym nie czekając na odpowiedź, wszedł i zdjął buty. – Chłapa taka dzisiaj, cały śnieg stopniał. A myślałem, że wyskoczę w niedzielę na narty – mruknął i wszedł do pokoju, choć zaskoczona jego wizytą, nie zachęciłam go do tego ani jednym słowem. – Przytulnie tu u ciebie – stwierdził z uznaniem, mimo że prócz najpotrzebniejszych, prostych sprzętów nie posiadałam niczego szczególnego. Klimat tworzyły raczej bogactwa natury, których u mnie nie brakowało: kosz laskowych orzechów, zebranych z przydrożnej leszczyny, i ususzone gałęzie starannie wyszukanych krzewów z przytwierdzonymi różnobarwnymi owocami, ustawione malowniczo w wielkim siwaku nabytym okazji na targu. Na ścianie zaś wisiała jedyna akwarela, jaką namalowałam jeszcze na strychu u babki Oleny. Przedstawiała stary niedomknięty kufer, z którego luźno wysuwała się tkanina w pastelowym odcieniu. Może nie był to najlepszy obrazek, ale czułam do niego sentyment. Całość wystroju pomieszczenia dopełniała oryginalna lampa, znaleziona przypadkiem wśród rupieci przed jednym z bloków. Ludzie nie doceniali przedwojennych staroci, woleli urządzać swoje mieszkania nowoczesnymi meblami. Z wielkim trudem udało mi się przynieść tę lampę do domu. Wyczyszczona i naprawiona, prezentowała się znakomicie. Z radia sączył się *Błękitny mały kwiat* Gniatkowskiego, tak pasujący do mojego aktualnego nastroju.

– Przepraszam, że cię nachodzę, ale jakoś nie mogłem dziś znaleźć sobie miejsca w domu. Czułem, że muszę z kimś porozmawiać, i jedynie ty przysłaś mi do głowy. Jesteś taka... Taka zrównoważona. Przy tobie odzyskuję spokój – tłumaczył się z niespodziewanej wizyty.

– Czy coś się stało? – zapytałam.

– Właściwie nie... Ale dziwnie się czuję. Jakby coś miało się stać. Rozumiesz ten stan?

– Tak... Chyba wiem, co masz na myśli – odparłam, wsłuchując się jednocześnie w słowa piosenki Janusza Gniatkowskiego:

*Już dzisiaj rok bez ciebie minął trzeci,  
Bo w różne strony rzucił nas zły los.  
Stęskniony chciałbym wybiec ci naprzeciw,  
W twe oczy spojrzeć, twój usłyszeć głos.*

Pomyślałam o Wojtku i ogarnęło mnie dziwne uczucie. – *I chociaż może nigdy nie powrócisz, z nadzieją jednak łatwiej jest mi żyć* – śpiewał piosenkarz, a mnie ścisnęło coś za gardło. Dlaczego za nim tęsknię? – pomyślałam. Gałęzie drzew uderzyły w okno. Porywy wiatru unosiły firankę, owiewały chłodem wnętrze pokoju.

– Trzeba poobtykać czymś szpary – zauważył Leszek. – Chłodno tu.

– Tylko w taki dzień, jak dziś – powiedziałam i obejrzałam się na okno. Przez chwilę odniosłam wrażenie, że ktoś za nim stoi, ale to tylko drzewa oświetlone bladym blaskiem księżyca rzucały cień.

– Wiesz co, możemy na razie położyć na parapecie zrolowany koc. Zawsze trochę powstrzyma napływ zimnego powietrza – zaproponował Leszek i rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego. Podałam mu wyliniały pled, a on uniósł do góry firankę.

– Leszku – powiedziałam cicho, chwytając go za rękę – spójrz... tam chyba ktoś stoi.

Nie tracąc czasu rzucił koc i wybiegł w samych skarpetkach na zewnątrz. Podbiegłam do okna i usiłowałam wypatrzeć coś w ciemności, ale prócz tańczących na wietrze gałęzi nie dostrzegłam żadnego ruchu. Leszek wrócił po paru minutach.

– Nie wiem... Nikogo nie widziałem, mogło ci się tylko wydawać, bo... – zaczął zdyszany głosem, ale przerwałam mu w pół słowa.

– Masz rację. Z pewnością nikogo tam nie było. Tylko wiatr porusza drzewami – uspokajałam samą siebie, ale zasiane ziarenko niepokoju rosło w mojej głowie: A jeśli ktoś trafił na mój trop? Jeśli mnie złapią albo znowu będę musiała uciekać? – myślałam, ale nie chciałam dzielić się obawami z Leszkiem, nie wtajemniczonym w moje sprawy.

– Pewnie wiatr – potwierdził Leszek i żartował: – A jeśli ktoś podglądał, to się rozczarował, bo nic zdrożnego nie robimy. Na razie – dodał i puścił do mnie oko.

Nie byłam skora do żartów. Leszek chrząknął zakłopotany i zawiesił wzrok na regale z ziołową apteką.

– O... jaki zbiór! – zawołał i aż podniósł się z miejsca, by obejrzeć wszystko z bliska. – Zrobiłaś to sama?

– Sama – potwierdziłam. – Chcę sprzedać.

– Nie wiedziałem, że się na tym znasz. Skąd taka wiedza?

– Nie wiem. To tylko doświadczenie. Od dziecka miałam do czynienia z ziołami. Potem praktyka u szeptuchy i...

– Co ty mówisz? – zdumiał się. – Jakże ja mało o tobie wiem! Nie mam pojęcia, jakie tajemnice jeszcze skrywasz, a już i tak jesteś fascynująca – powiedział i popatrzył na mnie z podziwem. Potem nagle spoważniał. – Pomogłabyś mi? – zapytał.

– W czym mam ci pomóc?

– Zbieram materiały do pracy naukowej *Monografia łąk*. Jeden z rozdziałów poświęcę ziołom. Czy mogłabyś mi w tym pomóc?

– Jeśli moja wiedza okaże się wystarczająca, oczywiście.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję – powiedział i ucałował mnie w obie dłonie.

Sprzedaż ziół okazała się łatwiejsza, niż się spodziewałam. Leszek szepnął słówko księgowej, księgowa przyjaciółce, ta znów podzieliła się informacją ze swoją siostrą pracującą w dużym zakładzie. Niemal każdy miał jakieś dolegliwości i potrzebował złotego środka na pozbycie się bólu, łupieżu, wzdęć lub nerwicy. A specyfików było wciąż za mało. Przyrzekłam sobie obfitsze zbiory tego roku, a zarobione pieniądze odłożyłam na bliżej nie określony cel. Życie ciągle uczyło mnie oszczędności i utwierdzało w przekonaniu, że pieniądze przydają się w najmniej spodziewanych momentach.

Leszek był dobrym przyjacielem, lecz nigdy nie myślałam o nim w kategoriach damsko-męskich. Interesowały go kobiety o zupełnie innym typie charakteru. Wybierał dziewczyny słodkie, cukierkowe i raczej infantylne. Być może przy nich czuł się bardziej męski. Poza tym zmieniał je jak rękawiczki. Natomiast Antoni był niestety mną zainteresowany. Niestety, ponieważ bałam się go jako potencjalnego tajnego współpracownika SB. Ponieważ oprócz posiadania nienaganych manier nie podobał mi się pod żadnym innym względem, wreszcie – ponieważ nie mogłam zapomnieć o Wojtku. Antoni nie mógł o tym wszystkim wiedzieć i nader często stawał mi na drodze. Z obawy, że zacznie koło mnie węszyć, a potem donosić, musiałam znosić jego towarzystwo. Trzymałam go jednak na dystans, co jeszcze bardziej rozpałało w nim uczucie. Tak więc kilka spotkań w cukierni, w kinie i w teatrze doprowadziło do tego, że pod koniec lutego po prostu mi się oświadczył. Zrobił to zresztą bardzo elegancko. Zawsze zadziwiał mnie znakomitą orientacją, gdzie i kiedy może mnie spotkać. Tym



razem przypadkiem znalazł się pod sklepem z pasmanterią, z którego właśnie wychodziłam. Oczywiście zupełnie przypadkiem miał z sobą bukiet pąsowych róż.

– Ach, cóż to za miłe spotkanie! – zawołał na mój widok, wręczając mi kwiaty. – Pozwól, Juliano, że zajmę ci chwilę. Chciałbym z tobą porozmawiać.

Na słowo „porozmawiać” ścierpła mi skóra, ale kiwnęłam tylko głową na znak zgody i pozwalając ująć się pod rękę, poszłam z nim jak owca na rzeź.

– Myślę, że tu będzie nam wygodnie – stwierdził otwierając drzwi do Staromiejskiej, najmodniejszej ostatnio restauracji.

Trudno tu było o wolny stolik w ciągu dnia, a cóż dopiero późnym popołudniem. Stolik jednak był, i to zarezerwowany w ustronnym kącie sali. Kelner w pokłonach odebrał ode mnie róże, wstawił je do przygotowanego wazonu, następnie zapalił świece i z pietyzmem napełnił lampki weneckim amarone. Antoni tymczasem pomógł mi zdjąć płaszcz. Dziękowałam Bogu za względnie przyzwoitą sukienkę, którą tego dnia miałam na sobie.

– Pięknie wyglądasz – komplementował Antoni, dając jednocześnie znak kelnerowi, który skinął porozumiewawczo głową i niemal natychmiast przyniósł półmiski z jakimś mięsiwem.

Kiedy ja ostatnio jadłam prawdziwe mięso? – zastanawiałam się, bo w sklepach można było dostać jedynie podroby, i to niezbyt często.

– Skosztuj sarniny – szepnął Antoni czule. – Kruchotka, rozplywa się w ustach.

Patrzyłam na to wszystko z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy to, co przeżywam, jest prawdą. Jednego byłam pewna: nie było tu żadnego przypadku. Antoni zaaranżował spotkanie z najdrobniejszymi detalami. Do czego zmierzał? Kelner dolewał wina, a Antoni perorował na tematy, z których trudno było wywnioskować, o co mu naprawdę chodzi. W końcu, gdy na dnie butelki nie pozostało już nic, a kelner skwapliwie zachęcał nas do drugiej, Antoni spoważniał.

– Juliano – zaczął i wyjął mi z rąk kieliszek z niedopitym winem. Miałam trochę w czubie i widocznie obawiał się, że nic nie zrozumie, jeśli dopiję resztę. – Juliano, długo o tym myślałam... Właściwie myślałam o tym od momentu, gdy ujrzałam cię tam, na ulicy. Zawołałam cię, a ty obejrzałaś się i... Ach, ileż było magnetyzmu w twoich oczach, zdziwienia, lęku, ognia! Wyglądałaś jak dzika łania, zagubiona i jednocześnie waleczna. Boże, chciałem cię nosić na rękach, sprawić, byś miała wszystko i nigdy nie musiała się bać o przyszłość. Ale ty nie przyjęłaś niczego ode mnie, bo jesteś dumna. Tak, piękna i dumna. Jakże trudno zdobyć twoje serce... Juliano, zakochałem się jak sztabak i teraz tutaj, na kolanach... – zsunął się z krzesła i padł przede mną na obydwa kolana, czym doprowadził mnie do ataku śmiechu. Nie zrażony, ciągnął dalej: – Na kolanach proszę cię o rękę. Moja księżniczko, czarodziejko... – Sięgnął do kieszeni marynarki, gdzie ukrył pudełeczko, prawdopodobnie z pierścionkiem. Prawdopodobnie, ponieważ nigdy nie dane mi było go oglądać. Rozbawiona do łez

zawołałam na pół sali:

– No co ty, Antek, wstawaj!

Pozbierał się błyskawicznie. Otrzeptał chusteczką kolana, zerknął kątem oka na najbliższe stoliki, usiadł i zapytał bardzo rzeczowo:

– Będziesz moją żoną czy nie?

– Nie – odparłam, siląc się na powagę.

– Rozumiem, Juliano. Przepraszam, to moja wina. Nie powinienem pozwolić ci tyle pić. Zapytam cię jeszcze raz, kiedy będziesz się lepiej czuła. A teraz odwiozę cię do domu.

Nie powiedział „kiedy wytrzeźwiejesz”, tylko „kiedy będziesz się lepiej czuła”. Był prawdziwym dżentelmenem i nie miałam mu nic do zarzucenia, ale gdy wino przestało działać, nadal nie chciałam go za męża. Antoni natomiast postanowił czekać, aż skruszeję, jak ta sarnina na talerzu.



## 12

Juliana przerwała opowieść i popatrzyła na Adama z rozbawieniem.

– Do dzisiaj jest mi przykro, że wtedy tak nieprzyzwoicie się zachowałam – powiedziała. – Ale nie żałuję, że nie wyszłam za Antoniego. Nie kochałam go i pewnie dlatego po prostu irytował mnie swoimi zalotami... No, zadzwoń do Teofili, może przemyślała sprawę i zechce tu przyjść – zmieniła nagle temat.

Adam dość długo wsłuchiwał się w jednostajny, monotony sygnał, w końcu odłożył telefon.

– Niestety, nie odbiera – poinformował Julianę, która zmarszczyła czoło i pokręciła z dezaprobatą głową.

– Cóż, zobowiązuję więc ciebie do odzyskania mojej rodzinnej pamiętki.

Adam westchnął. Przypuszczał, że nie będzie to zadanie łatwe ani przyjemne.

– Wróćmy zatem do opowieści – powiedziała, udając, że nie dostrzega zniechęcenia na twarzy Adama.

Na początku marca rozpoczęłam wędrówki po błotnistych od roztopów i szarych jeszcze łąkach i zagajnikach. Zbierałam pierwsze, prawie niewidoczne dla zwykłych spacerowiczów rośliny. Ucieszyłam się na widok młodziutkiego ziarnopłonu, który wyrósł na skraju łąki. Pamiętałam go jeszcze z czasów, gdy wraz z matką zbierałyśmy jego młode, sercowate listki. Nadawały się do jedzenia na przednówku, kiedy trudno było o inne witaminy. Mama przestrzegała przed jedzeniem go, kiedy już obsypał się żółtymi kwiatkami, bo wtedy stawał się trujący. Teraz nazbierałam go pół koszyka. Suszone ziele doskonale leczy brodawki i hemoroidy. Nieco dalej odkryłam maleńką przytulię, której z czasem wyrastały haczyki i czepiała się zarówno ubrań, jak i przełyku. Tę również zjadałyśmy wczesną wiosną. Ivan nie cierpiał przytulii. Narzekał, że dusi zboże. Tak właśnie się wyrażał: dusi. Oplatała łodygi żyta i nie pozwalała mu swobodnie się rozwijać. Rwał ją całymi naręczami, a my z mamą suszyłyśmy ją w cieniu za chatą. Była to zmora dla Popioła, który obierał się zębami

z jej czepliwych kuleczek. Mama z takich kuleczek parzyła coś w rodzaju kawy. Pamiętam, że Ivan bardzo pilnował naszej krowy, żeby nie najadła się tego ziela, gdyż od niego zsiadało się mleko. Teraz postanowiłam zapamiętać to miejsce, bo suszona przytulia jest dobrodziejstwem na wiele poważnych schorzeń. Pomaga również po ukąszeniu przez owady. Żeby nie swędziało i nie bolało. Zresztą przytulia jest bardzo popularnym chwastem i można ją spotkać wszędzie. Nazrywałam też listków mniszka lekarskiego i pokrzywy, ciesząc się na wiosenną sałatkę. Za jakiś czas te rośliny będą się nadawały do przetworzenia na naturalne leki. Do lnianego woreczka naskubałam pączków topoli i olchy, z których w domu zrobiłam kilka buteleczek nalewki.

Musiałam przyznać, że praca naukowa Leszka bardzo zmobilizowała mnie do poszukiwania znanych i odkrywania nowych ziół. Korzystaliśmy na tym oboje. Dla niego sporządzałam notatki, dla siebie zaś tworzyłam ziołową aptekę. Każdy kolejny miesiąc darował coraz to nowe skarby natury. Wszystkie oszczędności wydałam na słoiczki, butelki, torebki, spirytus niezbędny do nalewek, a nade wszystko na literaturę, dzięki której wzbogacałam swoją wiedzę. Z wyszukanej w bibliotece książki nauczyłam się też robić maści i kosmetyki ziołowe na bazie gliceryny kupowanej w aptece. Poświęcałam każdą wolną chwilę i wszystkie niedziele na mieszanie, ucieranie i pakowanie wyrobów zielarskich.

Jesienią mój pokój wyglądał jak magazyn i zdecydowałam się poszukać odbiorcy na swoje produkty. Ponieważ najbardziej sprawdzała się poczta pantoflowa, zwróciłam się o pomoc do Leszka, a nawet do Antoniego, mającego tak rozległe kontakty. I właśnie Antoni pomógł mi najbardziej, udostępniając miejsce w swoim zakładzie fotograficznym, tuż przy wejściu z małego korytarzyka. Zamówił nawet stosowny szyld, który umieścił obok swojego. Odtąd popołudniami przesiadywałam w swoim miniaturowym „sklepiku”, oferując własne specyfiki. Wieść rozniosła się szybko i już w grudniu nie było po nich śladu, co zmartwiło Antoniego, mogącego w czasie sprzedaży widywać mnie codziennie. Z wdzięczności za pomoc wynagrodziłam go wspólnie spędzoną Wigilią Bożego Narodzenia pod rachityczną choinką w jego domu. Przyznam, że był to czas niezwykły, chociaż rozbudziłam w Antonim niepotrzebną nadzieję na wspólną przyszłość. Przyjechał po mnie lśniącą lakierem warszawą, jedną z nielicznych olsztyńskich taksówek. Byłam mu wdzięczna, że uchronił mnie przed wystawianiem na przystanku w mroźny, grudniowy dzień. Podziwiałam go też za samodzielne przygotowanie potraw wigilijnych, choć słabo poradził sobie z dekoracją stołu. Pomogłam mu i zasiedliśmy we dwoje do wieczerzy. Rozmowa nie kleiła się, dopóki nie powiedział czegoś, co wprawiło mnie w zakłopotanie:

– Juliano, wiesz chyba o mnie więcej, niż chciałbym ci powiedzieć. Nie mam pojęcia, skąd masz tę wiedzę, ale rozumiem powód, dla którego podchodzisz do mnie z takim dystansem. Dzięki temu, kim jestem, mogę więcej niż inni załatwić, zdobyć i osiągnąć. Niestety, płacę za to ogromną cenę i to, co dla innych jest proste, dla mnie

jest nieosiągalne. Myślę tu o ludziach, którzy nienawidzą takich, jak ja. Myślę tu też o tobie. Wyobraź sobie, tego dnia, gdy cię spotkałem, miałem wyjechać do Gdańska. Już stałem na dworcu przy kasie. Zrezygnowałem w ostatniej chwili, bo przypomniałem sobie, że do mojego zakładu ma przyjść ktoś ważny...

Otworzyłam szeroko oczy. Byłam pewna, że Antoni interesuje się pasażerem stojącym przed nim. I te słowa jegomościa z gazetą... Czyżby się mylił?

– Rozumiesz, ważny dla moich interesów – kontynuował. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że zostałem. Kocham cię niemal od pierwszego dnia, gdy cię ujrzałem. Dlatego boli mnie fakt, że boisz się mnie. A ja nie chcę zrobić ci krzywdy. Mógłbym zapewnić ci wszystko, czego pragniesz. Wtedy, w Staromiejskiej przyrzekłem sobie, że ponownie zwrócę się do ciebie z prośbą, byś została moją żoną. I jeśli nawet mnie nie kochasz, obiecuję, że zrobię wszystko, by zasłużyć na twoją miłość. Ten pierścionek – położył po raz drugi małe, ozdobne pudełeczko przede mną – jest początkiem tego, co chcę ci ofiarować. Nie musisz odpowiadać natychmiast. Przed nami cały wieczór. Ale proszę cię, byś właśnie tego wieczoru dała mi jasną odpowiedź.

Patrzyłam na niego i nie wiedziałam, co mam powiedzieć. To znaczy wiedziałam, co, ale nie wiedziałam, jak. Bo odpowiedź była tylko jedna.

– Nie – odparłam po prostu i odsunęłam pudełko z pierścionkiem. – Jeśli chcesz, wyjdę stąd natychmiast.

Milczał długą chwilę, po czym wstał i powiedział:

– Zostań. Jeżeli wyjdiesz, zranisz mnie jeszcze bardziej. Nie zniosę pustki w takim dniu. Nie mam nikogo innego, tylko ciebie. Dlaczego mnie nie chcesz?

Rozpłakałam się, a on podniósł mnie z krzesła i przytulił mocno do serca. Czułam na plecach jego dłonie, które głaskały mnie uspokajająco. Łzy wsiąkały w kłapy jego marynarki, do momentu, aż wymruczał w moje włosy:

– To nic, kochana, to nic... Będę czekał.

Zesztywniałam i odsunęłam go od siebie.

– Nie. Nie czekaj na mnie. To ja czekam na kogoś, rozumiesz?

Popatrzył na mnie, potem rozsiadł się za stołem i spokojnie zaczął zajadać śledzie.

– Nie wierzę – powiedział w końcu. – Kłamiesz. Nie masz nikogo innego. Sprawdziłem to.

Wbrew pozorom i atmosferze, którą stworzyliśmy, reszta wieczoru upłynęła bardzo przyjemnie. Przestałam walczyć, a on był pełen wiary, że w końcu mu się uda. Dawał mi to zresztą do zrozumienia komentarzami typu: „to przyjemne mieszkanie, ale w przyszłości postaramy się o większy metraż” albo „lubię gotować, nie będziesz musiała zaprzętać sobie tym głowy”. Postanowiłam pić dużo wina i nie odnosić się do powyższych uwag. Pod choinką znalazłam rzeczy bardzo osobiste: koszulkę nocną i komplet bielizny, podczas gdy ja podarowałam mu nalewkę z ziela owsa na nerwicę

i przemęczenie. Obejrzał prezent i stwierdził:

– Juliano, wiem, że do miłości nie można się zmusić. Oczywiście masz prawo do własnych wyborów. Przepraszam, że byłem nachalny.

Jego słowa przyjąłem z widoczną ulgą. Zauważył to.

– Szkoda, bo być może nie spotkamy się więcej. Będę musiał stąd wyjechać. Myślałem, że zabiorę cię z sobą, jako moją żonę.

Nagle wokół mnie zrobiło się przeraźliwie pusto. Antoni często był irytujący, ale jednocześnie czułam się przy nim bezpiecznie. Był moją ostoją, bastionem, za którym zawsze znalazłam schronienie.

– Wyjechać? – zapytałam i krew odpłynęła mi z twarzy. – Dlaczego wyjechać?

– SB depta mi po piętach – mruknął.

– Co takiego?! – zawołałam ze zdumieniem.

Antoni dolał mi wina i poklepał puste miejsce na kanapie.

– Usiądź, proszę koło mnie, wyjaśnię ci. Podczas wojny matka zostawiła mnie z babcią, a sama zaciągnęła się w szeregi wojska, jako sanitariuszka. Zrobiła to dla ojca, z którym nawet na chwilę nie chciała się rozstać. Oboje przeżyli tę wojnę i przedostali się do Anglii. Potem do Ameryki. Chcieli mnie tam ściągnąć, ale oczywiście było to niemożliwe. Zaczęli mi pomagać inaczej, materialnie. Przysyłali paczki, a w nich zmyślnie ukryte dolary. Zaszycali je w pluszowych maskotkach, w obcasach butów, w torebkach z proszkową zupą, wszędzie. Trzeba było przeszukiwać każdą rzecz z osobna, żeby je znaleźć. Początkowo babcia chowała te pieniądze. Nie chciała, żeby nasza sytuacja rzucała się ludziom w oczy. Przed śmiercią zdradziła mi miejsce, gdzie je ukryła. Zebrała się spora suma, ale trudno je było wtedy legalnie wymienić na złotówki. Ktoś raz czy dwa zauważył, że mam kontakt z miejscowym waluciarzem. Dziesięć lat temu groziła za to kara śmierci. Teraz, jak wiesz, handel walutą nadal jest nielegalny, ale łatwiej jest znaleźć kogoś zainteresowanego albo umówić się w jakiejś bramie. Matka nadal przysyła mi dolary, ale mimo że wymieniam je w innych miastach, koło mnie zrobiło się gorąco. Wiem, że jestem pod ich czujną obserwacją. Na razie nic nie robią, żeby mnie nie spłoszyć. Oni mają swoich szpiegów, a ja swoich. Najzabawniejsze jest to, że to ci sami ludzie – roześmiał się, ale natychmiast spoważniał. – Dlatego postanowiłem zniknąć. Najlepiej za granicą. Nie martw się – dodał patrząc na moją trzęsącą się brodę. – Zawiadomię cię przed wyjazdem, zdążymy się pożegnać. No, chyba że zmienisz zdanie i wyjedziesz ze mną.

Kto wie? – pomyślałam – Jeśli nie jest współpracownikiem SB, może potrafiłabym go pokochać. Ale jest przecież Wojtek...

\*\*\*

Leszek na dobre zabrał się za pisanie pracy naukowej. Postanowiłam rozszerzyć zakres poszukiwań roślin leczniczych i na początku kwietnia wybrałam się do małej miejscowości pod Grunwaldem, o której słyszałam, że bogata jest w torf i żywokost lekarski. Szybko się okazało, że jest tam sporo gatunków roślin niedostępnych w naszej okolicy i warto było zainteresować się nimi bliżej. Jeździłam więc w to miejsce raz w tygodniu, w każdą niedzielę, jeśli tylko dopisywała pogoda. Mieszkańcy obserwowali mnie najpierw nieufnie i nie zawsze odpowiadali na moje powitania. Z czasem oswoili się z widokiem młodej kobiety buszującej po polach i łąkach. Widocznie uznali mnie za nieszkodliwą dziwaczkę, skoro wrywam chwasty, poddaję je wnikliwej lustracji, opisuję, a potem upycham w koszyku. Najbardziej ciekawskie kobiety próbowały nawet nawiązać ze mną krótkie pogawędki.

– A na co to pani? – dociekała jedna z nich. – Dla królików?

– Nie – roześmiałam się serdecznie. – To zioła.

– Zioła? Że niby pani chorobami się zajmuje?

– Można to tak nazwać – ucięłam i pochyliłam się nad babką lancetowatą, która w tym miejscu urosła wyjątkowo dorodnie. Pamiętam, jak skaleczyłam się na ściernisku, niedaleko chaty. Mama wtedy odjechała swoim wózkiem, pochyliła się i urwała listek babki, który przeżuła i taką mokną papkę położyła na mojej ranie. Wygoiła się błyskawicznie. Zjadała też nasiona babki i piła z niej napary, kiedy bolał ją brzuch. Niestety była zbyt chora, żeby ziele mogło ją uleczyć, ale na pewno w pewnym stopniu przynosiło ulgę.

– Pani, a na nogi to jakie zioła? Tak mi ostatnio... patrz, pani – zawinęła do góry spódnicę i zademonstrowała obrzęknięte kostki u nóg. – Tak mi puchną, że butów nie mogę nosić, tylko takie łapcie, aż wstyd po wiosce chodzić.

– Myślę, że pani ma kłopoty z krążeniem – stwierdziłam przyjrzawszy się nogom kobiety – i stąd ta opuchlizna. Powinna pani udać się do lekarza...

– Do lekarza? A kto by miał czas po lekarzach jeździć? Poza tym oni są od miastowych chorób, a na tych naszych wcale się nie znają.

– Jak to nie znają? – oburzyłam się.

– Puzenek tu mieszkał, zapadł na jakieś choróbko i do babki chodził. No, do znachorki – wyjaśniła widząc, że nie bardzo wiem, o kim mówi. – I póki chodził, to żył. A jak raz do doktora pojechał, zaraz umarł i po Puzenku.

– Widocznie za późno pojechał – mruknęłam.

– E tam, za późno – kobieta machnęła ręką. – Lekarz nie znał się i tyle. To co na te nogi? – wróciła do tematu.

– Przygotuję pani mieszankę z ziół i powiem, jak stosować, dobrze? – zaproponowałam, stłumiwszy westchnienie nad jej uporem. – Powinna pomóc.

– Oj, dobrze, dobrze, dziękuję! – ukłoniła się w pas i odeszła szurając łapciami.

W domu przygotowałam zestaw głogu, serdecznika, skrzypu, jemioly i tataraku,

dorzuciłam jeszcze melisę oraz krwawnik i tak przygotowaną mieszankę zapakowałam do szarego woreczka. Opisałam skład i na jaki rodzaj dolegliwości jest skuteczna. Przy okazji sporządziłam kilkanaście podobnych woreczków z przeznaczeniem na sprzedaż. W zamian za ofiarowane zioła otrzymałam pozwolenie na wejście do zaniedbanego ogrodu mojej pacjentki, gdzie odkryłam całe bogactwo przydatnych mi roślin. Wraz z nadejściem lata kilkakrotnie postarałam się o nocleg we wsi. Mogłam więcej czasu poświęcić poszukiwaniom, ale i ludziom, których coraz więcej zaczęło kręcić się koło mnie. Podchodzili niby to przypadkiem i ot tak, od niechcienia, zagadywali o tym i owym, konsekwentnie zmierzając do interesującego ich tematu. Wykorzystując własną wiedzę, jak i tę, którą zdobyłam u szeptuchy, starałam się pomóc w ich dolegliwościach. Niejednokrotnie musiałam znaleźć przyczynę cierpienia i wtedy pomocne okazywały się moje ręce.

– Pan Bóg nam panią zesłał, kochana. Bo my bez opieki tu zostaliśmy, odkąd znachorkę ten Judasz wykończył – westchnęła boleśnie kobiecina z powykręcanyimi reumatyzmem palcami.

– Jaki Judasz? – zainteresowałam się, wręczając jej kwiaty wiązówki. Żałowałam, że na tych terenach nie ma arniki górskiej, którą matka zbierała w Bieszczadach. – To są świeżo rwane kwiaty. Na reumatyzm dobre. Proszę wysuszyć je w cieniu, potem parzyć pod przykryciem i popijać po pół szklanki trzy razy dziennie – zaleciłam. – No więc jaki Judasz?

– Przyjechał tu kiedyś. Udawał letnika, na ryby z wędką chodził. Aż chyba na trzeci dzień pyta, czy tu znachor jakiś jest, bo czuje się niezdrów. Ludzie po życzliwości pokazali mu drogę do naszej znachorki. A on na nią z krzykiem, że brudna, ludziom truciznę daje, za leczenie się bierze, chociaż się nie zna! Muszę pani powiedzieć, że lepszej znachorki niż nasza w całej okolicy nie było i ludzie nawet z daleka do niej przyjeżdżali. On wcale słyszeć o tym nie chciał, tylko kazał jej chałupę zamknąć, a tych, co do niej przyszli, na cztery wiatry rozgonił. Potem jeszcze kilka razy przyjeżdżał i sprawdzał, czy dalej leczy. Leczyła, a jakże, i za każdym razem tak na nią krzyczał, aż się biedaczka na serce rozchorowała z tych nerwów. No i umarła. Zeszłej zimy umarła. Tyle naszego, że ten faszysta przestał tu przyjeżdżać.

– A kto to był? Wiadomo? – zapytałam.

– Kto go tam wie? Z Warszawy jakiś.

– Rozumiem. A ośrodka zdrowia tu nie ma?

– Nie ma. A po co? I tak nikt by tam nie chodził.

– Czyli nie macie tu żadnej opieki lekarskiej?

– Toć mówię, że umarła – zniecierpliwiła się kobiecina. – Teraz w pani nadzieja.

– Ale ja nie leczę ludzi. Zbieram tylko zioła – wyjaśniłam.

– E tam, zioła, zioła. Ale jak kto w potrzebie, to przecież pani nie odmawia. I Bogu dziękuję, bo do tej pory nikt jeszcze we wsi nie umarł.



Po powrocie do Olsztyna zajęłam się przetwarzaniem zbiorów, Leszkowi zaś dostarczyłam materiały, które mógł wykorzystać w pracy naukowej. Zajęta swoją pasją nawet nie spostrzegłam, kiedy przestałam przemykać po ulicach jak zaszczute zwierzę i drzeć na widok każdego milicjanta. Chyba minęło wystarczająco dużo czasu od mojej ucieczki z Białegostoku, by ktokolwiek mnie jeszcze szukał. I może zapomniałabym zupełnie o tej sprawie, gdyby nie pewien zaskakujący przypadek, który kazał mi wyrzucić z pamięci fragment życia spędzonego w tamtym mieście.

Juliana zamilkła nagle, a w jej oczach pojawiły się łzy. Otarła je dyskretnie chusteczką, których cała paczka spoczywała na komodzie.

– Poczęstuj się makowym ciasteczkiem – zaproponowała zmienionym głosem. – Przepraszam, wzruszyłam się. Muszę nabrać nieco dystansu do swojej opowieści. Zanadto się zaangażowałam – wyjaśniła z przepraszającym uśmiechem i podała Adamowi talerz z ciastkami.

– Doskonale rozumiem. Przecież to pani wspomnienia, życie... – powiedział Adam sięgając po ciasteczko. Było kruche i wprost rozpląywało się w ustach. – Wyborne – zachwycił się i spojrzał tęsknie na talerz.

– Ależ proszę się częstować! To specjalność Joanny. Czasem lubi coś upiec po stresującym dniu. Ma odpowiedzialną pracę i nikogo, z kim mogłaby podzielić się problemami. Wciąż nie ma czasu na zamążpójście – zażartowała – a ma już trzydzieści lat!

Jest zaledwie pięć lat starsza ode mnie – pomyślał Adam. – Juliana musiała urodzić ją dość późno.

– Byłam dojrzałą matką – dodała Juliana, jakby czytała w jego myślach.

– Może to i lepiej, że brakuje jej czasu. W przeciwnym wypadku nie opędziłaby się od mężczyzn. Jest śliczną kobietą – powiedział.

Juliana pokręciła głową.

– Jest za mądra dla mężczyzn. Wy, panowie, nie lubicie tego u płci przeciwnej. Wolicie takie, które potrzebują was na każdym kroku, prawda?

– Proszę nie generalizować. Są tacy, którzy lubią rozmowy na wysokim poziomie i są szczęśliwi, jeśli to oni mogą zasięgnąć mądrej rady.

– Unikaty, mój drogi, unikaty – westchnęła. – Wierz mi, sporo przeżyłam i poznałam wielu mężczyzn. Żaden z nich nie chciał, żebym była mądra.

– Jednak ktoś taki się znalazł.

– Owszem. Dlatego mówię, że to są unikaty. Trzeba ich poszukać.

Adam zamyślił się przez chwilę. Czy on sam należy do tych, których się szuka? I czy Toffi jest mądra? Czy on i Toffi mają szansę na siebie?

– Nie, Teofila nie jest najlepszym wyborem – oświadczyła znienacka Juliana, która od dłuższego czasu patrzyła na Adama wnikliwie.

Wzdrygnął się. Boże – pomyślał – co ona ma w sobie, że czyta w jego duszy jak w otwartej księdze?

– Wierz mi, ta dziewczyna nie jest dla ciebie – kontynuowała, choć Adam wcale tego nie chciał. Poznała Toffi z najgorszej strony i wyrobiła sobie o niej negatywną opinię. Adam natomiast pamiętał wiele cudownych chwil z tą dziewczyną. Zbyt wiele, żeby odwrócić się od niej teraz, kiedy Toffi znajduje się w dołku.

– Kocham ją – powiedział zaskoczony tym wyznaniem, które wyrwało się nagle z głębi jego serca. Naprawdę nie chciał wciągać w swoje sprawy Juliany.

– Ech, zdaje ci się tylko – machnęła ręką. – Przyzwyczyłeś się do stanu zakochania, kiedy byłeś nią oczarowany, a ona jeszcze na to zasługiwała. Otrząśnij się i zdejmij różowe okulary. Ona nie zasługuje na twoją miłość. Jest egoistyczna i zła. I wolę ci o tym powiedzieć, zanim zrobisz coś bardzo głupiego.

– Co niby miałbym zrobić? – zapytał, z trudem hamując opryskliwy ton.

– Ludzie zakochani nie są racjonalni. Mogą zrobić wszystko, żeby zadowolić obiekt westchnień.

Adam zamilkł. Czy zrobiłby dla Toffi wszystko? To absurd. Przecież dostrzega jej postęпки i wcale ich nie pochwała. A już w żadnym wypadku nie uczestniczyłby w nich nawet wtedy, gdyby go o to prosiła.

– Jesteś dorosły i sam odpowiadasz za swoje decyzje – odezwała się Juliana z ledwo wyczuwaną irytacją. – Niepotrzebnie podjęłam ten temat. To twoja sprawa.

Adam sięgnął po kolejne ciasteczko.

– Czy wobec tego możemy zmienić temat? Nie mogę się doczekać dalszego ciągu pani opowieści – poprosił i zagryzł następnym ciastkiem. Juliana uśmiechnęła się wyrozumiale i zaczęła opowiadać.

Był to jeden z tych leniwych dni, kiedy nie miałam ochoty na żadne działanie. Pomyślałam o spacerze cienistym parkiem wzdłuż wąwozu Łyny. Zjadłam śniadanie i nie przywiązując wagi do wyglądu, z rozwichrzonymi włosami, w prostej lnianej sukience, wyszłam z domu. Wprawdzie już w połowie drogi zaczęłam się modlić, żeby nie spotkać nikogo znajomego, nawet Antoniego, ale w końcu machnęłam ręką. W parku panował przyjemny chłód. Nieliczni spacerowicze przechadzali się nieśpiesznie, prowadząc przyciszone rozmowy. Wędrując malowniczą ścieżką ciągnącą się wzdłuż Łyny, zwróciłam nagle uwagę na znajomo wyglądającą sylwetkę. W miarę zbliżania się do niej byłam już prawie pewna. Z przeciwnej strony, szybkim, sprężystym krokiem szedł Wojtek. Stałam w miejscu jak zakłeta, a po mojej głowie tłukła się tylko jedna myśl: „Boże, jak ja wyglądam! On nie może mnie teraz zobaczyć!” Porażona widokiem, na który czekałam miesiącami, żyjąc w złudnej nadziei, teraz nie byłam w stanie zrobić żadnego kroku. Stałam tak i czekałam na bieg wydarzeń. W ostatniej chwili, gdy był już bardzo blisko, odwróciłam się nagle na

pięcie i ruszyłam przed siebie. Świadomość, że mam go za plecami, paraliżowała ruchy, plątała nogi. Serce biło mi jak oszalałe. Nagle usłyszałam ten cudny, wytęskniony głos:

– Nareszcie! Jak miło cię widzieć!

W jednej chwili, z wypełnionym radością sercem i rozlewającym się po twarzy szczęściem, odwróciłam się i... zamarłam. Wojtek pochylał się właśnie nad młodą dziewczyną siedzącą na ławce, którą przed chwilą mijałam.

– Boże, dlaczego mi to wszystko robisz?! – szlochałam, biegnąc na oślep, potykając się o wystające płyty chodnika, zamroczona wrażeniem i ślepa od łez. – Jaka ja byłam głupia! Głupia! Głupia! Jak mogłam myśleć, że będzie na mnie czekał, że będzie szukał?!

Wraz z Wojtkiem i swoją beznadziejną, ale też bezpodstawną miłością straciłam wszystko. Nie chciałam żyć. Było mi bezdennie źle, bezgranicznie smutno. Rozgoryczona, z obolałym sercem dotarłam do domu i starannie zamknęłam drzwi na obydwie zamki. Potem rzuciłam się na łóżko i gryząc poduszkę, żeby nie wyć jak skatowany pies, wyplakałam w nią wszystkie żale. Kiedy wreszcie wstałam, czułam się uzdrowiona. Przynajmniej częściowo. Podeszłam do lustra i spojrzałam w swoją opuchniętą od łez twarz. Wtedy dopadł mnie nowy atak rozpacz. Zsunęłam się po ścianie na podłogę, gdzie wylałam resztę gorzkości. Wyjałowiona i wypruta z wszelkich uczuć, ale silniejsza bolesnym doświadczeniem, podniosłam się do nowego życia. Przrzekłam sobie, ścianom, podłodze i wszystkim niemyim świadkom mojego nieszczęścia, że raz złamane serce na zawsze już pozostanie zamknięte na wszelkie przejawy uczuć. Moje ewentualne małżeństwo, jeśli kiedyś do niego dojdzie, oprę na wyrachowanym rozsądku. Od tego dnia eliminowałam z moich wspomnień i planów wszystko, co było związane nie tylko z imieniem, którego nie chciałam wypowiadać nawet w myśli, ale również z miastem, z którego jego właściciel pochodził. Postanowiłam skupić się na tym, co przynosiło wiedzę, satysfakcję, a niekiedy skromny zarobek. Skupiłam się na ziołach.

We wsi, której mieszkańcy nie tylko oswoili się ze mną, ale też czekali z niecierpliwością na mój przyjazd, przywitała mnie ulewa. Przystanek autobusowy był jedynym miejscem, gdzie mogłam się schronić. Wcisnęłam się w jego najgłębszy kąt i obserwowałam niebo, czekając, aż się przejaśni.

– Proszę pani – zawołała mała, może siedmioletnia dziewczynka, która nie wiadomo kiedy wyrosła przede mną z ogromnym, czarnym parasolem – mamusia zobaczyła panią z okna i kazała przyprowadzić do domu.

– Kazała? – zapytałam rozbawiona tą formą zaproszenia.

– Tak, kazała – odparła bardzo poważnie.

Wzięłam z rąk małej parasol i poszliśmy do domu stojącego naprzeciwko przystanku.

– Gość w dom, Bóg w dom! – zawołała kobieta i wytarła ręce w fartuch. – Zapraszam, po co na deszczu moknąć? Proszę do pokoju. Zaraz chłodnika naleję. Lubi pani chłodnik? Z kwaszonych buraczków, świeżutkiej śmietanki dodałam – zachęcała.

– Bardzo chętnie spróbuję – powiedziałam i pochyliłam się nad chłopczykiem, który raczkował po podłodze, choć wyglądał na co najmniej dwa lata.

– Jak masz na imię? – zapytałam uśmiechając się do malca.

Popatrzył na mnie uważnie, ale nie odpowiedział.

– Ach, proszę pani – odezwała się poirytowana kobieta – kłopot z nim taki, że już sama nie wiem, co robić.

– Cóż takiego się stało? – zapytałam i pogłaskałam płowe włoski chłopczyka.

– Zaraz powiem, tylko chłodnika naleję – powiedziała i wyszła pośpiesznie do kuchni.

Wracając z miską zupy zaczęła już od progu:

– Taki dobry dzieciak z niego był. A rezolutny! Z dziadkiem do kurnika biegał jajka zbierać. Ani jednego nigdy nie potłukł. Aż tu nagle coś się z nim porobiło! Płacze, awanturuje się i wcale nie słucha, nicpoń jeden. Czy diabeł jaki w niego wstąpił, czy co?

– Może to pierwszy bunt? – zbagatelizowałam sprawę. – Minie jeszcze kilka dni, znudzi mu się i zacznie pani słuchać.

– Ale on nie tylko do mnie taki. Z Anielką zawsze się bawił, a teraz nie chce.

Spojrzałam na Anielkę, która przytaknęła żarliwie.

– Zaraz spróbuję z nim porozmawiać. Może mnie posłucha – powiedziałam z nadzieją w głosie. – Jak ma na imię?

– Wojciech. Wołamy go Wojtuś...

Wojtuś. Akurat Wojtuś – pomyślałam i zacisnęłam usta.

– Pokażesz mi swoje zabawki? – zwróciłam się do Anielki, która skinęła głową i posłusznie podreptała w kąt pokoju. Na półkach stało kilka blaszanych samochodzików, przeważnie bez kółek, wyliniały miś i jedna lalka. Wśród nich panoszyła się dumnie kolorowa trąbka. I to właśnie tę trąbkę złapała Anielka i przytknęła Wojtusiowi do ucha. Zadeła jak trębacz na wieży Mariackiej. Skrzywiłam się od tego hałasu i cała skurczyłam w sobie, a Wojtuś... ledwie zareagował. Złapałam dziecko na kolana i przytrzymując główkę, żeby jej nie odwracał, zajrzałam do ucha, potem do drugiego. W obydwu, oblepione woskowiną coś tkwiło. Z braku innych narzędzi poprosiłam o grube szydełko i latarkę. Jeszcze raz przyjrzałam się uważnie i najdelikatniej, jak tylko mogłam, usunęłam z uszu dość dorodne ziarna fasoli. Przekazałam zdobycz matce i pouczyłam ją:

– Na przyszłość proszę częściej zaglądać w uszy dziecka. Nigdy nie wiadomo, co tam jeszcze schowa.

Zaczerwieniła się i przyjęła ode mnie fasolę, którą z zakłopotaniem zacisnęła

w garści. Nikt nie lubi być posądzanym o zaniedbania, zwłaszcza w stosunku do własnego dziecka.

Kiedy ulewa minęła, a letnie słońce suszyło ostatnie krople rosy mieniące się na trawie, zawiązałam na głowie chustkę i wyszłam na łąki. Wieczorem zamierzałam wrócić do domu i żał mi było każdej utraconej chwili. Tego dnia zajęłam się zbiorem dziurawca, którego tutaj był dostatek. Z naręczem żółtych kwiatów zmierzałam właśnie do przystanku, gdy zatrzymał mnie głos mężczyzny zaprzęgającego konia do furmanki.

– Jak pani do Nidzicy, to podwoję. I tak po lekarza tam jadę – zawołał.

– A co się stało? Może mogłabym pomóc? – zapytałam uprzejmie.

– Ach, żona w boleściach leży, nic jej nie pomaga. Jęczy biedaczka jak na mękach. To pomyślałam, po lekarza trzeba, bo jeszcze na tamten świat kobieta się przeniesie.

– Jeśli pan chce, zajrzę do żony. Może chociaż trochę ulżę jej w bólu, zanim zobaczy ją lekarz – zaproponowałam.

– Bóg zapłać, Bóg zapłać drogiej pani. To tutaj, proszę – powiedział i wskazał mi furtkę, na której widniała tabliczka z napisem: „Sołtys”.

Ledwo tam weszłam, a już ciekawscy sąsiedzi zaczęli pojawiać się na podwórku. Niektórzy nawet zaglądali przez okna. Sołtysowa leżała na wznak i z bólu zagryzała zębami wargi. Trzymała się za brzuch, z czego wywnioskowałam, że tam właśnie ją boli. Usiadłam na skraju łóżka i przyłożyłam ręce do jej brzucha. Siedziałam tak chyba z pół godziny, aż zniecierpliwieni gapie powoli zaczęli się rozchodzić do swojej pracy. Nagle sołtysowa przestała jęczeć i spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nie boli – stwierdziła ze zdumieniem. – Nic a nic nie boli! Bogu niech będą dzięki!

– Może i nie boli – powiedziałam sceptycznie – ale jest problem z woreczkiem żółciowym i powinna pani zgłosić się do lekarza. Koniecznie! – przykazałam.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem, usłyszałam hałas w korytarzu i po chwili do izby wtargnął nieznany mi człowiek.

– Co pani tu robi? – zapytał ostro.

Nie odwróciłam nawet głowy, a ponieważ nie mam w zwyczaju tłumaczyć się z tego, co robię, zwłaszcza przed obcym mężczyzną, zignorowałam też jego pytanie.

– Czy pani ją leczy? – zapytał z naganą w głosie. – To znaczy, czy pani tę kobietę usiłuje doprowadzić do śmierci swoimi zabobonami?

Wciąż milczałam. Wtedy się wściekł.

– A ja nie pozwalam! Rozumie pani? Nie pozwalam na rozmaite gusła! To dwudziesty wiek, a nie średniowiecze! Wynocha z tym zielskiem! Won, czarownico! Won! – wrzeszczał.

Sołtysowa podniosła się na łokciu i wpatrywała się w nieznajomego oczami okrągłymi jak spodki. Uścisnęłam jej rękę spoczywającą na kocu, potem podniosłam się gwałtownie, jednym ruchem ściągnęłam z głowy chustkę i podeszłam do niego.

W moim spojrzeniu było tyleż dumy, co pogardy. Mężczyzna, w którym domyślałam się  
czepliwego doktora, zaniemówił. Minęłam go bez słowa i wyszłam z izby.



## 13

**W** warmińskiej wiosce byłam jeszcze cztery razy. I cztery razy natknęłam się na doktora, który nie wiadomo skąd wiedział o moich wizytach. Prześladował mnie. Upominał. Kiedy stwierdził, że nie chcę z nim rozmawiać, groził konsekwencjami i straszył milicją. Byłam niezłomna. Dziwił mnie tylko jego upór, bo wyglądał na inteligentnego człowieka, szybko więc mógł zorientować się, że moim zajęciem jest zbieranie ziół, a nie zajmowanie się chorymi. Widział, jak wędruję z atlasem po łąkach, oglądam rośliny i sporządzam notatki. Przez ten czas ani razu nie udzieliłam porady żadnemu z pacjentów. Ludzie nie mieli teraz czasu na chorowanie. Były żniwa. Ostatni raz odwiedziłam wioskę pod koniec sierpnia. Chodziłam skrajem zagajnika i opisywałam nieznanne mi okazy roślin, które zamierzałam dokładnie przeanalizować w domu. Co pewien czas zerkałam na boki, spodziewając się nadejścia nachalnego doktora, ale się nie pojawił. Do Olsztyna wracałam ostatnim autobusem i kiedy z niego wysiadłam, było już zupełnie ciemno. Do Kortowa szłam pieszo. Cieszyłam się, że dziś prócz notatek nie dźwigałam kosza z ziołami. Po wyjściu z głównej części miasta szpaler latarni znacznie się przerzedził, a szosę oświetlały tylko z rzadka przejeżdżające samochody. Żałowałam, że przyjechałam tak późno, nie przewidując, iż ostatni środek lokomocji odjedzie mi sprzed nosa. Było pusto, ciemno i nieprzyjemnie. Poza tym nie mogłam uwolnić się od wrażenia, że ktoś za mną idzie. Może to tylko echo moich kroków na zwirowej ścieżce – pomyślałam, ale nie miałam odwagi, by to sprawdzić. Na wszelki wypadek przyśpieszyłam kroku. Wtedy usłyszałam wyraźnie czyjś oddech tuż za moimi plecami. Nie wytrzymałam napięcia i odwróciłam głowę. Za mną szedł doktor. Uśmiech, jakim mnie obdarzył, wydał się pełen jadu i złośliwej satysfakcji.

– Nie spodziewałaś się mnie tutaj, prawda? – zapytał chwytając mnie w pól i przyciągając mocno do siebie. – Możemy zawrzeć umowę – szeptał mi do ucha, a jego gorący oddech przyprawił mnie o mdłości. – Od początku wiedziałem, że nie

jesteś wiejską babą... Nie z taką urodą, takim wdziękiem... Zachwyciłaś mnie od pierwszego dnia, pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem... Od tego spojrzenia tam, w izbie... Pamiętasz? Pamiętasz to? Byłaś jak dumna królowa. A teraz będziesz moja, słyszysz? Musisz być moja! – syknął mi do ucha, po czym wpił się ustami w moje usta, pozbawiając mnie oddechu.

Szarpnęłam się dziko i odepchnęłam go od siebie. Na ustach czułam obrzydliwy, słony smak. Jak osaczone zwierzę próbowałam ocenić szansę ucieczki. Zarówno od domu, jak i od miasta dzieliła mnie spora odległość. Po prawej stronie były jakieś zarośla, po lewej szosa. Tutaj mogłam liczyć jedynie na siebie.

– Wspomniałeś o umowie – starałam się mówić spokojnie, przyjmując strategię negocjacji, która wydała mi się w tamtej sytuacji najbardziej bezpieczna. – Jakiego rodzaju umowę masz na myśli?

Chyba zaskoczyłam go tym pytaniem, bo przez moment patrzył na mnie zdziwiony.

– Będiesz moją kochanką – wypalił i oblizał się lubieżnie.

– To, co proponujesz, nie jest umową, tylko twoim żądaniem – odparłam zasadniczym tonem, jakbyśmy rozmawiali w biurze zatrudnienia i ustalali warunki pracy. – Umowa powinna dotyczyć dwóch stron. Co proponujesz w zamian?

– Jak to co? Nie doniosę na ciebie, że pokątnie zajmujesz się szarlatanerią.

– Dobrze wiesz, że tak nie jest – powiedziałam z naciskiem, z trudem panując nad drżeniem głosu, a fala złości przetoczyła się przeze mnie z siłą huraganu.

– Jestem lekarzem. Wykształconym lekarzem – powiedział z dumą godną nieopierzonego nowicjusza, który pragnie zabłysnąć w swojej dziedzinie. – Jak myślisz, czy uwierzą komuś, kto ukończył nauki medyczne, czy zwykłej blagierce, czerpiącej korzyści z naiwności ciemnoty wiejskiej?

– Ty podły draniu! – syknęłam i uderzyłam go otwartą dłonią w twarz.

Chwycił mnie za nadgarstki i przytrzymał mocno.

– Bij! Uderz jeszcze! – zasyczał przez zęby, po czym przyciągnął mnie do siebie i ponownie usiłował pocałować. Wtedy nie wytrzymałam i z całej siły kopnęłam go kolanem w krocze.

Zawył dziko i natychmiast mnie puścił, zwijając się w kłębek. Wykorzystałam moment i rzuciłam się do ucieczki. Biegłam na oślep, nie oglądając się za siebie. Brakowało mi tchu, serce łomotało jak młot i czułam, że za chwilę nie da rady tłoczyć krwi w tak zawrotnym tempie. Zatrzymałam się dopiero pod domem. Oparta o ścianę, łapiąc z trudem powietrze, przetrząsałam torebkę w poszukiwaniu kluczy. Jednocześnie zerkałam na ścieżkę, w obawie, że pojawi się na niej mój prześladowca. Na szczęście nic takiego się nie zdarzyło. Nie zapalając światła, rzuciłam się na łóżko i wbiłam głowę w poduszkę. Byłam pewna, że doktor na tym nie poprzestanie i znajdzie sposób, by się na mnie zemścić. Postanowiłam działać. Zanim obmyśliłam jakąś rozsądną koncepcję, usnęłam kamiennym snem.



Głośny dźwięk telefonu Adama przerwał opowieść Juliany. Zamilkła i spojrzała na niego pytająco.

– To mój szef – mruknął Adam i skrzywił się z niesmakiem. Wciąż nie miał mu nic do zaoferowania.

– Nie odbierzesz? – zdziwiła się Juliana, widząc, jak Adam chowa telefon do kieszeni.

– Nie – odparł. Popatrzyła na niego badawczo, ale nie skomentowała. – Mój reportaż nie jest jeszcze gotowy – wyjaśnił.

– Rozumiem. Chociaż uważam, że to, co najważniejsze z punktu widzenia historii, zostało już powiedziane. Na twoim miejscu wróciłabym teraz do domu i pracowała nad reportażem. Wojna, stalinizm i początki PRL-u mamy za sobą. Jeżeli czytelnicy będą zainteresowani, dodasz resztę. Co o tym sądzisz?

W gruncie rzeczy przyznał Julianie rację.

– Czy będę mógł liczyć na tę resztę? – wołał się upewnić.

– Oczywiście, jeśli zastaniesz mnie przy życiu – zażartowała.

Adam podziękował, pożegnał się i wyszedł. Postanowił dzisiejszy wieczór i noc poświęcić na pracę. Wprawdzie Toffi i tak spędzała mu sen z powiek, ale nie miał teraz czasu, by się zajmować jej problemami.

Następnego dnia, kwadrans po czternastej postawił ostatnią kropkę. Reportaż był zwięzły, ale zawierał wszystkie najważniejsze fakty. Zapakował wydruk do tekturowej teczki i niemal w zębach, dostarczył do redakcji.

– Zdążyłeś – mruknął z przekąsem naczelny i zabrał się do przeglądania papierów. Adam wycofał się z gabinetu i od tej chwili każda upływająca minuta stała się oczekiwaniem na werdykt. Cała ta pisanina i czas spędzony u Juliany mogą być zaprzepaszczone przez jedno negatywne słowo szefa. Adam wrócił do domu i położył telefon w widocznym miejscu. Zaparzył kawę, którą pił przy stole, nie spuszczać wzroku z telefonu. Ale naczelny tego dnia nie zadzwonił. Nie odezwał się też następnego dnia, co wywołało u Adama pewne oznaki hysterii. Dopiero trzeciego dnia z samego rana dźwięk telefonu wyrwał go z czułych objęć Morfeusza.

– No dobra – powiedział oględnie naczelny. – Dajemy to – po czym się wyłączył.

Ogromny głaz stoczył się z serca Adama. Mógł teraz zrobić sobie przerwę i pozwolić odpocząć Julianie. Jeśli czytelnicy będą miernie zainteresowani, ten materiał w zupełności wystarczy. Otrzymał jednak kolejny telefon:

– A jakieś zdjęcia? Masz coś? – dopytywał się szef.

– Mam, oczywiście – powiedział Adam i otworzył szufladę, w której trzymał aparat fotograficzny.

No tak, teraz musi przekonać Julianę, by zgodziła się na sesję zdjęciową. Domyślał się, że nie będzie łatwo. Wybrał numer telefonu Juliany. Nie odbierała. Wybrał ponownie, ale znowu usłyszał tylko sygnał. Po jakimś czasie zadzwonił jego telefon.

– To dawaj, dawaj te zdjęcia! – niecierpliwił się szef.

Co robić? – zastanawiał się Adam, po czym wsiadł do taksówki i chwilę potem przyciskał dzwonek domofonu przy furtce Juliany. Długo trwała cisza, w końcu ktoś przycisnął brzęczyk. Wbiegł szybko po schodkach. Ponieważ nikt nie otworzył mu drzwi wejściowych, uchylił je sam.

– Proszę, panie Adamie! – zawołała z kuchni Joanna. – Dostrzegłam pana przez okno, ale nie mogę odejść od kuchenki. Zapraszam!

Wszedł do kuchni. Joanna w towarzystwie Wanilii, który kręcił się pod jej nogami, mieszała coś drewnianą łyżką.

– Gotuję masę czekoladową – wyjaśniła z uśmiechem.

W obszernej flanelowej koszuli, z włosami niedbale spiętymi na czubku głowy wyglądała uroczo. Nie znał jej takiej. Zwykle widywał ją w dopasowanych ciemnych sukienkach i niemal męskich marynarkach.

– Smakowicie pachnie – stwierdził i przełknął ślinę.

– Owszem. Lubię czasem upiec albo ugotować coś niecodziennego. To mnie uspokaja – powiedziała i oblizała czubek łyżki. – Chce pan spróbować? – zapytała podtykając mu tę samą łyżkę. Zrobiła to tak naturalnie, że nawet się nie zdziwił.

– Pyszne – pochwalił. – Bardzo mi tu z panią miło, ale właściwie przyszedłem do pani Juliany...

– Ale mamy nie ma! – zawołała zmartwiona. – Wyjechała na kilka dni. Wróci w niedzielę. Dlaczego pan wcześniej nie zadzwonił?

– Dzwoniłem, ale nie odbierała – powiedział zawiedziony.

– Czy to coś pilnego? Może ja mogłabym pomóc? – zapytała i wyłączyła gaz pod rondlem.

– Potrzebne mi są zdjęcia pani matki. Jest bohaterką mojego reportażu – objaśnił z nutką dumy.

– Wiem, wiem. Mówiła mi o tym. I wie pan co, wcale nie była zachwycona.

Joanna po dziecinnemu zmarszczyła nos i pogroziła mu palcem. Nie sposób było nie uśmiechnąć się do niej. Potem jednak spoważniała i oznajmiła:

– Nie mogę udostępnić panu jej zdjęć. Mogłaby sobie tego nie życzyć.

– Rozumiem – mruknął zawiedziony, choć w duchu przyznał jej rację.

Nagle rozpromieniła się i klasnęła w ręce. Jej nagłe zmiany nastroju rozbrajały Adama. Przyglądał się jej zafascynowany.

– Przecież pan ma jej zdjęcia! – zawołała radośnie i podskoczyła jak mała dziewczynka.

– Ja mam jej zdjęcia? – zdumiał się. – Gdzie?

– Jak to gdzie? W telefonie.

– Rzeczywiście! Dziękuję! Pędzę do redakcji!

– Nigdzie pan nie pędzi. A kto będzie to jadł? – zapytała polewając masą

czekoladową smakowicie wyglądające ciasto. – Babka z likierem amaretto, jadł pan kiedyś coś takiego?

– Nie, ale... Proszę mi wybaczyć, te zdjęcia to bardzo pilna sprawa.

– Dziwię się, doprawdy... W dobie Internetu uważa pan, że autobusem dotrą szybciej? Proszę je przesłać do redakcji. W moim gabinecie stoi komputer. O, tamte drzwi – wskazała łyżką, którą następnie oblizała.

W tym czasie, gdy Adam przysyłał zdjęcia zrobione w leśnej chacie, Joanna ustawiła na małym indyjskim stoliku dzbanek i cieniutkie filiżanki do herbaty, oraz patere z ciastem. Całość dopełniła butelką słodkiego wina. Kiedy skończył, czekała na niego, bardzo zadowolona z siebie.

– Podoba się? – zapytała bezosobowo, wskazując nakrycie.

– Bardzo się podoba – odparł ze śmiechem i zatarł ręce na widok ciasta. – Nie może się doczekać.

– Kto? – zapytała przekornie.

– Ten, któremu się podoba.

– Tak zwany Adam?

– Owszem, tak zwana Joanno.

Roześmieli się i ucałowali w obydwie policzki, przypieczętowując zawarcie bliższej znajomości.

– Coś ci włączę, posłuchaj! – podbiegła do odtwarzacza CD i uruchomiła płytę, z której popłynęła piękna, kojąca muzyka.

– *Pływające marzenia*? – zapytał, żeby się upewnić.

– Tak! Ennio Morricone! – zawołała uradowana. – Poznałeś!

– Pewnie, że poznałem. Bardzo go lubię. We Wrocławiu często go słuchałem.

– A tutaj?

– Tutaj? Nie, tu nie mam z kim słuchać, więc zupełnie zapomniałem, że istnieje coś takiego, jak muzyka – nachmurzył się.

– No to teraz będziesz słuchał ze mną! – rzuciła z entuzjazmem i natychmiast się spłoszyła. – To znaczy, jeśli będziesz chciał – powiedziała niepewnie.

– Na pewno nie raz będzie ku temu okazja – stwierdził oględnie i zamilkł.

– Poczęstuj się ciastem – zaproponowała zupełnie innym tonem. W tej chwili przypominała służbową panią Joannę w ciemnej sukience i poważnej marynarce.

Jak ona się zmienia – pomyślał Adam i nagle zapragnął, by wróciła do flanelowej wielkiej koszuli i bałaganu we włosach. Wepchnął do ust kawałek ciasta i zawołał z pełną buzią:

– Tak! Będę chciał!

Spojrzała na niego zdumiona i parsknęła śmiechem.

– Adam? Nie poznaję cię. Wyglądasz jak chomik! – zawołała i upiła łyk wina.

– Czy to tango? – zapytał nagle, wsłuchując się w dźwięki muzyki.

– Tak. Moje ulubione tango – westchnęła z rozmarzeniem.

Adam wstał i wyciągnął do niej dłoń.

– Czy wobec tego mogę zaprosić cię do twojego ulubionego tanga? – zapytał.

– Z przyjemnością – odparła i podniosła się z gracją.

Pociągnął ją lekko i przygarnął miękko do siebie. Jej szczupła talia pod obszerną flanelową koszulą zmysłowo poddawała się jego dłoniom. Tańczyła lekko, z kocim wdziękiem. Amethyst, perfumy, które były powodem westchnień Toffi, teraz ledwie wyczuwalną nutą drażniły jego nozdrza. Gdy wybrzmiały ostatnie nuty, jej oczy nagle pociemniały, a on poczuł ogarniającą go falę gorąca. Przywarli do siebie mocno i trwali tak, wsłuchując się w jednakowy dla obojga rytm serca. Jeszcze chwila i...

– Cudne tango – westchnęła, uwalniając się z jego ramion.

Adam oprzytomniał. Podeszedł do stolika i wypił duszkiem całą lampkę wina.

– Boże... zaczarowałaś mnie – szepnął zdumiony. Był pijany jej bliskością, dotykiem sprężystego ciała, zapachem. – Joanno...

– To był cudowny wieczór – powiedziała tylko. – Dziękuję.

W drodze powrotnej miał jeszcze jej obraz przed oczami, a w nozdrzach ponętny zapach jej perfum. Wciąż wracał myślami do ekscytującego tanga i dotyku kuszącego ciała. Z autobusu wysiadł rozmarzony. Nie mógł otrząsnąć się ze zniewalającego uroku tej kobiety.

Pod blokiem stała Toffi. Wrażenie było tak silne, że ujrawszy ją, stanął jak wryty.

– Adam, gdzie ty się podziewałeś? – zapytała z wyrzutem. – Czekam tu i czekam.

– Mogłaś zadzwonić – bąknął skonsternowany. Nie chciał jej dzisiaj widzieć. Nie dzisiaj...

– Dzwoniłam, ale nie odbierałeś – mruknęła.

No tak, telefon leżał w przedpokoju Joanny.

– Trochę późno na wizyty – stwierdził poirytowany i mimowolnie zerknął na zegarek.

– Kiedy tu przyszłam, nie było późno – obruszyła się.

Otworzył drzwi i puścił ją przodem. Usiadła w swoim ulubionym fotelu i bez słowa obserwowała, jak wyjmuje z lodówki piwo, szuka otwieracza do butelek.

– Napijesz się? – zapytał.

– Tak, poproszę – odparła.

Była potulna. Nie lubił, kiedy była taka. To zawsze sprowadzało kłopoty. To znaczy ona była potulna, kiedy właśnie wpakowała się w kłopoty. – Dzwoniłeś – oświadczyła, jakby odkryła Amerykę.

– Tak. Trzy dni temu – potwierdził z sarkazmem.

– Chciałeś coś? – zapytała z miernym zainteresowaniem.

– Nie, skąd znowu. Miałem ochotę pogadać o pogodzie – zakpił. – Oczywiście, że chciałem.

– Dlaczego jesteś nieprzyjemny? – zapytała z wyrzutem.

Nie odpowiedział od razu. W skupieniu rozlewał piwo do szklanych kuflów. Obserwowała jego ruchy.

– Toffi, zwróć Julianie jej własność – powiedział w końcu zmęczonym głosem.

– Jaką własność? Nie brałam nic od Juliany! – prychnęła jak kotka.

– Ukradłaś jej pierścionek. Rodzinną pamiątkę. Juliana żąda zwrotu i jakoś wcale mnie to nie dziwi. Albo jej oddasz, albo... – Nie dokończył, ponieważ Toffi zaczęła nagle płakać.

– Nie mam pierścionka! Już go nie mam! – chlpała, siąkając nosem. Podał jej chusteczkę.

– Co z nim zrobiłaś? – zapytał z irytacją.

– Sprzedałam, a co miałam zrobić? Potrzebowałam pieniędzy. Rozumiesz?

– Nie, do cholery! Nie rozumiem! – podniósł głos. Z trudem panował nad sobą. Miał ochotę ją uderzyć. – Nie rozumiem, jak można przywłaszczać sobie czyjąś rzecz! Proponowałem ci różne rozwiązania, ale mnie oczywiście nie posłuchałaś! Komu sprzedałaś?

– Jakiejś babie. I nie krzycz! Nie masz prawa na mnie krzyczeć! – uniosła się.

– Oczywiście. Jak ty dobrze znasz rozmaite prawa – powiedział cierpko.

– Mam kłopoty. Poważne kłopoty, a ty zamiast mi pomóc...

– Próbowałem.

– Potrzebuję dużo pieniędzy.

Adam zacisnął usta i nic nie powiedział. Mógł ponownie zaproponować jej sprzedaż mieszkania i miejsce u siebie, ale teraz już nie chciał. Samo przebywanie z Toffi nie było dla niego łatwe.

– Ten facet szantażuje mnie – powiedziała cicho.

– Kto cię szantażuje, na miłość boską? Jaki facet?

– Adam, ty nic nie wiesz... Ale ja spłaciłam tego klienta i z nim jest już wszystko załatwione.

– A z kim nie jest? Toffi, w coś ty się znowu wpakowała?

– Żeby jednemu oddać, musiałam od innego pożyczyć. Nie wiesz, jak to jest?

– Nie. Nie wiem. Nigdy nie pożyczałem pieniędzy. I nie kradłem pierścionków.

– Przestań – mruknęła.

– Od kogo pożyczyłaś pieniądze? – zapytał słabym głosem.

– Od jakiejś firmy pożyczkowej. Znalazłam ogłoszenie. Teraz mnie ścigają. Pierścionek Juliany przeznaczyłam na pierwszą ratę. I tak nie wystarczyło – powiedziała otwarcie.

– Toffi, musisz odzyskać ten pierścionek.

– Odzyskać. Nie bądź śmieszny. Jak?

– Musisz go odkupić.

– Łatwo ci powiedziec. Za co?

– Skąd mam wiedzieć?! – zdenerwował się. – Postaram się coś wymyślić. Ale nie dzisiaj. Jestem cholernie zmęczony. Chodź, odwiozę cię do domu.

Toffi poprawiła włosy, przybrała zalotną pozę i zapytała kokieteryjnie:

– Do domu? A nie znajdzie się dla mnie miejsce w twoim przytulnym łóżeczku?

– Nie – odparł z rozbijającą szczerością.

– A niech cię szlag... – warknęła i wyszła trzasnąwszy drzwiami.

– Toffi! – zawołał za nią. – Toffi, zaczekaj!

Wybiegł na klatkę schodową, potem przed dom. Zobaczył tylko, jak dziewczyna znika za rogiem.

Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Siedział nad kubkiem wystygłej herbaty i zastanawiał się, co stało się z jego miłością. Toffi zawsze go zaskakiwała, ale nigdy w tak negatywny sposób. Czy mógł mieć do siebie pretensję, że uczucie, które do niej żywił, gasło z każdym dniem? Teraz nie wiedział nawet, czy wróciła na studia, czy ma jakąś pracę, z czego żyje. Związek z Toffi rwał się jak pajęczna nitka, a on nie potrafił nic zrobić, by go uratować. A może zabrać ją gdzieś, wyjechać, jak dawniej, zdystansować się do problemów, które ją nękają? Może udałoby się wypracować jakiś plan na pozbycie się kłopotów? Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Następnego dnia zadzwonił do niej z samego rana. Zdziwił się, że odebrała od razu.

– Toffi, chcę z tobą porozmawiać – powiedział. – Możesz poświęcić mi chwilę czasu?

– Wczoraj rozmawialiśmy – burknęła niechętnie.

– Wiem, ale dziś chciałem ci coś zaproponować.

– Słucham.

– Nie śpieszysz się?

– A dokąd miałabym się śpieszyć?

– No, nie wiem... Nie masz dziś zajęć na studiach? – zapytał podstępnie.

– Przecież przerwałam studia. Zapomniałeś?

– Czy można zapomnieć o czymś, czego się nie wie?

– To teraz już wiesz. Wzięłam dziekanę.

– Rozumiem.

– Co ty tam rozumiesz... Nie musisz martwić się o chleb.

– A ty?

– Co ja?

– Musisz się o to martwić? Pytam, czy masz pracę.

– Taką tam... Dorywczą. Do czego zmierzasz?

– Chcę cię gdzieś zabrać.

– Zabrać? Dokąd?

– Do chaty Magdaleny.



## 14

**W**yrwanie Toffi z Warszawy było trafionym pomysłem. W ciężkich butach, z niewielkim plecakiem wyposażonym w same niezbędne rzeczy, szła teraz ramię w ramię z Adamem i szczebiotała radośnie. Adam uśmiechał się pod wąsem, zadowolony, że udało mu się oderwać ją choć na chwilę od zmartwień. Wprawdzie sama była ich przyczyną, ale będąc centrum stresujących wydarzeń, nie mogła myśleć racjonalnie. Liczył na to, że z dala od tego wszystkiego łatwiej będzie wpaść na jakieś rozsądne rozwiązanie.

Jesień w Bieszczadach była feerią barw mieniących się w przygaszonym świetle wrzeźniowego słońca. Cisza przerywana głosem nawołujących się ptaków i skrzypieniem starych sosen działała kojąco na skołatane nerwy. Pod butami trzaskały drobne gałązki i suche igliwie. Po przejściu kawałka lasu nawet Toffi zamilkła, by upajać się spokojem tego swoistego sanktuarium. Szli w milczeniu, zatopieni we własnych myślach, tylko czasami przerywanych wymianą krótkich zdań dotyczących właściwego kierunku, gdy znaleźli się na rozstajach leśnych ścieżek.

– A jeśli ona tam będzie? – zapytała zniecka Toffi i zatrzymała się w pół kroku.

– Kto? – nie zrozumiał.

– No, ona. Magdalena – szepnęła, a jej piękne, jasne oczy rozszerzyły się przerażeniem.

– Nie żartuj – odparł rozbawiony jej dziecinny, nedorzecznym lękiem.

– Już zapomniałeś, jak nawiedzała cię w nocy? I jak na każdym kroku czułeś jej obecność?

– Nie zapomniałem, ale odkąd znaleźliśmy Julianę, dała mi przecież spokój.

– A ja się czegoś boję – powiedziała i zwolniła kroku, jakby chciała zawrócić.

– Daj spokój. Jestem pewien, że ta jej obecność nie jest niczym innym, tylko wytworem naszej wyobraźni – uspokajał ją, jednocześnie zdając sobie sprawę, że Toffi boi się odpowiedzialności za zaginiony pierścionek Juliany.

– Może... – rzekła z wahaniem.

Do chaty przedzierali się gęstymi zaroślami. Gdyby nie fakt, że Adam był tu już kilkakrotnie, na pewno nie trafiliby tak szybko, jeśli w ogóle by trafili. Wysokie krzewy zasłaniały rozległą polanę, porośniętą teraz kępami leśnych traw i przekwitłą nawłocia. Za polaną ciemniała znajoma sylwetka chaty osłoniętej przez stare drzewa.

– Jest – szepnął Adam i przytrzymał Toffi za ramię. Wzruszenie sparaliżowało go na moment, odebrało głos. Darzył to miejsce jakąś szczególną atencją, czuł przed nim respekt. Życie i śmierć Piotra i Magdaleny na zawsze utkwili mu w sercu, a wspomnienie tych dwojga w tym niezwykłym miejscu było dla niego jak nabożeństwo.

– Wracajmy – powiedziała zduszonym głosem Toffi. – Nie chcę tam iść...

– Nie bądź śmieszna – oburzył się Adam. – Straciliśmy pół dnia, żeby tu dotrzeć. Nie po to, żeby w ostatniej chwili odwrócić się na pięcie i po prostu odejść.

Rozgarnął krzaki i ruszył w kierunku domu, w którym Juliana spędziła pierwsze lata życia. Drzwi otwierał ostrożnie. Zarośnięty mchem i trawą ganek utrudniał wejście do chaty, ale jednocześnie świadczył o tym, że nie było tu nieproszonych gości. Adama uderzył zapach specyficzny dla starych, drewnianych, nie wietrzonych latami chałup. Podobny czuł tylko w nieużywanych kościołach i skansenach.

– Możemy tu wywietrzyć? – zapytała półgłosem Toffi, rozglądając się po wnętrzu z mieszaniną lęku i ciekawości.

– Zostawię otwarte drzwi. Okien lepiej nie ruszać, mogą się potem nie zamknąć – odparł.

Przysiadł na brzeżku jednego z grubo ciosanych stołków i wlepił wzrok w portret Magdaleny. Toffi niezdecydowanie stała na środku izby. Czowała się tu niepewnie.

– Wszystko zostało tak, jak opisała w dzienniku – powiedziała cicho. – Nawet kapota Piotra wisi na haku.

Mimowolnie spojrzął na drzwi i pokiwał głową.

– Spróbuję znaleźć ich grób pod śliwą – powiedział i wstał z miejsca.

– Jeśli zastaniesz jeszcze śliwę – rzekła z powątpiewaniem.

– Drzewa są długowieczne, powinna przetrwać – stwierdził.

– Idę z tobą. Nie zostanę tu sama – powiedziała i wzdrygnęła się.

Adam wstąpił jeszcze do komory i rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Zdjął ze ściany sierp i wyszedł z nim na dawne podwórko, dziś obrośnięte krzakami i badyłami. Brnął przez wysokie, pożółkłe trawy, torując sobie tym sierpem drogę. Za domem było dużo drzew. Opuszczone, nie dotykane ludzką ręką, sprawiały wrażenie omszałych pomników na zapomnianym cmentarzu. W głębi stała śliwa obsypana zdziczałymi, przejrzałymi owocami. Jeden z konarów był uschnięty i sterczał z niej na podobieństwo rozpostartych ramion. Adam chciał go ułamać, ale nagłe skojarzenie z gestem czyjejs rozpaczy powstrzymało go przed tym. Mały wzgórek pod śliwą, pokryty w całości



roślinnością, był prawie niewidoczny. Adam usunął wszystko, co dało się wyrwać, resztę ściał sierpem. Toffi stała nad nim i przyglądała się jego pracy.

– Przecież i tak zarośnie – powiedziała w końcu.

– Wiem. Będę tu czasami przyjeżdżał. Może kiedyś przywiozę Julianę? Będzie jej przyjemnie, jeśli zobaczy, że ktoś choć czasami pochyła się nad grobem jej rodziców.

– Jak chcesz – mruknęła Toffi i wzruszywszy ramionami poszła w kierunku domu.

Adam rozejrzał się w poszukiwaniu patyków, z których zamierzał związać symboliczny krzyż. Ponieważ nie było nic w pobliżu, wszedł do chylącej się drewnutni, gdzie spodziewał się znaleźć siekierę. Na wspomnienie, do czego posłużyła ona Ukraińcom, przeszył go dreszcz. W drewnutni nie znalazł niczego, co nadawałoby się do obciążenia brzozowych gałęzi, które upatrzył sobie za ogrodzeniem. Wrócił do komory. Toffi klęczała nad otwartą skrzynią i przeglądała jej zawartość.

– Co robisz? – zapytał z pretensją. Nie mógł znieść, że ktoś profanuje miejsce, które on sam traktował z takim pietyzmem.

– Nudzę się – odparła rozkładając lnianą tkaninę i przyglądając się jej pod światło wpadające przez okno.

Adam znalazł w komorze jedynie coś w rodzaju maczety, wziął ją i wyszedł za próg. Ponieważ zaczął siąpić drobny deszcz, bez namysłu sięgnął po kapotę Piotra, która miała obszerny kaptur. Wybiegł do zagajnika i ściał dwie brzozowe gałęzie. Ociosał je z grubsza i związał sznurkiem na kształt krzyża. Może to nie było trwałe mocowanie, ale przyrzekł sobie, że następnym razem zabierze z sobą gwoździe i młotek. Skończył wiązać i z przyzwyczajenia poklepał się po kieszeni kurtki, w której zawsze nosił scyzoryk. Tylko że tym razem była to kapota Piotra. Zdziwił się, że na wysokości, gdzie zwykle znajduje się kieszonka, wyczuł małe zgrubienie. Zdjął okrycie i uważnie mu się przyjrzał. Kieszeń zaszyta była byle jak, prawdopodobnie ręką mężczyzny. Może zrobił to Piotr, może Ivan, w każdym razie ten ktoś miał w tym jakiś cel. Adam mocno szarpnął zębami, by przegryźć grubą nitkę. W środku owinięte kawałkiem gazety tkwiło małe zawiniątko. Zaciekawiony, wydobył je z kieszeni i niecierpliwie otworzył. To był pierścionek. Piękny, złoty pierścionek z brylantowym oczkiem. Dokładnie taki, jaki Magdalena poświęciła na zakup zboża pod zasiew, a potem opisała szczegółowo w swoim dzienniku.

– Boże drogi – szepnął Adam i usiadł na mokrej ziemi. – Pierścionek Magdaleny! Co w takim razie mała Juliana znalazła w ziarnach fasoli? Matka na urodziny podarowała jej właśnie taki pierścionek, który towarzyszył Julianie aż do chwili, gdy zabrała go Toffi. Jakim cudem znalazł się tutaj?

Zapakował pierścionek i ukrył go w kieszeni spodni. Potem wziął krzyż i wkopał go na małym wzniesieniu pod śliwą.

– Nie wiem, jak to zrobiłaś, Magdaleno – powiedział na głos – ale dziękuję ci. Spoczywaj w pokoju.

Wracali późnym wieczorem. Toffi milcząca i jakby niezadowolona z wycieczki, która miała sprawić jej radość, Adam rozczarowany kolejną porażką w odzyskaniu dziewczyny, ale uszczęśliwiony i wciąż jeszcze zdumiony swoim odkryciem. O pierścionku nie powiedział Toffi ani słowa. Postanowił niezwłocznie oddać go w ręce Juliany.

Joanna zadzwoniła w niedzielne popołudnie.

– Mama już jest i czeka na ciebie – powiedziała radośnie. – Ja również chętnie cię zobaczę – dodała.

Adam jechał do domu Juliany z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszył się, że zwróci jej pierścionek, z drugiej zaś miał świadomość, że to nie jest ten sam, który zabrała Toffi. Postanowił zagrać w otwarte karty i powiedzieć jej wszystko. Jednocześnie czuł się podekscytowany czekającym go spotkaniem z Joanną. Na samą myśl o niej serce zaczynało bić mocniej.

Otworzyła mu drzwi piękna, w wizytowej sukni.

– Szkoda, że tak późno – powiedziała z roztargnieniem. – Właśnie wychodzę. Mama czeka u siebie – rzuciła jeszcze i pośpiesznie zbiegła po betonowych schodkach, pozostawiając smużkę zapachu perfum.

Obejrzał się zawiedziony. Miał ogromną ochotę spędzić z nią ten wieczór.

Juliana układała swoje rzeczy świeżo wypakowane z walizki.

– Miło cię widzieć, Adamie. Jak tam twój reportaż? – zapytała uśmiechając się życzliwie.

– Przyjęty – odparł i nie czekając na zaproszenie, rozsiadł się na sofie.

– Joanna wspominała, że poszukiwałeś mnie.

– Tak. Ale dzięki niej poradziłem sobie.

– To dobrze – skwitowała, nie pytając o szczegóły. – A co z pierścionkiem?

– Jest! – zawołał z satysfakcją i podał jej mały, błyszczący skarb na otwartej dłoni.

Juliana wzięła go do ręki, obejrzała dokładnie i zbladła.

– Skąd to masz? – zapytała. W jej głosie wyczuł mieszaninę złości i zdumienia.

– Dlaczego... Dlaczego pani o to pyta? – wyjąkał.

– Bo nie na to czekałam – odparła. – Skąd go masz?

Adam milczał zaskoczony takim obrotem sprawy.

– Jak go znalazłeś? Byłeś tam znowu? – pytała podniesionym głosem.

– Pani... Pani wiedziała o nim?

– Czy wiedziałam? – powtórzyła pytanie, po czym odetchnęła głęboko, podeszła do stolika, nalała z karafki wody i wypła ją jednym haustem. Kiedy się trochę uspokoiła, usiadła w swoim fotelu i długo patrzyła na skonsternowanego Adama. – To było niedługo przed śmiercią mojej matki – zaczęła mówić przyciszonym głosem, urywanymi zdaniem. – Była już bardzo słaba i... Ivan nie pozwalał mi do niej chodzić.

Mogłam tylko podać jej wodę albo coś do jedzenia, chociaż i tak wszystkiego odmawiała. Po cichu, żeby jej nie przeszkadzać, porządkowałam izbę. Za piecem znalazłam wepchnięte byle jak i dawno zapomniane rzeczy mojego ojca. Pomyślałam, że wypiorę je pod studnią i kiedy ojciec wróci, pochwalę się przed nim, że zrobiłam to sama. Dla niego... Wyobrażałam sobie, jak położy dłoń na mojej głowie, pogłaszcze po włosach i powie, że dobrze się spisałam. Nie wiedziałam jeszcze, że jego już nie ma, że spoczywa tak blisko... Pod śliwą w sadzie. Czekałam na niego, a matka utrzymywała mnie w przekonaniu, że on wróci. Nieraz stałam przy oknie i patrzyłam, patrzyłam, aż zaczynały mnie boleć oczy. A jego wciąż nie było. O jego śmierci dowiedziałam się dopiero z dziennika mojej matki. Rozumiem ją. Nie chciała odbierać mi nadziei. Boże, jak musiało jej być ciężko... – Juliana zamilkła i otarła łzę toczącą się po policzku. – No więc zebrałam te jego rzeczy do cebrzyka i poszłam pod studnię. Ręce grabiały mi od lodowatej wody, choć wtedy świeciło słońce. Pamiętam, że było słońce, bo kiedy wylałam wodę, coś leżącego na ziemi błysnęło w jego blasku. Pochyliłam się i znalazłam ten pierścionek. Był prawie identyczny z tym, który znalazłam kiedyś w fasoli. Tylko tamten tak nie błyszczał. No i nie miał wygrawerowanych inicjałów. O tutaj, widzisz? – Juliana pochyliła się w stronę Adama i pokazała mu maleńkie literki wyryte w złocie. – To inicjały mojej prababki. O tym pierścionku pisała matka w swoim dzienniku. Nie miała pojęcia, że to, co uznała za pamiątkę rodzinną i podarowała mi na urodziny, było świetną podróbką. Ale to tylko tombak i kolorowe szkiełko. Nie wiem, skąd ten pierścionek wziął się w fasoli i dlaczego. Podejrzewam, że wrzucił go tam ojciec. To tajemnica zabrana do grobu. I tajemnicą na zawsze zostanie, za co kupił wtedy zboże, jeśli pierścionek nosił w kieszeni. Pokazałam obydwu pierścionki Ivanowi. Zabronił mi iść z nimi do matki. Jeden pozwolił mi zatrzymać, a drugi zabrał, jak powiedział, „na przechowanie”. Widocznie obawiał się, że go zgubię. Dla mnie obydwu były jednakowe, ale cenniejszy był ten, który podarowała mi matka. Wieczorem widziałam, jak Ivan zaszywał ten, znaleziony przeze mnie podczas prania, w kieszeni kapoty mojego ojca. „Pamiętaj, doczka, tutaj jest twój majątek” – tak powiedział. Nie myślałam o tym, gdy uciekałam z leśnej chaty. O tym, że ten drugi pierścionek jest podróbką, dowiedziałam się dość szybko. Pokazałam go kiedyś cioci Reginie w Toruniu. Nigdy jej się nie przelewało, więc zaproponowałam, żeby sprzedała i kupiła sobie buty. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Noś go sobie, dziecko, nie jest wart nawet jednej sznurówki”. To była okrutna prawda... – Juliana zawiesiła głos i spojrzała badawczo na Adama. – Byłeś tam? Powiedz.

– Tak. Wyrwałem chwasty z grobu pod śliwą i postawiłem brzozy krzyż. Wyciąłem sierpem ścieżkę prowadzącą do domu. To wszystko.

– Dziękuję. Piotr i Magdalena nie będą musieli przedzierać się przez zarośla idąc do chaty na wieczorną herbatę – powiedziała z melancholijnym uśmiechem, wywołując na

plecach Adama zimny dreszcz. Potem zamyśliła się na dłuższą chwilę, aż w końcu zapytała: – Co Teofila zrobiła z pierścionkiem?

– Sprzedała go – odparł zażenowany.

– Sprzedała? – zdumiała się Juliana. – Jak jej się to udało? Przecież nic nie był wart. No cóż... Nie pochwalam oczywiście tego postępu – powiedziała. – Ale naprawdę doceniam jej spryt.

– Pani Juliano – zaczął niepewnie Adam – skoro już jestem, czy mogłaby pani opowiedzieć mi, co działo się dalej z tym...

– Doktorem?

– O właśnie, z doktorem.

– Dobrze – odparła.

Usiadła w fotelu i przez pewien czas zbierała myśli. Potem zaczęła opowiadać spokojnym głosem.

Przez resztę sierpnia i cały wrzesień, tradycyjnie już przygotowywałam zioła na sprzedaż. Tym razem wśród herbatek, nalewek i syropów znalazły się dwie maści: żywokostowa i borowinowa, które nakładałam do małych słoiczków. Kiedy wszystkie półki regału były już zapełnione, a w pudełkach, które znosiłam z obuwniczych sklepów, spoczywały torebki z mieszankami ziół, do mojego małego mieszkania wtargnęła milicja. Robiłam właśnie etykiety i przyklejałam je do opakowań, gdy ktoś załomotał do drzwi. Dwóch umundurowanych funkcjonariuszy weszło w asyście prześladowującego mnie doktora.

– Proszę zobaczyć, panowie. Proszę tylko zobaczyć, co się tutaj dzieje. To skandal! – wołał doktor miotając się po pokoju i przestawiając nerwowo słoiczki i buteleczki ustawione dotąd w równiutkim szeregu na regale.

Stałam na środku pokoju jak zahipnotyzowana, niezdolna do żadnego ruchu czy słowa. Skąd doktor wiedział, gdzie mieszkam i czym się zajmuję? – myślałam gorączkowo.

– Pan się uspokoi – mruknął jeden z milicjantów – wiemy, co do nas należy. – Podeszedł do półki i wziął do ręki jedną z buteleczek.

– Co to jest? – machnął mi nią przed nosem.

– Nalewka – odpowiedziałam i zerknęłam na doktora wzrokiem pełnym nienawiści. Uśmiechnął się z satysfakcją.

– Zapisz – zwrócił się do drugiego milicjanta, trzymając butelkę na wysokości mojego nosa. – Nielegalna produkcja alkoholu.

Doktor aż jęknął z zachwytu. Mało brakowało, a zatarłby ręce.

– A to? – myszkujący po półkach milicjant pokazał mi słoiczek ze świeżo naklejoną etykietką.

– Maść – odparłam.

– I z czego ta maść? – zapytał flegmatycznie.

– Proszę przeczytać, tam jest napisane – powiedziałam, bo nie byłam pewna, co zawiera.

– Ja tu jestem od tego, żeby się pytać, a obywatelka jest od tego, żeby odpowiadać – pouczył mnie.

– Ta jest z żywokostu – odpowiedziałam posłusznie – na bóle w stawach, rozgrzewająca – dorzuciłam, na co doktor się zachnął i burknął pod nosem:

– Szarlatanka.

– Towar podlega konfiskacie – poinformował mnie milicjant i skinął dłonią na tego drugiego, który natychmiast zaczął zbierać wszystko z półek – a obywatelka pójdzie z nami.

Doktor poprawił kapelusz i zadowolony z siebie ruszył przodem.

Byłam w szoku. Jak to, jestem aresztowana? Patrzyłam to na jednego, to na drugiego i nie mogłam wydusić z siebie ani jednego słowa. To, co się działo, nie docierało do mnie.

– Proszę z nami – powtórzył milicjant i wziął mnie pod rękę.

W ostatniej chwili złapałam torebkę, w której nosiłam dokumenty. Radiowóz jechał szybko. W bagażniku pobrzękiwały buteleczki z nalewkami z głogu i dzikiej róży, które tak pieczołowicie przygotowywałam. Zabrali wszystko, nawet pudełka z suszonymi ziołami. Na posterunku jakiś kapral wysunął głowę z dyżurki.

– Dziwka? – zapytał.

– Hochsztaplerka – odparł ten, który mnie prowadził.

– Niech zaczeka. Porucznik zajęty – powiedział tamten, a „mój” burknął coś pod nosem i zaprowadził mnie do zupełnie pustego pomieszczenia.

Czekałam chyba z pół godziny. W głowie tłoczyły mi się różne myśli, z których próbowałam ułożyć coś sensownego. Nie mogą mnie przecież zamknąć do więzienia. Nie zrobiłam nic złego. Pilnujący mnie milicjant poświstywał przez zęby jakąś ludową melodię i czyścił paznokcie czubkiem wkładu do długopisu. Kiedy drzwi się otworzyły, zerwał się na równe nogi i zasalutował przed szpakowatym mężczyzną. Ten tylko skinął głową i gestem zaprosił mnie do środka. Usiedliśmy po przeciwnych stronach biurka. Porucznik (bo chyba był to porucznik) długo wczytywał się w jakieś dokumenty leżące na stole.

– Z akt wynika, że zajmuje się pani znachorstwem i nielegalnie zbywa groźne dla zdrowia, a nawet życia medykamenty przygotowane w uwłaczających higienie warunkach, handluje nimi, wykorzystując naiwność i ciemnotę ludzi. W dodatku ludzi pokrzywdzonych przez los, bo chorych i cierpiących. Jest pani oszustką i hochsztaplerką – zakończył i zawiesił na mnie spojrzenie pełne nagany.

– W tym, co pan przeczytał, nie ma cienia prawdy – zaprotestowałam zdecydowanym głosem.

- Poza tym – dodał niezrażony – zajmuje się pani nielegalną produkcją alkoholu.
- Bzdura – mruknęłam.

Porucznik wstał, przeszedł się po pokoju, potem zbliżył się do mojego krzesła i z całej siły uderzył mnie otwartą dłonią w twarz. Złapałam się za policzek, a z oczu mimo woli popłynęły łzy.

– Porozmawiajmy o tym – powiedział nad wyraz spokojnie. Miał przyjemny głos i był bardzo przystojny.

Milczałam, a on usiadł, zapalił papierosa i przesunął napoczętą paczkę w moim kierunku. Odmówiłam ruchem głowy, bojąc się odezwać. Policzek wciąż palił od uderzenia.

– Czy pani była we wsi Browina?

– Tak.

– Ile razy?

– Nie pamiętam...

– Na pewno? – przechylił się do przodu i poczułam zapach lawendy i piżma.

– Dziesięć.

Zajrzał do akt i sprostował:

– Jedenaście. W jakim celu jeździła tam pani?

– Zbierałam zioła.

– Które pani potem sprzedawała.

– Nie.

– Nie? A co pani powie na to? „Stojąc przy bramie cmentarza sprzedawała zioła i jakieś płyny w małych buteleczkach po lekach”. Pamięta pani, gdzie to było?

Milczałam. Wiedzą o mnie wszystko – pomyślałam z przerażeniem. – Przecież to było w Białymstoku. Porucznik na pewno wie też wszystko na temat Marka Zawady i jego ofiary.

– Pamięta pani? – naciskał.

– Tak, ale... – zaczęłam, a on podniósł brew i zawiesił na mnie wyczekujące spojrzenie. – Ale to było wcześniej – dokończyłam.

– Więc przyznaje pani, że już wcześniej uprawiała ten proceder.

Nie odzywałam się.

– Przyznaje pani? – podniósł głos i wlepił we mnie świdrujące spojrzenie.

– Tak.

– Wróćmy do Browiny – powiedział łagodnie i aksamitnie. – We wsi dopuszczała się pani praktyk znachorskich, przyjmując od mieszkańców korzyści materialne.

– Nie.

Zajrzał do akt.

– „Gusłami i rozmaitymi sztuczkami mamiła ludzi, wmawiając im, że po tych praktykach będą uzdrowieni. Namawiała ich do kupowania suszonych chwastów,

korzonków i łądyg zebranych na ich własnych łąkach, zamiast pieniędzy przyjęła: ćwierćlitrowy słoik miodu, dziesięć jaj, posiłek, którym był chłodnik z kwaszonych buraków. Poza tym wymuszała pozwolenie na wejście do prywatnych ogrodów, pod pretekstem zrywania rzekomych ziół”. Tak?

– Tak – odparłam, choć zapis ten zawierał jedynie połowę prawdy. Niemniej otrzymałam mały słoiczek miodu i dziesięć jaj od gospodyń, które bardzo chciały wyrazić wdzięczność za pomoc. No, a chłodnik, jadłam, wiadomo...

Porucznik popatrzył na mnie dłuższą chwilę i pokręcił głową, jakby się dziwił, że tak łatwo godzę się z idiotycznymi zarzutami.

– Czyli robiła to pani dla korzyści materialnych. Chciała pani zarobić na ludzkim nieszczęściu i naiwności.

– Nie. Jeździłam tam w zupełnie innym celu.

– A w jakim?

– Chcę przekonać świat medycyny, że zioła, mimo traktowania ich przez lekarzy jako zło, a wiarę pacjentów jako dziwactwo, mają udowodnione właściwości lecznicze.

– Tak? – zdziwił się uprzejmie. – I w jaki sposób pani, prosta dziewczyna nie wiadomo jakiego pochodzenia, chce przekonać naukowy świat medycyny o wartości leczniczej jakiegoś zerwanego przy drodze chwastu?

– Chcę studiować medycynę, a potem włączyć w proces leczenia wyciągi z ziół.

– Jakże mi przykro, że plany te pokrzyżuje pani kilkuletni pobyt w więzieniu – powiedział z udanym współczuciem.

Trzeba przyznać, że bardzo mnie tym zdenerwował.

– Nie mam nic na sumieniu! – powiedziałam podniesionym głosem i natychmiast tego pożałowałam, ponieważ porucznik był już przy mnie. Położył dłoń na mojej głowie i delikatnie pogłaskał po włosach, następnie szarpnął je z całej siły. Zasycałam z bólu i obawy, że włosy wraz ze skórą zostaną w jego rękę.

– Zawada! – krzyknął mi nagle nad uchem. – Kto to jest?

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Niewiele wiedziałam o Marku Zawadzie.

– Mów! – wrzasnął porucznik, kopiąc mnie twardym butem w łydkę.

– Nie wiem.

Porucznik usiadł i zapalił kolejnego papierosa. Oparł się o krzesło i spod zmrużonych powiek przenikliwie patrzył mi prosto w oczy.

– Kim jest dla pani Wojciech Zagórski? – zapytał w końcu słodko.

Drgnąłam, co nie uszło jego uwadze. Nie zdążyłam nawet zastanowić się nad odpowiedzią, ponieważ drzwi pokoju otworzyły się lekko i ktoś wsunął przez szparę głowę.

– Nie przeszkadzać! – warknął porucznik i zgniótł papierosa w blaszanej popielniczce.

– Panie poruczniku, to pilne – powiedziała głowa i łypnęła na mnie okiem. Odwróciłam wzrok i zaczęłam gapić się w zakratowane okno, gdy tymczasem głowa szeptała coś do ucha porucznika.

Boże – myślałam – czy mam się przyznać, że znam Wojtkę? Kto przekazał tyle informacji dotyczących Białegostoku? Bo wysrane z palca opowieści o Browinie to sprawka doktora. Wiedziałam, że będzie się mścił za to, że nie skorzystałam z jego obrzydliwej propozycji. Ale nie spodziewałam się, że zechce zamknąć mnie w więzieniu. Potwór. Nigdy nawet nie pomyślałam, że mogę kiedyś znaleźć się w takim miejscu.

– Dobrze – usłyszałam głos porucznika, który jednocześnie obejrzał się na mnie – przyślij mi tu dyżurnego.

Głowa schowała się i zostałam z porucznikiem sama. Dlaczego on posłał po dyżurnego? Co ze mną zrobią? – myślałam gorączkowo. Kolana drżały mi ze strachu, gdy patrzyłam ze źle ukrywanym lękiem w twarz porucznika. – Czy będzie zadawał mi następne kłopotliwe pytania? Ale on podszedł do okna i założywszy ręce do tyłu, wyraźnie na coś czekał. Drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju wszedł dyżurny kapral. Zasalutował i stuknął obcasami.

– Wyprowadzić – mruknął porucznik i odprowadzając mnie wzrokiem, znowu sięgnął po papierosa. Dużo palił.

Szliśmy korytarzem. Echo kroków było jedynym dźwiękiem, który do mnie docierał, gdyż kapral nie zamierzał tłumaczyć, dokąd mnie prowadzi. Być może porucznik zmęczył się przesłuchiowaniem mnie i zostawił sobie resztę przyjemności na jutro. W takim razie dokąd idę? Do celu? Przeszliśmy przez jakieś okratowane drzwi i dotarliśmy do korytarza przy dyżurce. Zdumiałam się, gdy dostrzegłam, że na ławce w poczekalni siedzi Antoni. Kapral zostawił mnie z nim i najzwyczajniej w świecie odszedł.

– Idziemy – powiedział Antoni i popchnął mnie w kierunku drzwi, a następnie wyprowadził na ulicę, gdzie czekała taksówka.

– Dworzec główny – zażądał usadowiwszy się w środku. Na mnie nawet nie spojrział. Gdy się zatrzymaliśmy, nieoczekiwanie objął mnie i pocałował w usta.

– Wyjeżdżam – oznajmił. – Nie wrócę już, więc uważaj na siebie... Kocham cię – dodał po chwili i zwrócił się do szofera: – Proszę zawieźć panią do Kortowa.

Wcisnął kierowcy jakiś banknot i wyskoczył z samochodu. Taksówkarz ruszył natychmiast. Oszołomiona nie zdążyłam nawet odpowiedzieć na to zaskakujące pożegnanie. Nie wiedziałam nic prócz tego, że znowu kogoś straciłam.

Kiedy wysiadłam z taksówki, natknęłam się na Leszka.

– Jesteś! – zawołał. – Dobrze, że się udało.

– Leszku, nic nie rozumiem... Czy ty coś wiesz? Możesz mi wytłumaczyć? – zasypywałam go pytaniami.



– Sam nie wszystko rozumiem, ale postaram się opowiedzieć ci, jak to wyglądało z mojej strony. Usiądźmy gdzieś...

– Tak, tak... Nie tutaj, ciągle się czegoś boję – powiedziałam i rozejrzałam się trwożliwie. – Chodźmy do mojego mieszkania.

Tam w oczy rzucił się przede wszystkim bałagan utworzony przez milicjantów i pustka na półkach, gdzie dotąd stały butelki i słoiczki. Po raz drugi tego dnia odczułam stratę.

– Dozorca zobaczył, jak milicjant wynosi twoje zioła – zaczął mówić Leszek. Wciąż był pod wrażeniem tego, co mnie spotkało. – Potem ten drugi wyprowadził ciebie. Dozorca przybiegł i poinformował mnie o tym. Nie wiedziałem, co mam robić i pobiegłem do pani Leokadii, księgowej. Jej męża też aresztowali, a potem wypuścili, więc zapytałem, co należy w takiej sytuacji robić. Powiedziała, że wypuścili, bo to była pomyłka, ale zanim to się okazało, ona zaczęła po rodzinie zbierać pieniądze, żeby zapłacić za niego łapówkę. Osobiście znam tylko jednego człowieka, który ma pieniądze. Natychmiast pomyślałem o Antonim, który smali do ciebie cholewki. Pojechałem do zakładu fotograficznego, ale niestety był zamknięty. Co gorsze, na kartce zawieszanej na drzwiach było napisane, że zakład zlikwidowano. Mimo to dobijałem się. Wtedy jakaś kobieta poinformowała mnie, że moje pukanie nic nie da, bo fotograf wyjechał. Załamane się i już miałem odejść z kwitkiem, gdy do oczu rzuciła mi się stara wywieszka, na której widniał adres Antoniego. Pomyślałem, że spróbuję go odszukać, może jeszcze nie wyjechał. I pobiegłem do jego mieszkania. Niestety, ono również było zamknięte. Na szczęście sąsiadka Antoniego powiedziała, że on jakieś pół godziny temu wychodził z wielką walizką, pewnie na dworzec. Złapałem taksówkę i pojechałem za nim. Rozglądałem się po całym dworcu, wybiegłem na perony, ale jego nigdzie nie było. Wyszedłem z dworca i zacząłem wlec się w stronę autobusu. Wtedy go zobaczyłem. Rozmawiał z jakimś starszym mężczyzną. Nie chciałem przerywać rozmowy, więc stanąłem nieopodal i obserwowałem, kiedy skończą. Wtedy ten starszy mnie zauważył, szepnął coś do ucha Antoniemu i czym prędzej się oddalił. Antoni ruszył natomiast w stronę dworca. Dogoniłem go i chaotycznie zacząłem opowiadać, co cię spotkało. Początkowo nic z tego nie rozumiał, ale gdy w końcu do niego dotarło, wykrzyknął:

– O cholera! Zaczekaj pan!

Zostawił walizkę w przechowalni i złapał taksówkę. Nie wiem, co działo się dalej, ale chyba coś im zapłacił, skoro jesteś tutaj.

– Boże, Antoni... – jęknęłam i rozplakałam się.



Rok akademicki zaczął się na dobre. Pracowałam w bibliotece, porządkowałam notatki dla Leszka, opłakiwałam wyjazd Antoniego i chodziłam na wykłady o rolnictwie, choć marzyłam o studiach medycznych. Przez cały czas żyłam w napięciu. Bałam się mściwego doktora, który chcąc mnie zniszczyć, mógł w każdej chwili wymyślić na to jakiś nowy sposób. Pozbawiona ziół, które gromadziłam przez całą wiosnę i lato, nie miałam dodatkowego źródła dochodu i ubolewałam, że tego roku nie odłożę ani grosza. Napisałam więc cykl artykułów dotyczących leczenia ziołami i wysłałam je do poczytnego czasopisma. Niestety, nie wzbudziły zainteresowania. Nie były też zainteresowane inne gazety, w których szukałam możliwości ich zamieszczenia. Zwróconych maszynopisów nie wyrzuciłam tylko dlatego, że zabronił mi Leszek.

– Daj spokój – protestował – to świetne artykuły. Możesz zebrać je w całość i wydać w postaci poradnika.

Sam zapakował wszystko w kopertę i wysłał do wydawnictwa. Początkowo czekałam na odpowiedź. Po pewnym czasie o nich zapomniałam.

Kolejno mijające dni, a zwłaszcza sobotnie wieczory i niedziele uświadamiały mi pustkę, jaka wytworzyła się wokół mnie. Leszek zajęty był pisaniem pracy naukowej, a w przerwach swoją nową miłością, Antoni zaś wyjechał w nieznane. I chociaż bywał irytujący, brakowało mi wspólnych pogawędek w cukierni, wypadów do kina. O Wojtku starałam się nie myśleć. Starałam się, bo chociaż wykluczałam go ze swoich marzeń, pojawiał się w nich, nie wiadomo skąd. Od chwili, gdy zobaczyłam go w parku, przyrzekłam sobie, że nigdy się nie zakocham, a moje ewentualne małżeństwo będzie oparte na rozsądku. Potencjalny kandydat pojawił się w moim życiu szybciej, niż mogłam się spodziewać.

Był na ostatnim roku studiów i uczył się z prawdziwym zacięciem. Chciał być rolnikiem. Wykształconym, wzorowo prowadzącym gospodarstwo. Koledzy lubili go,

ale nigdy nie zapraszali na wspólne imprezy. Nie umiał, a może nie chciał bawić się tak, jak oni. Nie nadawał się też do zalotów, więc dziewczyny nie interesowały się nim wcale. Wszystko traktował poważnie, jeśli czegoś nie wiedział, dociekał tak długo, aż znalazł odpowiedź. Najczęściej widywałam go w bibliotece, buszującego wśród książek. Muszę przyznać, że zaczęłam go obserwować, mimo że nie należał do przystojnych. Prezentował raczej typ prostego, silnego chłopca, dalekiego od wszelkich przejawów subtelności. Zaciekawiał mnie, ponieważ był ambitny i uparty. Poza tym nosił rzadkie imię Abraham. Zdawał się mnie nie dostrzegać, tak jak nie dostrzegał żadnej innej dziewczyny na uczelni. No, może uśmiechnął się parę razy do Baśki, zdrowo wyglądającej dziewczuchy, nadającej się na gospodarkę. Biorąc pod uwagę jego upodobania, ze swoją delikatną, drobną posturą nie mogłam liczyć nawet na spojrzenie. Obserwowałam go jednak, bo był pełen kontrastów. I właśnie te kontrasty fascynowały mnie w jakiś szczególny sposób.

– Przepraszam, czy ma pani taką książkę? – pytał Abraham, podsuwając mi wyświechtaną karteczkę pod nos. Kiedy usiłowałam przeczytać, co tam nabazgrał, odwracał wzrok i przyglądał się lamperiom na ścianach.

– Zaraz sprawdzę w katalogu – odpowiadałam, a on kiwał głową i przysiadł na brzeżku krzesła.

– Niestety, nie mamy jej w czytelni – mówiłam, oddając mu karteczkę.

– A w wypożyczalni? Niech pani sprawdzi jeszcze w wypożyczalni – prosił, gapiąc się gdzieś poza mną, jakbym była przezroczyista. Szłam sprawdzić, chociaż wypożyczalnią zajmowała się Helena.

– Przykro mi, książka została już wypożyczona.

– Wypożyczona? A komu? Niech pani sprawdzi, kto ma tę książkę – żądał i przełykał nerwowo ślinę. Poznawałam to po poruszającej się zabawnie grdyce, od której nie mogłam oderwać oczu.

– Dobrze – odpowiadałam i szłam ponownie do wypożyczalni.

– Książkę wypożyczył pół roku temu profesor (tu wymieniałam nazwisko) i jeszcze nie oddał.

– Rozumiem. Dziękuję – odpowiedział i wyszedł.

A po godzinie lub dwóch wbiegał zdyszany profesor i z miną winowajcy zwracał przetrzymywany egzemplarz. Taki był Abraham.

Pewnego dnia był świadkiem mojej rozmowy z Leszkiem:

– Pani Juliano, niech mi pani przygotuje na jutro te pozycje, dobrze? – zawołał już od progu, wręczając mi swój notes. – Wpadnę koło trzynastej i odbiorę.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

Abraham powstał, pomyślał i wyszedł z czytelni. Następnego dnia wręczył mi całą listę potrzebnych mu książek.

– Proszę przygotować mi na jutro te egzemplarze – powiedział. – Przyjdę po nie

o piętnastej.

– Dobrze – powiedziałam rozbawiona.

Abraham szybko się uczył i nigdy nie tracił okazji, by dorównać tym, którzy mu imponowali. Choćby w takich drobiazgach. W sobotę po południu porządkowałam książki po całym tygodniu. Po czytelni kręcił się jedynie Abraham i wybierał z półek pozycje, które go interesowały. Siadał przy stoliku, przeglądał je, następnie odkładał na miejsce i wybierał inne. Dziwiłam się, że jest tu jeszcze, podczas gdy wszyscy inni dojeżdżający studenci dawno opuścili uczelnię. Wiedziałam, że nie mieszka w akademiku i zwykle w soboty wyjeżdża wcześniej. Wzięłam stos grubych książek i weszłam z nimi na drabinkę, by poukładać je na najwyższej półce. Niestety, stos przechylił się i wszystko runęło na podłogę.

– Czy mogę pani pomóc? – zapytał wstając od stolika i podchodząc bez pośpiechu do drabinki.

– Byłabym bardzo wdzięczna – odparłam patrząc na niego z góry.

Podawał mi po jednym egzemplarzu, a ja ustawiałam je na półce. Kiedy skończyliśmy, powiedziałam prędko:

– Proszę mi podać rękę, boję się schodzić z drabiny.

W pierwszej chwili chyba nie zrozumiał, o co go proszę, bo wybałuszył na mnie oczy, zaraz jednak zreflektował się i wyciągnął do mnie dłoń. Była jak słuszny bochen chleba.

– Dziękuję bardzo – powiedziałam, gdy znalazłam się już na dole.

– Nie ma za co – bąknął skonsternowany i czmychnął na swoje miejsce przy stoliku.

Odtąd zawsze układał książki na górnej półce osobiście. Nie wiadomo kiedy zawiązała się między nami cicha współpraca. Abraham ośmielił się nawet na tyle, że mówiąc do mnie zaczął patrzeć mi w twarz, zamiast przyglądać się lamperiom. Ale na tym jego zainteresowanie moją osobą się kończyło. Na początku grudnia do czytelni wszedł listonosz i wręczył mi list, zaadresowany na moje nazwisko. List był z Warszawy. Nigdy nie otrzymywałam listów, więc otworzyłam go niecierpliwie. Już po pierwszych słowach zbladłam i opadłam na krzesło. Nie było tam daty ani żadnego nagłówka. Początek był taki:

*Dzisiaj dowiedziałem się, że nie siedzi Pani w więzieniu, które uważam za jedyne słuszne dla oszustek miejsce. Dlatego informuję, że odtąd będę częstym Pani gościem. Podtrzymuję propozycję i mam nadzieję, że nie spotkam się z odmową. W przeciwnym wypadku nie uda się Pani tak łatwo uniknąć spędzenia co najmniej kilku lat za kratkami.*

List nie był podpisany, ale i tak wiedziałam, kto jest jego nadawcą. Byłam tak roztrzęsiona, że zwolniłam się u Heleny i wyszłam wcześniej do domu. Na schodach

spotkałam Abrahama, zmierzającego właśnie do biblioteki. Ukłonił mi się, ale o nic nie zapytał. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Udałam się do Leszka, ale on zbagatelizował problem.

– Chce cię zastraszyć – powiedział. – Możesz z tym iść na milicję.

– Uważasz, że to dobry pomysł? Doktor dobrze wie, że milicja uwierzy jemu, a nie jakiejś tam znachorce. Już raz omal mnie nie zamknęli.

– Chyba masz rację. Może powinnaś wyjechać?

– Wyjechać? Dokąd? Znowu mam uciekać? – wyrwało mi się.

– A już uciekałaś? – zapytał zdziwiony. – Nie mówiłaś, że prześladował cię wcześniej.

Machnęłam ręką.

– Co mam zrobić? – zapytałam zrozpaczona. – Jak uwolnić się od tego okropnego człowieka? Dlaczego mnie prześladowuje? Przecież dobrze wie, że nie jestem kimś takim, za kogo mnie podaje, i nie robię tego wszystkiego, o co mnie oskarża.

– Pewnie, że wie. Moim zdaniem jest psychopata. Niebezpiecznym psychopata. Z takim niełatwo wygrać. Będziesz musiała na siebie bardzo uważać. Tym bardziej, że Antoni wyjechał...

– Co ma do tego Antoni? – obruszyłam się.

– A kto cię wykupi?

– Przestań, jak możesz mówić takie rzeczy?

– Przepraszam, Juliano... Ale ja naprawdę nie wiem, jak postępuje się ze zbrojeńcami. Powinnaś chodzić z ochroną przy boku. Jeśli chcesz, mogę być twoją przyboczną strażą.

– Ty? – w moim głosie było tyleż zdumienia, co ironii.

Leszek zmieszał się i nic więcej nie powiedział. Ale kiedy wracałam do domu, uczciwie odprowadził mnie pod same drzwi.

Odtąd żadnej nocy nie przespałam spokojnie. Byłam przerażona zbliżającą się przerwą świąteczną, bo jako jedna z nielicznych pozostawałam na terenie Kortowa. Bałam się, że doktor wybierze właśnie ten moment na swój atak. Przerazenie nasiliło się do tego stopnia, że w akcie desperacji pomyślałam nawet o wyjeździe do babki Oleny, chociaż taki pomysł mi się nie podobał.

Tego dnia zamykałam czytelnię nieco wcześniej i musiałam wyprosić Abrahama, który czytał jeszcze coś przy stoliku. Zapadał grudniowy zmierzch. Sypał drobniutki śnieżek i widoczność nie była najlepsza. Dlatego nie zauważyłam od razu czającej się pod ścianą budynku postaci. Kiedy zamykałam drzwi na klucz, postać oderwała się od ściany i w oka mgnieniu znalazła się przy mnie. Poczułam na ramieniu mocny uścisk, jednocześnie ręka w skórzanej rękawicy zakryła mi usta, tak że nie mogłam nawet krzyknąć.

– Dzień dobry – usłyszałam znenawidzony głos. – Jakie miłe spotkanie. Idziemy do

ciebie, skarbie.

Szarpnął mnie mocno i nie zwalniając uścisku pchnął w kierunku mojego domu. Nagle coś się stało. Nie wiedziałam co, bo usłyszałam tylko zduszony jęk i jakieś głuchoe odgłosy. Obejrzałam się błyskawicznie. To, co zobaczyłam, wprawilo mnie w osłupienie. Czarny kapelusz toczył się wprost pod moje nogi, natomiast doktor leżał zwrócony twarzą do ziemi, przyjmując kopniaki Abrahama. Stałam tak i patrzyłam, niezdolna do żadnej reakcji. Dopiero kiedy rozjuszony Abraham kopnął doktora w głowę zawołałam:

– Wystarczy! Na miłość Boską, wystarczy! Zabijesz go!

Wtedy przestał. Nie czekając, aż doktor pozbiera się z ziemi, rzucił mu uwalany w śniegu kapelusz i syknął:

– Nie waż się więcej tu pokazywać, szuj. Zrozumiałeś?

Doktor nie odpowiedział. Nasunął kapelusz na oczy, oddalił się o kilka kroków i z tej bezpiecznej odległości, nie oglądając się, zawołał roztrzęsionym głosem:

– Popamiętasz mnie jeszcze!

– Won, bydlaku! – krzyknął za nim Abraham i zaraz po tym zwrócił się do mnie:

– Szkoda, że nie widziałem jego gęby, bo... Czy nic się pani nie stało? – Niech pani nie płacze – usiłował mnie pocieszyć. Pogoniłem łotra... Już go nie ma. Ponieważ nie mogłam się od niego oderwać, zaproponował:

– Odprowadzę panią do domu. Czy mogę?

– Tak... – wyjąkałam w jego szorstkie palto.

Łagodnie, ale stanowczo odsunął mnie od siebie.

– Chodźmy – powiedział.

Przed drzwiami zatrzymał się i dotknął delikatnie mojego ramienia.

– Czy wszystko w porządku? Nic pani nie potrzeba? – zapytał. Zaprzeczyłam ruchem głowy. – No to do widzenia...

– Do widzenia? – zawołałam, aż drgnął i spojrzał na mnie zaskoczony. – Chce mnie pan teraz zostawić samą?

– A cóż jeszcze... Ja naprawdę... – plątał się, przestępując z nogi na nogę.

– Niech pan wejdzie choć na chwilę, proszę... – powiedziałam patrząc na niego błagalnie. Musiałby być strasznym draniem, gdyby mi odmówił.

Westchnął i starannie wytarł buty o wycieraczkę. Potem je zdjął w przedpokoju. Zaprosiłam go do pokoju i wskazałam miejsce, żeby usiadł. Przycupnął na krześle i dyskretnie rozejrzał się wokół. Usiadłam naprzeciwko i patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Napije się pan herbaty? – zapytałam w końcu.

– Tak... jeśli to nie kłopot... – wydusił schrypniętym głosem.

Wyszłam do kuchni, by po chwili wrócić z dwiema szklankami mocnego naparu. Podejrzewam, że w tym czasie Abraham nawet nie drgnął.

- Słodzi pan? – zapytałam, podsuwając mu cukiernicę.
- Tylko trochę – bąknął, jakby się usprawiedliwiał, po czym długo nabierał cukier na łyżeczkę i równie długo rozpuszczał go w herbacie. Od czasu do czasu chrząkał i zerkał na mnie z ukosa.
- Chce pan wiedzieć, kto to był? – zapytałam.
- Tak – powiedział zdecydowanie, a następnie szybko zaprzeczył: – Nie, nie... Nie trzeba.
- Boję się go. Prześladowuje mnie od kilku miesięcy – wyjaśniłam oględnie. Pokiwał głową. – Prawie wszyscy wyjechali – kontynuowałam. – Boję się zostać tu sama. I nie wiem dlaczego, ale czuję, że panu mogę o tym powiedzieć.
- Tak... No pewnie, że pani może... – potwierdził bez zapału i postukał mokrą łyżeczką o brzeg szklanki. Skrzywiłam się mimo woli. – O, przepraszam – zreflektował się i przez chwilę szukał dogodnego dla niej miejsca.
- Proszę oprzeć o talerzyk – poradziłam.
- A, tak... dziękuję – mruknął, odkładając niezgrabnie łyżeczkę. – Ja tu nie mogę zostać z panią – powiedział gapiąc się w podłogę, jakby odgadywał moje myśli. – Mam w domu niesprawnego ojca. Muszę się nim opiekować.
- A czy... Czy w takim razie ja mogę pojechać z panem? – wypaliłam i zawiesiłam na nim wyczekujący wzrok.
- Że niby ze mną? Na wieś? – zareagował nerwowo i wybałuszył zdumione oczy. Wyglądał komicznie.
- Tak. Znalazłoby się dla mnie miejsce?
- Miejsce to może tak... ale co ja ojcu powiem? – zafrasował się.
- Jak to co? Prawdę.
- E... Na wsi to tak zwyczajnie nie może być. Ludzie zaraz pytają, interesują się, a kto, a skąd, zaraz pomyślą, że narzeczoną przywiozłem... Ojciec jest taki sam. On tego nie zrozumie.
- To niech pan mu powie, że jestem narzeczoną! – zawołałam i aż klasnęłam w ręce z uciechy na ten żart, ale Abraham spoważniał.
- Nie – odparł zdecydowanie. – Ja nie takiej żony szukam. Przyjemnie mieć ładną, ale to nie wszystko. Ja mam dużą gospodarkę i żonę muszę mieć silną, do roboty, a nie taką delikatną, miastową.
- Przecież nie musi się pan ze mną zenić.
- Jak nie? Do domu, pod dach swój przyjmę, a potem nie ożenię się? To niehonorowo!
- Ale ja nie oczekuję tego od pana. Chcę tylko gdzieś się schronić przed złym człowiekiem. Powie pan potem, że nie nadawałam się do gospodarki. Ludzie to rozumieją, nawet pański ojciec.
- No... możemy spróbować... – zgodził się niechętnie. – Tylko musi się pani

pośpieszyć, bo ostatni autobus nam ucieknie.

Otworzyłam walizkę i wrzuciłam do niej najpotrzebniejsze rzeczy. Po namyśle dołożyłam jeszcze butelkę zeszłorocznej nalewki z dzikiej róży, która została tylko dlatego, że stała w szafce. Rozejrzałam się po pokoju i stwierdziłam:

– Możemy iść.

Abraham wziął walizkę i ruszyliśmy na przystanek. Autobus nam uciekł, musieliśmy więc czekać dwie godziny na pociąg.

– Pociągiem nie dojedziemy na miejsce. Trzeba będzie daleko iść. Szesnaście kilometrów – uprzedził i spojrzał tak, jakby chciał mnie zniechęcić do podróży. Ja byłam jednak uparta.

– Trudno – stwierdziłam. – Dam radę.

Abraham wzruszył ramionami i nie odezwał się więcej.

Był już późny wieczór, gdy dojechaliśmy do jakiegoś miasta.

– Dalej pójdziemy pieszo – oznajmił Abraham i przerzucił walizkę do drugiej ręki. Wędrowaliśmy najpierw szosą, mijając okoliczne wioski i rozległe pola. Kiedy już ślaniałam się na nogach, nieoczekiwanie skręciliśmy w polną drogę, którą szliśmy co najmniej dwa kilometry.

– Codziennie tak podróżujesz? – zapytałam z niedowierzaniem, próbując truchcikiem dorównać jego długim krokom.

– Nie. Jeżdżę autobusami – odparł i nieco zwolnił kroku.

Przez wieś szliśmy przy akompaniamencie szczekających psów. Było ciemno i co chwilę potykałam się na wyboistej drodze o wystające kocie łby. Minęliśmy słabo oświetlony żółtą żarówką sklepik, za którym skręciliśmy w lewą stronę, by drogą prowadzącą wśród pól wspiać się na łagodne wzniesienie. Zatrzymaliśmy się na samej górze, bo dalej droga ciągnęła się w dół.

– To tutaj – powiedział Abraham i machnął walizką w kierunku ciemniejącej bryły dużego budynku. Prócz niego stały tu jeszcze inne zabudowania, ale w ciemności trudno było je rozpoznać.

Weszliśmy na ganek i Abraham wielkim kluczem otworzył drzwi prowadzące do sieni.

– Zaraz zapalę lampę – powiedział i zostawił mnie samą.

– Abraham? To ty? – dobiegł mnie męski głos z pomieszczenia znajdującego się gdzieś w głębi domu.

– Tak, ojciec – odpowiedział Abraham, niosąc naftową lampę.

– Co tak późno? – zapytał ojciec i stęknął. Widocznie przewracał się na drugi bok, bo stęknięciu towarzyszyły trzeszczące sprężyny.

– Autobus mi uciekł, śpij – odparł Abraham.

– Nie ma tu elektryczności? – zdziwiłam się.

– Nie, ten dom jest oddalony od wsi i nie dociągnęli. We wsi jest, ale u nas nie –



wyjaśnił.

– Abraham, ty z kimś rozmawiasz czy mi się zdawało?

– Zdawało ci się, ojczy – odpowiedział i skinął na mnie, bym przeszła dalej.

Podreptałam za nim posłusznie do pokoju znajdującego się po prawej stronie sieni. Minęliśmy go i przeszliśmy przez mały korytarzyk. Za kolejnymi drzwiami znajdował się przestronny pokój, w którym stało szerokie łóżko ze złotymi metalowymi kulami. Prócz łóżka było tu jeszcze biurko ze skórzanym blatem.

– To ponemieckie meble – objaśnił, widząc, że przyglądam się im ciekawie. – Tu będzie pani spała. Zaraz przyniosę, co trzeba.

Wyszedł i po dość długim czasie wrócił z pierzyną, poduszką i wykrochmaloną na sztywno białą pościelą. Patrzyłam, jak sprytnie radzi sobie z przygotowaniem dla mnie łóżka.

– Zimno tu – zauważyłam, wyobrażając sobie, jak będę przebierać się w nocną koszulę. Do tej pory nie odważyłam się nawet na zdjęcie zimowego palta.

– Przepraszam – mruknął. – Zaraz napalę w piecu.

– Ależ nie! – zaprotestowałam pośpiesznie. – Nie trzeba, naprawdę!

Byłam zmęczona i marzyłam już tylko o zakopaniu się w puchowej pierzynie.

– Dobrze – zgodził się natychmiast. – Niech już tak zostanie, napalę jutro.

Przyklepał pierzynę, zostawił na biurku lampę i bez słowa wyszedł z pokoju.

Przebrałam się błyskawicznie i wskoczyłam do lodowatej pościeli. Była tak zimna, że wydawała mi się wilgotna. Podkurczyłam kolana pod samą brodę i dygotałam, szcękając zębami. Mimo zmęczenia długo nie mogłam zasnąć. Na przemian rozcierałam zmarznięty nos i wyziębione stopy. Zapadłam w sen, gdy za oknem budził się brzask i gdzieś rozdzierająco wrzeszczał kogut. Obudził mnie dziwny hałas. Otworzyłam oczy i przez chwilę próbowałam uświadomić sobie, gdzie jestem. Przypomniałam sobie dopiero wtedy, gdy ujrzałam Abrahama, dokładającego drewno do pieca.

– Dzień dobry, która godzina? – zapytałam siadając na łóżku i zakrywając się po szyję pierzyną.

– Dziewiąta – odparł beznamiętnie, choć można było doszukać się nutki wyrzutu w tym słowie.

– Boże! – zawołałam. – Już tak późno? Przepraszam, długo nie mogłam zasnąć. Było straszliwie zimno.

– Tak myślałem – rzekł ponuro.

– Gdzie mogę się umyć? – zapytałam zerkając na niego, a potem na walizkę, w której był ręcznik. Nie chciałam wyskakiwać z łóżka w jego obecności i pokazywać mu się w negliżu.

– W kuchni – odparł krótko.

– W kuchni?

– Tak. Chyba że tutaj przyniosę pani miskę. W kuchni siedzi ojciec.

– Nie chcę sprawiać kłopotu – mitygowałam się. – Ale w takim wypadku wolałabym tutaj.

– Dobrze, przyniosę pani – powiedział i westchnął, czym dokładnie dał mi do zrozumienia, że jestem dla niego kulą u nogi, a czas poświęcony mi mógłby spożytkować inaczej. – Lampa paliła się całą noc – dodał karcąco i wyszedł po miskę.

Wrócił po chwili z dużą, błękitną miednicą i dzbanem gorącej wody. Postawił wszystko na biurku i ulotnił się dyskretnie. Trzęsąc się z zimna, umyłam się i ubrałam. Nie wiedziałam, co zrobić z wodą, więc zostawiłam ją w misce na podłodze. Abraham tym razem zapukał, zanim wszedł.

– Śniadanie czeka w kuchni – poinformował mnie bezosobowo i zabrał się do sprzątania po mojej porannej toalecie. Czułam się jak winowajca.

– Dziękuję – bąknęłam.

W kuchni było cudownie ciepło. Przy stole siedział ojciec Abrahama i przyglądał mi się ciekawie.

– Dzień dobry – przywitałam go nieśmiało.

Obdarzył mnie szerokim uśmiechem i wyciągnął rękę. Widocznie Abraham rozmawiał już z nim o mnie.

– Przepraszam, że nie wstaję, ale... – Poklepał się znacząco po kikucie, który zapewne do wojny był jeszcze nogą. – Niemcy okaleczyli – wyjaśnił.

– Przykro mi – powiedziałam cicho i zerknęłam na Abrahama, który z uwagą nalewał mleko do kubka.

– Ot i doczekał ja się, że syn mi taką piękną pannę z miasta przywiózł – powiedział zadowolony ojciec i zerknął na Abrahama, który spiekł raka i spojrzał na mnie spłoszony. – A już myślałem, że przed śmiercią synowej nie zobaczę.

– Och, jeszcze niejedną pan zobaczy! – chlapnęłam głupio i zreflektowałam się dopiero pod ganiącym wzrokiem Abrahama. – To znaczy... Chciałam powiedzieć, że do śmierci jeszcze daleko – poprawiłam się natychmiast.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy komu pisane – odezwał się sentencjonalnie. – A mnie żyć z jedną nogą, po co? Ciężarem tylko jestem.

– Niech ojciec głupot nie opowiada – mruknął Abraham. – Proszę, niech pani siada – zwrócił się do mnie.

– Pani? To co to za narzeczona, kiedy ty „pani” do niej mówisz! – oburzył się ojciec. – Przynieś no butelkę, po kieliszeczku trzeba wypić na tę okoliczność.

– Nie trzeba! – zastrzegłam szybko. – Abraham się pomylił. Prawda, że się pomyliłeś? A ja jestem Juliana. – Podbiegłam do ojca i ucałowałam go w obydwa policzki.

– O! I tak lubię – ucieszył się. – No jedz, Juliana, jedz. Na gospodarce sił trzeba – dodał, patrząc na mnie z lubością.

Abraham łypnął na niego okiem i nie odezwał się ani słowem.

Po śniadaniu dał mi znak, żebym wyszła za nim z kuchni. Zostawiliśmy ojca i przeszliśmy do pokoju, w którym spałam. Tutaj dołożył do pieca, potem usiadł na krześle i popatrzył na mnie z zadumą.

– Niedobrze się stało, że przywiozłem tu panią – powiedział ponuro. – Mój ojciec robi sobie niepotrzebną nadzieję. Okłamałem go dzisiaj rano, ale zrobiłem tak, jak pani kazała...

– Ależ ja niczego nie kazałam! – oburzyłam się. – Uznałam tylko, że to najlepszy sposób, żeby pański ojciec pogodził się z moją obecnością w jego domu.

– Widzę, że dla pani to takie proste. A ja nigdy nie kłamię. Powiedziałem, że się z panią ożenię. Choć Bóg mi świadkiem, że nie chcę takiej miastowej żony. Pani jest bardzo ładna i rączki ma takie, że tylko pierścionki na nich nosić, a nie w polu robić. Za ładna dla mnie... No i co ja teraz mam powiedzieć ojcu? Pani tu na święta pewnie chce zostać, ojciec też tak myśli. I jak ja mam do pani mówić? Przy ojcu po imieniu, a...

– Proszę mówić do mnie Juliana. Naprawdę, będzie mi bardzo przyjemnie. Ja też będę się do pana zwracać po imieniu.

– No a potem, znaczy w Kortowie?

– W Kortowie też po imieniu.

– No nie wiem... – zafrasował się. – Pani taka dama, a ja zwykły rolnik...

– Nie taki zwykły, bo niedługo magister rolnik. A w dodatku jest pan... Jesteś jednym z najlepszych studentów. Bardzo mi imponujesz, naprawdę! – przekonywałam go.

– No dobrze... – zgodził się i westchnął – ale żenić się nie będę.

– Abraham, ja też nie chcę być twoją żoną. A przed twoim ojcem sama się wytłumaczę. Na razie pozwólmy mu miło spędzić święta.

– Jak chcesz... Idę doić krowy. Jutro rano muszę odstawić mleko do GS-u. A ty tutaj... Nie wiem... Może sobie poczytasz? Mam dużo książek, jakbyś chciała.

– Dobrze, poradzę sobie. Na razie pozwól mi obejrzeć twoje krowy.

– E tam, tylko dwie. Nie ma co oglądać – mruknął.

Mimo wszystko włożyłam palto i wyszłam za nim. W oborze było ciemnawo. Zwierzęta stały spokojnie i przeżuwały siano. Zatrzymałam się przy wejściu i patrzyłam na nie wzruszona. Przed oczami przewinęły mi się obrazy z dzieciństwa, kiedy najpierw matka, a potem Ivan zajmowali się naszą łaciatą, łagodną krasulą. Abraham widocznie zinterpretował moje zachowanie po swojemu.

– Nie ma się czego bać – powiedział i spojrzał na mnie z politowaniem.

– Wiem – odparłam. Podeszłam do jednej z krów, przytuliłam twarz do jej ciepłej mordy i podrapałam między rogami. – Mogę ją wydoić? – zapytałam, czule poklepując ją po boku. Ponieważ nie odpowiadał, odwróciłam głowę i spojrzałam na niego. Stał

jak zahipnotyzowany i gapił się na mnie z niedowierzaniem. – Pytałam, czy mogę ją wydoić – powtórzyłam. Bez słowa podał mi wiadro, wciąż nie spuszcżając ze mnie oka. – Jeśli wydoisz drugą, będzie szybciej – poradziłam i sprawnie zabrałam się do pracy.

Usiadł na małym stołku i podstawił wiadro. Potem opuścił ręce i tkwił tak gapiąc się przed siebie, aż zniecierpliwiona krowa obejrzała się kilkakrotnie i machnęła ogonem.

– Moja matka nie podchodziła do krów – rzekł w końcu schrypniętym głosem. – Bała się, bo w dzieciństwie któraś zaatakowała ją rogami. Nie wiedziałem, że ty... Na miłość boską, skąd ty umiesz takie rzeczy?!

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz – odparłam. – Nie jestem taka, jak myślisz. I moje delikatne, jak powiedziałaś, rączki niejednej już zaznały pracy. Nie oceniał mnie po wyglądzie.

– Juliana... Boże drogi, Juliana... – wymamrotał i kręcąc z niedowierzaniem głową, zabrał się wreszcie za dojenie.

Czas na wsi spędziłam jak wytrawna gospodyni. Doświadczenie z dzieciństwa, gdy musiałam wyrećzać chorą matkę, dyżury w Domu Dziecka przy sprzątanu i gotowaniu, pomoc w gospodarstwie u Szewczyków, gdzie pracowałam ponad siły, wreszcie pobyt u babki Oleny i funkcja salowej pozostawiły trwałe ślady w postaci umiejętności, które tutaj okazały się nader przydatne. Abraham najpierw mnie obserwował, potem przestał się dziwić i z wdzięcznością przyjmował każdą pomoc, jaką mu zaoferowałam, by wreszcie część gospodarstwa pozostawić na mojej głowie. Zajmowałam się więc kurami, sama dołłam i karmiłam obie krowy, robiłam porządki i przygotowywałam posiłki. Ojciec wodził za mną rozanielonym wzrokiem i zachwycał się każdą potrawą, którą stawiałam na stole.

– A toś mi skarb przywiózł – mówił do Abrahama – to ci dopiero niespodzianka! No, synu, lepszej żony nie znajdziesz – chwalił.

Zerkałam na Abrahama, a on wbijał wzrok w podłogę i wcale się nie odzywał.



## 16

Po dwóch tygodniach spędzonych na wsi wróciłam do Kortowa. Ojciec Abrahama żegnał mnie z żalem i wciąż pytał, kiedy go znowu odwiedzę. Uśmiechałam się i dawałam wykrętne odpowiedzi, bo nie sądziłam, że zrobię to kiedykolwiek. Wbrew moim przewidywaniom, trudno było wypić piwo, którego sobie nawarzyłam. Abraham patrzył na mnie spode łba i miał pretensję o wprowadzenie w błąd ojca, chociaż świadomie uczestniczył w uknutej przeze mnie intrydze. Zrozumiałam to po fakcie i czyniłam sobie wyrzuty, wspominając życzliwość i otwarte serce starszego pana. Powróciłam do pracy w czytelnii. Jak zwykle po południu zaczęłam zerkać na drzwi, spodziewając się przyjścia Abrahama. Nie pojawił się jednak tego dnia. Co gorsze, nie pojawił się w ogóle. Zrozumiałam, że nie chce mnie widzieć. Zabolalo, ale w pełni zasłużyłam na takie traktowanie. Wróciły obawy przed doktorem, który w każdej chwili mógł się pojawić. Straciłam Antoniego, a teraz Abrahama i nie pozostał nikt, kto pomógłby mi uwolnić się od natręta. Leszek, choć zwykle był w pobliżu, nie nadawał się do takich rzeczy. Teraz zbliżała się wiosna, a ja czułam się bardzo samotna. Żeby zapełnić pustkę, ulegałam namowom koleżanek i kilkakrotnie wybrałam się z nimi do miasta. Nigdy nie interesowałam się modą, ale dzięki nim zaczęłam baczniej przyglądać się ludziom na ulicy i słuchać paplaniny dziewcząt, które biegały po bazarach w poszukiwaniu fatałaszków.

– W sklepach i tak niczego nie kupisz – wydymała wargi Halina.

– Popatrz na tę dziewczynę – szturchnęła mnie Jadzia – marzę takich spodniach z teksasu! – westchnęła.

– Teksasy możesz kupić na każdym bazarze – oświadczyła z wyższością Halina. – Ja to bym chciała mieć takie ciuchy, jak mają ludzie na Zachodzie...

Patrzyłam więc na ludzi, ubranych w większości w ortalionowe płaszcze, których szarość ożywiała niekiedy jaśniejsza plama sukienki lub paltocika uszytego przez bardziej przedsiębiorcze panie, na wzór zdobytych i przekazywanych z rąk do rąk

zachodnich żurnali. W sklepach spożywczych nadal niewiele można było kupić, a to, co było, zwykle przekraczało możliwości finansowe studentek. Szybko znudziły mnie te wspólne wypadki do miasta i kiedy poczułam pierwsze powiewy wiosny, wróciłam do samotnych spacerów po łąkach w poszukiwaniu ziół. Pamiętając jednak o ubiegłorocznym nalocie milicji, teraz byłam ostrożniejsza i nie nosiłam dużych ilości roślin w otwartym koszyku. Ukrywając niewielkie zbiory w tekstylnych siatkach, byłam bezpieczniejsza. Wciąż czułam wokół siebie obecność doktora, co niemal doprowadzało mnie do stanów lękowych. Pewnego dnia wychodząc z biblioteki natknęłam się na Abrahama. „Natknęłam się” nie jest może najtrafniejszym określeniem, ponieważ Abraham na mnie czekał, choć do tej pory omijał mnie z daleka.

– Czy możemy porozmawiać? – zapytał.

– Abraham! – zawołałam z nieukrywaną radością. – Bardzo się cieszę, że cię widzę. Oczywiście, że możemy porozmawiać. Jak się czuje twój ojciec?

– Czy możemy u ciebie? To poważna rozmowa – zastrzegł, ignorując moje pytanie.

– Tak, możemy pójść do mnie – odparłam, natychmiast poważniejąc. – Czy coś się stało? – Łypnął na mnie okiem i zamilkł. – Chodźmy więc – powiedziałam, zastanawiając się w duchu, co takiego ma mi do powiedzenia po kilku miesiącach unikania spotkań.

Wszedł prosto do pokoju i nie czekając na zaproszenie, rozsiadł się na krześle. Zauważyłam, że zaniechał też starannego wycierania obuwia.

– Juliano – zaczął oficjalnie – czy możesz mnie uważnie wysłuchać?

Jego ton wskazywał, że będzie to naprawdę poważna rozmowa. Tym razem ja usiadłam nieśmiało na samym brzeжку kanapy.

– Słucham – powiedziałam.

– Kończę studia – poinformował mnie. – Właściwie dyplom mam prawie w kieszeni.

– Wiem. Gratuluję.

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– Tu nie o to chodzi – rzekł, krzywiąc się lekko.

– Nie? A o co? – zapytałam, nie rozumiejąc.

– Ja to wszystko przemyślałem. To znaczy... – zaczął się plątać – ja wiem, że ty jesteś inna, niż myślałem na początku. Przez te wszystkie miesiące zbierałem się na odwagę, żeby... żeby ci powiedzieć... Juliano, mój ojciec miał rację, że nie znajdę lepszej żony. Te wszystkie panny, co były na studiach, to nie dla mnie. Bo ja mam gospodarkę. Chcę, żeby była dobrze prowadzona, wzorcowo. Po to się uczyłem.

– Wiem, Abraham. Doskonale o tym wiem. Ale do czego zmierzasz?

– Ja ci wszystko wytłumaczę. Pamiętasz, jak powiedziałem, że nie chcę cię za żonę?

– Kto by tego nie pamiętał – mruknęłam i uśmiechnęłam się do siebie.

– Przepraszam, że tak powiedziałem – wyrzucił z siebie i odetchnął z ulgą.

- Ależ nie szkodzi! Nie gniewam się. To wszystko?
- Nie, nie wszystko. Mój ojciec ciągle o ciebie pyta.
- Och, to miłe. Nie zapomnij pozdrowić go ode mnie.
- Dziękuję. Po zimie podupadł na zdrowiu. Najpierw grypa, a potem zapalenie płuc... Ledwie się wykaraskał.
- Tak mi przykro.
- Ciężko mi było. Studia, gospodarka i jeszcze ojcem musiałem się zająć...
- Nie mogłeś zajrzeć do mnie? Powiedzieć? Pomogłabym ci!
- Nie mogłem. Właśnie dlatego, że on ciągle o ciebie pytał. I bał się, że umrze i nie zdąży... I nie zdąży...
- Ale czego nie zdąży?
- To znaczy... nie doczeka naszego ślubu.
- Co?
- Juliana, ja naprawdę to przemyślałem... O, tutaj mam... – sięgnął do kieszeni. – To po mojej matce... Pierścionek. Proszę cię o rękę.
- Abraham, ale ja cię nie kocham. Lubię cię, nawet bardzo. I podziwiam za wszystko, co robisz, ale nie kocham. Ani trochę.
- Ja też cię nie kocham – powiedział spokojnie.
- Jak to? – wydusiłam, a moje oczy przypominały dwa młyńskie koła.
- Zastanawiałem się nad tym i wiem na pewno. Nie czuję do ciebie tego, co powinien czuć mężczyzna do kobiety.
- Jezu... – jęknęłam – Abraham, co ty mówisz? W takim razie po co chcesz się ze mną żenić?
- Są dwa powody.
- Ach, aż dwa! – roześmiałam się histerycznie. Czulałam, jak powoli narasta we mnie wściekłość.
- Po pierwsze, interes. Ziemia. Nie dam jej zmarnować. A ty... Ty kochasz ziemię tak, jak ja. Po drugie, mój ojciec. Nigdy w życiu go nie okłamałem. I teraz tutaj z tobą też jestem uczciwy. Mówię, jak jest.
- Poczekaj, pozwól mi się zastanowić – powiedziałam i podeszłam do okna.
- Nie ponaglam. Pomyśl o tym. Pierścionek kładę na stole – oznajmił, a po chwili usłyszałam cichy trzask zamykanych drzwi.
- Boże – szepnęłam – to nie może dziać się naprawdę! On jest stuknięty!

Juliana przerwała i nadstawiła ucha.

– Chyba wróciła Joanna – powiedziała. – Czyżby było już tak późno?

Adam spojrział na zegarek.

– Dwudziesta druga.

– Kończymy na dzisiaj. Jutro też jest dzień.

– Dobrze – powiedział, po raz pierwszy zadowolony, że Juliana przerwała opowieść. Miał nadzieję zobaczyć się dziś z Joanną. Cieszył się, że wróciła.

Pożegnał się z Julianą i szybciej niż zwykle zbiegł po schodach. Z pokoju Joanny wąską smuzką sączyło się przytłumione światło.

Przez chwilę się wahał, ale nie mógł zrezygnować z okazji, by ją zobaczyć. Zapukał.

– Czy mogę? – zapytał z niepewnością.

– Proszę – usłyszał jej głos. Uchylił drzwi.

Joanna odpoczywała półleżąc na sofie. Adam dostrzegł porzucony już pod drzwiami elegancki but na bardzo wysokim obcasie. Drugi znajdował się pod indyjskim stolikiem. Z oparcia stylowego krzesła zwisał szal, którego jeden brzeg walał się po podłodze.

– Jesteś zmęczona? – zapytał podchodząc bliżej.

– Jak diabli – westchnęła.

Przykucnął i zdumiony swoim śmiałym gestem delikatnie odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy.

– Czy mimo wszystko mogę tu chwilę zostać?

– Jasne. Zrób sobie coś do picia – zaproponowała i machnęła ręką w bliżej nie określonym kierunku.

Rozejrzał się, potem podszedł do małej etażerki. Spośród alkoholi wybrał Malibu, i wlał je do dwóch wysokich szklanek. Dodał odrobinę wódki i likieru Baileys. Całość uzupełnił sokiem pomarańczowym. Włączył płytę, z której popłynęły ciche dźwięki saksofonu. Wziął drinki i przysiadł się do Joanny. Miała przymknięte oczy, więc tylko wyczuła jego obecność.

– Mmmm – wymruczała leniwie i spojrzała spod przymrużonych powiek. W słabym świetle lampy jej długie rzęsy kładły cień na policzku. – Garbarek... I te drinki... Co za uczta duchowa. Tego mi trzeba – westchnęła i przeciągnęła się jak rozleniwiony kot.

– Dobrze, że wróciłaś – szepnął Adam. – Tak bardzo chciałem cię dziś zobaczyć.

– Chciałeś? Dlaczego? – zapytała.

– Nie wiem... Tęskniłem za tamtym wieczorem. Nie mogłem o tobie zapomnieć – wyznał i przeciągnął dłońią po jej nagim ramieniu.

Uniosła się na łokciu i upiła łyk drinka.

– Znakomity – pochwaliła.

– Dobrze ci robi, odprężysz się – rzekł z uśmiechem.

– O tak, na pewno – przyznała. – Czy możesz włączyć ten utwór jeszcze raz? – poprosiła. – Uwielbiam go – dodała.

Spełnił prośbę i powrócił na miejsce obok niej.

– Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? – zażartował.

Spojrzała na niego tak wymownie, że pochylił się i pocałował ją w usta. Otoczyła go ramionami i całowała mocno, namiętnie. Przez cieką sukienkę czuł jej piersi, które



wznosiły się w przyśpieszonym oddechu.

– Joanno – szepnął – co ty ze mną robisz?

Nagle otworzyły się drzwi.

– Och... Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś – powiedziała do Adama zaskoczona Juliana.

Usiadł gwałtownie i poprawił włosy.

– Tak, zajrzałem na chwilę do Joanny – rzekł zmieszany.

– Nie wiedziałam również, że się tak przyjaźnicie – stwierdziła kładąc nacisk na słowo „tak” i spojrzała pytająco na córkę.

– Widzisz, mammo... My też nie wiedzieliśmy – oświadczyła.

Adam dopił drinka i wstał.

– Cóż... Pójdę, już późno... – bąknął i spojrzał na Joannę.

– Miło było cię widzieć – powiedziała z ledwo skrywanym żalem i uniosła dłoń na pożegnanie.

Zawahał się, a po chwili nachylił się i pocałował ją w policzek.

– Do zobaczenia – szepnął.

Po raz drugi tego dnia pożegnał się z Julianą i wyszedł. Zmierzał szybko do przystanku, zastanawiając się, czy złapie jeszcze jakiś autobus i czy Toffi znowu nie zaskoczy go pod domem. Irytowała go coraz bardziej, co odczuwał zwłaszcza po spotkaniach z Joanną. To, co wydarzyło się dzisiaj, nie było w porządku wobec Toffi. Dobrze o tym wiedział, ale nie potrafił i chyba już nie chciał tego zmienić. Joanna emanowała niesamowitym czarem i tym czymś, czego brakuje Toffi. Kobiecością. Tak, Joanna jest świadoma swojego uroku i potrafi go wyeksponować. Toffi natomiast nieprzyjemnym zachowaniem zabija w sobie całe piękno. Potrafi być przykra, czasami wręcz antypatyczna. Przynajmniej w stosunku do niego. Związek z Toffi był w agonii i Adam z każdym dniem uświadamiał to sobie coraz bardziej. Postanowił w najbliższych dniach porozmawiać z nią o tym. Nie chce jej oszukiwać. A Joanna? Na samą myśl o niej poczuł ciepło rozlewające się wokół serca. To uczucie oczarowania i fascynacji rozpierało go od środka i powodowało przysłowiowe trzepotanie motyli skrzydeł w brzuchu.

Toffi na szczęście nie czekała na niego pod blokiem. Wszedł do domu, wyszukał w Internecie *Red Wind* Garbarka i ze słuchawkami na uszach, z których sączyły się słodkie dźwięki saksofonu, oraz obrazem Joanny pod powiekami zasnął.

Następnego dnia postanowił rozmówić się z Toffi. Uznał, za niepotrzebne przeciąganie sztucznego tworu, jakim jest ich związek. Lepiej uwolnić się od siebie i pozwolić na dokonanie właściwszych wyborów. Zdawał sobie sprawę z tego, że robi to głównie dla siebie. On już wybrał. Joanna była mu przychylna, więc nie zastanawiał się ani przez chwilę nad tym, czy go nie odrzuci. Toffi jak zwykle nie odbierała telefonu. Po kilku próbach machnął ręką i spróbował umówić się na rozmowę

z Julianą. Tym razem się udało. Nie wiedział wprawdzie, jak go przyjmie po przyłapaniu w ramionach Joanny, ale uznał, że wcześniej czy później i tak dojdzie do konfrontacji, wolał więc mieć pierwsze wrażenie za sobą.

Juliana była w znakomitym humorze. O wczorajszym incydencie nie wspomniała ani słowem, ale na Adama patrzyła bardzo przychylnie. Uznał więc, że nie miałyby nic przeciwko jego zalotom do Joanny.

– Zaczynamy? – zapytała, gdy usiadł na swoim stałym miejscu.

– Tak, zaczynamy – odparł i cały zamienił się w słuch.

Abraham zjawił się u mnie po tygodniu. Pierścionek wciąż spoczywał na stole i tak, jak jego właściciel, oczekiwał na moją decyzję. W ciągu tego tygodnia przez głowę przewinął mi się huragan myśli. Nie kochałam Abrahama, to pewne, ale przecież przyrzekłam sobie, że moje małżeństwo oprę jedynie na rozsądku i nie dopuszczę do głosu uczuć. Teraz jednak, gdy Abraham zasiadał na kanapie, a jego twarz przeobraziła się w wielki znak zapytania, wciąż nie znałam odpowiedzi. Usiadłam naprzeciwko i czekałam, aż się odezwie.

– Czy miałaś wystarczająco dużo czasu? – zapytał po długim milczeniu.

– Tak. Czasu miałam dość – przyznałam.

– Więc?

Czekał na odpowiedź, ale w jego oczach dostrzegłam zwątpienie. Domyślałam się, że bez względu na moje postanowienie powróci na wieś i podejmie swoje obowiązki. Decyzja, po której musiałabym zerwać z dotychczasowym życiem, zakopać się na głuchej wsi, gdzie nie czekałoby mnie nic poza ciężką pracą u boku mężczyzny, z którym nic mnie nie łączyło, była absurdalna. Chyba że... udałoby mi się zrealizować pewną wizję, która właśnie teraz zakiełkowała mi w głowie. Musiałabym przekonać tego chłodnego, zasadniczego a wręcz konserwatywnego człowieka do pomysłu, który na pewno go zaskoczy, a co gorsze, najprawdopodobniej wcale mu się nie spodoba. To, że nie darzył mnie miłością, utrudniało tylko realizację planu. Mogłam liczyć jedynie na własną dyplomację, upór i cierpliwość. Zdecydowałam się podjąć to wyzwanie. Chciałam mieć plantację ziół, a to było możliwe jedynie na wsi, u boku dobrego gospodarza.

– Tak – odparłam.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Czy to znaczy, że zgadzasz się na małżeństwo ze mną?

– Zgadzam się – potwierdziłam i zacisnęłam pięści tak mocno, aż paznokcie wbiły mi się boleśnie w skórę.

Miałam niespełna dwadzieścia trzy lata, gdy pewnej sierpniowej niedzieli ksiądz pobłogosławił mój związek z Abrahamem. Miłość i wierność ślubowaliśmy sobie

w olsztyńskim kościele, w obecności nielicznych świadków naszego „szczęścia”. Do domu mojego męża przyjechałam z jedną walizką. Ustawiłam ją na środku pokoju, którego okna wychodziły na sad. Z tej perspektywy mogłam podziwiać jedynie dojrzewające owoce, bo w pokoju prócz łóżka i szafy nie było niczego więcej. Ojciec Abrahama był oburzony, że jego jedynak nie zdecydował się na wyprawienie hucznego wesela.

– Nie mam czasu na takie rzeczy – wyjaśnił mój mąż. – Zamówiłem na jutro snopowiązałkę. Przecież są żniwa.

Noc poślubną spędziłam samotnie w przeznaczonym dla mnie pokoju. Przewracając się z boku na bok, myślałam o czekającym mnie życiu. Brakowało w nim miłości i rodzinnego ciepła. Nie mogłam mieć o to pretensji do człowieka, który uczciwie mnie o tym uprzedził. Jedynie jego ojciec szczerze cieszył się z mojej obecności. Przez okres żniw widywałam Abrahama jedynie po południu, kiedy jemu i zatrudnionym przez niego ludziom nosiłam posiłek, oraz wieczorami, gdy wracał tak zmęczony, że nie miał już sił na rozmowę. W tym czasie zajmowałam się przydomowym gospodarstwem. Nie było tego tak wiele, jak sobie wyobrażałam. Dwie krowy, koń i kury stanowiły cały zwierzyniec. W budzie mieszkał podstarzały pies i gdzieś tam wylegiwały się koty, których jakoś nie byłam w stanie policzyć. Zresztą one chodziły własnymi ścieżkami, łowiąc polne myszy.

Ponemiecki dom zajęty przez dziadków i rodziców Abrahama, przybyłych po wojnie na ziemię odzyskane, nie był dotąd zagospodarowany. Zajęta uprawą pól i hodowlą zwierząt rodzina, nie miała na to czasu. Dziadkowie odeszli szybko, zaraz po nich matka. Nastoletni Abraham został pod opieką kalekiego ojca i to na jego barki spadło gospodarstwo. Wtedy postanowił, że poprowadzi je wzorowo. Sprzedał prawie cały inwentarz, obsiał niewielką część pól i poszedł na studia. Nie było mu łatwo pogodzić gospodarowania z nauką. Ale zaparł się. Teraz z dyplomem w kieszeni i młodą żoną u boku chciał wskrzesić leżącą odłogiem ziemię i powiększyć gospodarstwo o nowe zwierzęta. Tego dowiedziałam się od ojca, kiedy krzątałam się po domu i poznawałam jego zakamarki. Na dole były cztery pokoje, duża kuchnia i dwie komórki. Górę zaś stanowił strych i dwa pokoiki ze ściętym dachem, które w tej chwili były zwyczajną rupieciarnią. Łazienki nie było wcale. W pokojach stały niezbędne sprzęty, pozostawione przez niemiecką rodzinę, która w pośpiechu opuściła swój dom. Staralam się, jak mogłam, żeby stworzyć przytulniejszy klimat w ponurym domu. Obszerne pokoje, które mieściły jedynie podstawowe meble, nie sprzyjały temu. Brakowało tu drobniejszych sprzętów, jak komódki, półki z książkami, sofy i fotele. Nie było też luster, kwiatów ani obrazów. Postanowiłam to zmienić, gdy choć trochę zaprzyjaźnię się z Abrahamem.

Kiedy skończyły się żniwa, Abraham uznał za stosowne przeprowadzić ze mną rozmowę.

– Juliano – rzekł – chciałbym, żebyś nie czuła się tutaj jak kobieta zatrudniona do krów i sprzątania. Jesteś moją żoną, więc i gospodynią. Nie musisz, a nawet nie powinnaś pytać mnie o wszystko. Podzielimy się obowiązkami, a ja postaram się nie przeciążać cię za bardzo. Chcę tylko, żebyś wkładała w to serce, nie tylko wysiłek.

– Dobrze. Wobec tego zaufaj mi. Wiem, co mam robić.

– Czy potrzebujesz czegoś?

– Tak. Czy moglibyśmy dokupić trochę mebli? Strasznie tu ponuro.

– Nie. Na razie nie ma na to pieniędzy.

– Rozumiem. Czy masz mi coś jeszcze do przekazania?

– Nie.

– Wobec tego pójdę do swojego pokoju.

– Dobrze.

Po tej rozmowie czułam się jak po audiencji u króla. Zimno i oficjalnie rozmawialiśmy o interesach, jakimi było wspólne gospodarzenie. Z walizki stojącej pod łóżkiem wyjęłam zeszyt i ołówek. Sporządziłam listę możliwości, które powinnam wykorzystać, by zarobić pieniądze. Postawiłam na handel. Niestety, na miejscu nie mogłam sprzedawać tego, czym zajmowali się wszyscy. Jediną możliwością było wywiezienie produktów do miasta.

Okolo dwóch tygodni trwało przygotowanie serów, masła i zebranie większej ilości śmietany. Ser i masło podzieliłam na porcje i zapakowałam w pergaminowy papier. Śmietanę porozlewałam do ćwierćlitrowych słoiczków. Wiklinowy kosz wypełniłam jajami i umieściłam wszystko na dwukołowym wózku, który znalazłam w drewni. We wtorek, który był dniem targowym w oddalonym o kilkanaście kilometrów mieście powiatowym, wyruszyłam o świcie na podbój tamtejszego rynku. Ranek był rześki i przyjemnie było iść opustoszałą o tej porze szosą. Po ponad trzech godzinach marszu dotarłam do miasta. Szybko odnalazłam targ, gdzie furmankami zjeżdżali się okoliczni chłopcy. Rozłożyłam przed sobą stary koc a na nim ułożyłam towar. Nie zwierzałam się z moich planów Abrahamowi i teraz cieszyłam się, że opowiem mu o swojej inicjatywie. Oby tylko udało mi się wszystko sprzedać. Podpatrywałam innych handlarzy. Dominowały warzywa i owoce. Ale byli tacy, co przywieźli tu żywy drób, króliki, a nawet dorodnego wieprzka.

– Masło świeże? – wyrwała mnie z zadumy paniusia w bordowym berecie.

– Oczywiście, że świeże – zapewniłam.

– A ile tu jest, w tym opakowaniu?

– Ćwierć kilograma.

– To ja pół kilo poproszę.

– Może słoiczek śmietany? Dobra, tłusta – zachęcałam.

– No dobrze, niech będzie.

– To ja też poproszę. I dziesięć jaj – odezwała się stojąca z tyłu kobieta.

– A ja kilo twarogu! Synowa przyjeżdża, to sernik zrobię – zwierzyła się inna.

Mój towar miał duże powodzenie i po dwóch godzinach z pustym wózkiem mogłam już wrócić do domu. Tym razem kupiłam bilet i wróciłam autobusem.

– A gdzie ty byłaś Julianko? – zapytał mnie ojciec, który od dłuższego czasu wyglądał na drogę. – Abraham bardzo się zdenerwował i wszędzie cię szukał. Teraz do GS-u poleciał, zamówić rozmowę z Olsztynem.

– Dlaczego z Olsztynem? – zdziwiłam się.

– A, bo on myślał, że mu uciekłaś z powrotem do tej biblioteki, w której pracowałaś.

Nie odezwałam się. Odstawiłam wózek na miejsce i zabrałam się z dużym opóźnieniem za codzienne obowiązki. Zdążyłam nakarmić kury i oporządzić bydło, gdy wrócił Abraham. Był rzeczywiście bardzo zdenerwowany.

– Ach, wróciłaś! – krzyknął. Nie widziałam go jeszcze w takim stanie. – Gdzie byłaś?!

Odstawiłam spokojnie wiadro i zmierzyłam go wzrokiem.

– A cóż to? Nie masz mi nic do powiedzenia?! – wykrzyknął rozjuszony moim milczeniem.

– Zapraszam cię do mojego pokoju – odparłam, nie chcąc, by ojciec był świadkiem naszej rozmowy. Zaskoczony Abraham ruszył posłusznie za mną, ale zdążyłam zauważyć, jak zacisnął ze złości szczękę. – Po pierwsze nie życzę sobie, żebyś mówił do mnie takim tonem. Zdaje się, że zasady naszego małżeństwa ustaliliśmy już na wstępie. Ponieważ prócz tej umowy nic nas nie łączy, nie mam zamiaru tłumaczyć się przed tobą. Ty też nie spowiadasz się przede mną z każdego swojego kroku. Zapewniam cię, że jeśli będę chciała odejść, będziesz pierwszą osobą, którą o tym poinformuję. Wprawdzie jestem związana z tobą małżeństwem, ale mentalnie jestem wolna. I o ile nie przyniesie to szkody gospodarstwu, będę robiła to, co mi się podoba. A teraz wyjdź stąd, proszę, zanim powiem coś, czego nie chcesz usłyszeć.

Wyszedł i do wieczora nie odezwał się do mnie ani jednym słowem. Od tej pory włączałam w rytm każdego dnia to, co dotąd było moją pasją, i zamiast starać się utrzymywać pozytywną relację z Abrahamem i silić się na popołudniowe pogawędki z nim, wybierałam się na długie wędrówki w poszukiwaniu swoich ukochanych ziół. Powróciłam do tworzenia mieszanek, syropów, nalewek i maści, które sprzedawałam na targu, przy okazji cotygodniowego handlu nabiałem. Nie czułam się nieuczciwa wobec Abrahama nie oddając mu pieniędzy. To prawda, że jaja i wszystkie produkty, które wytwarzałam z mleka, były wspólne, ale potraktowałam to jako zapłatę za pracę w obejściu i obsługiwaniu domu. Wieczory poświęcałam na czytanie książek przy lampie naftowej i nie obchodziło mnie to, co porabia w tym czasie mój mąż. Serdeczne stosunki utrzymywałam natomiast z jego ojcem i Abraham nieraz był świadkiem naszych wesołych pogawędek, urywanych w pół słowa, gdy on pojawiał się w progu.

Ojca oczywiście martwiły nasze relacje, ale o nic nie pytał. Tak działo się do pewnego wydarzenia, które miało miejsce na początku zimy.

Jak zwykle we wtorek wyruszyłam z wózkiem na targ. Odkąd słońce wstawało później i poranki były jeszcze ciemne, do miasta jeździłam autobusem. Kierowca znał mnie już dobrze i gdy jeszcze nie było mnie na przystanku, zwlekał z odjazdem do mojego przybycia. Nie miał też nic przeciwko przewożeniu przeze mnie dwukołowego wózczyka. Tego dnia wracałam później, ponieważ umówiłam się na odebranie od stałej klientki, pracującej w miejscowym szpitalu, pustych butelek po syropach. Nadawały się idealnie na nalewki. Kiedy weszłam na podwórko, na śniegu ujrzałam ślady krwi. Pomyślałam, że Abraham zabił kurę na rosół, choć nie robił tego nigdy w dzień powszedni. Rosół zarezerwowany był jedynie na niedzielę. Już od progu usłyszałam słowa ojca, które mnie zaniepokoiły.

– Trzeba z tym do szpitala, niech obejrzą, może szyć trzeba – mówił podenerwowanym głosem.

Na krześle w kuchni siedział blady Abraham, z owiniętą zakrwawioną szmatą ręką.

– Dobrze, że jesteś! – zawołał na mój widok ojciec. – Nieszczęście się przytrafiło. Abraham w sieczkarnię wkręcił rękę i trzeba z nim do doktora pojechać, bo jeszcze zakażenie jakie z tego będzie.

Spokojnie umyłam nad miską ręce i podeszłam do męża.

– Pokaż, co się stało – zażądałam.

Wyciągnął rękę, którą odwinęłam z prowizorycznego opatrunku i przyjrzałam się jej dokładnie.

– Źle to wygląda – mruknęłam i wyszłam do swojego pokoju po maść, którą przygotowałam jesienią na bazie liści babki lekarskiej, prawoślazu, kwiatu rumianku i wosku pszczelego. Zaparzyłam rumianek i schłodzonym naparem dokładnie obmyłam ranę. Posmarowałam ją maścią i owinęłam czystym bandażem. Abraham, który na początku uważnie śledził moje poczynania, teraz przeniósł wzrok na mnie i przyglądał mi się w skupieniu. Zauważyłam to, więc uznałam za stosowne pouczyć pacjenta. – Będziemy zmieniać opatrunek dwa razy dziennie. Rano i wieczorem. Jeśli pojawią się niepokojące objawy, będziesz musiał skorzystać z pomocy lekarza. Ja nic więcej nie mogę zrobić.

– Nie wiedziałem, że potrafisz robić takie rzeczy – powiedział zaskoczony. – Przepraszam, że patrzyłem krzywo, gdy zносиłaś do domu te wszystkie zielska.

– Przyzwyczaiłam się już do twoich krzywych min.

– Przepraszam – powtórzył.

– Staraj się nic nie robić tą ręką. Niech się rana porządnie zasklepi. Jeżeli nie będziesz mógł sobie z czymś poradzić, po prostu powiedz.

– Dziękuję, że się mną zajął.

– Zająłabym się każdym, kto potrzebowałby pomocy.

Od tego dnia zwiększył się zakres obowiązków, które spadły mi na głowę. Na szczęście rana goiła się szybko, a Abraham starał się na swój sposób okazać mi wdzięczność. Któregoś dnia po śniadaniu położył przede mną zwitek pieniędzy.

– Juliano, wiem, że co tydzień jeździsz do miasta na targ. Kup sobie jakąś ładną sukienkę – powiedział.

– Dziękuję – odpowiedziałam i odsunęłam pieniądze. – Potrafię na siebie zarobić i nie potrzebuję nowej sukienki. Nigdzie przecież nie wychodzimy.

Twarz skurczyła mu się w ledwo dostrzegalnym grymasie. Bez słowa zabrał pieniądze i schował do kieszeni.

– Pomyślę o tym – mruknął.

W ostatni wtorek przed Bożym Narodzeniem było mroźno, mimo to postanowiłam udać się na targ. Nawet Abraham wstał wcześniej, żeby odradzić mi wyjazd.

– Juliano, nie jedź dzisiaj. Jest bardzo zimno, przeziębisz się i będzie kłopot na same święta.

– Obawiasz się, że zostaniesz sam z całą przedświąteczną robotą? – zapytałam z ironią, choć dobrze wiedziałam, że zranię go tymi słowami.

Od pewnego czasu okazywał mi sporo zainteresowania, które przy odrobinie dobrej woli mogłabym nawet nazwać troską. Ale mnie tej woli brakowało.

– Potrafisz dotknąć bez użycia rąk – mruknął pod nosem i machnął ręką na mój upór.

Wzięłam przygotowany wcześniej wózek i poszłam na przystanek. Autobus nieco się spóźnił i czekając na jego przyjazd już zdążyłam porządnie zmarznąć. Nawet kierowca zdziwił się, że mimo dużego mrozu wybrałam się na targ. Tego dnia kupujących było znacznie mniej, więc i sprzedaż trwała dłużej. Kiedy wreszcie pozbyłam się towaru i zaczęłam zwijać swój prowizoryczny kramik, zajechała furmanka wyładowana czymś po brzegi. Powoził nią młody chłopak, drugi siedział z tyłu i przytrzymywał ręką nakryty kraciastym kocem ładunek. Byłam ciekawa, co jest pod nakryciem, więc podeszłam bliżej. Chłopak siedzący z tyłu zdarł koc i moim oczom ukazały się zwałone na kupę stare meble.

– Chcecie to sprzedać? – zapytałam podekscytowana, bo taki styl pamiętałam z domu Pameli Gryffin.

– Tak, matka kupiła meble na wysoki połysk, a te są jeszcze po babce, niemodne – poinformował mnie ten z przodu i pociągnął nosem.

– Ile za nie chcecie?

Kiedy podał cenę, stwierdziłam, że podrośnięty prosiak na furmance obok kosztował więcej.

– Matka powiedziała, że co zarobimy, to nasze – dodał z dumą drugi.

– Chętnie je kupię, ale czy zawieźlibyście szesnaście kilometrów stąd? Oczywiście za dodatkową opłatą.

Chłopcy pochylili się ku sobie i zaczęli się naradzać. Serce zabiło mi mocniej na

myśl, że za bezcen mogę się stać właścicielką pięknego, stylowego kompletu mebli. Bałam się, że się nie zgodzą i taka okazja przejdzie mi koło nosa.

– Dobra, zawieziemy – zdecydował ten starszy. – Niech pani siada. – Przesunął się na desce służącej za ławkę i zaciął konia. Po godzinie byliśmy na miejscu. Abraham dostrzegł nas z kuchennego okna i narzuciwszy na siebie kapotę, wybiegł przed dom.

– Mój Boże! – zawołał. – Juliano, kupiłaś meble?!

– Jak widzisz – odparłam ze śmiechem. – Byłam w znakomitym humorze i nie poskapiłam go nawet Abrahamowi, który po chwili odciągnął mnie na bok i zapytał półgłosem:

– A czym zamierzasz za nie zapłacić? Mówiłem ci, że wiosną chcę kupić kilka prosiąt.

– Nie martw się o to – powiedziałam zimno. – Odłożyłam pieniądze.

Wynagrodziłam chłopców i dołożyłam jeszcze kilka drożdżowych bułeczek za wniesienie mebli do domu. Zaszastali nogami i zadowoleni wsiedli na furmankę. Kiedy odjechali, spojrzałam na Abrahama.

– Oczywiście, pomogę je ustawić – powiedział, zanim zdążyłam o to zapytać.

Zażyczyłam sobie opróżnienia pokoju, w którym spałam podczas pierwszej wizyty u Abrahama, i w miejsce łóżka z metalowymi kulami oraz biurka o skórzanym blacie wstawiliśmy nowo nabyte meble. Pokój od razu nabrał innego charakteru i stał się naszym salonem. Biurko zabrałam do swojego pokoju, a łóżko powędrowało do gościnnego, choć i tak nikt nas nie odwiedzał.

Na święta Abraham przyniósł wielką choinkę i porządnie napalił w salonie. Miałam okazję ubrać się w odświętną sukienkę, której dotąd nie nosiłam. W prezencie gwiazdkowym podarowałam Abrahamowi kupiony na targu obraz do jego gabinetu. Nie wiem, kto był autorem, ponieważ podpisany został jedynie inicjałami, ale pasował on do męskiego pokoju. Był w kolorach brązu, beżu i matowej czerni, a przedstawiał głowę mężczyzny, który zamiast twarzy miał zegarową tarczę.

– Czy mam rozumieć, że dla ciebie bycie ze mną to tylko beznamienny upływ czasu? – zapytał, a ja pomyślałam, że studia i obcowanie z młodymi ludźmi o szerokich horyzontach nauczyły go bardziej elastycznego myślenia i ubierania uczuć w słowa. Ale nie potwierdziłam jego przypuszczenia.

Ojcu kupiłam *Upadek* Alberta Camusa. Przyglądał się okładce i chrząkał z zakłopotaniem, jakby spodziewał się innego podarku. Pomyślałam, że następnym razem kupię mu warcaby. Sama zaś spod choinki wydobyłam... również obraz, namalowany nieznaną mi kobiecą ręką, przypominający *Ukrzesłowanie* Wróblewskiego.

– Uważasz, że wciąż na coś czekam? – zapytałam patrząc na puste krzesło na obrazie.

Abraham, podobnie jak ja, nie odpowiedział. Tylko ojciec cieszył się z naszych



podobnych upodobań, jakie nas – jego zdaniem – połączyły. Po wieczerzy udał się na spoczynek, gdyż – jak określił – noga rwała go niemiłosiernie, w dodatku nieistniejąca noga. Ja z Abrahamem pozostaliśmy jeszcze w salonie, który w świątecznym wystroju wyglądał szczególnie urokliwie. Poustawiane na parapetach naftowe lampy i choinka, ledwie muśnięta ich migotliwym światłem, tworzyły niepowtarzalny klimat. Twarz Abrahama pozostawała w cieniu, dlatego nie widziałam jego oczu. Milczeliśmy, wsłuchując się w panującą wokół ciszę. Nagle Abraham zaczął nucić. Śpiewał półgłosem kolędę i wystukiwał palcami o poręcz fotela jej rytm. Pierwszy raz słyszałam, jak śpiewa. Jego głos był czysty i przyjemny w odbiorze. Przez chwilę wsłuchiwałam się w melodię, po czym zaśpiewałam razem z nim. I popłynęła kolęda wprost do aniołów, które gdzieś w niebie, u boku Boga i pewnie mojej matki, kołysały Jezusa.

– W styczniu założą nam prąd – powiedział zniechęca Abraham, wrywając mnie ze świątecznego uniesienia. Natychmiast spadłam na ziemię i z żalem pomyślałam o swoich ulubionych godzinach, kiedy w naszym domu zapalały się lampy.

– Szkoda – mruknęłam.

– Będiesz mogła słuchać swojego radia – rzekł uszczypliwie, chociaż nie wiedział, że otrzymałam je od Janka. Teraz bezużyteczne, dzieliło po łóżkiem los walizki.

Znowu zaczęło rosnać między nami napięcie, mimo że wieczór zapowiadał się bardzo rodzinnie. Nie chciałam tego psuć.

– Ty też będziesz mógł go słuchać – powiedziałam łagodnie.

– Naprawdę? – zapytał kpiąco. – Doczekam dnia, kiedy nie zamkniesz przede mną drzwi?

Odczułam przykrość. Nie dlatego, że on to zauważył, a teraz nawet skomentował, tylko dlatego, że czułam potrzebę zamykania ich. Nigdy nie stały otworem, jakbym z premedytacją odgradzała się od niego, dając do zrozumienia, że nasze małżeństwo jest fikcją i nie zamierzam dać mu żadnej szansy. Drzwi do gabinetu Abrahama przeważnie stały otworem.

– Wybacz, zawsze mieszkałam sama i dlatego...

– Jeśli tak myślisz, Juliano, to oszukujesz sama siebie. Doskonale wiem, że zamykasz się przede mną. Zresztą odgradzasz się nie tylko drzwiami. Napijesz się wina? – zmienił nagle temat i sięgnął po butelkę stojącą na stole.

– Tak, poproszę. – Obserwowałam, jak otwiera butelkę, napełnia kieliszki i nie mogłam zrozumieć, dlaczego można pokochać kogoś od pierwszego wejrzenia, nie znając go wcale, albo być z kimś na co dzień, spać pod jednym dachem, jeść przy wspólnym stole i nie żywić do niego żadnych uczuć. – Nie uważasz, że igramy z losem?

– zapytałam.

– A ty tak uważasz?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo obojętność może przerodzić się w nienawiść.

– Albo w miłość – powiedział, zakołysał winem w pękatym kielichu i obejrzał je pod światło. – Piękny kolor – stwierdził.

– Żeby obojętność mogła przerodzić się w miłość – podjęłam temat. – Musielibyśmy coś dla siebie robić.

– Czy nie robimy nic dla siebie?

– A co zrobiłeś dla mnie?

– Ożeniłem się z tobą.

– Zrobiłeś to dla siebie, nie dla mnie.

– Kupiłem ci obraz.

– Ja też kupiłam ci obraz – obruszyłam się.

– No, widzisz.

– Co? Co widzę? – zdenerwowałam się.

– Że robimy coś dla siebie – odparł leniwie.

– Zabawne. Rzeczywiście. Kiedy tak mówisz, jestem bliska nienawiści.

– A ja miłości – powiedział i uśmiechnął się bezczelnie.

– Chcesz, żebym sobie poszła – powiedziałam podniesionym głosem i wypłam resztę wina.

– Nie, zostań, żartowałem – ożywił się. – Wcale tego nie chcę. Przyjemnie mi tu z tobą.

– Mnie nie jest przyjemnie. Irytujesz mnie.

– Przepraszam. Nie odchodź. Przekomarzałem się tylko.

– Wiesz, ja cię w ogóle nie poznaję. Byłeś inny, jak się ze mną żeniłeś. Taki... taki zasadniczy. I wszystko brałeś poważnie.

– Uznałem, że to niewygodne.

– Nie wierzę. Udawałeś. Albo udajesz teraz.

– Nie udaję. Chcesz, bym mówił poważnie? Proszę. Otóż bałem się. Bałem się odpowiedzialności za to wszystko, co spadło mi na barki. Bałem się tego, jaka będziesz. Teraz wychodzimy na prostą. Wiem, że sobie poradzę. Ale tylko przy tobie. Wiem, co dla mnie robisz. Widzę to każdego dnia. Przykro mi, że ty nie dostrzegasz tego, co ja robię dla ciebie. Bo przecież między dwojgiem ludzi każdy drobiazg się liczy. To, że przychodzę o czwartej rano i palę w twoim piecu, żebyś nie marzła, kiedy będziesz wstawać; to, że odgarniam śnieg do kurnika, chociaż wcale tam nie chodzę; że naprawiłem wózek, z którym jeździsz na targ, chociaż tego nie zauważyłaś...

– Zauważyłam.

– Ale nie podziękowałaś.

– Bo w zamian za to przyszyłam cztery guziki do twojej koszuli i ty też nie podziękowałaś.

- Nie zauważyłem...
- A mówisz, że to ja niczego nie dostrzegam.
- Nie kłóćmy się.
- Wcale się z tobą nie kłócę!
- Jeszcze wina?
- Tak.
- Juliano, postarajmy się przynajmniej polubić wzajemnie.
- ...
- Juliano.
- Przecież cię lubię...



To przestało być zabawne. Toffi nie dawała znaku życia od kilku dni. Zajęty Joanną Adam machnąłby na nią ręką, gdyby nie to, że miała kłopoty. Adam przypomniał sobie sytuacje, które mogły zagrażać jej bezpieczeństwu. Po pierwsze, pożyczyła pieniądze z niepewnego źródła i teraz prześladowają ją wierzyciele; po drugie, dopuściła się kradzieży; po trzecie, sprzedała to, co ukradła, czyli podrobiony pierścionek. Być może zrobiła to nieświadomie, nie spodziewała się przecież, że Juliana mogłaby posiadać coś takiego, a nabywczyni okazała się naiwna i nie sprawdziła próby złota a to pozwala przypuszczać, że teraz ktoś może ją za to ścigać. Adam czekał cierpliwie na jakiś sygnał od niej, tym bardziej że chciał z nią porozmawiać na temat ich związku, a właściwie jego zakończenia, ale Toffi przepadła. Nie było jej również w domu, a telefon jak zwykle nie odpowiadał. Mogła wyjechać z miasta, uciec za granicę albo ktoś mógł ją... Nie, o tym Adam nie chciał nawet myśleć. Nie czuł się wprawdzie bezpośrednio odpowiedzialny za to, co wyprawiała. Nie pytała go przecież o zdanie. Co więcej, wciąż wymykała się spod kontroli. Ale on wiedział o jej problemach, a teraz ma świadomość, że mogło ją spotkać coś złego. Czy powinien zgłosić jej zaginięcie? Jest dorosła i może robić, co chce, ale dlaczego nie poinformowała go o swoich zamiarach? Nie martwiłby się teraz. Te i inne dylematy związane z Toffi nękały go, gdy po raz kolejny wracał z ulicy, przy której mieszkała.

Na dzisiejsze popołudnie umówił się z Julianą. Ostatnio cieszył się podwójnie, bo przy okazji wizyty u Juliany miał możliwość spotkać się z Joanną. Z nią nie można było się umówić. Tak zwyczajnie, jak z każdą przeciętną dziewczyną. Niewiele o niej wiedział, przez co była jeszcze bardziej intrygująca. Idąc więc dziś na spotkanie z Julianą zastanawiał się, czy będzie mu dane zobaczyć Joannę. Drzwi otworzyła mu gosposia, którą zapytał sprytnie:

- Są panie?
- Tak – odparła Kasia. – Obie panie są w domu.

– Proszę przekazać pani Joannie, że wpadnę do niej za jakąś godzinę.  
– No, nie wiem... U pani Joanny jest jakiś pan – powiedziała zniżając głos.  
– Ach... Jakiś pan... – Starał się mówić swobodnie, ale wiele go to kosztowało. Jakiś pan u jego Joanny... Jaki, do cholery, facet śmie przebywać w towarzystwie Joanny! – Pan? – zapytał – A co to za jeden, pani Kasiu?

– Skąd mam wiedzieć? – obruszyła się. – Pierwszy raz go widzę. Już z pół godziny tam siedzi.

Kasia wycofała się do kuchni, a on noga za nogą powlókł się na górę. Nie sądził, by dziś mógł skupić się na opowieści Juliany. Mężczyzna u Joanny – to brzmiało naprawdę groźnie.

Juliana zapisywała coś w grubym notesie. Gdy Adam wszedł, odłożyła swoją pracę na stolik i uśmiechnęła się do niego.

– Powiedz no, mój drogi, czy ty zalecasz się do mojej córki dlatego, że zostałeś wystawiony do wiatru? Kilka dni temu deklarowałeś dozągoną miłość do Teofili.

Pytanie zaskoczyło go i nie potrafił odpowiedzieć na nie jednym zdaniem.

– Nie, nie. To nie tak – usiłował z tego wybrnąć, ale zmieszany zaplątał się tylko w wyjaśnieniach. – Mnie się wydawało, że ja ją jeszcze Kocham, ale jak poznałem bliżej Joannę, to...

– Tak, jak mówiłam – pokiwała głową. – Tobie się wydawało, że ją Kochasz, a nie, że ją jeszcze Kochasz. Była tu dziś rano.

– Kto?

– Teofila.

– Na pewno to była ona?

– Chłopcze, nie mam kłopotów z pamięcią. Ona.

– Od kilku dni koczuję pod jej domem. Nigdy jej nie...

– Koczujesz pod jej domem? I przychodzisz do mojej córki?

Boże, co za kobieta. Znowu zagoniła go w kozi róg.

– Koczuję, bo się mar... tego, bo zastanawiałem się, dlaczego się nie odzywa.

– A dlaczego miałaby się odzywać, jeśli ty biegasz do innej. Ty byś się odzywał?

Juliana wyraźnie chciała się nad nim poznać. Albo przetestować stałość jego uczuć.

– Pani Juliano, Toffi ma spore kłopoty, nie chciałem jej tak zostawiać.

– Jesteś szlachetny. Punkt dla ciebie.

– Ale ona nie mieszka w domu, nie odbiera telefonów.

– Może ma powody.

– Jakie?

– Na to pytanie powinienś sam sobie odpowiedzieć. Ja nie wiem.

– Po co tu była?

– Przyszła odwiedzić ciocię. Względy rodzinne – powiedziała i uśmiechnęła się

krzywo.

– A naprawdę?

– Naprawdę? Zwróciła mi pierścionek. Przeprosiła za to, co było, a najważniejsze, że i za to, co będzie. Zastanowiła mnie... Potem sobie poszła.

– Pierścionek? Mówiła, że go sprzedała.

– A kto by tam kupił tombak.

– To dlaczego kłamała?

– Widocznie chciała przed tobą grać sprytniejszą, niż jest w rzeczywistości. Już samo to, że nie poznała się na podróbce, źle o niej świadczy. Bo jeśli już spaść, to z dobrego konia, prawda?

– Niby tak...

– Bardziej niepokoi mnie to, za co mnie przeprosiła *a conto*. Ale tego pewnie niebawem się dowiemy... To co? Gotów do słuchania?

– Tak – zapewnił, choć głowę zajętą miał Joanną, a teraz jeszcze Toffi.

Po Nowym Roku pojechałam do olsztyńskiej apteki po pojemniki na maść z żywokostu. Musiałam ją przełożyć z dużego słoja, bo sprzedawała się jak świeże bułeczki. Przy okazji chciałam odwiedzić Leszka w Kortowie. Na mój widok zawołał:

– Jakże się cieszę, Juliano! Nie wiedziałem, jak mam się z tobą skontaktować, a mam dla ciebie radosną nowinę.

– Jaką nowinę? – zapytałam, gdy już zdołałam uwolnić się z jego uścisku.

– Spójrz. – Wyjął z komody kopertę.

Od czasu otrzymania listu od doktora bałam się zaadresowanych do mnie kopert jak ognia.

– Co to jest? – zapytałam ostrożnie.

– Otwórz.

– A skąd ty wiesz, że to radosna nowina, skoro koperta jest zamknięta? – spojrzałam na niego podejrzliwie.

– Bo mam coś jeszcze.

Obejrzałam kopertę, po czym rozerwałam ją niecierpliwie i przebiegłam wzrokiem list. W miarę czytania serce zaczęło mi bić mocniej.

– Leszku, przyjęli mój artykuł! Proszą o jeszcze! Wypłacili mi honorarium!

– Tak. Tutaj jest przekaz. Już chciałem jechać do tej twojej wsi, ale nie wiedziałem dokładnie, gdzie to jest. Zostaw mi adres na wszelki wypadek.

– Dobrze. Boże, tak się cieszę!

– Gratuluję ci z całego serca. No, ale opowiadaj, jak ci tam?

Zmarszczyłam nos i pokręciłam głową.

– Tak, jak myślałem – mruknął. – Od początku wiedziałem, że ten cały Abraham nie jest dla ciebie.

– To nie o niego chodzi. On jest w porządku, tylko ja jakoś nie potrafię odnaleźć się w tym wszystkim.

– Nic dziwnego, nie jesteś stworzona do takiej pracy. Dla ciebie to coś takiego, jak to – wskazał na list. – Niepotrzebnie w to zabrnęłaś.

– Nie, Leszku. Nie jest tak, jak myślisz. Abraham nie obciąża mnie pracą ponad siły. Mam czas na zioła i czytanie książek. Będę miała i na to. Tutaj chodzi o coś innego.

– O co? Chyba nie bardzo cię rozumiem. Jest dla ciebie nieprzyjemny?

– To raczej ja nie umiem być kapłanką ogniska domowego. Nie umiem spędzać z nim czasu.

– Nie macie o czym rozmawiać?

– Mamy o czym. Ale nie umiemy.

– Intelktualna przepaść?

– Nie. Emocjonalna. Kiedy widzę, że jest spokojny, prowokuję go tak długo, aż się zdenerwuje. Potem jest mi przykro i chcę to naprawić. No, ale on jest już zdenerwowany i nawet gdy go przeproszę, zadra zostaje. To jak ze szklanką. Kiedy ją stłuczesz, żadne przeprosiny nie pomogą. Jest rozbita i już.

– To po co go prowokujesz?

– Tego właśnie nie wiem.

Zamieniliśmy jeszcze kilka słów i musiałam wracać. Po drodze odebrałam pieniądze na pocztę. Kwota była większa od miesięcznej pensji sprzątaczkii. W domu dołożyłam ją do swoich oszczędności, nie mówiąc nic Abrahamowi. I nie dlatego, że nie chciałam, by on znał stan moich zasobów finansowych, a właśnie dlatego, żeby nie tworzyć, jak to określił Leszek, intelektualnej przepaści. Podbudowana przyjętym artykułem, tego wieczoru napisałam kolejny. Zaadresowana koperta musiała poczekać do wtorku, gdy swoim zwyczajem wybierałam się na targ.

Wiosna zaskoczyła mnie wcześniej, niż się tego spodziewałam. Nie oznacza to, że przyroda zaczęła wcześniej ożywać, tylko że ja w ferworze codziennych zajęć po prostu jej nie zauważyłam. Ani się obejrzałam, jak na polach Abrahama zaczęła się zielenić ozimina, a ziemia w przydomowym ogrodzie wołała o zasiew. W tym czasie, gdy przekopywałam grządki, a Abraham orał ziemię pod uprawę ziemniaków, ojciec poważnie zaniemógł. Zdarzało się, że narzekał na serce, teraz jednak było z nim wyraźnie źle. Bolało go w piersiach i męczył się nawet siedząc beczynnienie. Obserwowałam go z niepokojem, ale Abraham uspił moją czujność.

– To przesilenie wiosenne. Zawsze słabnie po roztopach. Nic mu nie będzie.

Tego wieczoru ojciec był naprawdę blady. Łapał powietrze jak ryba wyrzucona z wody i skarżył się na duszność.

– Abraham, zaprzęgaj konia. Trzeba jechać z ojcem do szpitala – szepnęłam mężowi na boku, nie chcąc niepokoić chorego.

– Mam go wieźć na noc? Czy ty nie przesadzasz? Zobaczymy rano. Jeśli się nie poprawi, pójdę do GS-u i zadzwonię po pogotowie.

Usiadłam przy łóżku ojca i wzięłam go za rękę. Puls miał bardzo słaby i nierówny, oddech krótki. Zajrzałam mu w oczy. Były szkliste i niewyraźne. Uśmiechnął się blado.

– To nic – wyszeptał. – Przejdzie.

Ale ja już wiedziałam, że nie przejdzie. Do ojca zakradła się śmierć i przycupnęła w proggu, w cierpliwym oczekiwaniu. Ja ją widziałam. Dlatego przestałam prosić Abrahama o furmankę. Jedyne, co mogliśmy teraz zrobić, to pozwolić mu spokojnie odejść. Poinformowałam o tym męża, potem nie odstępowałam ojca na krok. Chciałam być przy nim w tej ciężkiej godzinie, chociaż, jak powiedziała kiedyś Maryna, umieranie należy tylko do umierającego.

Odszedł o trzeciej nad ranem. Abraham, który – podobnie jak ja – był przy nim do końca, wstał i wyszedł na dwór. Widziałam przez otwarte drzwi, jak podniósł wysoko głowę i długo, bardzo długo patrzył w niebo. Tej nocy nie było gwiazd.

Pochowaliśmy go na małym wiejskim cmentarzu, obok matki Abrahama. Mieszkańcy wsi, którzy przyszli go pożegnać, pokiwali smutno głowami, zmówili modlitwę i wspominając go półgłosem, udali się do swoich obowiązków. Co najmniej przez tydzień nie wchodziłam do pokoju ojca. Przechodziłam obok na palcach, żeby nie zakłócić moszczących się po kątach wspomnień. Potem zapakowałam wszystkie jego rzeczy i przekazałam Abrahamowi. Rankiem wywiózł gdzieś wszystko furmanką i więcej do tematu nie powrócił. Powoli pustka zaczęła zarastać codziennością i po pewnym czasie wróciliśmy do równowagi.

Nie doceniałam piękna krajobrazu, który mnie otaczał, dopóki przyroda nie wybuchła wszystkimi kolorami. Ukwiecone łąki na tle soczystej zieleni były gotowym obrazem dla najbardziej wymagających koneserów sztuki. Potrafiłam stać na drodze prowadzącej łagodnym zboczem do jeziora i gapić się na delikatnie wznoszące się i opadające fale warmińskich pól.

Moje życie stabilizowało się powoli i przybierało postać ustalonego harmonogramu stałych czynności. Wczesne ranki poświęcałam na podwórkowy obrządek, dojenie krów i karmienie siedmiu prosiąt, które zakupił Abraham. Potem zbierałam zioła i rozkładałam je w cieniu na werandzie. Tuż przed południem zajmowałam się domem. Sprzątałam, przygotowywałam posiłki i mleczne wyroby na sprzedaż, a raz w tygodniu prałam nasze rzeczy. Późne popołudnia i wieczory poświęcałam ziołom, książkom i artykułom, które były zamieszczane raz na trzy miesiące. Oprócz sobót, bo w soboty piekłam ciasta na niedzielę. Oczywiście wtorki wyglądały inaczej. Wtedy wszystko przewracało się do góry nogami. Wyprawy na targ wykluczały poranne zbieranie ziół. Inaczej wyglądały też niedziele i tych nienawidziłam całym sercem. Abraham dzień święty święcił i już od rana uderzał mnie w nozdrza zapach pasty do butów, którą mój



mąż czyścił nasze obuwie. Oczywiście po to, by zakurzyły się w drodze do kościoła. Suma była o czternastej i do tego czasu uwijałam się z obiadem. Ksiądz proboszcz, który dojeżdżał z miasteczka, często się spóźniał i pobyt w kościele przedłużał się co najmniej o godzinę. Po powrocie była obowiązkowa herbata i ciasto, w towarzystwie Abrahama. Nasze podejście do popołudniowych spotkań w salonie było skrajnie inne. Abraham przepadał za nimi, ja ich nie znosiłam. Siedząc naprzeciw niego przy małym okrągłym stoliku z furmanki, jak nazywałam stylowe meble, myślałam, co pożytecznego mogłabym zrobić w tym czasie albo jaka książka czeka w mojej sypialni. On jednak, bez względu na moją niechęć, której nie kryłam, przedłużał ten rytuał tak długo, dopóki byłoby nie zaczynało dopominać się wieczornego dojenia. Wstawał wtedy z westchnieniem, przebierał się w robocze ubranie i pobrząkując wiadrami szedł do krów. Ja z kolei zaganiałam opieszale drób, który nie zdążył jeszcze ulokować się w kurniku, i umykałam do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Tej niedzieli wszystko wyglądało podobnie, poza tym, że Abraham w te drzwi zapukał.

– Wejdz – powiedziałam, przerywając czytanie informacji o niedojrzałych owocach derenia.

– Nie przeszkadzam? – zadał retoryczne pytanie.

Stał niezdecydowany pośrodku pokoju. Gdyby miał czapkę, niewątpliwie by ją miętosił.

– Usiądź – zaproponowałam, wskazując mu krzesło, które zignorował i usadowił się obok mnie na łóżku. Wyjął mi z rąk książkę, przeczytał nagłówek i pokiwał głową.

– Podziwiam w tobie tę pasję do ziół – zagaił, czym wzbudził moją czujność. Jeśli coś we mnie podziwia, to znaczy, że za chwilę będzie czegoś ode mnie chciał. – Wczoraj sklepowa pytała, czy nie zechciałabyś zostawiać u niej trochę nalewek. Ludzie pytają. Chętnie kupiliby w sklepie, bo tutaj, na wzgórzu, nie chce im się iść. Bez prowizji – dodał szybko, zanim zdążyłam odpowiedzieć. – Cały zarobek dla ciebie.

– Tylko nalewki? – zapytałam rzeczowo.

– Mówiła tylko o nalewkach. Jak będę w sklepie, to się dowiem.

– To wszystko? – zapytałam niecierpliwie i spojrzałam tęsknie na książkę.

– Przyszedłem do ciebie jak do żony, nie jak do biura.

– Przepraszam.

– Czy mogłabyś mi doradzić w pewnej sprawie?

– Oczywiście, jeżeli potrafię.

– Sąsiad, którego pole przylega do naszego, chce je sprzedać. Chętnie kupiłbym je, ale musiałbym wziąć pożyczkę. Wszystkie oszczędności, jak wiesz, wydałem.

– Wiem. Zależy ci na tym polu?

– To świetna okazja. Jak myślisz?

– Jeśli chcesz, dam ci pieniądze.

Abraham roześmiał się.

– Nie trzeba, Juliano. Obawiam się, że zarobki, które otrzymujesz za nabią, nie wystarczą. Wydaj je sobie na fatałaszki.

Wyjęłam z pudełka gruby zwitek banknotów i podałam mu. Wytrzeszczył oczy.

– Na miłość boską, skąd to masz?

– Jak raczyłeś zauważyć, za nabią. Weź je sobie.

Abraham przeliczył i spojrzał na mnie zdumiony.

– To niewiarygodne. Czy ty nie sprzedawałaś czasem całej krowy?

– Zauważ, że poza nabią sprzedaję ziołowe leki. Maści, herbatki, nalewki. Ludzie to kupują – oznajmiłam, nie przyznając się do pisania artykułów.

– Jesteś niezwykła – pokręcił głową z niedowierzaniem. – Umówmy się, że to będzie pożyczka. Oddam ci te pieniądze gdy sprzedam zboże.

– Dobrze. Zastanawiam się tylko, czy nie bierzesz zbyt dużo na swoje barki. Dasz sobie radę z dodatkowym hektarem?

– Na razie tak, dopóki jestem młody. Potrzebny mi syn.

– Słucham?

– Potrzebny mi syn – powtórzył spokojnie, jakby mówił o nowym szpadlu albo widłach.

– Abraham, obawiam się, że w pewnej kwestii nie zrozumiałeś idei naszego małżeństwa. Nie mam zamiaru rodzić dzieci mężczyźnie, który mnie nie kocha. Tego nie było w umowie.

– Nie umawialiśmy się na nic.

– Ale oboje wiedzieliśmy, że nic nas nie łączy. Mieliśmy razem pracować, to wszystko.

– Tak. Zgadzam się z tobą. Tylko że od tamtego czasu wiele się zmieniło.

– Tak? A co niby się zmieniło?

– Pamiętasz, jak dnia dwa razy dziennie opatrywałaś mi rękę? I jak siedziałaś nad moim umierającym ojcem, prosząc w jego imieniu o lekką śmierć? Jak pochylałaś się nad naszą kotką, gdy przychodziły na świat kocięta? To tylko niektóre z obrazów, jakie utkwiły mi w pamięci. Widzę cię jeszcze, jak skaczesz z radości witając wykluwające się pisklęta; jak tulisz się do starego, ledwo widzącego na oczy psa i podsuwasz mu pod pysk co lepsze kąski; jak prosisz konia, żeby zechciał ruszyć z miejsca, zamiast śmignąć go batem... Ja cię pokochałem, Juliano. I nie zwiedzisz mnie zimnym, zasadniczym tonem ani wyrazem twarzy, który ma mnie zniechęcić do przebywania z tobą. Nie udawaj innej, niż jesteś. A jesteś dobra. Od czubka głowy po pięty jesteś dobra, szlachetna i wrażliwa. I za to cię kocham. Dzisiaj proszę cię jeszcze raz, żebyś została moją żoną. Prawdziwą żoną.

Nie odzywałam się. Siedziałam jak zakłeta, wpatrując się w Abrahama i nie potrafiłam wydusić z siebie ani jednego słowa. Nie zależało mi na jego miłości. Było

mi wygodnie tak, jak było dotąd. Czułam się silna i niezależna. Na taki układ się zgodziłam. Nie przewidywałam rozkwitu uczuć. I jak on to sobie wyobraża? Mamy żyć jak inne małżeństwa, ingerować wzajemnie w każdy drobiazg, kłócić się i godzić, spędzać razem wieczory, zasypiać razem i budzić się w jednym łóżku?

Abraham siedział obok mnie i z uwagą oglądał swoje wielkie łapy, przyzwyczajone już do ciężkiej pracy. Przelykał nerwowo ślinę i czekał.

– Wybacz, chcę, żeby zostało po staremu – oznajmiłam.

Nie powiedział nic więcej i wyszedł.

Mogło się wydawać, że wszystko zostało jak przedtem. Pracowaliśmy, jedliśmy przy wspólnym stole, omawialiśmy sprawy dotyczące gospodarstwa. Tylko w nas coś się zmieniło. On nosił w sobie żal, a ja upór.

W ciągu kilku dni od naszej rozmowy Abraham kupił dodatkową ziemię.

– Niestety – powiedział mi przy kolacji – tego roku nie zdążę jej obsiać.

Natychmiast pomyślałam o swoim planie, który chciałam zrealizować wychodząc za niego.

– Czy wobec tego pozwolisz mi zasiać tam zioła?

– Zioła? – zdziwił się. – Chcesz zasiać dziesięć tysięcy metrów kwadratowych ziołami?

– Tak. Podzielę je na kwadraty i zasieję różne zioła: rumianek, pokrzywę, żywokost, melisę i jeszcze szalwię oraz babkę lancetowatą, aha, wrotycz i dziurawiec też – wyliczyłam jednym tchem. – To są zioła, które mają największe powodzenie. Jeśli zostanie wolne miejsce, zasieję jeszcze inne.

– Chcesz marnować ziemię pod pokrzywę? – oburzył się.

– Nie zmarnuję, przekonasz się.

– Kiedy znajdziesz na to czas?

– Zamiast biegać po łąkach i zagajnikach, będę miała je na własnym polu, niedaleko domu. Nie będę traciła czasu na poszukiwania.

– A skąd weźmiesz nasiona?

– Mam nasiona. Zbieram je od dawna.

– Dobrze, nie będę się wtrącał, rób, jak uważasz – powiedział lekko zniecierpliwiony. Wyglądał tak, jakby nie wierzył w to przedsięwzięcie.

– Czy będziesz mógł mi to pole zaorać?

– Wiedziałem... – westchnął, ale na jego twarzy pojawił się ledwo widoczny uśmiezek, a w oczach rozpały się iskierki rozbawienia.

Od tej pory moje myśli zajmowało ziołowe pole i zanim cokolwiek zasiałam, myślałam już o zbiorach. Przede wszystkim gromadziłam pojemniki i torebki na wyroby ziołowe. W wolnych chwilach przygotowywałam etykiety z opisem mieszanek, maści i syropów. Abraham nie tylko zaorał i przygotował pole, ale też pomógł mi je obsiać, kręcąc z dezaprobatą głową. Teraz nie miałam czasu na czytanie

książek. Każdą wolną chwilę poświęcałam na pielęgnowanie swojej plantacji zdrowia. Na szczęście zbiory odbywały się w różnym czasie, ale i tak Abraham wspierał moje działania mieszając syropy na kuchni, ucierając rośliny w moździerz, dostarczając glicerynę, spirytus i olej z pobliskiego miasteczka. Pokój po ojcu przeznaczyłam na magazyn. Zioła, które nie zostały przerobione na maści, nalewki i syropy, suszyłam i tworzyłam mieszanki, pakując je potem w papierowe torebki. Mój mąż dzielnie naklejał etykiety. Robiliśmy to wszystko wieczorami i już nie myślałam o zamykaniu przed nim drzwi.

– W przyszłym roku będziesz musiała kogoś zatrudnić. Nie damy rady podołać wszystkiemu – mruknął.

– W przyszłym roku? – zawołałam uradowana. – Czy to znaczy, że będę mogła znowu zasiać tam zioła?

– A siej – powiedział i machnął ręką. Potem patrzył z uśmiechem, jak tańczę przed nim taniec radości.

Pierwsza przyszła do mnie po zioła nauczycielka z naszej wiejskiej szkoły. Narzekała na migreny. Wypytałam dokładnie o przyczynę bólu, po czym zaserwowałam mieszankę z mięty, melisy oraz kozłka lekarskiego i poleciłam pić ją regularnie. Zastosowałam też masaż głowy i przestrzegłam przed stresem. Następnego dnia pojawiły się dwie kobiety, mieszkające najbliżej sklepu. Obie cierpiały na wzdęcia i liczyły na moją pomoc. Tego samego dnia wieczorem, przyszedł gospodarz z bólem kręgosłupa. Nauka u szeptuchy przydała mi się jak znalazł, bo trzeba było nastawić kręgi. Przy okazji poleciłam mu maść z żywokostu. Pacjentów przybywało powoli. Na początku zimy z moich usług skorzystało kilku mieszkańców okolicznych wiosek, ale wiadomości nie rozchodziły się tak szybko, jak bym sobie życzyła. Część towaru udawało mi się upłynniać na targu, część w sklepie, niestety nie szło to najlepiej.

– Tak nie może być – powiedział do mnie któregoś wieczoru Abraham, gdy zniechęcona szukałam jakiegoś sposobu rozwiązania tego problemu. – Trzeba poszukać odbiorców na twoje zioła. Pomyślę, jak to zrobić.

Byłam mu naprawdę bardzo wdzięczna za okazywane mi wsparcie.

Pewnego grudniowego poranka obudziłam się w zimnym pokoju. Abraham nie napalił w piecu, więc postanowiłam poczekać chwilę w łóżku, aż to zrobi. Leżałam pod pierzyną i bałam się wysunąć spod niej choćby jedną stopę. Czekałam, ale on nie przychodził. Pewnie zasnął – pomyślałam i zniecierpliwiona odważyłam się ubrać. Drzwi do jego pokoju były uchylone, lecz łóżko okazało się puste. Obeszłam cały dom, ale jego nigdzie nie było. Zarzuciłam na plecy gruby kubrak, wzięłam wiadra na mleko i ziarno dla kur. Byłam pewna, że spotkam go w drewnitni przy rąbaniu drewna na opał. Abraham zniknął. Przez cały dzień wykonywałam swoje obowiązki, przyjęłam nawet dwóch pacjentów, ale myślami krążyłam wciąż wokół niego. Kiedy nie wrócił wieczorem, nie mogłam już zapanować nad objawami histerycznego lęku. Gdzie on się

podział? Co się mogło stać?

– Zupełnie, jak Magdalena – wtrącił zniechęca Adam, przysłuchujący się z uwagą opowiadaniu Juliany. – Ona też tak czekała na swojego Piotra.

– Tak. Masz rację. Moja matka też tak czekała.

Abraham nie wrócił na noc. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło i nie miałam pojęcia, co mam o tym myśleć. Ale przede wszystkim nie wiedziałam, co mam robić. Przewracałam się z boku na bok i na przemian ogarniała mnie wściekłość, to znów paniczny strach o niego. Różne myśli przychodziły mi do głowy: może leży gdzieś w szpitalu albo w ramionach jakiejś kobiety? Może jest w areszcie śledczym? W końcu sama doświadczyłam podobnej sytuacji. A może wdał się w bójkę albo pije do upadłego w podrzędnej w knajpie? Abraham nie poinformował mnie o swoich planach i dopiero teraz zrozumiałam jego irytację, gdy po raz pierwszy udałam się na targ, a on o tym nie wiedział. Następnego ranka wciąż go nie było. Wtedy uległam panice i nie hamowałam już łez. Stałam przy oknie, a łzy kapały na podłogę. Nagle ujrzałam go na drodze. Szedł szybko, a obok niego kroczyła kobieta. Z tej odległości trudno mi było ocenić jej wiek. Zalała mnie fala wściekłości. Więc jednak znalazł sobie inną. Taką, która zapewne urodzi mu z pół tuzina synów. Usłyszałam otwieranie drzwi i otrzepywanie butów ze śniegu. W pierwszej chwili chciałam schronić się w swoim pokoju, ale nie zdążyłam, bo Abraham już był przy mnie.

– Juliano...

– Ty draniu! – zawołałam, nie bacząc na stojącą w progu kobietę. – Jak mogłeś?! – Zaczęłam okładać go pięściami, gdzie popadło. – Umierałam ze strachu o ciebie, a ty... a ty...

Otoczył mnie ramionami i przygarnął tak mocno, że zabrakło mi tchu.

– Juliano, uspokój się. Porozmawiamy o tym za chwilę, dobrze? – szepnęła. – Spójrz, kogo przyprowadziłam.

Przełknęłam łzy, wytarłam oczy kułakiem, jak mała dziewczynka, i obrzuciłam wzrokiem przybyłą kobietę. Na oko miała czterdzieści lat i wyglądała na osobę bardzo energiczną.

– Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Bożena Wernak i prowadzę sklep z ziołami. Od dawna szukam dostawców. Pani mąż powiedział, że ma pani spory zapas ziół. Czy mogłabym zobaczyć, czym pani dysponuje?

Zaprowadziłam ją do „magazynu”.

– Proszę się rozejrzeć – powiedziałam i wytarłam nos. – Robię to od kilku lat, według sprawdzonych receptur.

– A więc to nie tylko susz! – ucieszyła się. – Widzę tu gotowe mieszanki. I syropy, maści... Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jaka jest receptura... o, na przykład tego? –

podniosła małą buteleczkę i obejrzała ją pod światło.

– To syrop z pokrzywy – poinformowałam panią Wernak. – Skuteczny na odporność i anemię. Nie ma w nim nic szczególnego. Jest przygotowany na bazie świeżych listków pokrzywy, wody i cukru. Może stać przez cały rok. Potem niestety straci ważność.

– Cudownie. A to? – pokazała słoiczek.

– Ach, to maść stokrotkowa. Mam zaledwie kilka słoiczków. Przygotowana na maceracie ze stokrotek i wosku pszczelim, który kupiłam u lokalnego pszczelarza. Maść jest dobra na siniaki i stłuczenia, ale lepiej nie nakładać jej na otwarte rany.

– Widzę, że zna się pani na tym doskonale. Pani mąż bardzo zachwalał te produkty. Czy możemy się umówić na stałe dostawy? W tym tygodniu przyślę samochód po odbiór. Zgadza się pani? Byłaby to stała umowa.

– Ależ tak, oczywiście! Naprawdę się cieszę.

Bożena Wernak pożegnała się serdecznie i Abraham, który w czasie naszej rozmowy zaprzął konia do sań, odwiózł ją na przystanek. Miałam więc czas, żeby pozbierać myśli i przyjąć jakąś sensowną strategię porozumienia z mężem. Z wczorajszych i porannych emocji nie zostało śladu, mogłam więc potraktować wszystko na chłodno. Szykowałam właśnie śniadanie, gdy usłyszałam, że wrócił. Właściwie nie wiedziałam, czy powinnam mieć pretensję, czy raczej okazać mu wdzięczność. Nie przewidziałam, że rozmowa potoczy się swoim własnym torem i nie będzie zależała ode mnie. Abraham rzucił palto na oparcie krzesła, podbiegł do mnie i chwycił mnie w ramiona.

– Naprawdę martwiłaś się o mnie? Moja najdroższa! – zawołał tuląc mnie mocno.

Na początku spięta, tajałam w jego objęciach. Wtuliłam twarz w pachnące mroźnym powietrzem włosy Abrahama i rozbeczałam się jak dzieciak. Długotrwałe napięcie wzięło górę. Chlipałam, nie mogąc się uspokoić.

– Już dobrze, skarbie, już dobrze – szeptał gładząc mnie wielkimi łapskami po plecach. – Nie płacz, jestem przecież. Martwiłaś się o mnie... Tak się cieszę, że się martwiłaś...

Odepchnęłam go gwałtownie.

– Co ty mówisz?! – zawołałam wycierając łzy. – Ja umieram ze strachu, a ty się cieszysz? Skąd wzięłaś tę kobietę?

– Juliano, uspokój się... Pani Bożena przyjechała ze mną z Warszawy – wyjaśnił.

– Byłaś w Warszawie?! – zawołałam oburzona.

– Tak. Szukałem kogoś takiego, jak ona, przez cały dzień.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo... Chciałem, żebyś umierała ze strachu o mnie.

– Jak mogłeś?! Wiesz, co ja przeżywałam?

– Wiem. Ale musiałem tak zrobić. Inaczej nigdy nie zrozumiałabyś, że jesteśmy sobie potrzebni. Że nie tylko ja kocham ciebie, ale również ty...

Spojrzałam mu w oczy. Było w nich tyle szczerości, że pokonana przyznałam:  
– Tak. Masz rację. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.



## 18

Jaskółki budują gniazda pod okapem – zauważył Abraham, kiedy przysiedliśmy na rzuconych pod drewnię pniakach. – To dobrze. Podobno przynoszą szczęście. Chociaż mnie kojarzą się raczej z deszczem.

– Z deszczem?

– Tak. Wtedy nisko latają.

– To ze względu na owady.

– Wiem przecież.

– Mnie się kojarzą z elegancją, a konkretnie – z męską elegancją. Z frakiem.

– O, właśnie! Przypomniałaś mi...

– O czym?

– O tym, że za tydzień jedziemy do Warszawy. Na to spotkanie, wiesz...

– No wiem, ale co do tego mają jaskółki?

– Nie chodzi mi o jaskółki, tylko o tę elegancję. Co mam założyć? Garnitur?

– No pewnie, że garnitur. Jestem pewna, że jej mąż też będzie w garniturze.

– A krawat?

– Obowiązkowo. Krawat też... Mam tremę przed tą rozmową. Może chcą zrezygnować ze współpracy?

– Nie wiem. Może chcą nas po prostu bliżej poznać.

– Może.

Przez tydzień zastanawialiśmy się, w jakim celu państwo Wernak zaprosili nas do Warszawy. Z jednej strony cieszyłam się. Nigdy nie byłam w stolicy, do której wybierałam się przecież od czasów dzieciństwa.

– Abraham – zapytałam wtulona w jego ramię ostatniego wieczoru przed wyjazdem – może znajdziemy czas, by udać się do Konstancina i odnaleźć wreszcie rodzinę mojej matki?

– Nie sądzę – odparł. – Pamiętaj, że zostawiamy całe gospodarstwo bez opieki.



Musimy wrócić jak najszybciej. I tak będę się zamartwiał. Nie zamierzam zabawić tam dłużej niż jeden dzień.

– Szkoda – mruknęłam, ale rozumiałam go doskonale. Ja też się martwiłam, czy poproszony o pomoc sąsiad na czas wydoi nasze krowy i zapędzi drób w kurniku.

– Może jednak pojedziesz sama? – po raz kolejny zadał mi to pytanie. – Byłbym spokojniejszy.

– Byłbyś spokojniejszy o zwierzęta. A o mnie? Nie znam Warszawy. To duże miasto. Nie mam pojęcia, jak się po nim poruszać. I gdzie jest ta cała Kameralna?

– Kameralną wskaże ci każdy warszawiak. To najpopularniejsza restauracja. Cała literacka śmietanka tam się schodzi.

– Skąd wiesz?

– A, to jeszcze ze studenckich czasów... koledzy opowiadali.

– Nie, nie chcę jechać sama. Poza tym może trzeba będzie podjąć jakąś decyzję. Wolałabym z tobą.

– Dobrze, dobrze. Pojedziemy razem. Śpij.

Po podróży z dwiema przesiadkami, na miejscu byliśmy późnym popołudniem. Śpieszyliśmy się, więc postanowiliśmy wziąć taksówkę. Nie było to wcale takie proste. Taksówek jak na lekarstwo, a kolejka długa. Na szczęście jeden z kolejkowiczów objaśnił nam, jak najłatwiej dotrzeć do ulicy Foksal, i ruszyliśmy piechotą. Gdy przybyliśmy do Kameralnej, pani Wernak wraz mężem już na nas czekali.

– Przepraszamy za spóźnienie. Niełatwo dojechać tutaj z naszej wsi – tłumaczył się Abraham po powitaniu i prezentacji. Cieszyłam się, że poradziłam Abrahamowi włożenie garnituru, bez którego nie zostałby wpuszczony do środka.

– Proszę spojrzeć, pani Juliano – nachyliła się do mnie pani Bożena i dyskretnie wskazała stolik pod oknem. – Hańcza i Fijewski tam siedzą. Widzi pani?

– A kim oni są? – zapytałam przyglądając się mężczyznom.

– No, jak to? – zdumiała się. – Aktorami! Bardzo popularnymi ostatnio.

– Przykro mi... Nie bywam w teatrach. Zwłaszcza warszawskich – powiedziałam i zarumieniłam się z zażenowania.

– Ależ w telewizji można ich zobaczyć!

– Nie mamy jeszcze telewizora.

– Ach, rzeczywiście... na wsi trudniej. Przepraszam.

Kelner przyniósł karty i ukłonił się z szacunkiem. Dostrzegłam grymas na twarzy Abrahama i dyskretnie kopnęłam go pod stołem. Pan Wernak chyba też coś zauważył.

– Ja zapraszam – oznajmił z lekkim ukłonem. Paliłam się ze wstydu.

Po obiedzie, przy lampce znakomitego białego wina i pucharku lodów z bitą śmietaną pani Bożena przeszła do sedna sprawy, czyli powodu, dla którego się spotkaliśmy.

– Pani Juliano – tu zwróciła się wyłącznie do mnie. – Rozmawiam z panią jako fachowcem, jeśli chodzi o przetwarzanie ziół... Nawiasem mówiąc, jakie jest pani wykształcenie?

– Średnie.

– Tak, tak, rozumiem, ale w kierunku ziołolecznictwa. Skończyła pani jakąś szkołę? Może kursy?

– Nie.

– A z jakich źródeł pani korzystała uzyskując takie doświadczenie?

Matko święta, co ja jej mam powiedzieć – myślałam gorączkowo – że uczyłam się u szeptuchy?

– To... tradycja rodzinna. Wiedzę przekazała mi matka.

– Niewiarygodne... Muszę pani powiedzieć, że produkty pani mają niezwykle powodzenie. Oczywiście nie korzystaliśmy tylko z pani usług. Zioła dostarczali nam też inni dostawcy, ale był to jedynie susz do tworzenia z nich mieszanek. Postanowiliśmy jednak oprzeć się głównie na pani wyrobach. Chcemy zwiększyć ilość zamawianego towaru. Znacznie zwiększyć. Chodzi o to, że pani nie podoła tak dużym zamówieniom. Nawet przy pomocy męża – spojrzała na Abrahama i uśmiechnęła się wymownie. – Poza tym, przy produkcji tych preparatów wymagana jest wysoka higiena pomieszczenia, w którym się ona odbywa. Ja rozumiem, że dba pani o czystość, ale nie daj Boże ktoś zechce to skontrolować... Wie pani, jak to jest. Zaraz nałożą wysokie kary i zabronią.

– Rozumiem. Ale do czego pani zmierza?

– Chcę otworzyć laboratorium i uczynić panią jego... no, jakby to powiedzieć... szefową.

– Jak pani to widzi?

– Laboratorium nie będzie duże. Zatrudnię tam niewielką ekipę do produkcji. Pani odbędzie z nimi szkolenia, to znaczy nauczy ich pani procesu wytwarzania tych preparatów i będzie doglądać produkcji. Na początku musiałyby pani bywać częściej, wiadomo. Ale to kwestia czasu. Pracownicy nabiorą doświadczenia i nie będą wymagać pomocy i częstej kontroli. O opakowania też nie pani będzie się martwić. Wyznaczę odpowiedzialną za to osobę. To co, zgadza się pani?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wtrącił się Abraham.

– To nie jest taka prosta decyzja. Musimy się zastanowić.

– Ależ nad czym tu się zastanawiać! Pani Juliano, to jak?

– Mamy jeszcze inne obowiązki, gospodarkę – upierał się Abraham, nie dopuszczając mnie do głosu.

– Proponuję pani trzydzieści procent zarobku od sprzedaży gotowych produktów – trwała przy swoim pani Wernak. – Na razie – dodała napotkawszy pełen politowania wzrok swojego męża.

Pan Wernak chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale żona spiorunowała go wzrokiem.

– Przemyslimy to, dobrze? W ciągu tygodnia damy pani odpowiedź – powiedział Abraham i zaczął się zbierać. – Państwo wybaczą, niedługo odjeżdża nasz pociąg i musimy się pośpieszyć. Dziękujemy bardzo. Do widzenia.

Zdążyłam tylko kiwnąć głową i wstałam, ponaglana przez męża.

– Oszalałeś? – wyrzucałam Abrahamowi, biegnąc za nim truchtem. – Nie dopuściłeś mnie w ogóle do słowa. Nawet nie mogłam powiedzieć, że się zgadzam!

Zatrzymał się i spojrzał mi w oczy.

– A zgodziłabyś się?

– Oczywiście! Niepotrzebnie prosiłam cię, żebyś ze mną pojechał. Wszystko popsułeś.

– Aha, popsulem. No to rzeczywiście byłem ci zbędny – powiedział z sarkazmem i ruszył z miejsca w takim tempie, że znowu musiałam za nim biec. – Juliano, porozmawiamy w pociągu, dobrze?

– Wcale nie chcę z tobą rozmawiać. Po co się wtrącałeś? Ona chciała rozmawiać ze mną. I to mnie, nie ciebie pytała o zdanie.

– Wiedziała, co robi, cwaniara. Chodź szybciej. Musimy jeszcze kupić bilet.

W pociągu był tłok i stojąc na jednej nodze w korytarzu, nie sposób było przeprowadzić rozmowę. Przyjechaliśmy w środku nocy i tak, jak kiedyś, szesnaście kilometrów pokonaliśmy pieszo. Byłam obrażona i niewiele się odzywałam. Do rozmowy doszło dopiero rano przy śniadaniu.

– Wciąż się gniewasz? – zagaił Abraham.

– Mam wrażenie, że jesteś zazdrosny o moje sukcesy.

– A co nazywasz sukcesem?

– To, że ktoś mnie docenił.

– Ach, docenił. Można to tak nazwać. A teraz posłuchaj i na przyszłość dobrze się zastanów, zanim zgodzisz się na podobną propozycję. Nie jestem zazdrosny. Przeciwnie, chcę ci pomóc. Wiesz, dlaczego nazwałem ją cwaniarą?

– Skąd mam wiedzieć?

– Ile zarobku proponowała ci pani Wernak? Trzydzieści procent.

– Przecież powiedziała, że na razie.

– Na razie, bo potem nie da ci złamanego grosza.

– Dlaczego?

– Bo już nie będzie cię potrzebowała.

– Jak to?!

– Kochanie, przestań się na mnie oburzać. Nie będziesz jej już potrzebna, jeśli wyjawisz wszystkie tajemnice produkcji jej ludziom. Nauczą się robić maści i syropy i dalej poradzą sobie bez ciebie. Poznają wszystkie zioła, które wykorzystujesz, i sami

założą plantację. Albo kupią je taniej gdzieś w skupie. A ty znowu zostaniesz ze swoim polem i będziesz szukać klientów.

W duchu przyznałam mu rację.

– Co wobec tego proponujesz?

– Będziemy dalej dostawcami gotowych wyrobów, jeśli ona się na to zgodzi. Ale na większą skalę.

– Na większą skalę. Łatwo ci powiedzieć. Po pierwsze, kiedy mam to robić? W dodatku sama, bo przecież ty musisz zająć się gospodarką. A po drugie, słyszałeś, że ona chce produkty przygotowane w laboratorium, a nie w jakiejś wiejskiej kuchni.

– Sami zorganizujemy laboratorium.

– My! Laboratorium! Ciekawe za co?

– Za pieniądze z twojego spadku.

– Zwariowałaś? Nie mam żadnego spadku! Po kim niby? Masz na myśli leśną chatę w Bieszczadach? Nie mam żadnych dokumentów na to, że jest moja.

– Nawet nie pomyślałem o tej chacie. Mam na uwadze inny spadek.

– Jaki?

– W Konstancinie. Nie spodziewasz się chyba, że twoi dziadkowie jeszcze żyją. Został po nich dom, którego połowa należy do twojego wuja. Druga połowa należała się twojej matce. Ale ona umarła i ty jesteś jej jedyną spadkobierczynią.

– Abraham, nie wiadomo, czy ten dom jeszcze istnieje. Była przecież wojna, mógł zostać zburzony. A jeśli stoi, to na pewno mój wuj w nim mieszka, w dodatku pewnie z rodziną. Albo został przejęty przez państwo i zasiedlony obywatelami.

– To prawda, że domu może już nie być. O tym nie pomyślałem. Trzeba to sprawdzić. Jeżeli jednak jest, to czy mieszka tam wuj, czy nie, i tak połowa jest twoja. Niech cię spłaci.

– Przecież może nie mieć takich pieniędzy.

– No to będzie musiał sprzedać dom. Nie widzę powodu, dla którego miałabyś swoim kosztem robić mu prezent ze swojego majątku. Odzyskanie tych pieniędzy jest jedynym sposobem na posiadanie laboratorium. Musisz pojechać do Konstancina i wszystkiego się dowiedzieć.

– Ja?

– Tak. To przecież twój majątek i twój wuj. Ze mną nie będzie chciał rozmawiać.

– Nie, Abraham. Kategorycznie odmawiam. Ja tu zostanę na gospodarce. Jesteśmy w podobnej sytuacji. To znaczy ja, podobnie jak ty, nie znam adresu tego domu. Nie widziałam też wuja na oczy. Dam ci pełnomocnictwo na rozmowę w moim imieniu, nazwisko moich dziadków i wuja. Przecież ja nie będę miała sumienia wyrzucić go z tego domu, jeśli tam mieszka. Ty jesteś zupełnie obcy, łatwiej będzie ci z nim rozmawiać. Jedź sam i zorientuj się. Przede wszystkim dowiedz się, czy ten dom jeszcze stoi i czy jest nasz.

– Uważam, że powinnaś załatwić to sama.

– Przekonałeś się przecież, że w tych sprawach jesteś ode mnie mądrzejszy. Proszę, zrób to. Pojadę, jak już będziesz po wstępnej rozmowie. Proszę... Ja w tym czasie zajmę się tutaj wszystkim i nie będziesz musiał prosić sąsiadów o pomoc.

– No dobrze, pojadę. Pod warunkiem, że będziesz mnie za to bardziej kochać.

– Będę! Dziękuję!

Dwa dni później Abraham zostawiając mi tysiąc przykazań, udał się do Konstancina. Z niecierpliwością czekałam na jego powrót. Wrócił po dwóch dniach.

– Dom stoi – powiedział krótko. – Nie będzie łatwo – dodał i zamknął się w swoim pokoju.

Kiedy tam zajrzałam, spał jak zabity, nie zdjąwszy nawet butów. Zdjęłam je i przykryłam go kocem. Nie wiedziałam, gdzie spędził poprzednią noc, ale patrząc, w jakim jest stanie, nie sądziłam, że wuj zaproponował mu nocleg. Obudził się wieczorem i popijając gorące mleko, opowiadał.

– Ze znalezieniem twojego wuja nie miałem żadnego problemu. Jest znany w mieście. Jakiś mężczyzna wskazał mi ulicę, przy której mieszka Stanisław Brzeski. Drzwi otworzyła mi jego żona. Powiedziała, że męża nie ma w domu i nie chciała mnie wpuścić. Czekałem, spacerując po ulicy i przyglądając się budynkom w sąsiedztwie. Mniej więcej po godzinie przyjechał syrenką. Miał z sobą teczkę i wyglądał na urzędnika. Zaczepiłem go, kiedy zdążył wejść na teren posesji. Powiedziałem, że mam do niego sprawę. Nawet się nie zdziwił, jakby był przyzwyczajony do wizyt obcych ludzi. Tym razem żona nie wyrzuciła mnie, a nawet przygotowała herbatę. Zapytałem o jego rodziców i poprosiłem, żeby pokazał mi ich na zdjęciach, bo mam mu coś do powiedzenia. Użyłem tego podstępnie w obawie, że będzie chciał wyprzeć się siostry, a w albumie miałem szansę zobaczyć jej zdjęcie. Pokazał mi twoich dziadków. Zapytałem, kim jest dziewczyna stojąca między nimi. Wtedy odparł, że to jego siostra, chociaż on jej nie pamięta, ale matka mu o niej opowiadała. Stąd wie, że miała na imię Magdalena, ale pewnie nie żyje, bo słuch po niej zaginął. Wtedy mu powiedziałem, że zanim umarła, wyszła za mąż i urodziła córkę, w związku z tym połowa majątku po dziadkach należy się tobie. Wściekł się i powiedział, że nie ma zamiaru wierzyć w takie bzdury. Wyzwał mnie od oszustów i zagroził, że wezwie milicję, jeśli sam nie wyjdę. Wyszedłem, ale wcześniej zagroziłem sądem. A więc Juliano, przed tobą trudna walka. Trzeba będzie wytoczyć sprawę sądową. Inaczej nie wygrasz.

– Boże – westchnęłam – to bez sensu. Jak mam udowodnić w sądzie, że ja to ja? Nie mam przecież aktu urodzenia. Nawet w żadnym szpitalu nie poświadczą mojego przyjścia na świat. Urodziłam się w lesie i nie ma na to żadnych dokumentów. Żadnych dowodów!

– Wobec tego będziesz musiała sama pojechać i rozmówić się z wujem. Może jak cię zobaczy, to ustąpi. Chociaż nie liczyłbym na to.

– Pojadę! – powiedziałam z mocą.

Najbliższy termin musiałam jednak odłożyć. Przede wszystkim dlatego, że Abraham znowu wyjechał do Warszawy pertraktować warunki z panią Wernak, która ostatecznie zgodziła się na odbiór ziół według wcześniejszych warunków. Potem zaczęły się zbiory mniszka lekarskiego i młodej pokrzywy i trzeba było jeszcze świeże zioła wykorzystać na syropy. Zaraz po nich zbierałam kwiaty czarnego bzu, podbiał i babkę lancetowatą. Wciąż miałam ręce pełne roboty i sprawę spadku odkładałam z dnia na dzień. Pod koniec maja miała ocielić się krowa i nie chciałam zostawiać z tym samego Abrahama. Dopiero w czerwcu znalazłam chwilę czasu i zdecydowałam się na wyjazd do Konstancina.

Niestety musiałam pojechać tam sama. Trzymając w ręku w adres, szłam ulicami tego specyficznego miasta z duszą na ramieniu. Nie miałam pojęcia, jak mnie przyjmie zaledwie trzy lata starszy ode mnie wuj.

Dom był zamknięty na cztery spusty. Czekałam pod nim dość długo, ale nikt się nie pojawił. Zniecierpliwiona zaczęłam kobietę z sąsiedztwa.

– Przepraszam, czekam na Stanisława Brzeskiego. Nie wie pani, czy nigdzie nie wyjechał?

– Ależ wyjechał! Na stałe. Wyprowadził się do Warszawy.

– A... ten dom?

– Sprzedał. Ale może się pani z nim zobaczyć. Pracuje w Konstancinie. Zaraz zapiszę pani adres.

Kobieta zniknęła w budynku, by za chwilę pojawić się z kartką, na której widniał potrzebny mi adres.

– On ma tam gabinet lekarski – wyjaśniła i spojrzała na zegarek. – Musi się pani pośpieszyć, bo niedługo zamyka.

– Dobrze, dziękuję.

Poszłam pod wskazany adres. Gabinet wuja znajdował się w prywatnej willi i już z daleka dostrzegłam tabliczkę z jego nazwiskiem. W korytarzu była poczekalnia. Ponieważ z gabinetu dochodziły jakieś głosy, usiadłam na jednym z krzeseł. Wychodząca stamtąd kobieta obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem.

– Za późno – poinformowała mnie. – Doktor Brzeski już dziś nie przyjmuje.

– Wiem, to prywatne spotkanie – wyjaśniłam.

– Doktorze, ktoś tu do pana – powiedziała przez uchylone drzwi i stukając obcasami wyszła z budynku.

Czułam, jak poca mi się ręce. Czekala mnie trudna rozmowa, jeśli Stanisław w ogóle zechce ze mną rozmawiać. Nagle drzwi otworzyły się szeroko.

– Słucham – zaczął i zamilkł. Wyglądał, jakby zobaczył zjawę.

Zerwałam się z miejsca. Nie! To nie mogła być prawda! Zacisnęłam powieki i czekałam, aż koszmar minie.

– Nie wierzę – szepnął. – Nie wierzę.

Ja też nie wierzyłam. Przede mną stał upiorny doktor, zhora makabrycznych snów, prześladowca, który chciał wtrącić mnie do więzienia. Stałam sparaliżowana, niezdolna do żadnego ruchu.

– To pan jest Stanisław Brzeski? – zapytałam ledwo poruszając drżącymi z nerwów wargami.

– Tak – odparł, powoli odzyskując pewność siebie. – Stęskniłaś się, ślicznotko? – zapytał i roześmiał się szyderczo.

– Jestem córką pańskiej siostry, Magdaleny.

Zbladł i zachwiał się na nogach, ale po chwili opanował się na tyle, żeby roześmiać się szyderczo:

– Bzdura! Nie mam żadnej siostry! Niezła sztuczka!

Czułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Tym razem nie ze strachu, tylko z trudnej do opanowania furii.

– Ty parszywy gnoju! – wysyczałam. – Magdalena ci tego nie wybaczy.

Odwróciłam się na pięcie i wybiegłam, hamując łzy wściekłości.

Juliana wstała ze swojego fotela, otworzyła szufladę komody, wyjęła z opakowania małą pastylkę i połknęła ją, popijając wodą.

– Wybacz, jeszcze dzisiaj kiedy o tym pomyślę, nie mogę nad sobą zapanować – powiedziała. – Stanisław pożył jeszcze kilka lat, potem umarł na zawał. I jestem pewna, że moja matka maczała w tym palce.

– A co z majątkiem? – zapytał Adam. – Udało się pani odzyskać swoją część?

– Nigdy. Stanisław sprzedał dom i zamieszkał wraz z żoną i córką w Warszawie. Pewnie się domyślasz, że nie szukałam go więcej. Zrobił mi ogromną krzywdę nie tylko pozbawiając mnie mojej części spadku, ale też wcześniej, wpędzając w ogromny stres. Nie zapomnij, że prześladował mnie, molestował, śledził, oskarżał o szarlatanerię, hochsztaplerstwo, donosił i niemal doprowadził do osadzenia mnie w więzieniu. A na koniec okradł, bo jak inaczej nazwać to, że sprzedał dom i nie podzielił się ze mną uzyskanymi za niego pieniędzmi? Nigdy nie poznałam jego żony ani córki, która była matką Teofili. Po całym majątku ze sprzedaży domu zostało tylko to mieszkanie, w którym ona mieszka. A ja? Cóż. Nawet gdybym chciała walczyć, nie miałam możliwości dochodzić swego. Nie zapominaj, że to dawne czasy i nie można było, tak jak dzisiaj, zbadać kodu DNA, żeby udowodnić więzy rodzinne. Kwestie własności majątku też traktowane były inaczej. Stanisław się wypierał, a ja nie miałam żadnych dokumentów potwierdzających moją tożsamość. Musiałam poradzić sobie w inny sposób.

– A jak?

– Znowu pomógł mi przypadek, łut szczęścia albo... moja matka, Magdalena.

Do domu wróciłam cała roztrzęsiona. Kiedy opowiadałam o tym Abrahamowi, musiał parzyć melisę i trzymać mnie bardzo mocno w ramionach, żebym się uspokoiła. Dygotałam z wściekłości.

– Juliano, uspokój się. Poradzimy sobie inaczej – mówił, kiedy szlochałam w jego ramię. A ja nie płakałam z żalu za utraconymi pieniędzmi. Płakałam ze złości, że jestem bezradna wobec takiego drania i nie mogę go w żaden sposób ukarać. Z każdą minutą rosła we mnie nienawiść i żądza zemsty. Gdyby nie Abraham, który robił wszystko, żeby ukoić moje nerwy, nie wiem, na co byłoby mnie stać.

Mój mąż dniami i nocami myślał, jak zdobyć pieniądze na laboratorium. W końcu oświadczył:

– Nie ma innego wyjścia. Trzeba zastawić dom.

– Oszalałeś! Jak to zastawić?

– Spytamy się w banku.

– A jeżeli nie uda się nam zarobić na tych ziołach? Stracimy dach nad głową.

– Uda się. W życiu trzeba ryzykować, inaczej niczego się nie zyska. Pojedziemy jutro do Olsztyna. Do banku. Nie ma na co czekać. Przy okazji wstąpię do stacji hodowli zwierząt i dowiem się, czy są prosięta.

– Znowu prosięta?

– Nasze są już duże, trzeba sprzedać.

– Dobrze, w takim razie ja w tym czasie pójdę do apteki po glicerynę.

Po przyjeździe do Olsztyna najpierw każde z nas poszło załatwiać swoje sprawy. Kupiłam glicerynę i powędrowałam w stronę banku, gdzie miałam czekać na męża. Byłam zamyślona i pewnie dlatego nie zauważyłam, że ktoś z uśmiechem podąża w moim kierunku. Zobaczyłam go w ostatniej chwili, kiedy stał już przede mną.

– Antoni?! – zdumiałam się. – Myślałam, że wyjechałeś!

– Wyjechałem, wyjechałem... – powiedział ze śmiechem i uściskał mnie serdecznie.

– Na razie do Gdańska. Zawsze to bliżej zachodniej granicy, prawda? No, a co tam u ciebie? Czekalaś na mnie?

– Wyszłam za mąż. Mieszkam teraz na wsi.

– Zawsze ciągnęło cię do natury... – zauważył smętnie. – Ledwo wyjechałem, a ty natychmiast się pocieszyłaś.

– Bądź sprawiedliwy, nie ubolewałam za tobą tak bardzo.

– Wiem, wiem. Niestety.

– Przyjechałeś w interesach?

– Można to tak nazwać. Chcę sprzedać swój zakład fotograficzny. Raczej tu nie wrócę i nie jest mi do niczego potrzebny.

– Dużo dałabym za taki zakład... – westchnęłam.

– Porzuciłaś swoje zioła i zajęłaś się fotografią? – zdziwił się szczerze.

– Nie, wręcz przeciwnie. Rozwijam ziołowy interes. Właśnie po to przyjechałam do



Olsztyna. Musimy zastawić dom.

– No, to ładnie ci idzie ten interes. Rzeczywiście – zakpił.

– Potrzebny mi budynek na laboratorium. Nie mogę w domu robić preparatów z ziół na większą skalę.

Antoni zamilkł i przez chwilę przyglądał mi się z zastanowieniem.

– Wiesz – powiedział w końcu – ja nie muszę sprzedawać swojego zakładu. Możesz przerobić go sobie na laboratorium.

– Naprawdę, wynająłbyś mi go? – zapytałam z niedowierzaniem.

– E tam, wynajął. Korzystaj sobie z niego, skoro ci potrzebny.

– Antoni... Z nieba mi spadłeś!

– Spadłem ci już dawno, tylko nie raczyłaś tego zauważyć – mruknął z sarkazmem. Przemilczałam tę uwagę. – No to jak? Chcesz klucze? Powiem szczerze, że pozbyłbym się kłopotu.

– Tak! Oczywiście, że chcę klucze. Tylko... Muszę ten lokal trochę przerobić.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Oczywiście, Juliano.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować. Uratowałeś nas.

– Nie przesadzaj, pożyczka to jeszcze nie strata. A czy to nie twój mąż zbliża się do nas?

– Tak, to on.

Abraham już z daleka wyglądał na niezadowolonego. Prawdopodobnie nie podobało mu się, że rozmawiam z obcym mężczyzną.

– Dzień dobry – przywitał Antoniego półgębkiem. – Chodźmy, Juliano. Nie mamy za wiele czasu. W banku pewnie będzie kolejka.

– Zaczekaj! – zawołałam radośnie. – Poznaj Antoniego.

Abraham niechętnie uściśnął rękę Antoniego i spojrzał na mnie pytająco.

– Nie uwierzysz, jakie mamy szczęście – zaczęłam, ale Antoni mi przerwał.

– To wy sobie porozmawiajcie, ja natomiast mam do załatwienia jeszcze kilka spraw. Żegnaj pana – zwrócił się do Abrahama, następnie nachylił się nad moim uchem i szepnął: – Nadal kocham.

Potem odszedł, nie oglądając się za siebie.

– Możesz mi o tym szczęściu opowiedzieć w drodze do banku? – zapytał kwaśno Abraham. – To, że nadal kocha, już wiem.

A więc usłyszał.

– Och, nie bierz tego poważnie – starałam się zbagatelizować sprawę. – Posłuchaj lepiej, co nam zaoferował.

– Nam?

– No tak. Zaproponował użyczenie lokalu na laboratorium. Nie musimy zastawiać domu.

– Zgodziłaś się?

– Mam klucz!



## 19

Juliana skończyła na dziś. Adam schodząc po schodach nasłuchiwał pilnie odgłosów z pokoju Joanny. Prócz muzyki nie słyszał jednak żadnych dźwięków. Joanna mogła być sama, ale równie dobrze mogła spędzać czas z tym mężczyzną, który go tak zaniepokoił. Jeśli on tam jest, a zachowują się tak cicho, to co robią? Ostra szpileczka ukłuła go w samo serce. Stał przed wyborem: pójść do domu i przeżywać męczarnie zazdrości, czy wtargnąć do pokoju Joanny i przekonać się na własne oczy, co tam się dzieje. Może jeszcze zapukać i poczekać na zaproszenie, bez pewności, że nie odejdzie z kwitkiem. Zapukał.

– Proszę – usłyszał głos Joanny.

Zastał ją przy pakowaniu rzeczy do małej walizeczki.

– Wyjeżdżasz? – rozczarowanie w jego głosie rozbawiło Joannę.

– Ciągle wyjeżdżam. Taką mam pracę.

– Nie przeszkadzam ci?

– Nie. Już kończę. W pakowaniu osiągnęłam mistrzostwo.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o tym. Czym właściwie się zajmujesz?

– Jestem tłumaczem dla firm. Znam kilka języków, dlatego tak często podróżuję. Czasem tłumaczę teksty. Wtedy pracuję w domu. Ale najczęściej są to jakieś negocjacje. Niedawno musiałam być z klientem w szpitalu. Miał jakieś sprawy we Włoszech i zachorował. Zabrali go do szpitala, a ja będąc w pracy, musiałam być przy nim. Tłumaczyłam mu to, co ustalili lekarze. Czasem muszę być na przyjęciach, bankietach, tak jak ostatnio.

– Jesteś prześliczną tłumaczką. Klienci nie zakochują się w tobie?

– Jeden po drugim – roześmiała się.

– Tak właśnie myślałem. A ten... ten, co był tu dzisiaj...

– Jutro wyjeżdżam z nim do Lwowa. Omawialiśmy jakieś sprawy budowlane. Nie lubię tłumaczyć takich technicznych rozmów.

- Szkoda, że nie mogę pojechać z tobą.
- Musiałbyś zatrudnić mnie w charakterze tłumaczki.
- Wolałbym prywatny wyjazd. Miewasz czasem urlop?
- Czasem. Rzadko i krótki.
- To może chociaż teraz przesłabyś się ze mną na spacer – zaproponował.
- Teraz? Jest już zupełnie ciemno!
- No to co? Przecież będziesz ze mną.
- Dobrze. I tak miałam wyjść z psem. Ale nie pójdziemy daleko. Jutro muszę bardzo wcześnie wstać.

Powietrze było rześkie. Joanna wzdrygnęła się, ale nie chciała wrócić po coś cieplejszego.

– Za chwilę wracamy, nie ma sensu – powiedziała, odpinając psa ze smyczy. Wanilia natychmiast skorzystał z wolności i czmychnął w krzaki. – Wróci – stwierdziła uspokajająco, widząc zaniepokojony wzrok Adama.

- Kiedyś nie wrócił – przypomniał jej.
- Tak, ale to była sprawka mojej babki, Magdaleny – oznajmiła z przekonaniem.
- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?
- Oczywiście. Musiała naprowadzić cię na ślad mojej matki. Wymyśliła więc sobie, że zrobi to za moim pośrednictwem, a właściwie mojego psa.
- Gdyby tu była, podziękowałbym jej. Za Julianę i za ciebie.
- Podziękuj. Na pewno kręci się gdzieś tutaj. Najpierw pilnowała mojej matki, a teraz mnie. Bardzo często czuję jej obecność.
- Żartujesz, Joanno, prawda? – zapytał i mimowolnie rozejrzał się wokół.
- Nie. Wcale nie żartuję – odparła poważnie. – Najbardziej nie lubię, kiedy uważa, że robię coś głupiego. Wtedy się denerwuje.
- Jak to denerwuje?

Po plecach Adama przebiegł dreszcz. Sam doświadczył obecności Magdaleny i nie wspomina tego dobrze. Była bezwzględna.

– Zwyczajnie – powiedziała Joanna. – Na przykład zrzuca filiżankę ze stołu. Tak ni stąd, ni zowąd stojąca na stole filiżanka spada. Albo przewraca się książka na półce. Przyzwyczaiałam się do tego. Wtedy mówię: „Dobrze, babciu, nie zrobię tego” albo: „Babciu, wiem, co powinnam zrobić, nie przeszkadzaj mi w tym”. I wiesz, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze? Jeśli jej nie posłucham, zawsze przydarzy mi się jakaś nieprzyjemna przygoda.

- Powinnaś więc jej słuchać – poradził.
- Wiem, chociaż często wydaje mi się to absurdalne. Ale doceniam jej opiekę.
- To jest niezwykle. Naprawdę niezwykle – rzekł Adam i pokręcił głową.
- Wracajmy – zaproponowała. – Muszę się wyspać.
- Ech, kiedyś nie pozwolę ci się wyspać – rozmarzył się.

Nie skomentowała jego słów, tylko spojrzała na niego z ukosa. Szli w milczeniu. Dopiero pod drzwiami zapytała:

– No, a jak twoja Toffi?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Czyż nie dał jej do zrozumienia, że czas Toffi minął? I że teraz ona, Joanna, się liczy?

– Toffi nie jest moja. To już przeszłość.

– Tak? Nie wiedziałam o tym – powiedziała i gwizdnęła na psa.

Adam nie miał odwagi pocałować jej dziś na pożegnanie. Była zimna jak kawałek lodu. Nie rozumiał jej. Skoro wiedziała o istnieniu Toffi, dlaczego go tak czarowała? Nie, stanowczo jej nie rozumiał. Poczł się bardzo niepewnie. Czy uda mu się ostatecznie zdobyć tę niezależną kobietę?

Następnego dnia koło południa zadzwonił naczelny.

– Poszło – zakomunikował. – Ukaze się w trzech kolejnych numerach. Czy ona umarła?

– Kto? – zdumiał się Adam.

– Bohaterka twojego reportażu.

– Dlaczego pan pyta?

– Bo opowiadanie urwało się na latach... czekaj... sześćdziesiątych chyba.

– Nie. Nie umarła. Żyje.

– To dawaj dalsze losy. Czytelnicy to łykną.

– Dobrze, panie redaktorze – ucieszył się.

– No to do zobaczenia, trzymaj się.

– Do widzenia.

Wieczorem już nie dla samej przyjemności, ale z polecenia służbowego odwiedził Julianę.

– Na czym skończyliśmy? – zapytała.

– Na spotkaniu Antoniego i przekazaniu przez niego klucza do zakładu fotograficznego.

– Ach tak, rzeczywiście. No to słuchaj dalej:

To był bardzo trudny dla nas okres. W zakładzie Antoniego trwały prace remontowe i trzeba było doglądać robotników. W przeciwnym wypadku upijali się tylko, a robota stała w miejscu. Zdarzało się, że nie pojawiali się w ogóle. Musiałam zostawiać swoją pracę i jeździć do Olsztyna. To z kolei opóźniało zbiory ziół, dezorganizowało prace na gospodarstwie i wywoływało kłótnie z Abrahamem, którego zostawiałam samego z całym obrządkiem. W rezultacie nic nie szło tak, jak powinno. Bywały dni, w których miałam ochotę rzucić to wszystko i uciec, gdzie pieprz rośnie. Z rozrzewnieniem wspominałam poszukiwanie ziół po łąkach i przyjemność w przygotowaniu jednej czy dwóch butelek nalewki. Teraz praca okazała się kieratem, dotrzymywaniem terminów

i obawą, że z czymś nie zdążę i poniosę stratę. A na straty nie mogłam sobie pozwolić. Musiałam opłacić robotników i materiały potrzebne do remontu. A jeszcze czekało mnie wyposażenie laboratorium w niezbędne sprzęty i drżałam na myśl, że nie wystarczy mi pieniędzy. Zwiększyłam ilość sprzedawanego nabiału kosztem tego, co powinno zostać w domu, i Abraham miał nowy powód do kręcenia nosem. Poza tym on chciał syna. Na tym tle najczęściej wybuchały konflikty.

– Abraham, nie teraz – perswadowałam. – Niech się to uspokoi, ustabilizuje. Wyobrażasz sobie w tym wszystkim dziecko?

– Aha – ripostował – czyli wtedy, gdy będę dużo starszy i kiedy zabraknie mi sił. Wtedy zamiast liczyć na pomoc syna, będę zajmował się niemowlęciem, tak?

– Ach ty, z tymi swoimi zasadami, skrupulatnością: teraz ślub, teraz żniwa, teraz syn... a nie przyszło ci do głowy, że mogłaby urodzić się dziewczynka?

– Kochanie, dziewczynka też się przyda – roztkliwił się i patrzył na mnie z miłością.

Ale ja byłam zajęta. Byłam najbardziej zajęta kobietą na świecie. Przynajmniej takie odnosiłam wrażenie, miotając się między kurami, krowami, pacjentami, robotnikami, targiem, ziołami i coraz częściej nadąsanym Abrahamem. W końcu uprosiłam Leszka, by czasem zajrzał do zakładu, i zajęłam się gospodarstwem oraz domowym „laboratorium”. Pani Wernak czekała na dostawę i nie mogłam się spóźnić. Pod koniec remontu zabrakło środków na opłacenie robotników i mój mąż musiał sprzedać jałówkę. W rezultacie całe wyposażenie organizowałam dopiero zimą, by na wiosnę ruszyć z produkcją. Trzeba przyznać, że Abraham bardzo mi pomagał, choć zrzędził i kręcił nosem na moje pomysły. Wczesną wiosną cztery kobiety z wioski zbierały pierwsze zioła z mojej niewielkiej plantacji, ja zaś w tym czasie szkoliłam pięcioro młodych ludzi, których podsunął mi Leszek. Byli to absolwenci szkoły rolniczej, którzy dotąd nie znaleźli dla siebie pracy. Za pieniądze uzbierane ze sprzedaży nabiału zakupiłam odpowiednie opakowania i moja pierwsza firma rozpoczęła działalność. Gotowe wyroby magazynowaliśmy w byłej ciemni, gdzie nie dochodziło światło i było chłodniej niż w pozostałych pomieszczeniach. Po pierwszej dostawie towaru dla pani Wernak wypłaciłam pieniądze pracownikom i zostałam bez grosza. Musiałam prosić Abrahama o pożyczkę na nowe opakowania.

– Widzę, że ten twój interes nie jest trafiony. Nie przynosi zysków. Wręcz przeciwnie. Poza tym wciąż nie ma cię w domu. Nawet na targ przestałaś jeździć. Uważam, że to, co robisz, odbywa się zbyt dużym kosztem – stwierdził zniechęcony, ale pieniądze pożyczył.

Tak, to prawda. Ostatnio poświęcałam się jedynie ziołom. Abrahama prawie nie widywałam. Bardzo mu współczułam, że nie ma we mnie wsparcia w gospodarstwie, ale wierzyłam, że to kwestia czasu i doświadczenia. Potem wszystko się ustabilizuje i nie będę musiała wciąż jeździć do Olsztyna. A poza tym... Poza tym taki był mój

plan, taki założyłam sobie warunek poślubienia Abrahama. W tym planie nie przewidziałam jednak, że pokocham mojego męża i przy umykaniu do własnych pasji będą nękać mnie wyrzuty sumienia, iż zostawiam go samego z całą resztą pracy, że między nami stanie problem powiększenia rodziny i że będę potrzebowała Abrahama. Rozdarta pomiędzy tym, co muszę, a tym czego pragnę i tym, czego nie mogę, popadałam w coraz większe frustracje. Borykałam się z brakiem czasu i ciągłym brakiem pieniędzy. Moje myśli krążyły wokół firmy i poszukiwania optymalnych rozwiązań dla jej funkcjonowania. Coraz częściej odrzucałam czułości Abrahama, nie zdając sobie sprawy z tego, że powoli zabijam nasz związek.

Pewnego sobotniego wieczoru, gdy wreszcie znalazłam czas dla męża, postanowiłam przygotować jego ulubioną potrawę. Wyciągnęłam nalewkę, którą postawiłam na stole. Abraham kręcił się po podwórku, potem po domu i byłam przekonana, że zauważył te moje zabiegi. Jeszcze większej pewności co do tego nabrałam wtedy, gdy wszedł do łazienkowego kącika w kuchni i odświeżał się, parskając i chlapiąc dokoła. Poczułam zapach wody kolońskiej, której używał przy wyjątkowych okazjach. Stałam przed lustrem i poprawiłam włosy. Uznałam, że sukienka, którą mam na sobie, jest wystarczająco elegancka na kolację w domu. Jakież było moje zdumienie, gdy Abraham włożył garnitur. Nie skomentowałam tego, ale uważałam, że przesadził. Z drugiej strony cieszyłam się, że kolacja ze mną jest dla niego tak ważnym wydarzeniem. Usiadłam przy stole, czekając na niego. Wtedy on założył buty i wyszedł. Byłam tak zaskoczona, że przez moment siedziałam jak słupek soli. Dopiero po chwili zerwałam się z miejsca i tak, jak stałam, wybiegłam za nim. Był już na drodze prowadzącej do wsi.

– Abraham! – zawołałam. – Abraham, dokąd idziesz?! – Przystanął, ale nawet się nie obejrzał. Stał na drodze i czekał, aż do niego podejde. – Dokąd ty idziesz? Nie zauważyłaś, że przygotowałam kolację? Dlaczego się nie odzywasz? – pytałam, szukając jego wzroku. Po wyrazie twarzy skonstatowałam, że nie był przyjaźnie nastawiony.

– Doprawdy, Juliano, twoja beztroska jest irytująca. A dobrze wiesz, jak nie lubię być ignorowany – powiedział zdenerwowanym głosem.

– O czym ty mówisz?

– W poniedziałek zostaliśmy zaproszeni na imieniny do organisty. Mówiłem ci o tym i zgodziłaś się na nie pójść. W czwartek, przed pójściem spać, przypomniałem ci o tym. Powiedziałaś, że pamiętasz i żebyś dał ci spokój. Dzisiaj zignorowałaś mnie i nasze plany, więc postanowiłem pójść sam. I tak coraz częściej organizujesz sobie życie beze mnie.

– Boże, Abraham... Zapomniałam! Naprawdę zapomniałam! Przepraszam. Mam tyle na głowie...

– No właśnie, masz tyle na głowie. Będiesz więc miała teraz trochę czasu, żeby

przemyśleć, co jest dla ciebie najważniejsze. Idę. Jestem już spóźniony – powiedział i zerknął na zegarek.

– Abraham, proszę, zaczekaj na mnie. To będzie trwało kwadrans.

– Nie znam kobiety, która zdążyłaby wyszykować się w kwadrans. Ale dam ci szansę. Zaczekam na ławce pod domem. Pamiętaj, że jeśli nie pojawisz się równo za piętnaście minut, pójdę sam.

– Kochany! Zdążę! – zawołałam z przekonaniem, cmoknęłam go w policzek i pobiegłam do pokoju. To, co zrobiłam z wnętrzem szafy, nie nadaje się do opowiadania. Ważne, że w piętnastej minucie stałam na baczność przed moim mężem.

– I to jest w tobie niezwykle – roześmiał się i pocałował mnie czule. – No dobrze, więc skoro wyglądasz tak pięknie, wróćmy do domu i zjedzmy pyszną kolację, którą przygotowałaś. Tym bardziej że pięknie pachnie.

– Nie idziemy do organisty? – zdziwiłam się.

– Jeśli mogę wybierać, wolę twoje towarzystwo niż jego. Poza tym tak rzadko masz dla mnie czas.

Serce ścisnęło mi się z żalu. Abraham nie zasłużył na ciągłe czekanie. Postanowiłam to zmienić.

Ekipa w laboratorium radziła sobie coraz lepiej, więc dogłądanie produkcji ograniczyłam do jednego razu w tygodniu. Wróciłam do sprzedaży nabiału na targu i spędzałam więcej czasu z Abrahamem. W wolnych chwilach eksperymentowałam z nowymi technologiami przygotowania maści ziołowych, ale także toników i kremów do twarzy. Moim ulubieńcem stał się krem z dzikiej róży, który przygotowałam na bazie macerowanych świeżych płatków róży, wosku pszczelego, oleju i wody. Podczas eksperymentów z tym nawilżającym kremem w całym domu pachniało olejkiem różanym aż do zawrotu głowy. Jednak pomysł był trafiony i krem zaczął robić furorę, zanim trafił do sklepu pani Wernak.

– Dlaczego nie założysz własnego sklepiku w Olsztynie? – zapytał któregoś dnia Leszek, wynosząc z mojego laboratorium pudło słoiczków z kremem dla znajomych pań.

– Nie wiem, czy wystarczy mi towaru na dwa sklepy. Poza tym nie mam czasu na to, żeby jeszcze handlować.

– A kto ci każe siedzieć w sklepie? Przecież możesz kogoś zatrudnić.

– Jeszcze jeden pracownik? Nie wystarczy mi pieniędzy na wypłaty.

– Nie pomyślałaś, że sklep będzie też na siebie zarabiał? Poza tym zastanów się, czy dostawy dla tej Wernak są dla ciebie opłacalne. Ona zwraca ci jedynie koszty produkcji, do tego dodaje minimalny procent z utargu. Mając własny sklep nie potrzebowałabyś jej pośrednictwa w sprzedaży. Zastanów się nad tym. Na razie radzę ci nie chwalić się przed nią kosmetykami, które produkujesz. Z powodzeniem



sprzedasz je sama.

- Ale gdzie mam je sprzedawać?
- Przypomnij sobie, gdzie Antoni zorganizował ci miejsce do handlu ziołami.
- W przedsionku swojego zakładu.
- Więc na początku zrób stoisko w przedsionku swojego laboratorium.

Leszek miał rację. Wyroby kosmetyczne sprzedawały się bardzo dobrze. Były świeże i aromatyczne. Zachęcona tym, spróbowałam jeszcze stworzyć krem z rumianku, bratków i nagietka. Nareszcie wpływy pokryły się z wydatkami, które ponosiłam, a po pewnym czasie mogłam już mówić o zysku.

Pani Bożena Wernak, która zwykle przysyłała po towar kierowcę, tym razem pofatygowała się do laboratorium osobiście. Szczęśliwie tego akurat dnia byłam na miejscu. Na widok małego stoiska z kosmetykami jej twarz poczerwieniała ze złości.

– A co to jest?! – wysyczała zjadliwie. – Dlaczego nie poinformowała mnie pani o nowych produktach?

– Nie miałam takiego obowiązku – odparłam spokojnie. – Zawarliśmy umowę na produkty lecznicze, nie upiększające.

– No tak. Rzeczywiście. To w takim razie proszę rozszerzyć tę umowę. Chcę to – wskazała palcem na kremy.

– Przykro mi. Mamy krótkie serie tych kremów ze względu na datę ważności.

– To niech pani zwiększy produkcję – zażądała wzruszając ramionami. – Powiedziałam, że chcę takie kremy.

– Nie – odpowiedziałam spokojnie, chociaż forma jej zamówienia była co najmniej niegrzeczna. Nie musiałam stosować się do jej życzeń. Poza tym irytowało mnie wścibstwo i wtrącanie się do spraw mojej firmy. Co miało oznaczać to „niech pani zwiększy produkcję”?

– Odmawia mi pani?

– Jak pani słyszy. I proszę nie dyktować mi warunków. Nie jest pani moją szefową.

– Uprzedzam, że mogę zakończyć współpracę z panią.

– Trudno.

– Niech się pani zastanowi. Zostanie pani z towarem.

– Proszę się o mnie nie martwić. I tak nie płaciła pani za ten towar regularnie. Nasza współpraca nie była zbyt miła. Nie życzę sobie również podejmowania za mnie decyzji, co mam produkować i w jakich ilościach.

– Pożaluje pani!

– Być może. Do widzenia.

Pani Wernak z wściekłością opuściła laboratorium. Obserwowałam przez okno, jak wsiadła do samochodu i z irytacją mówiła coś do swojego kierowcy. Nie żałowałam swojej decyzji. Jedyne, co powinnam teraz zrobić, to znaleźć odpowiedni lokal na sklep.

W domu opowiedziałam wszystko Abrahamowi. Wysłuchał z uwagą, po czym uznał moją decyzję za słuszną. W ciągu dwóch tygodni znalazłam odpowiedni lokal w starej kamienicy na parterze. Był usytuowany w ruchliwym miejscu Olsztyna, niedaleko dworca. Wszystkie oszczędności włożyłam w skromne wyposażenie sklepu. Towar dostarczał mi Abraham, dowożąc go na tym samym wózku, którym woziałam nabiał na targ. Wtedy pomyślałam o jakimś dostawczym samochodzie. W tej sytuacji był niezbędny. Zanim znalazłam odpowiednią ekspedientkę, przez pewien czas musiałam zająć się sprzedażą osobiście. Wywiesiłam ogłoszenie o pracy na oknie wystawowym i po kilku dniach zgłosiła się młoda dziewczyna. Wszystko przebiegało na tyle płynnie, że nowy rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty piąty przywitaliśmy w miarę spokojnie. Mogłam być dumna. Miałam dwadzieścia sześć lat, laboratorium i sklep.

– Abraham – zwróciłam się pewnego ranka do męża. – A gdybyś zamiast żyta zasiał zioła?

Popatrzył na mnie z politowaniem i powiedział:

– Mam zamiast żyta siał pokrzywę? Wykluczone, Juliano. Wykluczone.

Westchnęłam. Sądząc po jego tonie, nie warto było tracić czasu na przekonywanie go. Trudno. Są przecież miejsca, gdzie rośliny lecznicze rosną dziko. Trzeba tylko do nich dotrzeć.

Zimą miałam nieco mniej pracy i mogłam poświęcić trochę czasu domowi. Przydałby się remont, ale postanowiłam odkładać pieniądze na używany samochód. Zapiisałam się na kurs jazdy. Wtedy Abraham złapał się za głowę.

– Oszalałaś! Rozbijesz się na pierwszym drzewie!

– Co ty opowiadasz? Zrozum, muszę jakoś przewozić towar z laboratorium do sklepu.

– Zatrudnisz kierowcę.

– Na razie nie stać mnie na to.

– Boże, zobaczysz, w końcu wieś spali cię na stosie, jak czarownicę.

– Nie ma obaw. Mieszkańcy sami chętnie zaopatrują się w moje zioła. Tylko wczoraj sprzedałam kilka torebek mieszanek.

– Tak, a przy okazji nastawiłaś dwa kręgosłupy – uśmiechnął się. – Tylko dla mnie wciąż nie masz czasu.

– Przepraszam cię, Abraham. Bądź cierpliwy. Jestem pewna, że kiedy tylko sklep zacznie przynosić dochody, będziesz miał mnie częściej w domu.

– Oby – westchnął.

W niedzielę wybraliśmy się do kościoła. Proboszcz jak zwykle zimą dojechał ze znacznym opóźnieniem. Zgromadzeni pod kościołem wierni, zbici w małe grupki, przytupywali nogami i gawędzili o tym i owym. Była to znakomita okazja do spotkań towarzyskich.

– Pani Juliano – zwróciła się do mnie nauczycielka z miejscowej szkoły. – Jutro

przyjdę do pani po nową porcję ziół na ból głowy. Piję je regularnie, tak jak pani zaleciła, i naprawdę pomagają!

– A ja po nalewkę z głogu przyjdę – dodała pani Bułakowa. – Po niej dużo lepiej się czuję.

– Bardzo się cieszę – odparłam z uśmiechem. – Zapraszam.

– Pani Juliana wszystkim pomaga, tylko sobie nie może – odezwała się stojąca nieopodal Bielicka, mieszkająca niedaleko kościoła.

Wszyscy spojrzeli na nią, a następnie na mnie. Byli też tacy, co szybko obrzucili wzrokiem Abrahama.

– Nie jestem chora – stwierdziłam, nieco zaskoczona tą uwagą.

– Chora nie, ale dzieci jak nie było, tak nie ma – zauważyła Bielicka, a kobiety przybrały bolesciwy wyraz twarzy i smutno pokiwały głowami.

Abraham złapał mnie za rękę i ścisnął ją mocno.

– To my decydujemy, kiedy będzie czas na dziecko – powiedział spokojnie. – Proszę nie dokuczać mojej żonie.

– A gdzież ja dokuczam? – zapiszczała Bielicka. – Martwię się tylko. Pani Julianka – uśmiechnęła się do mnie przymilnie – taka dobra kobieta, to my jej dobrze życzymy, prawda? – szturchnęła łokciem sklepową, która skwapliwie potwierdziła jej słowa:

– Tak, tak, naszej Juliance to już tylko dziecka brakuje, bo zdaje się, wszystko inne już ma.

Na szczęście przybycie proboszcza przerwało dyskusję na nasz temat, ale i tak byłam przekonana, że mój stan rodzinny zajmuje czołowe miejsce w Rozmowach kularowych.

– Mam dość tych ludzi – zżymałam się wracając z kościoła. – Wolałabym, żeby trzymali się od naszego prywatnego życia z daleka. Kościół i sklep to siedlisko plotek!

– Ludzie nie plotkują o kimś, kto nie jest tego wart. Zauważ, że trzeba być w jakiś sposób interesującym, żeby zasłużyć na ludzkie gadanie – stwierdził Abraham.

– Nie chcę, żeby o mnie gadali! Nie pójdę więcej do naszego kościoła.

– Zrobisz poważny błąd. To nasze środowisko. Tutaj mieszkasz. Nie pokazując się w kościele dasz im tylko pożywkę. Poza tym jest takie stare przysłowie, które warto zapamiętać: „Jak idziesz w górę, to się wszystkim kłaniaj, bo może będziesz wracać tą samą drogą”.

Zamilkłam. Abraham jak zwykle miał rację. Pomyślałam, że bardzo zmądrzał od studenckich czasów.

Laboratorium zwolniło tempo. Opracowywaliśmy nowe technologie wytwarzania kremów do ciała i olejków eterycznych.

– A może spróbujemy zrobić mydło? – zaproponował Henio, mój ulubiony pracownik. Miał dobre pomysły i był bardzo zaangażowany.

– To trochę niebezpieczne. Do mydła używa się ługu. Jest bardzo żrący – powiedziałam z powątpiewaniem, ale oczy mi się roziskrzyły. W czasach, kiedy na rynku trudno o dobre, pachnące mydło, warto spróbować. Dodałam więc: – W rękawicach i gumowych fartuchach damy radę.

Pierwszym wyrobem zajęłam się sama. Wszyscy bardzo uważnie patrzyli mi na ręce. Trzeba było dokładnie odmierzać proporcje składników i bardzo się skupiać. Połączyłam stały oraz płynny olej i rozpuściłam je, doprowadzając do odpowiedniej temperatury. Wymieszałam to z ługiem i dodałam rumiankowy olejek. Przełałam masę do formy i odstawiłam do ciemni.

– Poczekamy dwie doby i zobaczymy, czy zastygnie – oznajmiłam swoim uczniom.

Zastygła. Pokroiliśmy ją na kostki i każdą z nich owinęliśmy pergaminem.

– Dziki motyl – powiedziałam, patrząc z zadumą przed siebie.

– Słucham? – zdziwiła się Lucynka, drobna, niebieskooka dziewczyna, która w pracę przy ziołach wkładała całe serce.

– Tak nazwiemy mydło. Dziki motyl. Mydło musi przecież mieć jakąś nazwę, prawda?

– Tak, ale dlaczego dziki motyl? A są oswojone? – zapytał sceptycznie Henio.

– Dla mnie są. Po śmierci mojej matki, kiedy przebywałam w Domu Dziecka w Krakowie i płakałam z tęsknoty za nią, przez uchylone okno wpadł czarny motyl i krążył przez chwilę nad krzesłem, na którym siedziałam. „Dziki motyl!” zawołałam, a siostra Benedykta natychmiast postawiła mnie do kąta. Potem się dowiedziałam, że czarny motyl jest wiadomością od zmarłych. Teraz jestem pewna, że to była moja matka. Może tego nie zrozumiecie, ale wszystko, co udało mi się osiągnąć, zawdzięczam jej, choć miałam ją tylko przez krótkie siedem lat.

– Rozumiemy – szepnęła Lucynka i przytuliła się do mnie jak dziecko.

Odtąd nie tylko mydło, ale wszystkie nasze produkty, cała firma i sklep nosiły nazwę „Dziki motyl”. Zamówiłam w drukarni kartoniki z wizerunkiem motyla i nazwą. Dziś nazywa się to znakiem graficznym, albo logo, ale wtedy mało kto dbał o takie rzeczy.

Kiedy już zaczęło powodzić się nam coraz lepiej i mogłam pomyśleć o dziecku, na mój stary, kortowski adres wpłynęło wezwanie do sądu, które dostarczył mi Leszek. Zostałam oskarżona o bezprawne leczenie chorych roślinami niewiadomego pochodzenia. Pomyślałam, że sprawcą nowego kłopotu jest Bożena Wernak. Okazało się jednak, że nie. Oskarżycielem był mój żyjący jeszcze wtedy wuj Stanisław Brzeski.

– Co mam robić? – płakałam w kołnierz Abrahamowi. – Nie wygram z nim! On jest wykształconym lekarzem, a ja? Nikim!

– Nie płacz, poradzimy sobie – pocieszał mnie Abraham, ale widziałam, jak bardzo jest wściekły na Stanisława. – Poszukamy adwokata.

Ponieważ sprawa miała się odbyć w Warszawie, tam postanowiliśmy szukać pomocy. Przeglądaliśmy ogłoszenia w gazetach. I wtedy trafiłam na to nazwisko. Przez

chwilę wpatrywałam się w nie, nie mogąc uwierzyć w podobny przypadek. Ale może to tylko zbieg okoliczności? Może ktoś po prostu nazywa się tak samo?

– Masz coś? – zapytał Abraham i zajrzał mi przez ramię.

– Nie wiem, ale ogłoszenie brzmi interesująco.

– Przeczytaj.

– „Uczciwy i skuteczny adwokat. Marek Zawada”. Dalej podany jest adres.

– Gdzie mieszka?

– Przy Marszałkowskiej.

– Jedźmy tam. Nie traćmy czasu.

Tłukąc się tramwajami, z gazetą w ręku, dotarliśmy wreszcie pod wskazany adres. Serce biło mi jak młot. W poczekalni u adwokata siedziały dwie osoby. Abraham postanowił zasięgnąć języka.

– Korzystał pan już z usług tego adwokata? – zapytał szpakowatego mężczyznę.

– Zawsze tylko do niego chodzę – odparł tamten i chrząknął, zerkając na siedzącą obok niego kobietę. – Panie, on zacięty na komunistów jest. I mało bierze.

– Tak – wtrąciła się kobieta – podobno mało bierze. A czy dobry, nie wiem. Pierwszy raz jestem.

Abraham ścisnął mnie za rękę.

– Poczekamy – szepnął.

W poczekalni spędziliśmy prawie dwie godziny. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w środku gabinetu, wstrzymałam oddech. To był ten Marek Zawada.

– Słucham państwa – zwrócił się przede wszystkim do Abrahama.

– Sprawa dotyczy żony – zaczął Abraham, a Marek Zawada spojrział na mnie. Drgnął na mój widok, ale chyba nie mógł skojarzyć, gdzie mnie widział, bo zmarszczył czoło i zaczął mi się bardzo uważnie przyglądać.

– Czy zechciałaby pani przedstawić mi swój problem?

– Tak, oczywiście – odparłam i opowiedziałam mu o Stanisławie Brzeskim i wszystkich kłopotach, jakie przez niego miałam. Gdy skończyłam, pokiwał głową i zapytał:

– Czy tylko wydaje mi się, czy rzeczywiście już gdzieś panią widziałem?

– W Białymstoku – powiedziałam i zauważyłam, że odetchnął jak po zrzuconiu ciężkiego worka z pleców.

– Czy pani zna...

– Wojciecha Zagórskiego?

– Tak – powiedział, zacisnął palce na poręczach fotela, na którym siedział, i przechylił się do przodu. Po chwili zerknął na Abrahama, który przysłuchiwał się całej rozmowie nic nie rozumiejąc. – Myślałem, że... że wy...

– Nie. Byliśmy przyjaciółmi – wpadłam mu w słowo, choć ciężko mi to przyszło.

– Spotkałem go tutaj, w Warszawie. Mówił mi, że odesłał panią... ciebie, mogę tak

mówić? – zapytał i znowu zerknął na mojego męża. – Odesłał, a potem miał wyrzuty sumienia, że wyjechałaś na pastwę losu, bez opieki... Szukał cię, miał nadzieję, że jednak zostałaś, tak jak on...

– On został? – zdumiałam się.

– Na jakiś czas. Potem milicja zaczęła mu deptać po piętach. Wyjechał najpierw do Ełku, później przez kilka dni ukrywał się u kuzynki w Olsztynie...

Zamarałam. Boże, więc ta dziewczyna na ławce to była pewnie jego kuzynka?

– Ja też byłam w Olsztynie – powiedziałam głucho, ze ściśniętym gardłem.

– On tam nie był długo. Zaledwie kilka dni. Potem przyjechał do Warszawy. I tu został.

– A co działo się z tobą? – zapytałam.

– Najpierw uciekłem w góry, do takiej miejsciny koło Żywca. Przez pół roku sprzedawałem kozi ser. Stamtąd przyjechałem tutaj i dokończyłem studia. Nikt mnie tu nie szukał. Podobno zamknęli jednego z naszych, ale on widocznie nie sypnął. Pewnie jeszcze siedzi. – Zawada westchnął i machnął ręką. – Jeśli go nie zamordowali – powiedział z zadumą. – Ale przejdźmy do twojej sprawy.

– Nareszcie – burknął Abraham.

Marek Zawada omówił sposób obrony, po czym umówiliśmy się na konkretny termin w sądzie. Po wyjściu Abraham zaatakował mnie:

– Kto to, do licha, jest? Skąd go znasz?

– Och, kochanie, to długa opowieść.

– No więc słucham.

Opowiedziałam mu o pracy w Białymstoku i mieszkaniu w obskurnym budynku. O wisielcu i ucieczce do Olsztyna. Przemilczałam tylko tęsknotę za Wojtkiem i żal, że nie poczekałam na niego. Sama myśl o nim nadal raniła mi serce.



## 20

**D**ostrzegłam go od razu. Wszedł pewnym krokiem, w popielatym garniturze. Przez chwilę lustrował długo korytarz, a ujrawszy mnie, uśmiechnął się kpiąco. Był przekonany o swoim zwycięstwie. Jak ja go nienawidziłam! Tym razem nie było ze mną Abrahama. Był natomiast Leszek, jako jedyny świadek. Staralam się nie trząść jak osika.

– Nie bój się – szepnął siedzący obok mnie Marek Zawada. – Poradzimy sobie.

Po chwili protokolant wywołał moje nazwisko i Stanisława Brzeskiego. Nigdy nie byłam w sądzie i nie wiedziałam, jak mam się zachować. Sędzia wskazał mi miejsce po prawej stronie. Doktor, który zajął miejsce po lewej, poproszony został o przedstawienie obciążających mnie faktów. Ze swadą zaczął rozwodzić się nad zagrożeniem, jakie siałam wśród naiwnych i nieświadomych mieszkańców wsi i jak zatruwałam zielskiem ludzkie organizmy. Zacisnęłam pod ławką pięści, a na czoło wystąpił mi zimny pot. Potem głos zabrał Leszek, wyjaśniając, że w tym czasie pisał pracę naukową na temat monografii łąk, w związku z czym poprosił mnie o pomoc. Jako dowód przyniósł notatki, które otrzymał ode mnie. Ku mojemu zaskoczeniu sąd wezwał jeszcze dwóch świadków, których Leszek odnalazł w Browinie. Jednym z nich była kobieta, której wyleczyłam opuchnięte nogi, drugim matka małego Wojtusia, któremu przywróciłam słuch, wyjmując z uszu fasolę. Obie zarzekały się, że nie wzięłam od nich ani grosza, nie sprzedawałam ziół, a kobieta od spuchniętych nóg dodała nawet, że świeżo zerwane przeze mnie zioła suszyła sobie sama i piła napar bez mojego udziału. Doktor chciał coś wtrącić, ale sędzia się sprzeciwił. Jako ostatni przemawiał Marek Zawada. Od razu można było poznać, że jest wytrawnym prawnikiem.

– Wysoki Sądzie – zaczął. – Wszyscy wiemy, jak marny jest stan służby zdrowia na terenach wiejskich. Cóż z tego, że jest propagowana, kiedy co najmniej w połowie wsi polskich nie ma nie tylko ośrodków zdrowia, ale nawet punktów medycznych, gdzie

chorzy zasięgnęliby rady. Słuchając wypowiadających się przede mną świadków, mogę stwierdzić, że ktoś taki, jak oskarżona, to skarb dla zaniedbanych i zignorowanych przez naukową medycynę pacjentów. Przecież oskarżona nie jest nawet znachorką. W omawianym tu czasie była jedynie bibliotekarką w Wyższej Szkole Rolniczej, na tyle wykształconą w dziedzinie ziołolecznictwa, że została poproszona o pomoc w pisaniu pracy naukowej. Dowiadujemy się, że w tej samej wsi i w tym samym czasie, gdzie oskarżona zajmowała się analizą roślin leczniczych, był obecny tu lekarz medycyny. Czy widząc, że ludzie potrzebują pomocy, udzielił im jej? Nie! Uganiał się za zielarką tylko po to, żeby się na niej zemścić. A dlaczego? Bo odmówiła mu usług seksualnych. Jako dowód przedstawiłem list, w którym doktor Brzeski szantażuje oskarżoną. Czy ktokolwiek żalił się, że oskarżona zrobiła mu krzywdę? Nie. Nie było ani jednej skargi, tylko wdzięczność i zadowolenie z udzielonej pomocy. Zaznaczyć należy, że przypadkiem udzielonej i bezinteresownej pomocy. Czy oskarżanie kogokolwiek o używanie w leczeniu ziół jest słuszne? Obecnie codziennie dowiadujemy się o nowych odkryciach medycyny, ale na czym są oparte? Potwierdzają to, co człowiek wiedziony instynktem odkrył tysiące lat temu. Zanim powstała nauka zwana medycyną, człowiek leczył się za pomocą ziół. Terapia ziołami nie powoduje skutków ubocznych. A czyż medycy zawsze są pewni swoich działań? Zastanawia mnie fakt propagowania informacji o tym, że zioła trują. Dlaczego nikt nie pisze o tym, że one leczą? Sami chorzy, w przeciwieństwie do lekarzy, wolą stosować leki ziołowe, które używane w odpowiednich proporcjach nie niosą za sobą ryzyka uszkodzenia zdrowych organów. Na szczęście bywają medycy, którzy uznają tę terapię. Niestety są zastraszeni przez takich osobników, jak obecny tu doktor Brzeski. Jako przykład przytoczę cytaty znakomitego profesora zwyczajnego, organizatora Katedry Farmakognozji i Uprawy Roślin Leczniczych, Jana Muszyńskiego – Marek Zawada stworzył książkę i odczytał jej wstęp: – „Przy ustalaniu zespołu autorskiego *Vademecum Fitoterapii* spotkaliśmy się z wypadkami odmowy podjęcia współpracy motywowanymi obawą narażenia się zbyt konserwatywnym kołom lekarskim i związanymi z tym ewentualnymi konsekwencjami. Przykry jest fakt, że można zakładać istnienie tego rodzaju stosunku, w którym lekarz mógłby być dyskryminowany za głoszenie własnych poglądów (...)”. Do tego rodzaju konserwatystów, a jednocześnie szantażystów, dręczycieli i wreszcie dewiantów należy doktor Stanisław Brzeski. Dodam na zakończenie, że doktor Brzeski jest wujem oskarżonej, który dodatkowo przywłaszczył sobie spadek po jej matce. To również wiele tłumaczy, ale to temat na odrębną sprawę.

Zawada podziękował, otarł czoło chusteczką i usiadł.

Sąd nie dopatrzył się winy w moim działaniu i z sali sądowej wyszłam wolna. Podziękowałam świadkom, a przede wszystkim mojemu adwokatowi i w towarzystwie Leszka wróciłam do Olsztyna. Po drodze robiłam sobie wyrzuty, że nie zapytałam



o Wojtka, ale zbliżając się do domu, w którym oczekiwał mnie mąż uznałam że tak jest lepiej. Abraham czekał bardzo zaniepokojony i zanim zajęłam się czymkolwiek, musiałam drobiazgowo opowiedzieć mu przebieg sprawy. Kiedy skończyłam, ucałował mnie czule i skwitował:

- Któż by chciał więzić moją wspaniałą żonę. A co z tamtym? – zapytał.
- Nie wiem. Wymknął się tak szybko, że nawet nie zdążyłam na niego spojrzeć.
- Myślę, że to ostatni jego wybryk i teraz da ci spokój. A latem zaprosimy Marka Zawadę na urlop. Niech sobie odpocznie wśród ciszy i zieleni. Zasłużył na to.

Pod koniec zimy otrzymałam prawo jazdy i zaczęłam rozglądać się za odpowiednim samochodem. Abraham doradzał mi żuka, ale ja upierałam się przy nysie.

- Żuk jest dla mężczyzn – twierdziłam.
- Całe to zajęcie jest dla mężczyzn. Kto to widział, żeby kobieta prowadziła dostawczy samochód – powiedział, a po kilku dniach sam zapisał się na kurs.

Abraham był zmęczony. Widziałam, jak wieczorami ślaniał się na nogach niosąc do domu wiadra mleka z ostatniego dojenia. Musiał ze wszystkim radzić sobie sam, bo ja byłam pochłonięta coraz szybciej rozwijającą się firmą. Nie mówiłam o tym mężowi, ale miałam w planach otwarcie drugiego sklepu, poza Olsztynem. Cieszyłam się, że on również będzie kierowcą, bo zamierzałam namówić go na rezygnację z gospodarstwa i przekształcenie go na plantację ziół. Odrzucił jednak moją propozycję przy pierwszej próbie. Obecny stan był bardzo niewygodny. Potrzebowałam jego pomocy, ale nie mogłam odrywać go od codziennych zajęć. Pewnego dnia, gdy przemierzałam w zadumie ulicę Olsztyna, zaczepił mnie kilkunastoletni chłopiec, prosząc o wsparcie. W pierwszym odruchu sięgnęłam do torebki, ale coś mnie tknęło. Przypomniałam sobie matkę, która przyjmując Ivana pod dach, powiedziała, że jeśli chcemy komuś pomóc, lepiej dać mu wędkę niż rybę. Wtedy jeszcze tego nie rozumiałam.

- Rodzice nie mają pracy? – zapytałam.
  - Nie mam rodziców, tylko siostrę.
  - Siostrę? Ile ty masz lat?
  - Skończyłem siedemnaście.
  - A siostra?
  - Szesnaście.
  - Uczy się?
  - Już nie. Skończyła podstawówkę. Szuka pracy, tak jak ja.
  - A gdzie mieszkacie?
  - Różnie.
  - Dziwne, że opieka społeczna nie zajęła się wami.
- Chłopak uśmiechnął się sprytnie.
- Nie chcieliśmy, chowaliśmy się przed nimi.

- Gdzie ta siostra? – zapytałam, ale chłopak się spłoszył.
- Po co pani... Po co pani to wiedzieć?
- Mam dla was propozycję.
- Pani jest z opieki? – nachmurzył się i cofnął dwa kroki, jakby chciał czmychnąć.
- Nie, zapewniam cię, nie jestem z żadnej opieki i to wy zdecydujecie, czy się zgodzicie na mój pomysł. No więc gdzie ona jest?
- Ze trzy ulice dalej. Jak pani chce, mogę zaprowadzić – mruknął. Ucieszyłam się, że mi zaufał.

Drobna dziewczyna w chustce na głowie stała przy drzwiach sklepu spożywczego i zaczepiała wychodzących klientów.

– Olka! – zawołał chłopak, a dziewczyna obejrzała się natychmiast, gotowa do ucieczki.

Chłopak przywołał ją ruchem ręki. Niepewnie opuściła swoje stanowisko i podeszła z pytaniem w oczach.

– Masz na imię Ola? – zapytałam przyjaźnie.

Spojrzała na brata, który skinął głową na znak, że może mówić.

– Tak – odparła.

– A ty jak się nazywasz? – zwróciłam się do niego.

– Ja Aleksander, można powiedzieć, prawie tak, jak ona. Olek.

– Ola i Olek? A to dopiero! – roześmiałam się serdecznie, czym wywołałam błady uśmiech na twarzy Oli. Olkowi nawet nie drgnęła powieka. – Chcę was zaprosić do siebie na wieś. Oczywiście nie za darmo. Przyuczę was i będziecie pomagać mojemu mężowi. To bardzo dobry człowiek, polubicie go.

Zrobiłam krótką przerwę, bo dotąd nie zastanowiłam się, jak zareaguje na to Abraham.

– Co będziemy robić? – zainteresował się Olek. Był odważniejszy od siostry.

– Wszystko, co robi się na gospodarce. Sami zobaczycie. To przyjemna praca, jeśli się ją polubi.

– Pani nie lubi – raczej stwierdził, niż zapytał Olek.

– Lubię, bardzo lubię, ale zajęłam się czymś innym i brakuje mi czasu. W zamian za pracę dostaniecie pokój, ubranie, jedzenie i naszą... – chciałam powiedzieć „miłość”, ale wolałam jeszcze nie szarżować tym słowem. – Naszą opiekę. Dostaniecie też drobne kieszonkowe na własne potrzeby.

– Musimy się zastanowić – powiedziała cicho Ola i zerknęła na brata.

– Ja się nie zastanawiam, Olka – oznajmił jej brat i pociągnął nosem. – Jak będzie źle, to dam nogę.

– Dobrze, pojedziemy – powiedziała potulnie i uniosła na mnie duże, brązowe oczy. Pomyślałam, że po wyszorowaniu i uczesaniu będzie z niej ładna dziewczyna.

– Chcecie coś z sobą zabrać? – zapytałam.

– Nie. Nic nie mamy – powiedział Olek i wsadził ręce w kieszenie, jakby chciał pokazać, że jest wolny jak ptak.

– No to chodźmy – zdecydowałam i obdarzyłam każde z osobna uśmiechem.

Przemarsz przez wieś był trudny. Kobiety stawały przy płotach swoich obejść i przyglądały się ciekawie. Już widziałam, jak po naszym zniknięciu za wzgórzem zgromadzą się w stada i będą polemizować, zastanawiać się, kogo przywiozłam, snuć przypuszczenia. Nie to jednak było najgorsze. Bałam się reakcji Abrahama. Jednym spojrzeniem może spłoszyć te wrażliwe dzieciaki i zniechęcić do pozostania. Może mieć do mnie pretensję, że nie pytając go o zdanie, podjęłam decyzję. Kiedy weszliśmy na podwórko, pies zaczął wściekle ujadać.

– Nie bój się. Jest przywiązany – uspokoiłam Olę, widząc napięcie na jej twarzy.

Abraham majstrował coś przy końskiej uprzęży i słysząc szczekanie psa, uniósł głowę. Na nasz widok odłożył uprzęż, wstał z pniaka, na którym siedział, i zaintrygowany, ruszył w naszym kierunku.

– Abraham – powiedziałam po prostu – te dzieciaki nie mają nikogo, a mogą mieć nas. To jest Ola, a ten młodzieniec to Olek.

Wszyscy troje obserwowaliśmy w napięciu jego reakcję, która miała przesądzić o pozostaniu bądź wyjeździe rodzeństwa.

– Witajcie w domu – powiedział i rozłożył szeroko ramiona, przygarniając ich do siebie.

Łzy jak grochy potoczyły się po mojej twarzy. Boże, jak ja go kochałam!

Po posiłku i pogawędce przy stole, kiedy rodzeństwo wybrało się na pierwszy spacer, Abraham spojrział na mnie poważnie.

– Chciałem tylko powiedzieć, Juliano, że tak się nie robi. To poważna decyzja i powinniśmy podjąć ją oboje.

Przełknęłam uwagę i zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Jesteś najlepszym mężem na świecie, wiesz?! – zawołałam.

– A to akurat wiem – powiedział.

Wiosna na wzgórzu zaczęła się pracowicie. Rodzeństwo wdrażało się do pracy i wykonywało ją dość sumiennie. Jak zwykle o tej porze zatrudniłam kobiety do zbierania ziół. Niemal całe dni spędzałam w laboratorium, zaglądałam też do sklepu. Towar zaczął się piętzyć i aż się prosił o nowe miejsce zbytu. Zostawiłam Abrahama z Olą i Olkiem i ruszyłam na podbój Gdańska. Nikogo tam nie znałam i wynajęcie lokalu na sklep, urządzenie go, przewiezienie towaru wynajętym samochodem oraz noclegi w obcym mieście zajęły mi mnóstwo czasu i zrujnowały finansowo. Błogosławiłam los za darowanie mi młodych pomocników dla Abrahama, ponieważ prawie dwa tygodnie musiałam sama stać za ladą. Kobieta z doświadczeniem handlowym, ale nie mająca pojęcia o ziołach zjawiała się pod koniec drugiego tygodnia. Wróciłam do Olsztyna i oddelegowałam Lucynkę do przyuczenia jej. Oczywiście

natychmiast zaczęło mi brakować Lucynki w laboratorium więc poprosiłam Leszka o przysłanie mi jeszcze jednej pracownicy. Czekałam dość długo, ale w końcu zjawiała się trochę pretensjonalna, zdolna Małgorzata. Wtedy dopiero, nieco uspokojona, mogłam wrócić do domu.

\*\*\*

To był jeden z tych zmierzchów, gdy słońce zachodzi krwawo, a stawy rozbrzmiewają żabim rechotem. Wsiadłam z autobusu i chwyciłam haust rześkiego powietrza. Ukryte w gałęziach drzew ptaki nawoływały się donośnym świergotem. Nogi zapadały się w grząskiej ziemi, gdy na skróty biegłam przez pole do domu. Pachniało wilgocią i młodą trawą. Z daleka ujrzałam zielone pole, teraz okryte żółtym kożuszkiem mniszka lekarskiego i świeżą zielenią pokrzywy. Wchodząc na podwórko usłyszałam śpiew, który dobiegał z drugiej strony domu. Podeszłam do psa i poklepałam go po długiej sierści, potem spuściłam go z łańcucha i położyłam palec na ustach, dając mu do zrozumienia, żeby nie cieszył się zbyt głośno. Zamerdał ogonem i z radości kłapnął zębami. Obeszłam dom dokoła. Obrazek, który ujrzałam, sprawił, że oczy zwilgotniały mi ze wzruszenia. Cała trójka siedziała na ganku i śpiewała jakąś wesołą piosenkę. Ola zanurzała palce w miękkiej sierści całego kompletu kotów, które cisnęły się do jej rąk po należną im porcję pieśczot. Olek strugał coś z kawałka patyka małym scyzorykiem. A Abraham? Uśmiechał się uszczęśliwiony, popijając piwo wprost z butelki.

– Juliana! – zawołał ujrzawszy mnie, a oczy roziskrzyły mu się radością. Poderwał się z miejsca i podbiegł, żeby porwać mnie w objęcia. Uniósł mnie w górę, jak małą dziewczynkę.

– Śpiewaj, śpiewaj! – wołałam wierzgając nogami.

– Tak czułam, że pani przyjedzie! – zawołała Ola. – Upiekłam ciasto drożdżowe! Sama!

– To cudownie! – zawołałam i przytuliłam ją. Pachniała czymś znajomym. Domem. Tak, Ola pachniała naszym domem.

– Niech pani nie słucha, Olka upiekła wielki jak pięść zakalec – powiedział ze śmiechem Aleksander. – Ale da się zjeść – dodał szybko.

Byłam szczęśliwa. Warto było wyjść za Abrahama, warto było przygarnąć rodzeństwo i warto było wrócić do domu!

– Wiesz – powiedział Abraham, kiedy udaliśmy się na spoczynek – te dzieciaki to cudowny prezent. Dziękuję.

– Tak bardzo się cieszę, że polubiłeś rodzeństwo – mruknęłam wtulając się w jego ramię i przymykając oczy.

– Hej, nie zasypiaj! To, że je tu przywiozłaś nie zwalnia cię od własnego...

- Abraham!
- No?
- Abraham...

\*\*\*

Ola i Aleksander (tak zaczęłam go nazywać, bo był znacznie poważniejszy od dziecinnej jeszcze Oli) zadomowili się już na dobre, ale była to pierwsza niedziela, gdy poszliśmy wszyscy razem do kościoła. Modliłam się po drodze, żeby proboszcz tym razem przybył na czas i oszczędził nam niezdrowego zainteresowania mieszkańców wsi. Widocznie jednak nie zasłużyłam na łaskę, bo przyjechał z godzinnym opóźnieniem. Kobiety stały, przyglądały się, poszeptywały, ale żadna nie zbliżyła się do nas, żeby zapytać o to, co najbardziej je nurtowało: skąd wzięłam nagle dorastające dzieci. Wszystko opierało się na domysłach i wywoływało niepotrzebną sensację. W końcu jedna z nich odważnie zagała:

– A kogóż to nam pani tu przywiozła?

– Rodzeństwo – odparłam bez zastanowienia.

– Ach, no tak! Nie pomyślałam, że ma pani młodsze rodzeństwo – powiedziała i rozejrzała się wokół, jakby dokonała wielkiego odkrycia. Kobiety pokiwały głowami ze zrozumieniem, po czym uznały, że posiadanie brata i siostry to nic nadzwyczajnego i zajęły się swoimi sprawami.

Przez kolejny tydzień nie ruszyłam się z domu. Uznałam, że zarówno w laboratorium, jak i w sklepie nie wydarzy się nic nadzwyczajnego, i zajęłam się edukacją Oli. Uczyłam ją, jak się robi masło, sery i jak upiec chleb na zakwasie. Aleksandra pod swoje skrzydła wziął Abraham i przysposabiał go do bardziej męskich zajęć. Przy ich pomocy praca nie była tak uciążliwa i wszyscy mieliśmy więcej czasu dla siebie.

Na początku zimy, przeliczywszy oszczędności, postanowiłam kupić używany samochód. Oczywiście zwróciłam się z tym do Abrahama.

– Chcesz używany samochód, taki z giełdy? – zapytał z niedowierzaniem.

– No tak, nie stać mnie przecież na nowy – oznajmiłam zirytowana, że nie rozumiem rzeczy oczywistych.

– Widzę, że kompletnie się na tym nie znasz. Na giełdzie samochody są kilkakrotnie droższe niż nowe.

– Ale nowego nie można kupić, bo nie ma ich na rynku.

– Właśnie dlatego te na giełdzie są takie drogie. Na nowy trzeba mieć talon. Ale talonów nikt nie rozdaje takim szarakom, jak my.

– Abraham, to co mam robić? Wiesz dobrze, jak bardzo jest mi potrzebny dostawczy samochód.

– Nie pozostaje nic innego, jak udać się do Warszawy pod most Poniatowskiego.

Tam jest giełda.

– Pojedziesz?

– Pojadę, pojadę.

Tydzień później Abraham wyjechał na giełdę ze wszystkimi naszymi oszczędnościami. Czekałam, ciesząc się na nowy nabytek, który znacznie ułatwi mi pracę. Zwłaszcza dostarczanie towaru do Gdańska sprawiało mi sporo kłopotu. Aleksander bardzo chciał towarzyszyć Abrahamowi, ale stanowczo się sprzeciwiłam.

– Nie tym razem. Potrzebny jesteś tutaj. Jutro muszę być w Olsztynie i zostaniesz na gospodarce sam z Olą.

Nie spodziewałam się męża szybciej niż za dwa dni. Trzeciego wieczoru zaczęłam się niecierpliwić. Było już zupełnie ciemno i właśnie goniłam Olę i Aleksandra do łóżek, kiedy usłyszałam warkot silnika za oknem. Serce zabiło mi mocniej. Zdażyłam okryć się szalem i wybiec na korytarz, gdy usłyszałam pukanie. W drzwiach zamiast Abrahama stał jakiś mężczyzna.

– Pani Juliana Rońska? – zapytał. Wtedy zauważyłam za jego plecami milicjanta. Pociemniało mi w oczach.

– Tak... – wyjąkałam i przytrzymałam się ściany.

– Pan Abraham Roński...

– To mój mąż.

– Tak. Dziś w południe miał wypadek.

– Czy...

– Przykro mi.

Na szarpanej wiatrem gałęzi kołysał się gawron. Zacinający śnieg z deszczem maskował parasolki odcinające się krzykliwie od wszechobecnej czerni. Wśród bieli lepkich płatków wypatrywałam dzikiego motyla. Tak bardzo chciałam go zobaczyć. Drewniana ozdobna skrzynia z głuchym dźwiękiem spoczęła na dnie wykopanego dołu. Ktoś rzucił grudę zmrożonej ziemi, ktoś ścisnął mnie za ramię. Nie chciałam wiedzieć, że on tam jest. W tym samym garniturze, w którym chciał iść na imieniny do organisty. Gawron zerwał się i odleciał z głośnym krakaniem. Wiatr wyginał parasolki, rozchyłał poły płaszczy, wdzierał się pod żałobne chustki i szale. Rejestrowałam to wszystko, powściągając wyobraźnię, która podsuwała mi niechciane obrazy. Nie chciałam widzieć głębokiej szramy na jego twarzy, połamanych żeber, ani wiedzieć, jak tam ciemno, w tej skrzyni. Nie, jego tam nie ma. Zaraz wrócę do domu, gdzie na mnie czeka, przytulę się do niego i powiem, że zmarłam na czymś pogrzebie. Będzie mi współczuł, otoczy mnie mocnymi, ciepłymi ramionami... Abraham, bądź teraz w domu – zaklinałam – stój przy rozgrzanym piecu, czekaj na mnie! Wrócę i będę już tylko przy tobie. Zostawię zioła, laboratorium, sklepy. Będę z tobą, naprawdę! I... dam ci syna. Przysięgam, Abraham!

– Pani Juliano... – dobiegł mnie głos Oli, która lekko potrząsała moją ręką. – Wszyscy już poszli...

Ola, Oleńka z czerwonymi jak królik oczami i on, Aleksander, któremu nie pozwoliłam jechać z Abrahamem... Los podarował mi ich do kochania. A może moja matka? Dała mi ich, bo wiedziała... Mamo, dlaczego nie ostrzegłaś mnie tym razem? Dlaczego na to pozwoliłaś? Opiekuj się nim tam, mamo.

– Tak, Olu... Jeszcze chwilę – powiedziałam przez ściśnięte gardło.

Z drewnianego ramienia krzyża strzepnęłam cienką warstwę mokrego śniegu i zacisnęłam na nim palce, jakby to było jego, mojego męża ramię.

– Dobranoc Abraham – szepnęłam.

Adam patrzył na Julianę, która nagle zamilkła i spoglądała z zadumą w okno. W pewnym momencie powiedziała stanowczym głosem:

– Nie ma rzeczy ważniejszych niż drugi człowiek. Musisz to zapamiętać, Adam. Inaczej będziesz wyrzucał sobie przez resztę życia, jeśli kogoś zaniedbasz. Abraham miał tylko jedno marzenie. Chciał mieć syna. I ja mu go nie dałam. Kiedy go zabrakło, wszystko inne przestało być ważne. Nie obchodziło mnie, że straciłam wszystkie oszczędności, przestałam kontrolować sklepy, bywać w laboratorium. Rozpamiętywałam dzień po dniu chwile, gdy dopominał się o moją obecność, gdy pochłaniało mnie wszystko, tylko nie on. Roztrząsałam każdą sprzeczkę, gdy stawiałam na swoim, chociaż to on miał rację, ale ustępował mi dla świętego spokoju. A potem już go nie było i nie mogłam tego naprawić. Takie rzeczy zostają przy człowieku do końca życia i nie pozwalają o sobie zapomnieć.

Ocknęłam się z letargu, gdy do domu na wzgórzu przyjechała Lucynka.

– Pani Juliano – powiedziała – nie mamy nad czym pracować. Tej wiosny nikt nie dostarczył nam ziół.

Dopiero wtedy otworzyłam oczy. Dostrzegłam zarośnięte ziołami pole, wysoką oziminę zasianą jeszcze przez Abrahama, pusty ogród. A w tym wszystkim prawie dorosłe dzieciaki, które trwały przy mnie w milczeniu i starały się wypełniać obowiązki, chociaż nie ze wszystkim potrafiły dać sobie radę. Otrząsnęłam się jak pies obłany zimną wodą.

Ponownie zatrudniłam kilka kobiet ze wsi do zbioru ziół, rozdysponowałam pracę w domu i udałam się do Olsztyna. Zatrudniłam do laboratorium jeszcze dwie dziewczyny, a Wiktora, jednego z laborantów, obarczyłam odpowiedzialnością za wszystkie dostawy. Wyprzedałam większość naszych krów i część trzody chlewnej gospodarzom z okolicznych wiosek, dzięki czemu opanowałam sytuację finansową i mogłam zapłacić pracownikom. Ola zajmowała się przydomowym ogrodem, drobiem i produktami mlecznymi, Aleksander wykorzystywał wiedzę przekazaną mu przez

Abrahama. Praca spiętrzyła się latem i wczesną jesienią. Zimą natomiast zaczęłam myśleć o nowym sklepie.

– Spróbuj w Warszawie – poradził mi Leszek. – Tam zawsze znajdziesz zbyt.

Zostawiłam rodzeństwo i wyjechałam do stolicy. Ponieważ nie miałam tam znajomych prócz Marka Zawady, do niego udałam się po pomoc.

– Juliano, szukanie w Warszawie lokalu do wynajęcia to jak szukanie igły w stogu siana. Najlepiej będzie zamieścić ogłoszenie w „Życiu Warszawy”. Przy okazji podasz informację, że szukasz kogoś do pracy w sklepie – poradził. – Podasz numer mojego służbowego telefonu.

To wcale nie było takie proste. Gdy przyszedłam do biura ogłoszeniowego, zastałam tam kilometrową kolejkę.

– Przepraszam – zaczęłam mężczyznę, który stał na końcu ogonka. – Wszyscy chcą zamieścić ogłoszenie?

– A panusia myśli, że po co tu stoimy? Po kiełbasę? Ogłoszenie to nie takie szast-prast! Tu ludzie od drugiej w nocy stoją. Jak pani chce coś sprzedać albo kupić, to tutaj. Ale jak nekrolog, to trzeba tam stanąć – wskazał drugą kolejkę. – Tam szybciej.

– Boże – jęknęłam i wróciłam do biura Marka Zawady. Strapił się, ale po chwili znalazł rozwiązanie.

– Nie martw się. Przenocujesz u nas. W nocy podwiozę cię do biura i będziesz pierwsza w kolejce.

Marek miał nieduże mieszkanie w bloku i bardzo miłą żonę, zwykle oblepioną dwójką bliźniąt. Rozmawialiśmy do późna i zanim położyłam się spać, musieliśmy jechać do biura. Tym razem się udało i za odpowiednią opłatą zleciłam zamieszczenie ogłoszenia.

– Ukaże się za cztery, pięć tygodni – poinformowała mnie paniąka przyjmująca zlecenia i zajęła się następnym klientem.

Ponownie udałam się do Marka. Obiecał śledzić sytuację i odbierać telefony. Przez najbliższy miesiąc nie miałam w Warszawie nic do roboty.

Sklep ruszył wiosną i od razu zyskał klientów. Wciąż miałam problem z szukaniem transportu do przewozu towaru. Nie chciałam już własnego samochodu. Zbyt wielką cenę za to zapłaciłam.

– Dlaczego nie zatrudnimy na stałe kierowcy, który ma swój samochód? – zapytał Aleksander i sam zajął się poszukiwaniem odpowiedniego człowieka.

Trzeba było zapewnić wystarczającą ilość towaru i od tego roku zamiast zboża zakwitły na polach rośliny lecznicze. Maszyna drgnęła. W ciągu kolejnych lat założyłam pasiekę, zatrudniłam nowych ludzi, którym musiałam stworzyć odpowiednie warunki. Obok domu stanął podłużny pawilon, gdzie mieszkali od wiosny do jesieni sezonowi robotnicy. Aleksander, który nie wiadomo kiedy stał się mężczyzną upatrzył sobie dziarską dziewczynę, założył rodzinę i pozostał w domu na wzgórzu. Rok później



Ola wyszła za mąż. Mogłam być spokojna. Zostawiłam wszystko pod ich opieką i przenieśliśmy się do Warszawy. Był to początek lat siedemdziesiątych.



## 21

Siedząc przy biurku w swoim domu Adam porządkował notatki, które sporządzał po każdej wizycie u Juliany. Nie notował niczego na bieżąco, nie chcąc jej rozpraszać. Ufał własnej pamięci, ale nie pozwalał sobie na jakiegokolwiek zaległości. Niedługo szef zacznie dopominać się o nową porcję tekstu i powinien być na to przygotowany. Dobrze się stało, że nie musiał zakończyć swojego reportażu na latach sześćdziesiątych. Juliana miała dużo do powiedzenia, a to, co osiągnęła, warte jest opisanie. Imponowała mu jej zaradność, ale jeszcze bardziej niezamierzona skromność. O przewycięzaniu trudności i stopniowym doprowadzeniu do obecnej pozycji życiowej mówiła jak ktoś, kto referuje, co wczoraj zjadł na kolację. A przecież mając zaledwie siedem lat zmuszona była opuścić dom i z pustymi rękami, zupełnie sama wyruszyła w nieznany świat i na podbój ludzkich serc. Bo przecież bez życzliwości innych, nie osiągnęłaby tego wszystkiego. Na każdym etapie swojego życia natrafiała na osoby wyciągające do niej pomocną dłoń. Przedsiębiorczości zaś niewątpliwie nauczyło ją samo życie, w którym wciąż musiała o coś zabiegać i czemuś się przeciwstawiać. Joanna nie była taka. Jej świat był zorganizowany od dnia, kiedy się na nim pojawiła.

I o tym właśnie świecie – jak przypuszczał, przestronnym, z wytyczoną gładką ścieżką – chciał dziś porozmawiać z Joanną. Zaprosił ją do przytulnej kawiarni i teraz spoglądał niecierpliwie na zegarek, nie mogąc się doczekać spotkania.

Było tu pustawo. Nienatrzętna melodia sączyła się z głośników. Światło latarek kołysało cienie na ścianach. Adam popijał sok owocowy i co chwilę spoglądał na drzwi, w których spodziewał się ujrzeć Joannę.

Przyszła punktualnie. Wyglądało na to, że czekała w samochodzie do ostatniej minuty, żeby zjawić się dokładnie o wyznaczonej godzinie.

– Na co masz ochotę? – zapytał, gdy już usiadła.

– Nie wiem. Na wszystko – zerknęła w kierunku gabloty z apetycznie wyglądającymi

ciastkami.

Adam zdał się na opinię kelnera i uśmiechnął się do Joanny.

– Opowiesz mi dzisiaj o sobie? – zapytał przykrywając ręką jej dłoń.

– Masz obsesję. Nie wystarczy ci, że moja matka opowiada ci codziennie?

– Ale ja chcę dowiedzieć się czegoś o tobie. Opowiesz?

– Chyba nie... – odparła niepewnie. – I nie dlatego, że nie chcę lub mam coś do ukrycia. Wolę nie wyprzedzać faktów. Mama i tak opowie ci tę część historii. Jeśli uznasz, że to za mało, wtedy uzupełnię. Dobrze?

– Dobrze – zgodził się, patrząc w jej roziskrzane oczy.

– Spójrz lepiej, co przywiozłam ci ze Lwowa – sięgnęła do torebki, skąd po chwili wydobyła małe serduszko wykute w kamieniu.

– Myślałaś o mnie? – zapytał biorąc do ręki gładko oszlifowany kamyk.

– Tak, myślałam o tobie, dużo – powiedziała poważnie.

– A serce...

– Brało w tym myśleniu udział. I nie dopatruj się niczego szczególnego w kamieniu. Te z kolorowych szkiełek były kiczowate – wyjaśniła i uśmiechnęła się ciepło.

– Dziękuję. Sprawiałaś mi niespodziankę. Zwłaszcza tym myśleniem – powiedział i przyrzekł sobie, że już niedługo on też podaruje jej drobiazg. Bardzo znaczący drobiazg. Musi jednak być do końca pewny, czy ona zechce go przyjąć.

Do domu Juliany pojechali razem. Adam był umówiony na dalszą część opowieści. Być może ostatnią.

– Lata siedemdziesiąte były trudne – zaczęła Juliana. – Wydaje mi się, że tylko wojna była od nich gorsza. Zaczęło się wszystko od grudnia. Ale po kolei.

Do Warszawy wyjechałam zupełnie na to nie przygotowana, to znaczy w ciemno. Uznałam, że jakoś sobie poradzę, a jeśli nie, wrócę do domu na wsi. Przejrzałam ogłoszenia o wynajmie mieszkań. Ceny, które tam widniały, przekroczyły znacznie moje oczekiwania. Nie miałam wyjścia. Musiałam gdzieś mieszkać. Weszłam do budki telefonicznej i wybrałam numer właściciela kawalerki w jednej z kamienic. Umówiłam się na spotkanie, podczas którego obejrzałam lokum i zapłaciłam za miesiąc z góry.

– I tak ma pani szczęście – zapewniał mnie właściciel. – Teraz o mieszkanie trudno. To, co budują, to kropla w morzu. A czeka się latami. Ci, co siedzą przy korycie, swoim dają. Jak ktoś ma pieniądze, stara się o dwa albo więcej mieszkań. Potem w jednym mieszka, a resztę wynajmuje.

– To nieuczciwe – powiedziałam.

– A kto powiedział, że uczciwe! To mieszkanie – rozejrzał się – jest żony. Mieszkała tu z matką, jak była panną. Teraz mieszkamy w bloku, a to wynajmujemy.

– A nie chce pan sprzedać? – zapytałam z nadzieją.

– A pani pozbyłaby się kury, co znosi złote jajka?

Schował pieniądze i wyszedł, ja natomiast dokładniej obejrzałam swoje lokum. Było ponure i zagracone.

– Trudno – mruknęłam do siebie. – Na razie musi mi wystarczyć.

Rozpakowałam rzeczy i pojechałam zlustrować swój sklep.

Poukładane na półkach produkty wymagały uzupełnienia. Postanowiłam jeszcze dziś wysłać telegram do laboratorium i poprosić o nową dostawę. Zauważyłam, że moje ceny były umiarkowane w porównaniu do dramatycznie wysokich w sklepach spożywczych i przemysłowych. Nic dziwnego, że ludzie zaglądali do „Dzikiego motyla” i chętnie nabywali nawet po kilka produktów. Postanowiłam tego nie zmieniać. Tuż przed osiemną zajrzałam do gabinetu Marka Zawady. Kończył pracę i szczerze ucieszył się na mój widok.

– Chodź, usiądźmy w tej kawiarence – zaproponował, gdy już znaleźliśmy się na ulicy. – Tutaj porozmawiamy spokojnie.

Trudno tu było o wolne miejsce, a cóż dopiero o spokój. Ostatecznie usiedliśmy na ławce w jakimś małym parku.

– No mów, przyjechałaś na dłużej? – zapytał, uśmiechając się do mnie życzliwie.

– Tak. Chciałabym tu trochę pomieszkać. Stąd łatwiej zapanować nad interesami. Poza tym w domu jest teraz dość gęsto. Ola i Aleksander założyli rodziny i na razie tam mieszkają. Co będzie potem, zobaczymy. Może będą chcieli przeprowadzić się do Olsztyna? Obecnie jest mi to na rękę, bo zajmują się plantacją i gospodarstwem.

– A ty nie planujesz ponownie wyjść za mąż? Przydałby ci się jakiś mężczyzna u boku. Jesteś bardzo dzielna, ale z mężem byłoby ci łatwiej.

– Nie myślałam o tym. Tęsknię za Abrahamem.

– Bój się Boga, to już pięć lat! Nie możesz wciąż rozpamiętywać.

– Nie zarzekam się. Ale musiałabym trafić na kogoś odpowiedniego.

– Trafisz, trafisz. Jesteś piękną i ponętą kobietą. Nie gniewaj się, wiem, że nie wypada pytać o to, ale ile ty masz lat?

– W tym miesiącu skończę trzydzieści jeden.

– Wyglądasz znacznie młodziej! Pewnie dlatego, że malowało cię wiejskie powietrze i słońce, a nie puder i róż – zażartował.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się. – Zastanawiam się, czy byłbyś w stanie mi pomóc – zaczęłam, patrząc na niego uważnie.

Widziałam, jak się spłoszył, ale po chwili przybrał serdeczny wyraz twarzy.

– Mów – powiedział i nabrał powietrza, jakby miał zanurzyć się w wodzie.

– Szukam mieszkania. Do kupienia. Na razie wynajęłam obskurną kawalerkę, ale nie urzęduję na dłuższą metę. Zapłaciłam za miesiąc z góry i tyle mam czasu, żeby coś znaleźć.

Wypuścił z ulgą powietrze, co już świadczyło o tym, że jest jakaś nadzieja.

– Mam klienta. Właściwie to już był klient. Bronilem go ostatnio. Na szczęście

z dobrym skutkiem. On powinien ci pomóc. Jest prezesem spółdzielni mieszkaniowej na Żoliborzu. Masz na to pieniądze?

– Tak. Odkładałam od śmierci Abrahama. Liczyłam się z ewentualnością wyjazdu do miasta. Sprzedałam też maszyny rolnicze, nieprzydatne w uprawie ziół.

– Dobrze. W takim razie zaglądam do mnie. Będę cię informował.

Pod koniec września dowiedziałam się, że szanse są znikome i opłaciłam kolejny miesiąc z góry. W tym czasie dużo podróżowałam. Odwiedziłam laboratorium, a przy okazji zajrzałam do Oli i Aleksandra, ciekawa, jak sobie radzą. Przywitali mnie stęsknieni i nie chcieli wypuścić. Musiałam obiecać, że święta Bożego Narodzenia spędzimy na pewno razem. Zioła były już uprzątnięte i Ola próbowała swoich sił w przygotowaniu nalewek z dzikiej róży.

– Po co się męczysz? – zapytałam. – W laboratorium jest tego dużo. Poproś Aleksandra, albo męża to ci przywiozą.

– Nie o to chodzi, proszę pani. Chcę się nauczyć.

– Bardzo się cieszę, Olu. Pójdiesz w moje ślady. I przestań mówić do mnie proszę pani.

– A jak mam mówić? – zdziwiła się.

– Juliana.

Uściskała mnie serdecznie i wyciągnęła butelkę wina domowej roboty.

– To mój mąż, Paweł, robił. Spróbuj, jakie pyszne!

– Zawołaj wszystkich. Niech też spróbują – zaproponowałam.

– Myślisz, że nie próbowali? Co wieczór to robią.

Roześmiałam się i pogroziłam palcem.

– Uważajcie, z alkoholem nie ma żartów – ostrzegłam.

Po chwili reszta rodziny zebrała się w salonie i nie wiadomo kiedy stół zapełnił się wszystkim, co młode gospodynie znalazły w spiżarni. Grażka, żona Aleksandra, była energiczna i wesoła, a jej mąż nie spuszczał z niej zakochanego spojrzenia. Paweł zaś był duży i silny, ale intelektem nieco ustępował Aleksandrowi, a nawet swojej żonie, Oli. Kiedy wieczorem weszłam do swojego pokoju, zauważyłam, że był nietknięty. Nawet papiery na biurku leżały w miejscu, gdzie je zostawiłam. Jednocześnie czyjaś troskliwa ręka dbała o porządek i postawiła na stole wazon z pękiem jesiennych kwiatów.

Dobrze było mi w domu, ale czekały mnie interesy, nad którymi musiałam czuwać. Po tygodniu, zaopatrzona w wędzone mięso, nabiał i świeże warzywa, ruszyłam do Warszawy.

Na początku grudnia otrzymałam przydział na dwupokojowe mieszkanie z wielkiej płyty na Żoliborzu. Nie wiem, jakich argumentów użył Marek ani komu przeze mnie mieszkanie przeszło koło nosa. Z oszczędności nie zostało nawet tyle, by kupić podstawowe sprzęty i Marek musiał pożyczyć mi materac do spania. Echo dudniło

w pustych pokojach, gdy radosna biegałam od okna do okna i podziwiałam widoki z drugiego piętra.

Trzynastego grudnia wyjechałam do Gdańska, żeby przed świętami zlustrować swój sklep. Stamtąd miałam ruszyć od razu do domu na wsi. Wchodząc do sklepu spożywczego zauważyłam duże poruszenie. Pomyślałam, że tuż przed Bożym Narodzeniem dostarczono jakiś atrakcyjny towar i z ciekawością podeszłam do lady. Wtedy zobaczyłam, co się stało. Widniejące na artykułach ceny opiewały na kwotę kilkanaście procent wyższą niż dotąd.

– Co to za sklep? – zapytałam najbliższej stojącej kobiety.

– Normalny sklep – fuknęła – tylko ceny nienormalne. W „Trybunie” o tym pisali. Nie czytała pani?

– Nie...

– Pani widzi, co oni nam zrobili? – wtrącił się mężczyzna. – Niech tego Gomułkę szlag trafi! Na same święta takie podwyżki! Za to telewizory tańsze. I pralki. Tylko że dzieciaki pralką się nie nażrą! – Splunął na podłogę i wyszedł. Obserwowałam ekspedientkę, która wysłuchiwała utyskujących klientów i z miną winowajcy pakowała towar w szary papier. Ludzie zanurzali palce w chudych portfelach, miętosili w garści banknoty i zastanawiali się, czy wystarczy im pieniędzy na wszystko, co planowali kupić. Tego dnia nie pojechałam już do „Dzikiego motyla”. Lustrację sklepu odłożyłam na następny dzień, popołudnie zaś wykorzystałam na kupowanie świątecznych prezentów. Wieczorem udałam się na nocleg. Następnego dnia recepcjonista w hotelu szepnął mi, że w mieście coś się dzieje:

– Podobno stocznia stanęła. Ludzie nie mogą się pogodzić z podwyżkami i strajkują.

Pokiwałam głową i pojechałam do swojego sklepu. Pogawędziłam z ekspedientką, potem sprawdziłam stan towaru i utarg. Obiad zjadłam w restauracji, wróciłam do hotelu po walizkę i udałam się na dworzec. I tu czekała mnie niespodzianka. Już z daleka zobaczyłam manifestantów. Bałam się podejść bliżej, bo wyraźnie dochodziło tam do zamieszek. Wróciłam do hotelu i zamówiłam jeszcze jeden nocleg. Nazajutrz było jeszcze gorzej. Demonstranci podpalili siedzibę Komitetu i na miasto wyjechały czołgi. Płonęły samochody, kioski z gazetami, rozbijano szyby wystawowe. Nie wiedziałam, jak przedostać się na dworzec. Popierałam demonstrantów, ale chciałam jak najszybciej opuścić Gdańsk. Pragnęłam być w domu na wsi, z dala od tego wszystkiego, co działo się tutaj. Na dworcu, gdzie dotarłam z duszą na ramieniu, ludzie szeroko rozprawiali o ostatnich wydarzeniach w mieście. Podobno Gomułka pozwolił użyć broni. Podobno będą strzelać do ludzi. Podobno... To, co wydarzyło się na Wybrzeżu, odbiło się szerokim echem w każdym zakątku Polski. Gomułka został odsunięty od władzy, a na jego ciepłym jeszcze miejscu zasiadł Edward Gierek z Sosnowca.

Święta na wsi nie różniły się niczym od świąt w ubiegłych latach, prócz tego, że miejsce Abrahama pozostało puste i wypełniło moje serce smutkiem. Na stole niczego nie zabrakło, a pod choinką piętrzyły się prezenty. Wszyscy starali się, jak mogli. Od Aleksandra otrzymałam świecznik wyrzeźbiony w kawałku drewna, a Ola podarowała mi pięknie haftowaną ozdobną poduszkę. Grażka, żona Aleksandra wydziergała serwetę na stół, a Paweł wyplół wiklinowy koszyk na owoce. Ode mnie otrzymali prezenty zakupione w Gdańsku.

Do Warszawy dotarłam dopiero po rozpoczęciu nowego roku i zaczęłam rozglądać się za lokalem, w którym zamierzałam założyć gabinet fitoterapii. Oczywiście do prowadzenia go musiałam mieć uprawnienia, więc zapisałam się na kurs zapewniający mi certyfikat. Brałam na siebie odpowiedzialność leczenia ziołami, a ich stosowanie nie może być przypadkowe. Niewielkie dawki działają leczniczo, zbyt duże mogą być niebezpieczne. Obawiałam się, czy w czasach niskich zarobków i dramatycznej drożyzny w sklepach będę miała pacjentów. Na szczęście w marcu rząd nakazał powrót do starych cen i dążył do podwyższenia płac. Odpowiednio wcześniej zamieściłam ogłoszenie w gazecie, a pod koniec marca mój gabinet był gotowy na przyjęcie pacjentów.

Frekwencja przerosła wszelkie oczekiwania. Już w połowie kwietnia musiałam prosić o nową dostawę ziół. Jednocześnie dotarły do mnie wieści, że trzy sklepy nie dają rady odbierać takiej ilości towaru, jaką gromadzi magazyn w laboratorium. Nic dziwnego, po powiększeniu obszaru uprawy przybyło surowca. Musiałam zamknąć gabinet i pojechać do laboratorium, by ocenić sytuację. Istotnie, magazyn pękał w szwach, a laboranci uwijali się jak mrówki. Odesłałam bystrą Małgorzatę do Poznania z poleceniem założenia tam kolejnego „Dzikiego motyla”. Na jej miejsce Henio sprowadził swojego kolegę, który pozostał już na stałe. Małgorzata odtąd zajmowała się lustracją sklepów i organizacją nowych w miarę potrzeb.

W ciągu trzech lat powstały jeszcze sklepy w Krakowie i we Wrocławiu. Tajemnicą powodzenia tych sklepów były stosunkowo niskie ceny i atrakcyjny towar. W dobie braku na rynku właściwie wszystkiego, pachnące mydełka, kremy i olejki miały największe powodzenie, ale klienci nie stronili też od preparatów leczniczych. Mogłam już mówić o sieci sklepików ziołowych i o tym, że „Dzikie motyle” przynosiły zyski. Sytuacja finansowa poprawiała się z miesiąca na miesiąc. Korzystali na tym wszyscy moi pracownicy, a i dorosłe dzieciaki na wsi odczuwały wyraźną ulgę. Dzięki właściwej organizacji i zrzuceniu części odpowiedzialności na barki pracowników miałam wreszcie możliwość zajęcia się gabinetem. Wróciłam do leczenia. Przychodzili pacjenci z niewielkimi dolegliwościami, ale też i tacy, którzy nie mieli już nadziei na wyzdrowienie. Miałam niemały dylemat, czy w takich wypadkach mam mówić, że ich dni są policzone. Tak robiła szeptucha Romańczukowa i ludzie bali się jej. Zdecydowałam, że będę łagodzić ich dolegliwości i nie odbierać nadziei. Pewnego

dnia trafiła do mnie kobieta mniej więcej w moim wieku, skarżąc się na zawroty głowy, zaburzenia rytmu serca, bezsenność i inne dolegliwości. Wyglądało mi to na nerwicę. Twarz miała szarą, zmęczoną i trudno było dopatrzeć się w niej radości życia.

– Proszę mi powiedzieć, jak wygląda pani dzień – zwróciłam się do niej.

– Normalnie... Wstaję o ósmej, szykuję sobie śniadanie... Ja wiem?

– Pracuje pani zawodowo?

– Nie, mąż pracuje, a ja siedzę w domu.

– Ma pani dzieci?

– Nie – oznajmiła i posmutniała. – Staraliśmy się, ale nie wyszło.

– No i co po tym śniadaniu? Co pani dalej robi?

– Idę po zakupy, potem robię obiad. Mąż wraca z pracy, jemy, zmywam, trochę krzątam się po domu, oglądam telewizję, robię kolację, znowu telewizja... jak film nieciekawy, to idę spać.

– A mąż? Co robi po pracy?

– A ja tam wiem? Czasem czyta, czasem gdzieś wychodzi, różnie.

– Nie spędzacie razem czasu? Nie rozmawiacie?

– A o czym tu rozmawiać. On ma swoje sprawy.

– Nie wychodzi pani na spacer?

– Kiedyś wychodziłam, a teraz mi się nie chce.

– Musi pani zmienić tryb życia. Więcej ruchu, spacery na świeżym powietrzu. Dobrze byłoby, żeby znalazła pani dla siebie coś interesującego. Dam pani kwiaty głogu. Proszę parzyć je pod przykryciem pół godziny i pić dwa razy dziennie po pół szklanki. Zapraszam za miesiąc. Mam nadzieję, że to pomoże.

Kobieta podziękowała bez przekonania (wszystko robiła bez przekonania) i wyszła. Wróciła po miesiącu.

– Pomogło? – zapytałam.

– Niby trochę tak. Serce nie kołacze. Ale spać dalej nie mogę.

– A zmieniła pani tryb życia? Spaceruje pani?

– A, jakoś nie było okazji – odpowiedziała i machnęła ręką.

– Nie pomogę pani, jeśli nie będzie pani współpracować – zirytowałam się.

– Niech mi pani da inne zioła.

– Dobrze. Dam pani herbatkę z liści jemioly.

– Dziękuję – powiedziała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

Była moją ostatnią pacjentką, więc wyszłam za nią, żeby przekręcić w zamku klucz. W poczekalni czekał na nią mąż.

– No, jak tam? – zapytał.

Ten głos... Odwróciłam się gwałtownie i zamarłam.

– Wojtek... – wyjąkałam.

– Juliana? Boże, Juliana! Ty tutaj? Jak to możliwe? – Nie zważając na żonę, która



patrzyła to na mnie, to na niego, złapał mnie za obie ręce i przyglądał się mojej twarzy.

– Nic a nic się nie zmieniłaś!

– Ty też nie. Wcale! – zapewniałam.

– E tam, nie przesadzaj. Mam już trochę siwych włosów.

– Idziemy? – wtrąciła się żona, zniecierpliwiona przeciągającym się powitaniem, po czym obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem.

– Idziemy, idziemy – odparł Wojtek i mrugnął do mnie. – Do zobaczenia – powiedział.

Miesiąc później jego żona ponownie zajrzała do gabinetu.

– Proszę usiąść – zaproponowałam, widząc że stoi niezdecydowana na środku pokoju.

– Nie... Chyba nie będę już pani zawracać głowy. Czuję się lepiej, więc nie muszę już przychodzić.

– Jak pani uważa. Gdyby jednak zdarzyły się gorsze dni, zapraszam – powiedziałam i uśmiechnęłam się zdawkowo.

Odprowaździłam ją do drzwi, łudząc się, że znów spotkam jej męża. Niestety, tym razem się zawiodłam. Może to i lepiej – pomyślałam. – Po co kusić los? Myślenie o nim było niebezpieczne.

Zajmowałam się pracą, czytałam książki, raz w miesiącu kontrolowałam laboratorium i sklepy, odwiedzałam dom na wsi. W lipcu, kiedy zaczynał się owocowy sezon, rząd reglamentował cukier i Ola skarżyła się, że nie robi dżemów na zimę. Było coraz trudniej. Ludzie mieli niskie zarobki, a ceny towarów rosły.

– Ludzie zarabiają mało przez to cholerne bezrobocie – denerwował się Marek Zawada, który pewnego dnia wpadł do gabinetu po syrop dla dzieci.

– Jak to przez bezrobocie – zdumiałam się. – Przecież u nas nie ma bezrobocia.

– Właśnie o to chodzi, żebyś ty i wszyscy inni tak myśleli. A bezrobocie jest, tylko ukryte.

– Co to znaczy „ukryte”?

– To znaczy, że każdy musi pracować, więc fabryki i inne zakłady pracy przyjmują wszystkich, nawet jeśli nie mogą zapewnić stanowiska.

– Nie bardzo rozumiem.

– No, na przykład ty. Czy w swoim gabinecie miałabyś dla mnie pracę?

– Nie.

– No właśnie. Załóżmy, że musisz mnie zatrudnić. Robisz to, ale nie masz dla mnie żadnego zajęcia. Przez cały czas płacę ci się pod nogami, a na koniec miesiąca musisz mi zapłacić, więc swoje pieniądze dzielisz i na mnie, chociaż nic nie robiłem. Teraz rozumiesz?

– Rozumiem – pokiwałam głową.

Na szczęście w moich sklepach, mimo ogólnej biedy, klientów przybywało. Od

dłuższego czasu ceny w nich nie rosły i przede wszystkim to było kluczem do powodzenia. Ze wsi przywoziłam też mięso, które wciąż było kryterium zamożności. Bo tylko bogatsi mogli sobie pozwolić na horrendalnie wysokie ceny mięsa i jego przetworów. Mimo że sprzedaż z ubojów gospodarczych była nielegalna, odstępowałam niewielkie ilości zamożniejszym pacjentkom.

Lato zbliżało się wielkimi krokami. Ciepłe majowe popołudnie zwabiło mnie do parku. Spacerowałam zielonymi alejkami, wsłuchując się w świergotanie ptaków, dobiegający z polany gwar dzieci i nawoływanie matek. Mijałam zakochane pary i stukających laseczkami staruszków. Wśród tych wszystkich ludzi poczułam się bardzo samotnie. Bolesnie zatęskniłam za Abrahamem. Przysiadłam na ławce i sięgnęłam do torebki po książkę. Próbowałam zatopić się w lekturze, ale zupełnie nie mogłam się skupić. Pomyślałam o matce. Była biedna, jej życie ograniczało się do podwórka i najbliższej polany, pracowała ponad siły, ale była szczęśliwa. Szczęśliwa dopóki był obok Piotr, jej mąż. Potem już tylko walczyła o przetrwanie. Kiedy byłam z Abrahamem, często brakowało nam pieniędzy i borykaliśmy się z różnymi problemami, ale przy nim czułam się bezpiecznie. Teraz mam pieniądze i mogę zapewnić sobie egzystencję na wysokim poziomie, ale czuję się uboższa niż na garnuszku u babki Oleny. Uporczywa samotność, brak kogoś bliskiego boleśnie dawały mi się we znaki.

Wróciłam do domu z wielkiej betonowej płyty, przygotowałam różane olejki i mydło wykonane we własnym laboratorium, zapaliłam świece z pszczelego wosku i zanurzyłam się w pachnącej kąpieli. Powoli tajałam, a złe myśli odpływały wraz ze zmęczeniem. Wracało rozluźnienie i spokój. Z błógiego stanu odprężenia wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Usiadłam w wannie, nasłuchując. Może ktoś się pomylił i za chwilę odejdzie. Dzwonek jednak powtórzył się jeszcze dwukrotnie. Ktoś wyraźnie chciał dostać się do mojego domu. Wskoczyłam z wanny i owinęłam się ręcznikiem. Boso, z mokrymi włosami podbiegłam do drzwi i przekręciłam zamek. W progu stał Wojtek. Nie zastanawiałam się, jak mnie tu znalazł. Staliśmy tak i patrzyliśmy na siebie, nie mogąc wydobyć ani słowa. W końcu wszedł, zamknął drzwi i chwycił mnie na rękę. Od jego pocałunków zabrakło mi tchu.

Obudziliśmy się w mojej sypialni, gdy za oknem panowała już noc. Wojtek nie wypuszczał mnie z objęć, jakby w obawie, że mu się wywinę i zniknę.

– Juliano – szepnął – moja cudna...

– Co myśmy zrobili? Wojtek, twoja żona...

Zakrył mi usta dłonią.

– Nie, nie mówmy o niej. Nie teraz.

Przytulił mnie i zasnęliśmy na dobre.

Niedzielny ranek wstał piękny. Słońce rozmazywało się na szybie, przenikało przez firanę, malując na ścianie przedziwne drzące wzory. Obok mnie spał mężczyzna,

o którym tak długo nie mogłam zapomnieć, przez którego wylałam morze łez, który zdecydował o moim małżeństwie z Abrahamem. Teraz był w zasięgu wzroku, ramion, odrodzonych uczuć. Oparta na łokciu przyglądałam się jego twarzy. Otworzył oczy.

– Rozwiode się – powiedział.



## 22

Juliana przerwała opowieść i spojrzała na Adama, jak mu się wydawało, trochę zaczepnie.

– Nie chciałam tego ślubu – powiedziała, jakby próbowała się tłumaczyć. – Nie chciałam krzywdy jego żony. Ale on rozwiódł się, nie zważając na moje słowa.

Miałam prawie trzydzieści osiem lat, gdy po raz drugi zostałam żoną. Kilka dni po ślubie porzucona przez Wojtka kobieta odwiedziła mnie w gabinecie. Zobaczyłam ją przez okno i w pierwszej chwili miałam ochotę zamknąć drzwi na klucz i udawać, że mnie nie ma. Niestety. W poczekalni siedzieli pacjenci i musiałam stawić czoła nadciągającym kłopotom. Spodziewałam się, że była żona mojego męża wtargnie do gabinetu i zrobi mi awanturę. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Nie dość, że poczekała grzecznie na swoją kolej, to jeszcze jej zachowanie zupełnie mnie zaskoczyło.

– Przyszłam tylko po to, żeby życzyć pani szczęścia na nowej drodze życia – powiedziała. – Życzę szczerze, bo ja go nie miałam. I wolę panią uprzedzić, iż nie będzie łatwo. Właściwie dziękuję, że uwolniła mnie pani od niego.

Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, gdyż skinęła tylko głową na pożegnanie i wyszła. Zresztą nawet gdyby nadal przede mną stała, nie wiedziałabym, co odpowiedzieć.

Po powrocie do domu, dokąd sprowadził się mój świeżo upieczony mąż, zaczęłam mu się uważniej przyglądać. Ale na tym etapie nie zauważyłam nic, co zagrażałoby naszemu związkowi. Byłam szczęśliwa i takie samo szczęście widziałam w jego oczach. Nasze życie zmieniło się o tyle, że zamieszkaliśmy razem. Ja nadal prowadziłam swój gabinet, Wojtek zaś, podobnie jak jego ojciec, został architektem i wieczory zwykle spędzał nad projektami. Pierwszy sygnał, że coś jest nie tak, odebrałam wtedy, gdy jak zwykle każdego miesiąca wybierałam się na objazd moich sklepów. Wyjęłam z szafy walizkę i zaczęłam pakować niezbędne drobiazgi. Wojtek oderwał się od deski kreślarskiej i zapytał ze zdumieniem:

- Co ty robisz?
- Pakuję się, kochanie – odparłam pogodnie, nie przewidując nadciągającej burzy.
- Jak to pakujesz się? Dokąd się znowu wybierasz?
- Muszę skontrolować swoje sklepy – wyjaśniłam już bez uśmiechu, bo twarz Wojtka wyglądała jak chmura gradowa.
- Byłaś niedawno. Po jaką cholere tak często tam jeździsz?
- Od kilku lat robię comiesięczny objazd sklepów i nie zamierzam tego zmieniać – zdenerwowałam się.
- Uważam, że raz na trzy miesiące w zupełności wystarczy.
- Ty tak uważasz. Jeśli więc będziesz miał swoje sklepy, będziesz je odwiedzał raz na trzy miesiące, dobrze? A do moich się nie wtrącaj – oświadczyłam podniesionym głosem.
- Zapominasz, że jesteśmy małżeństwem, więc sklepy teraz nie są twoje, tylko nasze – powiedział i uśmiechnął się ironicznie.
- Mylisz się. Sklepy posiadałam już przed naszym ślubem, zatem należą wyłącznie do mnie.
- Ach, kochanie – zmienił nagle ton. – Nie chodzi mi przecież o twój majątek. Będę za tobą tęsknił, nie rozumiesz?
- Rozumiem, i za tydzień będę już z powrotem – powiedziałam udobruchana, co nie przeszkadzało mi po powrocie odwiedzić Marka i opisać mu niepokojącą mnie sytuację.
  
- Tak, masz rację, sklepy są twoje. Ale dochody z nich od chwili ślubu wspólne.
- Jak można temu zaradzić?
- Przed sześciu laty sąd wydał ustawę, na podstawie której możesz w razie czego żądać ustalenia twoich udziałów w majątku wspólnym, według stopnia, w jakim przyczyniłaś się do jego powstania. Ale myślę, że nie będzie ci to potrzebne. Wszak dopiero się pobraliście. Docieracie się, jak każde młode małżeństwo.
- Mam nadzieję. Przyznam, że zapaliło się we mnie ostrzegawcze światełko.
- To, że jesteś czujna, bardzo się chwali. Życzę ci jednak więcej wiary i zaufania.
- Przez kolejnych kilka miesięcy Wojtek był cudowny i nie przeżywał już tak moich wyjazdów. Uspokoiliłam się i uznałam, że Marek miał rację. Musieliśmy się dotrzeć. Zresztą Wojtek nie zarabiał źle i powodziło nam się doskonale, w przeciwieństwie do wielu rodaków, którzy nie mieli tyle szczęścia. W sierpniu, rok po ślubie, wyjechaliśmy na wspólne wczasy, skąd przywiozłam maleńkie ziarenko, rosnące odtąd pod moim sercem. Na tę wieść Wojtek oszalał z radości. Zaczęliśmy przygotowywać się do rodzicielstwa. Pomimo dojrzałego wieku, żadne z nas nie miało w tej dziedzinie doświadczenia.
- Czy nie uważasz, że przydałby nam się teraz większy dom? – zapytałam któregoś

wieczoru, oglądając po raz setny maleńkie śpioszki i kaftaniki zakupione w Pewexie.

– Ależ tak, Juliano! – zawołał z entuzjazmem. – Ale nie jakieś tam mieszkanie w betonowym bloku. Zaprojektuję dla nas najpiękniejszy dom w Warszawie.

Od tej pory mój mąż każdą wolną chwilę spędzał nad projektem naszego przyszłego domu, ja natomiast dziergałam na drutach całe góry sweterków, czapeczek i skarpetek.

– Spodziewamy się trojaczków? – żartował na ich widok i całował mnie czule.

W marcu byłam już bardzo ciężka. Ze względu na mój wiek lekarz chciał mieć mnie pod ścisłą kontrolą, dlatego zamknęłam gabinet na cztery spusty i po raz pierwszy nie nadzorowałam najwcześniejszych zbiorów ziół na wsi. Wisiałam za to na telefonie, który cudem udało nam się załatwić, i wydzwaniałam do laboratorium z tysiącem i pytań. Może właśnie dlatego nie zauważyłam, że Wojtek do domu wracał coraz później i nie okazywał mi już tyle czułości, co dawniej. Przestał też pracować nad projektem naszego nowego domu.

W kwietniu siedemdziesiątego dziewiątego roku narodziła się maleńka istotka...

– Joanna! – zawołał Adam i spojrzał na Julianę z uwielbieniem.

– Owszem, Joanna. Moje jedyne dziecko. Bo nie liczę przecież Oli i Aleksandra, których kocham wprowadzić tak samo, jednak nie są moimi biologicznymi ani nawet adopcyjnymi dziećmi. Bardzo mi zresztą pomogli, prowadząc interesy, kiedy ja byłam zajęta maleństwem. Muszę ci powiedzieć, że oboje do dziś zajmują się siecią „Dziki motyl” z ogromnym powodzeniem. Nie są wprowadzić współwłaścicielami, ale zostali głównymi szefami tego przedsięwzięcia. Mają też zapewnioną pracę tak długo, jak długo dadzą radę wszystkiemu podołać. A później, cóż... Spadnie to chyba na ich dzieci. Albo... – tu spojrzała znacząco na Adama – albo wasze, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli.

Adam zaczerwienił się jak sztubak. O tak, byłoby to również po jego myśli. A co sądzi o tym Joanna?

Zostałam czterdziestoletnią matką i przez pierwsze tygodnie słabo dawałam sobie z tym radę. Byłoby mi oczywiście łatwiej, gdyby Wojtek zechciał mi pomagać. On niestety zniknął nawet w niedziele i nie kwapił się do opieki nad dzieckiem.

– Mam wrażenie, że unikasz ojcowskich obowiązków – wytknęłam mu pewnego niedzielnego poranka, gdy szykował się do wyjścia.

– Daj spokój, kochanie – tłumaczył się zerkając na zegarek. – Wychodzę do biura. Powiększyła nam się rodzina, staram się brać dodatkową robotę. W biurze mogę bardziej się skupić – tłumaczył.

– Nie potrzebujemy więcej pieniędzy – przekonywałam. – Dzięki sklepom dajemy sobie radę.

– No tak, ale przecież chcemy mieć dom. Nie możemy przejadać oszczędności. – Poza tym te sklepy... Aż się dziwię, że pozwalają ci je otwierać. Masz pakt z diabłem?

Wyszedł, a ja znów zostałam sama z uczuciem niepewności. Nigdy nie pomyślałam nawet, że coś może zagrażać moim sklepom, ale słowa męża uświadomiły mi, że interesy idą mi nadspodziewanie łatwo, chociaż moja działalność była niemile widziana przez komunistyczne władze. Po południu zapakowałam Joannę do wózka i z postanowieniem wyciągnięcia Wojtka na spacer ruszyłam do jego biura. Było zamknięte. Rozejrzałam się bezradnie, myśląc, co uczynić w takiej sytuacji. Jeśli wyszedł przed chwilą, mogę go jeszcze spotkać w okolicy. Jeśli opuścił biuro dużo wcześniej, pewnie teraz jest już w drodze do domu. Wróciłam, ale dom zastałam pusty. Nakarmiłam dziecko i zaczęłam porządkować szuflady w komodzie. Ilekroć byłam czymś zdenerwowana, brałam się za porządki, które zwykle koją nerwy. Natrafiłam na szarą kopertę, w której przechowywałam część podręcznych oszczędności, lecz pieniędzy nie było. Zaciśnęłam zęby i postanowiłam jak najszybciej rozmówić się z mężem. Ale jego też nie było.

Wrócił późnym wieczorem. Pachniał winem i czymś jeszcze, trudnym do określenia. Udając, że tego nie dostrzegam, i trzymając emocje na wodzy, zapytałam:

- Gdzie byłeś tak długo?
- Mówiłem ci przecież, że idę popracować do biura – odparł poirytowany.
- Do tej pory byłeś w biurze?
- Oczywiście, że w biurze. Nie masz pojęcia, ile dziś miałem roboty!
- Mam pojęcie. Zwłaszcza że biuro było zamknięte. W końcu jest niedziela.

Wojtek poczerwieniał ze złości.

– Pracowałem w parku. Zawsze mówisz, że żal przy pięknej pogodzie siedzieć w budynku, prawda? – Wykrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu i wyciągnął rękę, by pogłaskać mnie po włosach, jak ulubione zwierzątko. Uchyliłam się. – No, nie dąsaj się. Chcę, żeby niczego wam nie zabrakło – zerknął znacząco na Joannę.

– I pewnie dlatego kradniesz moje oszczędności – powiedziałam spokojnie.

W mojego męża, jakby piorun strzelił. Wytrzeszczył oczy i kłapnął zębami jak pies.

– Za tydzień będziesz miała je z powrotem – mruknął. – Były mi potrzebne.

– Nie mogłeś po prostu poprosić? Dałabym ci je.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę... Ale teraz to już przepadło – kręcił.

Co się stało z naszą miłością? – myślałam, przyglądając mu się z uwagą. Nie tak wyobrażałam sobie nasze wspólne życie i coraz częściej łapałam się na stwierdzeniu, że bez niego było mi lepiej. Jediną nagrodą była Joanna, która przynosiła mi wiele radości. Pod koniec sierpnia, przechadzając się z wózkiem po parku, ujrzałam z daleka zakochaną parę, która wzbudziła we mnie zazdrość. Mężczyzna tulił wybrankę swego serca i szeptał jej do ucha coś, co sprawiło, że roześmiała się perliście. Przyglądałam się im z narastającą sympatią, jednak w pewnej chwili coś we mnie drgnęło. Wyteżyłam wzrok i... tak, nie mogłam się mylić. Tym mężczyzną był mój mąż, Wojtek. Wycofałam się najszybciej, jak mogłam, i hamując łzy wściekłości, wróciłam do domu.

Serce podjeżdżało mi do gardła i nie potrafiłam znaleźć sobie miejsca. Zastanawiałam się, co powiem, kiedy przyjdzie Wojtek. Będzie się zachowywał niezwykle układnie, będzie też udawał, że jest zmęczony po nadmiarze pracy. Pracy? Jeśli był w parku, nie mógł jednocześnie być w pracy. Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer jego biura. Dwa długie sygnały, trzy...

– Słucham – odezwał się wreszcie niezbyt przyjemny głos.

– Dzień dobry, chciałam rozmawiać z Wojciechem Zagórskim – wydusiłam przez ściśnięte gardło.

– Wojciech Zagórski? Przepraszam, jestem tu od niedawna. Chwileczkę... – usłyszałam dźwięk odkładanej gdzieś na stół albo biurko słuchawki, po czym nastąpiła cisza. Po dłuższej chwili głos odezwał się ponownie: – Halo, Wojciech Zagórski nie pracuje w naszym biurze.

– Od dawna? – zapytałam drżącym ze zdenerwowania głosem.

– Tak. Od czterech miesięcy.

– Dziękuję, do widzenia – pożegnałam się i trzymając wciąż słuchawkę w zbiegających od zaciskania jej palcach, zakłamałam półgłosem: – Niech cię szlag....

Joanna zaczęła kwilić i bez względu na mój stan psychiczny musiałam się nią zająć.

Nie, tak nie można – myślałam gorączkowo. – Muszę się pozbierać. Co robić? Joanna płakała coraz głośniejsze i nie mogłam jej uspokoić. Niewątpliwie udzieliły się jej moje nerwy. W rezultacie Wojtek zastał mnie zmęczoną i podenerwowaną. Spojrzał na mnie z niechęcią, zrobił sobie kanapkę i rozsiadł się przy desce kreślarskiej. Stłumiłam złość. Postanowiłam tego wieczoru nie poruszać drażliwego tematu i starałam się nie okazywać w żaden sposób, że wiem o jego grzechach. Nie dzisiaj. W głowie powoli układałam strategię działania. Musiałam jednak trzymać nerwy na wodzy, żeby nie wybuchnąć. Próbowałam zająć się czymś konkretnym, ale Joanna wciąż popłakiwała, odrywając mnie od pracy.

– Cholera! – wrzasnął mój mąż i rzucił ołówkiem, który potoczył się gdzieś pod łóżko. – Chwili spokoju nie ma w tym domu! Czy to dziecko musi się tak wydzierać?! Zrób coś z tym!

Wzięłam Joannę na ręce i wyszłam z nią do drugiego pokoju, klnąc szpetnie pod nosem. Mój plan nabierał kształtów i poczułam się dzięki niemu silniejsza. Co dziwne, nie czułam żalu nad straconym małżeństwem, choć jeszcze niedawno byłam najszczęśliwszą kobietą świata. Rozumiałam teraz słowa byłej żony Wojtka, która dziękowała mi za zwróconą wolność. Ja też chciałam być wolna. Za wszelką cenę. Musiałam się do tego dobrze przygotować. Następnego dnia z Joanną w wózku zabrałam się za załatwianie najpilniejszych spraw. Przede wszystkim udałam się do Marka i szczerze opowiedziałam mu o ostatnich przejściach. Wysłuchał tego z uwagą i pokiwał z zafrasowaniem głową.

– Nie trzymaj żadnych pieniędzy w domu – doradził. – Kiedy mu ich zabraknie,



ujawni się, że nie ma pracy. Nie odbieraj na razie dochodów ze sklepu. Załóż na ten cel osobną książeczkę oszczędnościową. Niech tam wpływają pieniądze. Najlepiej na nazwisko córki.

– Joanny? – zdziwiłam się.

– Tak, Joanny. I nie chwal się tym nikomu. Niech pieniądze wpłaca ktoś zaufany z laboratorium.

– Mam księgową.

– Niech to więc będzie księgowa. Potem kieruj się intuicją. Sama wiesz, co dla ciebie dobre, prawda?

Przytaknęłam głową.

– Chcę ci jeszcze powiedzieć, Juliano że przykro mi doradzać ci w tej sprawie. Dawno temu Wojtek wyciągnął mnie z opresji. Zresztą sama byłaś tego świadkiem. Nigdy mu tego nie zapomnę. Teraz muszę spiskować z tobą przeciw niemu. No, ale nie spodziewałem się po nim takich rzeczy. Życzę ci powodzenia. Oby udało wam się dojść do porozumienia.

Podziękowałam i wyszłam.

Wcale nie chciałam dochodzić z Wojtkiem do żadnego porozumienia. Po tym, co mi zrobił, nie wyobrażałam sobie dalszego życia z nim pod jednym dachem. Już nie. Postanowiłam znaleźć nianię do dziecka. Jeśli mam myśleć racjonalnie, nie mogę być pochłonięta Joanną. Muszę kontrolować interesy i wrócić do pracy w gabinecie. Nie dla pieniędzy. Dla siebie. Nie chciałam być postrzegana jako kura domowa, którą Wojtek przeciwstawiałby swojej nowej miłości. To byłoby upokarzające. Jedna z sąsiadek chętnie przyjęła propozycję pracy przy moim dziecku. Otworzyłam gabinet i wróciłam do jako takiej równowagi. Mój mąż nawet nie zauważył, że pracuję. Każdego ranka konsekwentnie pozorował wyjście do pracy i wracał o godzinie, kiedy zwykle zamykano biuro.

Od feralnego dnia minęły dwa tygodnie. Tej soboty postanowiłam wprowadzić swój plan w czyn. Po wyjściu Wojtka z domu ubrałam Joannę i zaniiosłam ją piętro wyżej, uprzedzając opiekunkę, że dziś dziecko pozostanie u niej nieco dłużej. Sama udałam się do komercyjnego sklepu, wybrałam wino i ulubione smakołyki męża. Po powrocie zauważyłam, że ktoś myszkował w szufladzie, gdzie zwykle trzymałam oszczędności. A więc był tu w międzyczasie. Musiał się rozczarować, bo skorzystałam z rady Marka i odtąd nosiłam niewielkie kwoty w torebce, reszta zaś spoczywała w banku. Wzięłam pachnącą kąpiel i zrobiłam staranny makijaż. Potem przygotowałam stół i świece. Teraz wystarczyło czekać. Być może brak gotówki skłonił Wojtka do wcześniejszego powrotu. Na mój widok po twarzy przemknął mu błysk zainteresowania. Mogłam to uznać za namiastkę dawnego oczarowania moją osobą.

– Wychodzisz gdzieś? – zapytał widząc mnie w wizytowej sukience.

– Wręcz przeciwnie, zapraszam cię na uroczystą kolację – odparłam z najmiłszym

uśmiechem, na jaki było mnie stać.

– Masz dziś urodziny? – Zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie ich datę.

– Nie. Ale chciałam wykorzystać moment, że Joanna jest pod opieką. Tak mało mamy ostatnio czasu dla siebie.

W pierwszej chwili zrobił grymas imitujący uśmiech, kiedy jednak wzięłam go za rękę i zaprowadziłam do pokoju, oniemiał z wrażenia. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Cóż to za święto? – zapytał i po raz pierwszy od wielu tygodni przygarnął mnie do siebie.

– Nasze święto – odpowiedziałam z uśmiechem. – Zapraszam.

Usiedliśmy i podałam mu butelkę wina, którą z namaszczeniem otworzył.

– Jesteś cudowna – stwierdził, patrząc na mnie z zastanowieniem. Sądziłam, że w tym właśnie momencie porównuje mnie ze swoją nową miłością.

Wypiliśmy po lampce wina i spróbowaliśmy rarytasów ustawionych na stole.

– Wiesz, zapomniałem już, jak wspaniale jest z tobą w domu. Ostatnio byłem taki zapracowany – kłamał.

– Wiem o tym.

– O czym wiesz? – spłoszył się.

– Że ze mną jest wspaniale – powiedziałam wykrętnie.

Odetchnął. Siedząc naprzeciwko lustrowałam jego twarz. Chyba poczuł się nieswojo, bo zaproponował przejście na sofę, gdzie wypiliśmy drugą lampkę wina.

– Spędzimy dziś upojną noc – szepnął mi do ucha, po czym objął mnie ramieniem. – Chcę ci coś powiedzieć, Juliano – oznajmił przyciszonym głosem.

– Mmmm? – mruknęłam jak rozleniwiona kotka. – Co takiego chcesz mi powiedzieć?

– Nie będę brał już tyle zleceń. Będę wracał wcześniej. Teraz wszystko się zmieni.

– Tak. Teraz wszystko się zmieni – powtórzyłam rozmarzonym głosem. Poczułam pieśczołliwy uścisk jego dłoni na moim ramieniu.

– Na pewno – szepnął, zaglądając mi w oczy.

– Zmieni się, bo jeszcze dziś się wyprowadzisz – oznajmiłam nagle zasadniczo. – To pożegnalna kolacja, żebyś miał miłe wspomnienia. W sypialni stoją przygotowane walizki. Spakuj się. Masz godzinę – dodałam i wstałam z sofy. Patrzył na mnie w zdumieniu.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że nie będziesz mieszkał już w moim domu i korzystał z moich pieniędzy.

– Oszalałaś.

– Tak. Oszalałam wychodząc za ciebie.

Zerwał się na równe nogi i wrzasnął na całe gardło:

– Rozkapryszona kretynka! Znudziłem ci się, co?! Bo ty...

– Uspokój się – powiedziałam stanowczo. – Nie zamierzam rozmawiać w ten sposób. To nie ja tobą, ale ty mną jesteś znudzony.

– No jasne – mruknął szyderczo.

– Nie tylko mną – kontynuowałam. – Praca też cię znudziła. Od czterech miesięcy nie widziano cię w biurze. Mimo to wychodzisz każdego ranka, żebym niczego się nie domyśliła. Jesteś oszustem. Jesteś też złodziejem, bo wykradasz moje pieniądze. Nie, nie... Nie przerywaj mi teraz. – Powstrzymałam go ruchem ręki. – Widziałam też jak obściskiwaleś się w parku z jakąś kobietą. Wiem, że kilkakrotnie przyprowadziłeś ją do mojego domu. Pewnie zapomniałeś, że mieszkamy w bloku pełnym ciekawskich oczu. Uważam, że to wystarczy, by uzyskać rozwód. Powinieneś się cieszyć, że nie żegnam cię awanturą, tylko wykwintną kolacją. Uprzedzam, że nie chcę wysłuchiwać tłumaczeń ani biadolenia, co masz biedny z tym zrobić. Otóż nie wiem, co masz zrobić i szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. A teraz idź, spakuj swoje rzeczy i opuść mój dom!

– Juliano, daj mi tydzień, muszę się pozbierać.

– Nie.

Popijając wino obserwowałam, jak chodzi po mieszkaniu, wrzucając swoje rzeczy do otwartej walizki. Nigdy jeszcze nie słyszałam tylu przekleństw, jakimi ciskał, zerkając w moim kierunku. Na szczęście wino skutecznie mnie znieczuliło i pozwoliło zachować odpowiedni dystans. Wyszedł z dwiema walizkami i zaciętą twarzą. Drzwi chyba pchnął nogą, bo zatrzasnęły się z hukiem. Wypiłam duszkiem jeszcze jedną lampkę wina i trzymając się mocno poręczy powlokłam się po dziecko.

– Pani Juliano, Joanna już śpi – szepnęła sąsiadka i przyjrzała mi się podejrzliwie. – Podałam jej butelkę. Mogłabym ją pani dać, ale wydaje mi się... Wydaje mi się, że pani też powinna się położyć...

– Przepraszam – mruknęłam. – Właśnie rozstałam się z mężem i dlatego...

– Dobrze pani zrobiła – powiedziała i poklepała mnie po ramieniu. – Niech pani to porządnie prześpi. Jutro będzie lepszy dzień. A Joannę przyniosę rano, jak się obudzi.

– Dziękuję – powiedziałam z wdzięcznością.

Dwa dni później złożyłam pozew o rozwód. Niedługo potem pierwsza żona Wojtka zajrzała do mojego gabinetu.

– Wrócił do mnie – oznajmiła, ku mojemu zdumieniu uszczęśliwiona.

– Wszystkiego dobrego na nowej drodze życia – powiedziałam szczerze i poklepałam ją współczująco po ramieniu.

Pół roku później byłam już rozwódką. Wdową i rozwódką. Z obydwu małżeństw wyniosłam różne doświadczenia, z których wyciągnęłam tylko jeden wniosek: życie u boku mężczyzny jest odwrotnie proporcjonalnie do wyobrażenia o nim. Żeby zapomnieć o niefortunnych przejściach, zajęłam się interesami. Ponieważ sprawujący władzę Edward Gierek przyczynił się do znacznej poprawy sytuacji Polaków,

zdecydowałam się na otwarcie trzech kolejnych sklepów. Nikt nie przypuszczał, że w następnych latach przyjdzie nam rozrzutność Gierka odpokutować. W osiemdziesiątym pierwszym roku, czyli rok po wcześniejszych protestach w Stoczni Gdańskiej i podpisaniu Porozumienia Sierpniowego, które było zgodą na tworzenie związków zawodowych, gruchnęła oficjalna wiadomość, że Gierek podupadł na zdrowiu. Był to pretekst do odsunięcia go od władzy. Rodakom zaciśnięto pasa. Zaopatrzenie było tak złe, że większość towarów została objętych reglamentacją. Między innymi mydło. I to był moment przełomowy dla produkcji i handlu „Dzikiego motyla”. W małych sklepikach tworzyły się kolejki, a mydło znikало błyskawicznie. Trzeba było zwiększyć produkcję. Ponieważ klienci nagminnie pytali o szampony do włosów, zaczęłam zastanawiać się nad ich wytwarzaniem. Wkrótce udało mi się przygotować recepturę trzech rodzajów szamponów: pokrzywowego, rumiankowego i rozmarynowego. Niestety termin ważności tych szamponów był ograniczony, ale obserwując, w jakim tempie znika mydło, nie martwiłam się o zbyt. Zamknęłam gabinet i z małą Joanną oraz gotową recepturą szamponów ruszyłam do swojego wiejskiego domu. Powierzyłam dziecko Oli, która miała już własną, niewiele starszą córeczkę, i wyjechałam do laboratorium w Olsztynie. Uwijaliśmy się jak w ukropie, żeby nadążyć za potrzebami nienasyconego rynku. Ludzie kupowali po kilka, a nawet kilkanaście sztuk mydeł i szamponów. Odstępowali je dalszej rodzinie i znajomym. Klientów wciąż przybywało. Byli tacy, którzy regularnie przyjeżdżali z odległych miasteczek, by zaopatrzyć się w artykuły kosmetyczne w „Dzikim motyłu”. Nic dziwnego, tutaj nie potrzebowali kartek, by dostać artykuł pierwszej potrzeby, jakim jest mydło. Przy okazji interesowali się pozostałymi ziołowymi preparatami. Nigdy jeszcze towar nie schodził tak szybko, jak w czasie kryzysu lat osiemdziesiątych.

W listopadzie wróciłam do Warszawy i uruchomiłam gabinet. Moi stali pacjenci przyjęli ten fakt z ulgą. Trzynastego grudnia, w niedzielę, przygotowując śniadanie, jak zwykle włączyłam radio. Zdziwiło mnie, że zamiast zwykłej o tej porze audycji muszę słuchać muzyki poważnej. Sprawa wyjaśniła się niebawem. W Polsce ogłoszono stan wojenny. Ponieważ pamiętałam czasy wojny, ogarnęło mnie przerażenie. Nie miałam pojęcia, jak teraz będzie wyglądało nasze życie, a najbardziej bałam się o Joannę. Czy będziemy głodować? Może należałoby uciec na wieś? Czy tam będzie bezpieczniej? Niestety, teraz nawet wyjazdy okazały się trudne. Wprowadzono godzinę policyjną i trzeba było meldować się przy każdej zmianie miejsca pobytu. Zablokowano też telefony. Oficjalnie mówiono, że to wszystko z powodu coraz gorszej sytuacji gospodarczej w kraju, gdzie sklepowe półki zaczęły świecić pustkami, a wobec nadchodzącej zimy zagrożone zostało bezpieczeństwo energetyczne i wciąż zdarzały się przerwy w dostawach prądu. Oczywiście winą za to obarczano Gierka i jego rozrzutność. Tłumaczono się też zagrażającą interwencją zbrojną ze strony wojsk radzieckich. Jednak nieoficjalnie obawiano się upadku komunizmu i nasilających się

protestów.

Pewnego pochmurnego marcowego dnia, kiedy obsłużyłam ostatniego pacjenta, w drzwiach mojego gabinetu stanął jakiś mężczyzna. Był wprawdzie nieogolony, ale dobrze ubrany. Stał i patrzył na mnie, jakby na coś czekał. Przeraziłam się, bo byłam zupełnie sama, a on zachowywał się dziwnie.

– Juliano, nie poznajesz mnie? – zapytał w końcu i zbliżył się o dwa kroki. Dopiero teraz rozpoznałam rysy jego twarzy.

– Antoni? Ty tutaj?!

– A tutaj, tutaj... Pół Warszawy zjeździłem, żeby cię znaleźć. Nie przywitasz się ze mną?

Wyciągnął ramiona i przytulił mnie mocno. Pachniał piżmem połączonym z nutą pieprzu, co podziałało na mnie elektryzująco. Czułam każde drgnienie jego mięśni i przyspieszone bicie serca.

– Nareszcie cię znalazłem. Możemy chwilę porozmawiać? – zapytał.

– Oczywiście, siadaj – powiedziałam z odrobiną żalu, bo przyjemnie było w jego ramionach. Podsunęłam mu krzesło.

– Byłem w laboratorium. Ładnie się tam urządzałaś. Dowiedziałem się też, że owdowiałaś i wyszłaś ponownie za męża.

– Ale się rozwiodłam.

– Wiem – roześmiał się. – Może uda mi się złapać cię między tymi wszystkimi mężami, co?

– Nie kpij.

– Nie kpię, ale specjalnie się nie żeniłem, żeby...

– Antoni, jak możesz?

– Dobrze, już dobrze. Koniec z żartami. Znalazłabyś dla mnie trochę czasu? Muszę zaczepić się w Warszawie i jak wiesz, zameldować. Mam parę spraw do załatwienia.

– Możesz zameldować się u mnie. Mam dwa pokoje. Zmieścimy się.

– To wspaniale. Podaj mi adres i napisz upoważnienie. Załatwię to od ręki i zaraz wrócę tu do ciebie.

Zapisałam adres, a kiedy Antoni wyszedł, zaczęłam porządkować gabinet. Wrócił dość szybko i pojechaliśmy razem do mnie. Odebrałam Joannę, po czym poszłam do kuchni przygotować posiłek. Antoni tymczasem zabawiał moją córkę i z przyjemnością wsłuchiwałam się w ich wesołe baraszkowanie. Z przykrością uświadomiłam sobie, że nie pamiętam takich chwil z Wojtkiem. Po pewnym czasie nastąpiła zupełna cisza. Z mieszanymi uczuciami ciekawości i niepokoju wyjrzałam z kuchni. Obrazek, który zobaczyłam, rozculił mnie. Antoni, widocznie zmęczony całym dniem, spał w najlepsze siedząc na podłodze, oparty o sofę, a moje trzyletnie dziecko nakrywało go, jak umiało, wszystkimi chusteczkami do nosa, wywleczonymi z szuflady. Joannie wyraźnie brakowało ojca.

Coś nieokreślonego obudziło mnie nad ranem. Otworzyłam oczy. Antoni w błękitnych kalesonach i białym podkoszulku stał nad moim łóżkiem i gapił się na mnie.

– Pozwól mi położyć się obok siebie – poprosił. – Przyniosłem poduszkę.

Przesunęłam się pod ścianę. Położył się obok, pozostawiając wolną przestrzeń między nami. Wstrzymałam oddech, ale on nawet nie drgnął.

– Mam pięćdziesiąt lat – zaczął mówić lekko ochryplym głosem – i świadomość, że przegrałem życie. Mam pusty dom, puste serce i pełne konto w banku. – Poszukał ręką mojej dłoni i zaplótł na niej palce. Milczałam, a on mówił dalej: – Pamiętam taką młodą, piękną dziewczynę. Zagubioną w obcym mieście, biedną, ale bardzo dumną. Oddałbym jej wszystko, co miałem. Siebie też bym jej oddał. Nie chciała, nie byłem jej potrzebny, chociaż nie miała nic. Wiesz, o kim mówię?

– Wiem.

– Juliano...

– Antoni, to nie tak. Zawsze byłeś mi potrzebny. Pomogłeś mi wiele razy. I teraz możemy...

– Nie, nie – powiedział stanowczo. – Nie chcę już. Nigdy nie byłeś zdolna mnie pokochać. Ot, chciałem tylko pobyc obok ciebie. Poczuć, że jesteś blisko.

– Przytul mnie, Antoni.

– Nie chcę. I ty też tego nie chcesz. Mówisz tak, bo jesteś mi wdzięczna. Może nawet mnie lubisz. I dlatego mówisz to... z litości.

– Nic podobnego! – oburzyłam się. – Chcę, pragnę tego, żebyś mnie przytulił! – Odwróciłam się do niego twarzą i przysunęłam najbliżej, jak tylko mogłam, ale on nawet się nie poruszył.

– Daj, spokój, Juliano – mruknął.

Och, jak on potrafił mnie upokorzyć! Odegrał się za wszystkie próby zdobycia mnie, kiedy uporczywie odmawiałam mu siebie. I teraz, gdy potrzebowałam ciepła i troski, zemścił się. Pokazał mi, jak czuje się odrażony człowiek. Odwróciłam się do niego plecami, a w oczach zakręciły mi się łzy. Teraz powinien mnie dotknąć, przeprosić, powiedzieć coś! Ale on wstał i wyszedł do drugiego pokoju. Przygryzłam poduszkę, żeby nie rozplakać się na dobre. Odczekałam jeszcze pół godziny i leżąc nieruchomo w łóżku, zastanawiałam się, czy wróci i wszystko naprawi. Potem obudziła się Joanna i musiałam odsunąć na bok poranne emocje. Śniadanie jedliśmy niewiele się do siebie odzywając, tylko Joanna zaczęła Antoniego i usiłowała skłonić go do zabawy. On jednak zupełnie nie miał do tego nastroju.

– Czy pozwolisz, że jeszcze jedną noc przenocuję u ciebie? – zapytał. – Jutro powinienem zakończyć moje sprawy.

– Oczywiście – odparłam sucho. – Pokój jest do twojej dyspozycji. – Kiedy opuścił mieszkanie, odprowadziłam dziecko do niani i z ciężkim sercem udałam się do

gabinetu. Przyjechał po mnie około szesnastej i razem wróciliśmy do domu. Wysiadając wyjął z bagażnika torby z zakupami z Baltony, czyli sklepu dla wybrańców losu, którego wystawy kryły się za żółtymi firankami, żeby nie drażnić oczu szarego obywatela.

– Po co to wszystko kupowałeś? – zapytałam zirytowana na widok przysmaków, które wyjął z plastikowych reklamówek. – Mamy co jeść.

– Nie chcę być ci ciężarem. Pozwól, że chociaż w ten sposób zrewanżuję się za gościnę – powiedział i wydobyl kolorowe pudełko, które wręczył Joannie. – Proszę, dla ciebie też coś mam.

– Lalka! – zawołała uradowana Joanna i wybiegła do drugiego pokoju, żeby się nią nacieszyć.

– Antoni, nie powinieneś... Zapomniałeś już, ile ci zawdzięczam?

– Pozwól mi Juliano. Sprawia mi to przyjemność.

– Jak chcesz – powiedziałam wzruszywszy ramionami i zabrałam się za szykowanie kolacji.

– Pomogę ci – zaproponował.

Siekaliśmy razem warzywa do sałatki, układaliśmy wędliny na półmiskach, kroiliśmy sery, ale atmosfera pozostała napięta.

– Załatwiłem już swoje sprawy – oznajmił, chociaż wcale o to nie pytałam. – Jutro mogę wrócić do domu.

Zrobiło mi się przykro. Wyjedzie i pozostawi mnie z uczuciem niesmaku i pewnego rodzaju niedosytu. Tak liczyłam na przyjazny klimat i długie rozmowy.

– Nie wyganiem cię przecież, możesz zostać – zaproponowałam bez przekonania.

– Bardzo ci dziękuję, ale nie mam tu już nic do roboty.

– Jak chcesz – powtórzyłam.

Po kolacji Antoni poszedł przygotować się do wyjazdu, ja natomiast sprzątnęłam ze stołu i ułożyłam Joannę w łóżeczku. Sama też położyłam się wcześniej. Nie chciałam, by zapalone światło przeszkadzało dziecku zasnąć. Przyszedł w środku nocy. Wsunął się pod kołdrę. Jego pieszczoty były natarczywe, gwałtowne. Nigdy dotąd nie doznałam takiej rozkoszy, jak wtedy, w jego ramionach.

Rankiem na samo wspomnienie upojnej nocy przeszedł mnie dreszcz. Nie otwierając oczu wyciągnęłam do niego rękę, ale miejsce obok mnie było puste. Zajrzałam do sypialni, lecz zastałam tylko równo zaścielone łóżko i liścik na stole. Otworzyłam go drżącymi rękami i zaczęłam czytać:

*Juliano, zanim otworzysz ten list, będę już daleko. Tak daleko, że nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Zdiagnozowano u mnie chorobę, z której nie można się wyleczyć. Nie chcę wyc z bólu i błagać o śmierć. Zawsze sam decydowałem o sobie i teraz również będę panem mojego życia i mojej śmierci, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.*

*Sprawy, które załatwiałem w Warszawie, dotyczą Ciebie. Nie mam nikogo bliższego, więc Tobie przekazałem wszystko, co udało mi się zgromadzić. Tym razem mi nie odmówisz, tak jak nie mogłaś mi odmówić, gdy w tajemnicy przed Tobą chronilem cię przed komunistami, kiedy powstawały twoje sklepy. Śledziłem twój każdy krok i byłem zawsze tam, gdzie wokół ciebie zbierały się chmury. Teraz zostajesz sama. Notariusz odezwie się...*

– Antoni! – załkałam, nie doczytawszy listu do końca. – Dlaczego, do cholery, mi to robisz?!

Zgniotłam kartkę i cisnęłam ją w kąt pokoju. Potem rzuciłam się na łóżko i wbijając głowę w poduszkę, na której jeszcze niedawno spoczywała jego głowa, wyłam jak zarzynane zwierzę.

Delikatne pukanie do drzwi przerwało opowieść Juliany.

– Mamo, jakaś kobieta do ciebie. Chcesz się z nią widzieć? – zapytała półgłosem Joanna, wsuwając głowę do pokoju.

– Ach tak! Poproś ją, Joanno, to masażystka. Zupełnie o niej zapomniałam. Przepraszam cię, Adam, zaczekaj u Joanny.

– Z przyjemnością. – Adam poderwał się z miejsca i wyszedł za Joanną.

– Zapraszam – powiedziała uchylając drzwi swojego pokoju i pobiegła otworzyć furtkę.

Ledwo zdążył wejść, była już z powrotem.

– Widziałam tę dziewczynę... Teofilę, tak? – powiedziała siadając naprzeciw niego.

– Gdzie... Gdzie ją widziałaś?

– Stała pod domem. Poszła sobie, kiedy wyszłam otworzyć furtkę.

Drgnął, jakby zamierzał natychmiast pobiec za Toffi. Joanna uniosła do góry brwi i uśmiechnęła się lekko, trochę ironicznie. Przechylił się przez niski stolik i położył rękę na jej dłoni.

– Zdaje się, że źle mnie rozumiesz – zauważył.

– Adam, przecież nic nie powiedziałam.

– Wiem. Wystarczy mi mowa twojej twarzy. Muszę porozmawiać z Toffi i zapewniam cię, że rozmowa nie będzie należała do przyjemnych.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Nie chcę, żebyś pomyślała...

– Ależ ja niczego nie pomyślałam. Jesteś przewrażliwiony. Jeśli chcesz, biegnij za nią. Nic mnie to nie obchodzi – wzruszyła ramionami, a w jej głosie narastała irytacja.

– Joanno, nie zamierzam za nikim biec, co ci przychodzi do głowy.

– Powiedziałam, że nic mnie to nie obchodzi.

– Więc nie mówmy już o tym.



– Nie mówmy.

Zapadła cisza, która ciążyła im obojgu, jednak żadne z nich nie usiłowało rozładować napięcia. Adam nie miał pojęcia, jak ma poprowadzić rozmowę, żeby nie zdmuchnąć isierki, która jeszcze tliła się między nimi. W każdym wypadku mógł to być zapłon do niewyobrażalnego wybuchu. Wolał nie ryzykować. Joanna podeszła do stolika, gdzie stał alkohol, i przygotowała dwie szklaneczki ginu z tonikiem. Jedną z nich podała Adamowi.

– Na zgodę – powiedział przyjmując od niej szklanę.

– Na jaką znowu zgodę? – obruszyła się. – Przecież się nie kłócimy.

– Niby nie, ale zrobiło się jakoś niezręcznie – próbował załagodzić sytuację, jednocześnie żałując, że w ogóle się odzywał.

Joanna milczała, popijając gin małymi łykami. Brakowało tylko żeby zaczęła bębnić palcami o blat stolika. Adam nie bardzo wiedział, co ma teraz zrobić. Odstawić szklanę i wyjść? Chyba nie miałyby po co wracać. A może podejść i ją przytulić? Nie, to mogłoby się skończyć naprawdę źle. Boże, niechby się coś wydarzyło, żeby przerwać tę krępującą ciszę.

Wydarzyło się. W jego kieszeni zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwoniła Toffi. I co ma teraz zrobić? Wyjść i odebrać? Odebrać przy Joannie? A może w ogóle nie odbierać?

– No, odbierz – mruknęła Joanna i wyszła z pokoju.

– Halo – powiedział zimno do słuchawki.

– Cześć, gdzie jesteś?

– U Juliany. A ty?

Zignorowała pytanie.

– Chciałam się z tobą pożegnać – oznajmiła. – Wyjeżdżam.

– Dokąd?

– Daleko.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem. Nigdy. Baw się dobrze, cześć – rzuciła i rozłączyła się.

– Cześć – mruknął do głuchej słuchawki i schował telefon. Właściwie teraz nie musi przeprowadzać z nią żadnej zasadniczej rozmowy. Chyba już wszystko jasne.

Joanna nie wracała. Dopił gin i wyszedł z pokoju. U Juliany pewnie wciąż była masażystka, a Joanna gdzieś się zawieruszyła. Poczł się głupio. Może po prostu powinien pójść do domu? Zajrzał jeszcze do kuchni. Joanna stała przy kuchennym blacie i odmierzała cukier szklanką.

– Chcesz mi pomóc? – zapytała zwyczajnie, jakby wcześniej nie było między nimi żadnych zgrzytów.

– Jasne! – ucieszył się.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Wszystko w porządku?
- W porządku. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo w porządku. Podszedł do niej i ogarnął ją ramionami.
- Rozbij te cztery jajka i oddziel białka od żółtek – powiedziała cmokając go w czubek nosa. – Zrobimy coś pysznego.
- Przepadam za pysznymi rzeczami – westchnął patrząc na nią z uwielbieniem.
- Jak każdy facet – mruknęła.
- Każdy? A z kim ty mnie porównujesz, co? – pogroził jej palcem.
- Z całym męskim światem.
- Od kogo nauczyłaś się tak piec? Od matki?
- Nie, ona nie miała głowy do takich spraw. Właściwie mało mam takich wspomnień. Zwykle była zabiegana. Ciągłe coś załatwiała. Odkąd pamiętam cokolwiek, wciąż byłam pod czyjąś opieką. Najpierw miałam niańkę. Mieszkała w tym samym bloku.
- O tym akurat wiem.
- Potem chodziłam do przedszkola. Zawsze w pośpiechu. W tamtą stronę szybko, żeby nie spóźnić się na śniadanie, z powrotem też szybko, bo biegłyśmy jeszcze na godzinę do gabinetu. Mama przyjmowała swoich pacjentów, a ja siedziałam w poczekalni. Miałam tam swój stolik, na którym leżały bloki rysunkowe, kredki i jakieś książeczki. Ale i tak najczęściej zajmowali się mną pacjenci. Jeździłam też z mamą do różnych miast, kiedy odwiedzała swoje sklepy. Nie cierpiałam tych wyjazdów. Nudziły mnie. Najchętniej przebywałam na wsi u Oli i Aleksandra. Mama zostawiała mnie u nich na całe lato. Prócz mnie była tam czwórka innych dzieci i miałam się z kim bawić. Przepadałam też za wyjazdami do Olsztyna. W laboratorium wszystko mnie interesowało i nikt mnie nie przeganiał. Mogłam przyglądać się pracy przy ziołach. Pięknie tam pachniało. Kiedy wychodziłam stamtąd, całe ubranie było przesiąknięte zapachem ziół. Nocowałyśmy zawsze u pana Leszka. Miał sympatyczną żonę, była artystką. Śpiewała mi kołysanki na dobranoc. Gdy poszłam do szkoły, właściwie nic się nie zmieniło. Często opuszczałam lekcje z powodu wyjazdów z mamą. To prawda, że woziła mnie wszędzie ze sobą, ale przeważnie nie miała dla mnie czasu. Nie pamiętam długich rozmów z nią i wspólnych zabaw. Po zdaniu matury otrzymałam w prezencie mieszkanie i wyprowadziłam się. Zaczęłam samodzielne życie. Każdego miesiąca otrzymywałam kieszonkowe, które wystarczało mi na dostatnie życie. Można by powiedzieć, że moja matka wypełniła rodzicielskie obowiązki, nigdy niczego mi nie brakowało, poza nią. Jej miałam wciąż za mało. Nie mam o to żalu. Robiła, co mogła, żeby zapewnić mi dobrą przyszłość. Tak w skrócie wyglądało moje życie z nią. Teraz znowu jesteśmy razem, ale to była moja decyzja. Jest coraz starsza i wolę mieć ją na oku.
- Miałas zupełnie inne życie niż ona, która musiała o wszystko zawalczyć sama.

– Wiem i rozumiem to. Kochała mnie na swój sposób, ale byłam jej powrotem do dzieciństwa i wypełnieniem życia na nowo. Ona nie widziała we mnie swojej córki. Widziała we mnie siebie. Dlatego miała żal, że nie chcę kontynuować tego, co wypracowała z takim wysiłkiem. Tylko że zioła nie są moją pasją. Niech zajmują się nimi Ola i Aleksander. Oni to naprawdę kochają... No, do piekarnika z tym – powiedziała przelewając ciasto do formy. – Nastaw na czterdzieści minut.

Adam włączył piekarnik i uruchomił ekspres do kawy.

– Twoja matka spełniała wszystkie zachcianki i rozpieszczała cię, ale nie zauważyłem, żebyś była rozkapryszona.

– Mylisz się. Wcale mnie nie rozpieszczała. Zawsze była zasadnicza i powściągliwa w okazywaniu uczuć. Kiedy robiłam coś nie po jej myśli, dostawałam reprimendę, a potem długie kazanie na temat tego, dlaczego jej się to nie podoba. Zawsze musiałam naprawiać swoje błędy. Kiedyś wysłała mnie po jabłka. Byłam wtedy całkiem małą dziewczynką. Ekspedientka zapakowała mi nadgniłe owoce. Mama się wściekła i kazała mi je wymienić. Wstydziłam się jak diabli. Ale musiałam pójść do sklepu i załatwić sprawę. Co najlepsze, matka nie winiła sprzedawczyni za oszustwo, tylko mnie, że padłam jego ofiarą. Uczyła mnie życia w bardzo specyficzny sposób. Trzeba przyznać, że dbam o swoje interesy i nie daję się oszukać.

– Powinnaś być jej wdzięczna. Nie każdy potrafi być asertywny.

– Jestem. Brakuje mi tylko czułości. Również męskiej, bo nie dane mi było posiadać ojca z prawdziwego zdarzenia.

– Takiej czułości? – Adam objął ją ramieniem i przytulił.

– O tak, takiej...

– A takiej? – zapytał całując ją w usta.

– Uhm...

– I jakiej jeszcze?

– Nie powiem... – I zatracili się w czułościach.

Adam pociągnął nosem.

– Coś się pali.

– Aha, też czuję. Może ktoś ognisko... Adam, nasze ciasto! To wszystko przez ciebie! – zawołała i rzuciła w niego ścierką. – Nigdy nie przypaliłam ciasta!

– Przypaliłaś.

– Kiedy?

– Teraz.

– Ech, ty... Słyszałaś? Masażystka wyszła.

– No to idę na górę.

– Zaczekaj, weź dla mamy kawałek ciasta. Lubi takie.

– Przypalone?

– Prawie wcale się nie przypaliło. No idź!

Adam z paterą w ręku stanął w progu pokoju Juliany.

– Tak myślałam, że coś tam pichcicie. Pachniało aż tutaj.

– Troszkę się przypaliło.

– Nie szkodzi, to się Joannie zdarza.

Uśmiechnął się pod wąsem.

– Przez to ciasto zupełnie nie pamiętam, na czym skończyłam opowiadać – zatroskała się i spojrzała na Adama, jakby w nim szukała pomocy.

– Na liście od Antoniego – podpowiedział.

– Ach, tak... – posmutniała. – To był tak samo przykry moment, jak wiadomość o wypadku Abrahama. Wokół mnie było coraz bardziej pusto, a miałam dopiero czterdzieści trzy lata.

W osiemdziesiątym trzecim roku skończył się stan wojenny i „Solidarność” odniosła zwycięstwo nad komunistami. Można powiedzieć, moralne zwycięstwo. Ludzie odetchnęli, choć nie od razu było dobrze. Ale otworzyła się możliwość pracy na swoim i prywatne firmy powstawały jak grzyby po deszczu. Kilka miesięcy po pamiętnym spotkaniu z Antonim otrzymałam po nim naprawdę pokaźny spadek. Zapisał mi wszystko, co zgromadził przez całe swoje życie. Przyjęłam to z ciężkim sercem. Potrzebowałam bardziej człowieka obok siebie niż jego bogactwa. Niemniej jednak Antoni pomagał mi nadal, z zaświatów. Przeniosłam laboratorium do dużego, nowoczesnego budynku i zatrudniłam więcej ludzi do pracy. Szefową została Małgorzata, która znakomicie radziła sobie z organizacją. Rozszerzyłam też sieć sklepów o nowe miasta i „Dziki motyl” przynosił coraz większe dochody. Prócz tego wciąż prowadziłam gabinet. Dwa lata później zakupiłam ten dom i jak sądzę, nie czeka mnie już żadna przeprowadzka. Czasami zastanawiam się, czy moje życie potoczyło się tak, jak chciałam. Wychodząc z leśnej chaty w starej kapocie Ivana i za dużych butach matki, prosząc o chleb przygodnie spotkanych w lesie Ukraińców, nigdy nie przypuszczałam, że kończąc moją podróż będę opływała w taki dostatek. Czy się spełniłam? Nie wiem. Zawsze marzyłam o skończeniu studiów medycznych i to mi się nie udało. Nie miałam też szczęścia posiadania u boku kochanego mężczyzny. Może spotkała mnie kara za to, że tak beztrzesko odrzucałam miłość chłopców, którzy starali się o mnie? A może to matka, zazdrosna o uczucie, którym zdarzyło mi się kogoś obdarzyć, odbierała mi go? Tak było z Abrahamem, potem z Antonim. Na szczęście nie odebrała mi największej miłości mojego życia, Joanny. Teraz pozostało mi tylko jedno marzenie, którego dotąd nie udało mi się spełnić.

Juliana zawiesiła głowę i spojrzała na Adama, jak mu się wydawało, wyczekująco.

– Czy chodzi o leśną chatę? – zapytał lekko zachrypniętym głosem.

– Tak. Chcę odwiedzić dom, w którym spędziłam najcudowniejsze lata mojego

życia. Chcę zobaczyć dwa cienie, które wciąż spacerują po sadzie, popijają w chacie herbatę z mięty i rumianku, podchodzą do pochylego płotu i czekają na swoją córkę.

– Pojedziemy tam, pani Juliano – powiedział z mocą.



## 23

**D**o takiego wyjazdu trzeba było się przygotować. A przede wszystkim oswoić z nim Julianę. Nadmierne emocje mogły jej tylko zaszkodzić.

Najpierw ukazał się reportaż. Pismo sprzedawało się lepiej niż zwykle i szef nie szczędził Adamowi pochwał, prosząc o następny temat, który wywoła równie dużo emocji. Potem Juliana wyjechała na dawno zamierzony turnus do sanatorium. Wiosną Adam miał dużo pracy w związku z kilkoma nowymi artykułami, a latem wyjechał na zasłużony urlop do Wrocławia. Dopiero wczesną jesienią, prawie rok po ostatniej wizycie Adama w leśnej chacie zaczęli planować wyprawę.

– Musimy uważać na mamę, łatwo się wzrusza – denerwowała się Joanna.

– Powinienem pojechać tam wcześniej, uporządkować groby – zadreślał się Adam.

– Trudno. Jest, jak jest – zdecydowała w końcu Joanna. – Przynajmniej będzie spokojna, że nikt tam nie bywa. Matka nie byłaby zachwycona widząc czyjeś ślady. Upływu czasu ukazany w zarośniętym sadzie, omszałych drzwiach i grubej warstwie kurzu uświadomi jej, że chata czeka na nią i tylko na nią. Ona wierzy w te cienie, wiesz?

– Wiem.

Wrześniowy poranek wstał chłodny, ale zapowiadał się pogodnie. Ptaki urządziły poranny koncert. Adam stał na balkonie i wyglądał samochodu Joanny. Spakowany plecak czekał gotowy pod drzwiami. Była szósta dwadzieścia, gdy auto zatrzymało się na parkingu. Na miejscu obok kierowcy siedziała Juliana, poważna i przejęta czekającą ją podróżą. Adam złapał plecak i wybiegł przed dom.

– No to w drogę! – zawołała wesoło Joanna, gdy wsiadł i zatrzasnął drzwi samochodu. – Sama jestem ciekawa tej chaty.

– Może nie wyda ci się jakaś szczególna – zauważyła Juliana – ale dla mnie była najpiękniejszym miejscem na ziemi. Przecież mieszkając tam nie widziałam żadnego innego domu. Ta chata to symbol rodzinnego ciepła, bezpieczeństwa i miłości, którą

obdarzaliśmy się nawzajem.

– Pamiętasz, jak tam było?

– O tak. Każdy szczegół. Chata składa się z dwóch pomieszczeń: izby, gdzie stoi wielkie łóżce, stół z takim ruchomym blatem, ciężkie, ciosane krzesła, bielony piec i drewniana skrzynia. Nad stołem wisi drewniana półka, a na niej poustawiane są kubki. Gliniane kubki. W jednym z nich matka przechowywała mapę... A ty wiesz dobrze, jak tam trafić? – Juliana obejrzała się i z niepokojem popatrzyła na Adama.

– Wiem, wiem – uspokoił ją.

– Nad łóżcem wisi portret mojej matki. Mój Boże, pewnie spod kurzu wcale jej nie widać... Na podłodze ułożyłam swoje szmaciane lalki. Od najstarszej do najmłodszej. A może odwrotnie? Nie, tego już nie pamiętam.

– Niedługo zobaczysz – pocieszyła ją Joanna.

– Drugie pomieszczenie to komora. Taka jakby spizarnia. Stoją tam kosze wiklinowe, skrzynia po mące, na hakach wiszą różne narzędzia, którymi mój ojciec, a potem Ivan pracowali w ogrodzie. Ale jest tam też posłanie, na którym spał Ivan. Z komory wychodzi na sad tylko jedno okienko. Przez nie wypchnął mnie Ivan, gdy musiałam uciekać. Wtedy na zawsze opuściłam mój ukochany dom. Wierzcie mi, nigdzie nie było tak dobrze, jak tam. Nawet w domu Abrahama nie byłam tak szczęśliwa. W chacie panuje niesamowity klimat. Niepowtarzalny.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę – powiedziała Joanna.

– Ach, na samą myśl o tym mam dreszcze i potnieją mi dłonie. Wrócić tam to marzenie mojego życia. Ale nie potrafiłam bez mapy. Jakie to szczęście, że zdecydowałeś się odnaleźć mnie, Adamie.

– Musiałem – roześmiał się. – Magdalena nie dawała mi spać po nocach.

Juliana nie podjęła żartu. Jechali w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Adam obserwował drogę. Przejeżdżali właśnie przez jakąś wieś. Patrząc na nią uświadomił sobie, że wsie nie wyglądają tak, jak dawniej. Nie ma już chat ze słomianymi dachami, walących się drewnianych płotów ani malw w ogrodach. Nowe domy wystawiają dumnie zza solidnych parkanów czerwone, połyskliwe w słońcu dachy. Przed domami widać wypielęgnowane trawniki i egzotyczne drzewa. Nawet kury nie można tu uświadczyć, a cóż dopiero poczciwą krasulę. Joanna jechała szybko, żeby zdążyć przed zmierzchem.

– Wzięłam śpiwory – powiedziała. – Przenocujemy w chacie. Co wy na to?

– Niewątpliwie czekają nas pasjonujące wrażenia. Nie wiadomo, czy dawni mieszkańcy nie przechadzają się w nocy po podwórzu i nie stukają palcem w okno – wzdrygnął się Adam. Juliana i tym razem nie skomentowała żartu.

– Ten dom kiedyś będzie należał do ciebie, Joanno – oznajmiła sentymentalnym głosem.

– Do mnie? To chyba nie będzie takie proste.

– Dlaczego? – oburzyła się Juliana. – Przecież teraz jest mój. A ty jesteś moją jedyną spadkobierczynią.

– Niby tak, ale masz jakieś papiery, akt własności?

– Nie...

– Ano właśnie. Nie ma żadnych prawnych podstaw, żeby którakolwiek z nas, nawet ty, mamó, rościła sobie do niego prawo. Słowa Magdaleny w jakimś zeszycie to za mało.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No... że każdy może sobie go przywłaszczyć na takich samych zasadach.

– To znaczy jakich?

– Może bić się w piersi i przysięgać, że to jego.

– Boże... Rzeczywiście zapomniałam o tym – szepnęła Juliana i zbladła jak papier.

– Proszę się nie martwić – zareagował szybko Adam. – Jakoś dotąd, oprócz mnie, nikt tam nie trafił.

– To dobrze – odetchnęła z ulgą.

Joanna zjechała na mały parking pod lasem.

– Zatrzymajmy się na chwilę. Potrzebuję krótkiej przerwy.

Dzień robił się naprawdę ciepły. Juliana powędrowała ścieżką w głąb lasu.

– Tylko nie oddalaj się zbytnio. Niedługo ruszamy dalej – zawołała za nią córka.

– Bądź spokojna, za chwilę wrócę. Rozprostuję trochę nogi – odparła.

– Po co jej mówiłaś o tym akcie własności? Teraz będzie się denerwować – wyrzucił Adam Joannie.

– Sama nie wiem. Wyrwało mi się. Nie martw się, zapomni.

– Na pewno nie zapomni. To dla niej zbyt ważne.

– Przykro mi. Ale nie lubię, gdy ktoś obiecuje mi to, czego tak naprawdę nie może mi dać. Wsiadaj. Zawołam mamę i ruszamy.

Adam usiadł na tylnym siedzeniu, a Joanna poszła w kierunku ścieżki, gdzie przed chwilą zniknęła Juliana. Po kilku minutach zniecierpliwził się. Zamknął samochód i poszedł za nimi, rozglądając się dookoła. Jednak zarówno po Julianie, jak i Joannie nie było ani śladu.

– Hop hooop! – zawołał. Cisza. – Joanna!

Prócz spłoszonych ptaków, które zerwały się do lotu, nie usłyszał żadnego głosu.

– Dokąd one się wybrały? – mruknął do siebie i przeszedł jeszcze kilka metrów. Jego oczom ukazała się mała polana. Juliana siedziała na trawie i tuliła do serca córkę. Ta gładziła ją po posiwiałych włosach i przemawiała do niej bardzo cicho. Adam wycofał się. Może to jest właśnie ten moment, gdy z Juliany wylała się cała zgromadzona miłość, której dotąd skąpiła Joannie? Wrócił na parking i usiadł na pniu drzewa, gdzie czekał cierpliwie, żując źdźbło trawy. Wróciły po kilkunastu minutach. Twarz Juliany nosiła ślady łez, ale była promienna.



– Cieszę się i boję – powiedziała bardziej do siebie niż do nich.

– Czego się boisz, mamó?

– Tego zderzenia z przeszłością. Przecież to było jedyne i ostatnie miejsce, gdzie widziałam ojca, matkę, Popioła. I Ivana. Boję się, że wspomnienie oprawione w ramy ścian, sufitu i podłogi, wypełnione powietrzem, którym oddychali, będzie bolało bardziej niż tęsknota za tym miejscem z daleka.

Joanna zwolniła i zjechała na pobocze.

– Nie chcesz tam jechać? – zapytała patrząc na matkę uważnie. – Możemy zawrócić. Zrozumiem to.

– Nie, nie. Jedź Joanno. Chcę – odparła stanowczo.

Około piętnastej byli już we wsi. I tutaj Adam zauważył dużą zmianę, której nie dostrzegł podczas ostatniego pobytu z Toffi. Niedaleko przystanku ustawiono sklepik z pamiątkami. Pojawiły się tablice reklamujące noclegi, jakiś bar. To wszystko sprawiło, że po okolicy zaczęli kręcić się turyści, szukający wrażeń na spokojnych i opustoszałych dotąd terenach. Tylko fragmenty omszałych fundamentów starych chałup i zdziczałe jabłonki pozostały takie same i wrosły w krajobraz.

– Zostawmy tu samochód – powiedział Adam. – Dalej musimy pójść pieszo. Nie wiem, czy pani Juliana...

– Dam radę, dojdę – przerwała mu w pół zdania, odgadując, co miał na myśli.

– No to chodźmy – rzekł Adam i ruszył dziarsko do przodu. Po chwili zreflektował się i zwolnił kroku.

Doszli do miejsca, w którym zawsze wchodził do lasu. Wejście wydało mu się szersze i bardziej przejrzyste. Na dodatek oznaczone zielonym szlakiem i dziwną reklamą.

– To chyba nie tu – zawahał się. – Musimy przejść jeszcze kilkaset metrów dalej.

Żadne z kolejnych wejść nie było tym, którego szukał.

– Nie. Musimy wrócić. Przepraszam, byłem tu tylko kilka razy – mruknął zawstydzony.

Wrócili.

– Pójdziemy jednak tym szlakiem – zdecydował. – Może coś się zmieniło. Prawdopodobnie dalej szlak się urwie i poprowadzi gdzie indziej.

Ścieżka była dziwnie szeroka, krzewy wokół niej wycięte. Co pewien czas pojawiała się strzałka. W kilku miejscach ktoś ustawił ławki z bali. Adam wyraźnie widział, że wszystko tu wygląda inaczej niż kiedyś, ale nie chciał niepokoić Juliany. Tylko Joanna zerkała na niego, jakby coś podejrzewała.

– Siądźmy tu na chwilę, muszę odpocząć – zaproponowała Juliana na widok kolejnej ławki. Przysiedli i Joanna podała matce butelkę z wodą. – Adam, czy ten dom jest zamknięty na klucz? Jak się do niego dostaniemy? – niepokoiła się Juliana.

– Nie, tam jest tylko skobel, nic więcej – uspokoił ją.

– Mam nadzieję że nie ma tam szcurów – powiedziała i otrząsnęła się ze wstrętem Joanna. – Nie cierpię ich.

– Szcurów? Nawet wtedy ich nie było. Szcury muszą coś jeść. Tam teraz nic nie znajdą – obruszyła się Juliana. – No, możemy iść – dodała i wstała z westchnieniem.

Powoli zapadał zmierzch. Adam martwił się, że w tym tempie dotrą tam, gdy będzie ciemno. Na szczęście Juliana nie prosiła więcej o przerwę w marszu.

– Cicho! Co to? – zdziwiła się i zatrzymała nagle Joanna. – Słyszycie?

Gdzieś z daleka dobiegała muzyka. Niespotykana w tym miejscu. Po chwili minęła ich roześmiana grupa turystów.

– Co się tu dzieje? – denerwował się w duchu Adam, zastanawiając się, czy na pewno idą we właściwym kierunku.

Muzyka nasilała się, aż stała się wyraźna. Adam pobladł i zwolnił kroku. To było to miejsce. Ta sama ściana drzew, mających osłaniać chatę od niepożądanego ludzkiego wzroku. Zerknął na Julianę. Zatrzymała się. Oczy miała nienaturalnie rozszerzone. Drżał jej podbródek. Czy to możliwe, że kojarzy miejsce dziecięcych zabaw i spacerów z matką? Usunięte krzaki odsłaniały chatę. Tę chatę, którą traktował zawsze jak najbardziej kultowe miejsce na ziemi.

– Co się tam dzieje?! – mruknął do siebie nienaturalnym z przejęcia głosem. Szedł powoli, nie zważając na Julianę, jak skradający się do zdobyczy kot. Tuż za nim Joanna prowadziła pod ramię matkę.

To, co ujrzeli, dosłownie wbiło ich w ziemię.

Najpierw przywitała ich wielka kolorowa tablica: *Bar – Gorący kociołek*. Na dawnym podwórzu, otoczonym zupełnie nowym płotem, nie było śladu zarośli ani młodych sosen, które rosły tu jeszcze niedawno. Ustawione pod parasolami stoliki zapraszały do konsumpcji. Kilka osób zajadało coś ze smakiem. Pod ścianą chaty ustawione były ich rowery. Z wnętrza wyszedł młody mężczyzna, chyba kelner, w brązowym fartuchu, z czymś parującym na tacy. Obsłużył klientów i spojrzał pytająco na przybyłą trójkę.

– Zapraszam – powiedział uprzejmie. – Tutaj jest wolny stolik. Chyba że woleliby państwo wewnątrz...

Juliana nie zastanawiała się długo. Musiała być w szoku, bo podeszła szybko do kelnera i złapała go za koszulę na piersi.

– Panie, wynoś się pan natychmiast z mojego domu! – krzyknęła z mocą. Konsumenci przerwali jedzenie i zaczęli z ciekawością obserwować całą scenę. Kelner uwolnił się od uścisku Juliany, spojrzał na Adama i Joannę, a nie doczekawszy się od nich żadnego wsparcia, powiedział służbowo:

– Czy pani życzy sobie czegoś?

– Powiedziałam, wynoś się pan! To mój dom! – zagrzmiała.

– Proszę się uspokoić – bąknął. – Zaraz... zaraz zawołam szefową...

– Nie trzeba. Sama ją znajdę. Hołota!

Wtargnęła do wnętrza, które żyło w jej w pamięci, i zachwiała się na widok zmian, jakie zastała. Adam podążył za nią. Wstrzymał powietrze i powoli uniósł dłonie, by zasłonić nimi twarz. Nie chciał tego oglądać. Niewiele zostało ze stojących tu dotąd sprzętów. Izba była teraz niewielką jadalną salą z trzema stolikami. Ściany zdobiło siedem szmacianych lalek porozwieszanych na różnych wysokościach. Portret Magdaleny pozostał w tym samym miejscu, podobnie jak półka z glinianymi kubkami. Na tej półce stały jeszcze naftowe lampy, które towarzyszyły Magdalenie przez wszystkie lata, które tu przeżyła. Teraz pełniły funkcję dekoracyjną. Pobielony piec pomalowany był w przedziwne esy-floresy. Na stolikach leżały obrusy tkane ręką dawnej gospodyni. Adam przypomniał sobie ostatnią tu wizytę, kiedy pochylona nad skrzynią Toffi oglądała te tkaniny. Juliana z ręką przyciśniętą do piersi opuściła izbę i jak burza wpadła do komory. Tu znajdowało się zaplecze, gdzie przygotowywano posiłki. Nad kuchenką gazową pochylała się dziewczyna i przekładała na patelni kawałki mięsa. Podniosła głowę i widelec wypadł jej z rąk.

– Teofila... – jęknęła Juliana i opuściła kuchnię tak szybko, jak tylko mogła, kierując się prosto do sadu.

Grób był uprzątnięty. Adam zwrócił uwagę na nowy krzyż i nie wiadomo skąd przywleczony głaz z przytwierdzoną do niego tabliczką: *Niewinnym ofiarom banderowców, Piotrowi i Magdalenie Dors*. Wokół grobu rosły świeżo posadzone kwiaty. Joanna, która dopiero teraz dołączyła do matki, spoglądała na to wszystko nic nie rozumiejąc.

– Co robimy? – zapytała bezradnie Adama.

On spojrzał tylko na zwiniętą na wzgórkę ziemi Julianę i lekko wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – szepnął.

Czekali, aż Juliana wyszłocha cały ból, wyszepcze gorycz. Kiedy zamilkła, Joanna pochylila się nad nią i powiedziała najczulej, jak umiała:

– Wstań, mamusiu... Chodźmy...

Ale ona była już z tamtymi.